



TAMTA KOBIECI


NETFLIX
FILM NETFLIX

W PRZYGOTOWANIU

MARY KUBICA

JEDEN Z NAJBARDZIEJ WYCZEKIWANYCH
KRYMINAŁÓW ROKU!

Całkowicie nieprzewidywalna – KARIN SLAUGHTER

 **Poradnia K**



TAMTA KOBIETA

MARY KUBICA

Przełożyła Paulina Braiter



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Sadie

Sadie

Sadie

Camille

Sadie

Camille

Sadie

Sadie

Myszka

Sadie

Camille

Sadie

Myszka

Sadie

Camille

Sadie

Sadie

Sadie

Sadie

Myszka
Sadie
Camille
Sadie
Camille
Sadie
Myszka
Sadie
Sadie
Myszka
Sadie
Myszka
Sadie
Sadie
Sadie
Sadie
Myszka
Sadie
Myszka
Sadie
Sadie
Will
Sadie
Will
Sadie
Will
Sadie

Will

Sadie

Will

Sadie

Will

Sadie

Sadie

Od autorki

Podziękowania

Tytuł oryginału: *The Other Mrs.*

Copyright © 2020 by Mary Kyrychenko

All rights reserved.

This edition is published by arrangement with Harlequin Books S.A.

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2020

Copyright © for the Polish translation by Paulina Braiter

Wydanie I

Redaktor prowadzący: PAULINA POTRYKUS-WOŹNIAK

Redakcja: JOLANTA KUCHARSKA

Korekta: MAGDALENA GERAGA, MAŁGORZATA PAWŁOWSKA

Projekt okładki: ELITA SIDIROPOULON

Dyrektor artystyczny oryginalnej okładki: SEAN KAPITAN

Zdjęcie na okładce © plainpicture

plainpicture/Willing-Holtz; plainpicture/Cristopher Civitillo

Adaptacja okładki, łamanie i skład: MARZENA PIŁKO

ISBN 978-83-66555-11-2

Wydawnictwo Poradnia K Sp. z o.o.

Prezes: Joanna Bażyńska

00-544 Warszawa, ul. Wilcza 25 lok. 6

e-mail: poradniak@poradniak.pl

Poznaj nasze inne książki.

Zapraszamy do księgarni:

www.poradniak.pl

facebook.com/poradniak

instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo



Poradnia K

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Dla Michelle i Sary

Sadie

Coś jest nie tak z tym domem, coś, co mnie dręczy, nie daje spokoju, choć sama nie wiem, dlaczego tak się czuję. Z pozoru wygląda idealnie i pogodnie – szary, z dużą zadaszoną werandą ciągnącą się na całą szerokość budynku. Jest wielki i przysadzisty, solidny wiejski dom z oknami w równym rzędzie, symetrycznie umieszczonymi w miły dla oka sposób. Ulica, przy której stoi, wygląda uroczo, obsadzona drzewami, opadająca stromo, każdy kolejny budynek śliczny i starannie utrzymany. Z pozoru nie ma tu nic nieprzyjemnego, ale dobrze wiem, że nie należy kierować się pozorami. A fakt, iż dzień, podobnie jak dom, jest szary, nie pomaga. Może gdyby świeciło słońce, czułabym się inaczej.

– Ten – mówię do Willa, wskazując go, bo wygląda identycznie z tym na zdjęciu, które otrzymał od wykonawcy testamentu.

Przyleciał do Portland w zeszłym tygodniu, żeby załatwić oficjalne sprawy papierkowe, a potem wrócił, abyśmy mogli przyjechać tu razem. Wtedy nie starczyło mu czasu, żeby obejrzeć dom.

Will hamuje i zatrzymuje samochód na ulicy. W tym samym momencie pochylam się do przodu w fotelu, chłonąc wzrokiem widok. Podobnie czynią chłopcy na tylnym siedzeniu. Nikt się nie odzywa, przynajmniej na początku. W końcu Tate rzuca, że dom jest gigantyczny – zamieniając miejscami samogłoski, jak to często bywa u siedmiolatków – i Will wybucha śmiechem, zachwycony faktem, że ktokolwiek oprócz niego widzi plusy przeprowadzki do Maine.

Tak naprawdę dom nie jest gigantyczny, ale w porównaniu ze studzięciometrowym mieszkaniem może się taki wydawać, zwłaszcza że ma też ogródek. Tate nigdy wcześniej nie miał własnego ogrodu.

Will delikatnie dodaje gazu, skręcając na podjazd. Kiedy się zatrzymuje, wysiadamy – niektórzy szybciej niż inni, choć i tak pierwsze są psy – żeby rozprostować nogi, ciesząc się przynajmniej z tego, że to koniec długiej jazdy. Powietrze na zewnątrz jest inne niż to, do którego przywykłam, przesycone wonią

wilgotnej ziemi, słonego oceanu i drzew. Pachnie zupełnie inaczej niż w domu. Spokój panujący na ulicy działa dziwnie drażniaco, jest niesamowity, złowróżbny i natychmiast przypominam sobie, że obecność ludzi zapewnia bezpieczeństwo, wśród tłumu rzadziej zdarza się coś złego. Panuje błędne przekonanie, że życie na wsi jest lepsze, bezpieczniejsze niż w mieście. To nieprawda. Nie, kiedy weźmie się pod uwagę nieproporcjonalnie większą liczbę mieszkańców miast i kiepską opiekę zdrowotną w wiejskich częściach kraju.

Patrzę, jak Will zbliża się do stopni werandy, psy biegną obok i mijają go, nie waha się jak ja, maszeruje szybko, nie mogąc się doczekać chwili, gdy zajrzy do środka i wszystko obejrzy. Ogarnia mnie niechęć, bo nie chciałam tu przyjeżdżać. U stóp schodów przystaje, dopiero w tym momencie dostrzegając, że mu nie towarzyszę. Odwraca się ku mnie i widzi, że wciąż tkwię przy wozie.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Nie odpowiadam, bo nie mam pewności, czy faktycznie tak jest.

Tate puszcza się biegiem za Willem, ale czternastoletni Otto trzyma się blisko mnie, także niechętny. Zawsze byliśmy aż nadto podobni do siebie.

– Sadie – odzywa się Will ponownie, tym razem zmieniając pytanie. – Idziesz?

Dodaje, że jest zimno, czego dotąd nie dostrzegłam, bo za bardzo skupiłam się na innych sprawach, na przykład na tym, że drzewa wokół domu wznoszą się dość wysoko, by przesłonić światło. I jak niebezpiecznie śliska musi być stroma ulica, kiedy spadnie śnieg. Na szczycie wzgórza na trawniku stoi mężczyzna z grabiami w dłoni. Przestał grabić i mam wrażenie, że mi się przygląda, toteż unoszę rękę, by pomachać, jak to czynią sąsiedzi. Nie odpowiada tym samym, odwraca się i wraca do przerwanej zajęcia. Kieruję wzrok na Willa, który nie wspomina o mężczyźnie, a przecież z pewnością widział go tak jak ja.

– No chodź – mówi tylko, odwraca się i wspina po stopniach z Tate'em u boku. – Wejdźmy do środka – dodaje.

Przy drzwiach frontowych Will sięga do kieszeni i wyciąga klucze. Najpierw puka, ale nie czeka, żeby ktoś go wpuścił. Kiedy przekręca klucz w zamku i otwiera drzwi, Otto odchodzi, porzucając mnie. Ja też ruszam naprzód tylko dlatego, że nie chcę zostać sama.

Wewnątrz odkrywamy, że dom jest stary. Ściany są pokryte mahoniową boazerią, w oknach wiszą ciężkie kotary, na wiktoriańskich sufitach

przymocowano dla ozdoby blaszane płyty, a ściany pomalowano na brązowo-zielono. Powietrze wewnątrz jest przesycone kurzem i pleśnią. Ciemno tu i okropnie. Tłoczmy się w holu, rozglądając się dokoła, sprawdzając tradycyjny rozkład parteru, serię zamkniętych pomieszczeń. Meble są formalne i odpychające.

Mój wzrok przyciągają wygięte nogi stołu w jadalni. Pokryty patyną kandelabr stojący na blacie. Pożółkłe obicia krzesel. Nie dostrzegam postaci stojącej na szczycie schodów – gdyby nie uchwycony kątem oka drobny ruch, być może w ogóle bym jej nie zauważyła. A jednak tam jest, posępna, odziana w czerń. Czarne džinsy, czarna koszula, bose stopy. Włosy też ma czarne, długie, z grzywką opadającą ukośnie na twarz, oczy podkreśliła grubymi krechami czarnego eyelinera. Wszystko ma czarne, oprócz białych liter na koszulce układających się w słowa CHCĘ UMRZEĆ. Ma przebitą przegrodę nosową, jej skóra pośród czerni wydaje się upiornie biała. Jest przesadnie szczupła.

Tate też ją widzi, natychmiast odrywa się od Willa i chowa za mną, wciskając twarz w moje plecy. Taki strach to do niego niepodobne. Do mnie też, a przecież czuję, jak włoski na karku mi się jeżą.

– Cześć – mówię słabo.

Teraz Will też ją dostrzega; odwraca się, wymawia jej imię i zaczyna wspinać po schodach, które skrzypią pod stopami, protestując przeciwko naszemu przybyciu.

– Imogen! – Rozkłada szeroko ramiona, oczekując zapewne, że rzuci mu się w nie i pozwoli, by ją przytulił. Ale tego nie robi, bo ma szesnaście lat, a przed sobą widzi mężczyznę, którego ledwie zna. Trudno ją za to winić. Tyle że ta nadašana, melancholijna dziewczyna zupełnie nie przypomina osoby, którą sobie wyobraziłam, gdy odkryliśmy, że powierzono nam opiekę nad dzieckiem.

Kiedy w końcu się odzywa, jej głos ocieka jadem – nie musi nawet go podnosić, stłumiony i cichy brzmi znacznie bardziej niepokojąco, niż gdyby zaczęła krzyczeć.

– Nie zbliżaj się do mnie, kurwa – uprzedza chłodno.

Patrzy na nas gniewnie znad poręczy. Odruchowo chowam dłonie za plecy, zatykając uszy Tate'a. Will zamiera w miejscu, opuszcza ręce. Widział ją w zeszłym tygodniu, kiedy przyjechał tu i spotkał się z wykonawcą testamentu. To wtedy

podpisał papiery i przejął fizyczną opiekę nad nią, choć do czasu naszego przybycia z dziećmi miała zamieszkać u przyjaciółki.

– Dlaczego musieliście tu przyjeżdżać? – pyta gniewnie dziewczyna.

Will próbuje tłumaczyć – odpowiedź jest prosta: gdyby nie my, zapewne trafiłaby do rodziny zastępczej aż do osiemnastych urodzin. Chyba że sąd zgodziłby się wcześniej uznać ją za dorosłą, co, biorąc pod uwagę wiek, nie wydawało się zbyt prawdopodobne. Wyraźnie jednak Imogen nie takiej odpowiedzi oczekuje – odwraca się od niego i znika w jednym z pokoi na piętrze; słyszymy, jak łomocze ze złością jakimiś przedmiotami. Will próbuje pójść za nią, ale zatrzymuję go.

– Daj jej czas, proszę. – I tak właśnie robi.

Ta nastolatka nie przypomina dziewczynki, którą Will pokazał nam na zdjęciach, radosnej, piegowatej, na oko sześciolatniej brunetki. Wygląda zupełnie inaczej; bardzo się zmieniła, czas nie obszedł się z nią łaskawie. Trafiła do nas razem z domem, jeszcze jeden element spadku, wraz z budynkiem, pamiątkami rodzinnymi, resztką pieniędzy na koncie. Ma szesnaście lat, prawie może już żyć samodzielnie – i próbowałam przekonać do tego Willa, przypominając, że z pewnością ma jakichś przyjaciół albo znajomych, którzy przyjęliby ją do czasu osiemnastych urodzin. Ale on odmówił. Po śmierci Alice byliśmy dla niej jedyną żyjącą rodziną, choć właśnie spotkałyśmy się po raz pierwszy.

– Musi zamieszkać z rodziną – oznajmił Will zaledwie kilka dni temu, choć miałam wrażenie, że minęły tygodnie. – Z rodziną, która ją pokocha i zaopiekuje się nią. Jest zupełnie sama, Sadie.

Wówczas zadziałał we mnie instynkt macierzyński. Wyobraziłam sobie osierocone dziecko, zupełnie samo na świecie, mające tylko nas. Nie chciałam tu przyjeżdżać, proponowałam, żeby to ona przeniosła się do nas. Ale musieliśmy uwzględnić jeszcze inne okoliczności, toteż w końcu przyjechaliśmy mimo moich obiekcji.

Zastanawiam się teraz, nie po raz pierwszy w tym tygodniu, jak katastrofalne skutki będzie mieć ta przeprowadzka dla naszej rodziny. Niemożliwe bowiem, by stała się nowym początkiem, w co tak optymistycznie wierzy Will.

Sadie

Siedem tygodni później...

W nocy obudziło nas wycie syreny. Usłyszałam jej zawodzenie i ujrzałam oślepiające światła wlewające się przez okno sypialni w chwili, gdy Will chwycił okulary leżące na nocnym stoliku i usiadł gwałtownie na łóżku, poprawiając je na czubku nosa.

– Co to? – spytał, wstrzymując oddech, zdezorientowany i oszołomiony.

Wyjaśniłam, że to syrena.

Przez minutę siedzieliśmy w milczeniu, nasłuchując oddalającego się zawodzenia, słabnącego, lecz nie cichnącego do końca. Wciąż je słyszeliśmy, gdy źródło dźwięku zatrzymało się gdzieś na ulicy niedaleko naszego domu.

– Jak myślisz, co się stało? – spytał Will i do głowy przyszła mi tylko starsza para z sąsiedztwa, mężczyzna, który popychał wózek inwalidzki ze swoją żoną, choć sam ledwie powłóczył nogami. Oboje mieli siwe włosy, zmarszczki, mąż plecy wygięte w łuk niczym dzwonnik z Notre Dame. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Wydawało się, że to ona powinna pchać wózek z nim. Fakt, iż ulica była stroma, opadająca do oceanu w dole, nie ułatwiał sprawy.

– Nilssonowie – powiedzieliśmy jednocześnie. Jeśli w naszym głosie brakowało empatii, to dlatego że tego właśnie oczekuje się po starszych ludziach. Odnoszą rany, chorują, umierają.

– Która godzina? – spytałam Willa, on jednak zdążył już odłożyć okulary.

– Nie wiem – rzekł, tuląc się do mnie i obejmując mnie ramieniem w pasie. Poczułam podświadome przyciąganie jego ciała.

Tak właśnie zasnęliśmy, kompletnie zapominając o syrenie, która wyrwała nas ze świata snów.

Rano biorę prysznic i ubieram się, wciąż zmęczona po niespokojnej nocy. Chłopcy są w kuchni, jedzą śniadanie. Przekraczając nerwowo próg sypialni, słyszę dobiegający z dołu hałas. Przez Imogen czuję się niczym intruz we własnym domu. Mimo upływu czasu wciąż pokazuje nam jasno, że nie jesteśmy tu mile widziani.

Ruszam w głąb korytarza. Drzwi do pokoju Imogen są uchylone, choć wciąż przebywa w środku. Dziwne, bo zwykle starannie zamyka je za sobą. Nie wie, że są otwarte, że stoję za progiem i jej się przyglądam. Siedzi zwrócona do mnie plecami i pochylona podkreśla oczy czarnym eyelinerem.

Zaglądam przez szparę do pokoju dziewczyny. Ściany są ciemne, obwieszane zdjęciami artystów i zespołów bardzo podobnych do niej samej, ludzi z długimi czarnymi włosami, czarnymi oczami, odzianymi w czerń. Nad łóżkiem wisi coś, co przypomina czarną gazę tworzącą baldachim. Łóżko jest niepoślane, ciemnoszara marszczona kołdra zsunęła się na podłogę. Zaciągnięte szczelnie grube zasłony całkowicie odcinają światło. Nagle przychodzą mi do głowy wampiry.

Imogen kończy makijaż, nakłada pokrywkę na eyeliner, obraca się zbyt szybko i widzi mnie, nim mam okazję się cofnąć.

– Czego, kurwa, chcesz? – pyta, a gniew i przekleństwo odbierają mi dech, choć sama nie wiem dlaczego. W końcu nie pierwszy raz się tak do mnie zwraca. Imogen podbiega do drzwi tak szybko, że z początku mam wrażenie, jakby zamierzała mnie uderzyć, czego dotąd nie zrobiła, lecz jej błyskawiczne ruchy i wyraz twarzy wyglądają groźnie. Odruchowo wzdygam się i cofam o krok, a ona zatrzaskuje przede mną drzwi. Cieszę się, bo wolę to niż cios pięścią w twarz. Drzwi zatrzymują się o centymetry od mojego nosa.

Serce wali mi w piersi, stoję zdyszana w korytarzu, odchrząkam, próbując otrząsnąć się z szoku. Podchodzę bliżej, stukam kostkami palców w drewno.

– Za parę minut jadę do promu. Jeśli chcesz, mogę cię podrzucić – mówię, wiedząc, że nie przyjmie propozycji. Mój głos rozbrzmiewa donośnie w sposób, który okropnie mnie irytuje. Imogen nie odpowiada.

Odwracam się i podążam za smugą zapachu jedzenia. Will stoi przy kuchence, odziany w fartuch, podrzucaniem obraca naleśniki, podśpiewując jedną z piosenek z radosnej płyty, którą uwielbia Tate, coś stanowczo zbyt wesołego jak na kwadrans po siódmej rano.

Na mój widok milknie.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

– Świetnie – odpowiadam z napięciem.

Psy krążą wokół stóp Willa w nadziei, że coś upuści. Są wielkie, a kuchnia ciasna, za mała dla naszej czwórki, a co dopiero szóstki. Wołam je, i gdy przychodzą, wypuszczam na podwórko, by się pobawiły.

Kiedy wracam, Will wita mnie uśmiechem i podaje talerz. Decyduję się tylko na kawę. Mówię Ottonowi, żeby się pośpieszył i kończył, bo siedzi przy kuchennym stole zgarbiony nad naleśnikami, skulony tak, by zdawać się mniejszym. Martwi mnie jego brak pewności siebie, choć powtarzam sobie, że to normalne u czternastolatka. Każde dziecko przechodzi taką fazę. Ale zastanawiam się, czy to prawda.

Imogen, głośno tupiąc, schodzi do kuchni. W czarnych dżinsach na udach i kolanach zieją dziury, na nogach ciężkie, skórzane wojskowe buty na niemal pięciocentymetrowych obcasach, choć nawet bez nich jest wyższa ode mnie. Z uszu dyndają jej czaszki kruków, napis na koszulce głosi NORMALNI LUDZIE SĄ DO BANI. Siedzący przy stole Tate próbuje odczytać to na głos, tak jak to robi ze wszystkimi koszulkami Imogen. Zwykle dobrze sobie radzi, ale ona nie stoi bez ruchu dość długo, by mógł się przyjrzeć. Sięga do uchwyty szafki, otwiera ją szarpnięciem, omiata wnętrze wzrokiem, po czym zatrząskuje gwałtownie drzwiczki.

– Czego szukasz? – pyta Will, zawsze gotów pomóc, ale Imogen znajduje tymczasem obiekt swoich poszukiwań, batonik Kit Kat. Rozdziera papierek i wgryza się gwałtownie. – Zrobiłem śniadanie – dodaje Will, ona jednak przebiega spojrzeniem błękitnych oczu po Ottonie i Tacie siedzących przy kuchennym stole, widzi trzecie, puste krzesło przygotowane dla niej i wzrusza ramionami.

– Skoro lubisz. – Odwraca się i wychodzi.

Słyszymy, jak tupie po drewnianej podłodze, jak drzwi frontowe otwierają się i zamykają. Dopiero kiedy znika, jestem w stanie odetchnąć. Dolewam sobie kawy, napełniam kubek termiczny, a potem z wysiłkiem sięgam nad ręką Willa po moje rzeczy: kluczyki i torbę leżące na blacie tuż poza zasięgiem. Pochyla się, by pocałować mnie na pożegnanie. Choć nie chcę tego robić, instynktownie waham się i cofam przed pocałunkiem.

– Dobrze się czujesz? – powtarza Will, przyglądając mi się pytająco, i obwiniam o to nagły atak mdłości. Nie jest to do końca nieprawdą: od romansu minęło kilka miesięcy, ale jego dotyk wciąż przypomina papier ścierny, a ja nie mogę się powstrzymać i zadaję sobie pytanie, gdzie kładł dłonie, zanim sięgnął ku mnie.

– Nowy początek – powiedział i był to jeden z wielu powodów naszych przenosin do tego domu w Maine, wcześniej należącego do jedynej siostry Willa, Alice. Alice od lat chorowała na fibromialgię, w końcu jednak nie mogła już znieść objawów i postanowiła ze sobą skończyć. Ból wywoływany przez chorobę jest potężny, rozproszony po całym ciele, często towarzyszy mu mordercze zmęczenie i brak sił. Z tego, co widziałam i słyszałam, jest bardzo intensywny – czasem kłujący, czasem pulsujący – gorszy rankiem niż pod koniec dnia, ale nigdy nie mija. To milcząca choroba, bo nikt nie dostrzega bólu. A jednak odbiera on wszelką wolę życia.

Alice mogła uwolnić się od cierpienia tylko w jeden sposób – udając się na strych z kawałkiem sznura i stołkiem. Wcześniej umówiła się z prawnikiem i spisała testament, zostawiając dom i wszystko, co zawiera, Willowi. Również swoje dziecko.

Szesnastoletnia Imogen spędza całe dnie na Bóg jeden wie czym. Zakładam, że częściowo w szkole, bo rzadko dzwonią do nas z informacją, że wagaruje. Nie mam jednak pojęcia, co robi przez resztę dnia. Kiedy pytamy ją, Will bądź ja, albo puszcza nasze słowa mimo uszu, albo rzuca złośliwą uwagę: że walczy z przestępcami, zabiega o pokój na świecie, ratuje, kurwa, wieloryby. *Kurwa* to jedno z jej ulubionych słów. Często go używa.

Bliscy samobójców, tacy jak Imogen, często czują gniew i wrogość do świata, odrzucenie, samotność, wściekłość. Próbowałam okazywać wyrozumiałość, ale z czasem jest coraz trudniej.

Dorastając, Will i Alice byli sobie bliscy, ale lata rozłąki rozluźniły tę więź. Jej śmierć nim wstrząsnęła, lecz tak naprawdę jej nie opłakiwał; prawdę mówiąc, sądzę, że czuł przede wszystkim wyrzuty sumienia, bo zaniedbał podtrzymywanie kontaktu, nie angażował się w życie Imogen, nigdy w pełni nie traktował poważnie choroby Alice. Ma wrażenie, że je zawiódł.

Z początku, gdy dowiedzieliśmy się o spadku, zaproponowałam Willowi, abyśmy sprzedali dom i ściągnęli Imogen do nas, do Chicago. Lecz po tym, co

wydarzyło się w Chicago – nie tylko romans, ale inne rzeczy, wszystko – stał się naszą szansą rozpoczęcia od początku, na nowo. Tak przynajmniej twierdził Will.

Mieszkamy tu niecałe dwa miesiące, więc wciąż próbujemy odnaleźć swoje miejsce, choć oboje szybko znaleźliśmy pracę. Will na kontynencie – dwa dni w tygodniu wykłada na uczelni ekologię człowieka. Ja na wyspie – jako jednej z dwóch miejscowych lekarzy praktycznie mi dopłacili, żebym zgodziła się tam zatrudnić.

Tym razem to ja przyciskam wargi do ust Willa. To mój bilet.

– Widzimy się wieczorem – mówię, raz jeszcze wołając Ottona, by się pośpieszył, bo się spóźnimy. Zbieram rzeczy z blatu i dodaję, że zaczekam w samochodzie. – Dwie minuty – dodaję, wiedząc, że przeciągnie je do pięciu czy sześciu, jak zawsze.

Przed wyjściem całuję na pożegnanie małego Tate'a. Staje na krześle, zarzuca mi na szyję lepkie ręce i krzyczy do ucha:

– Kocham cię, mamusiu!

I gdzieś wewnątrz moje serce zatrzymuje się na sekundę, bo wiem, że przynajmniej jeden z nich nadal mnie kocha.

Mój wóz stoi na podjeździe obok sedana Willa. Choć przy domu mamy garaż, na razie wypełniają go pudła, których jeszcze nie zdążyliśmy rozpakować.

Samochód pokrywa cienka warstwa szronu, który w nocy osiadł na oknach. Otwieram pilotem drzwi. Reflektory mrugają, wewnątrz zapala się światło.

Sięgam po klamkę, nim jednak zdążę nią szarpnąć, dostrzegam na oknie coś, co sprawia, że zamieram. Szron po stronie kierowcy przecinają linie. Zaczęły się już rozpuszczać w ciepłych promieniach porannego słońca, mięknąc na krawędziach, ale nadal tam są. Podchodzę bliżej i przekonuję się, że to wcale nie linie, ale litery wydrapane na zamarznętej szybie, układające się w jedno słowo: *zdychaj*. Gwałtownie unoszę dłoń do ust. Nie muszę się zastanawiać, kto zostawił mi tę wiadomość. Imogen nie chce nas tutaj. Pragnie, żebyśmy odeszli. Staralam się być wyrozumiała, bo wiem, jak okropnie musi się czuć z tym wszystkim. Jej świat stanął na głowie. Straciła matkę, teraz musi dzielić dom z ludźmi, których w ogóle

nie zna. Ale to nie usprawiedliwia gróźb pod moim adresem. Ponieważ Imogen nie przebiera w słowach. Mówi, jak jest. Chce, żebym umarła.

Wracam po schodach na werandę i przez frontowe drzwi wołam Willa.

– O co chodzi? – pyta, wyłaniając się z kuchni. – Zapomniałaś czegoś? – Przekrzywia głowę na bok, omiatając wzrokiem kluczyki, torbę, kawę. Niczego nie zapomniałam.

– Musisz to zobaczyć – odpowiadam szeptem, żeby chłopcy nie usłyszeli.

Will podąża za mną na bosaka przez drzwi, choć betonowy podjazd jest potwornie zimny. Metr od samochodu wskazuję ręką słowo wyskrobane na zaszronionej szybie.

– Widzisz? – pytam, odwracając się w stronę Willa.

Widzi. Dostrzegam to w wyrazie jego twarzy, w tym, jak natychmiast pojawia się na niej niepokój i troska, identyczne z moimi.

– Szlag – odpowiada, bo podobnie jak ja wie dokładnie, kto zostawił tę wiadomość. Pociera dłonią czoło, zastanawiając się gorączkowo. – Porozmawiam z nią – obiecuje.

– I co to da? – odpowiadam obronnym tonem.

Przez ostatnie tygodnie wiele razy rozmawialiśmy z Imogen. Omawialiśmy język, jakim się posługuje, zwłaszcza w obecności Tate'a, konieczność punktualnych powrotów do domu i inne sprawy. Choć rozmowa to niewłaściwe określenie, bardziej przemawialiśmy do niej, bo przypominało to wykład. Imogen stoi, podczas gdy Will bądź ja mówimy. Może nawet słucha. Rzadko cokolwiek odpowiada. Nie bierze sobie niczego do serca i odchodzi.

– Nie wiemy na pewno, że ona to napisała. – Głos Willa brzmi bardzo cicho, gdy podsuwa mi pomysł, na jaki sama nie wpadłam. – Czy nie jest możliwe – dodaje – że ktoś zostawił tę wiadomość dla Ottona?

– Myślisz, że ktoś groził śmiercią naszemu czternastoletniemu dziecku? – pytam na wypadek, gdyby Will w jakiś sposób źle zrozumiał znaczenie słowa *zdychaj*.

– To przecież możliwe, prawda? – upiera się, i choć wiem, że owszem, odpowiadam: *Nie* z większym przekonaniem w głosie niż je czuję, bo nie chcę w to uwierzyć.

– Tylko nie znów to samo. Po przeprowadzce zostawiliśmy to wszystko za sobą.

Ale czy rzeczywiście? Całkiem możliwe, że ktoś traktuje wrednie Ottona. Że ktoś się nad nim znęca. Było tak już wcześniej. I znów może się stać.

– Może powinniśmy wezwać policję – proponuję.

Will jednak kręci głową.

– Nie, póki się nie dowiemy, kto to zrobił. Bo jeśli Imogen, to czy naprawdę istnieje powód, aby angażować policję? To tylko pełne złości dziecko, Sadie. Oplakuje matkę, atakuje wszystkich. Nigdy nie zrobiłaby nam krzywdy.

– Czy rzeczywiście? – pytam znacznie mniej pewna niż on.

Imogen stała się kolejnym punktem spornym w naszym małżeństwie. Z Willem łączy ich pokrewieństwo krwi; to więź, której z nimi nie dzielę.

Kiedy nie odpowiada, argumentuję dalej.

– Niezależnie od adresata, Willu, to wciąż zagrożenie śmiercią. Bardzo poważna sprawa.

– Wiem, wiem. – Ogląda się przez ramię, sprawdzając, czy Otto już wyszedł, i zaczyna bardzo szybko mówić. – Ale jeśli zaangażujemy policję, Sadie, ściągniemy uwagę na Ottona. Niechcianą uwagę. Dzieciaki spojrzą na niego inaczej, jeśli już tak się nie dzieje. Nie będzie miał szans. Pozwól, że najpierw zadzwonię do szkoły. Porozmawiam z nauczycielami, z dyrektorem, upewnię się, że Otto nie ma z nikim problemów. Wiem, że się martwisz – dodaje łagodniejszym tonem i wyciągając rękę, gładzi mnie gestem dodającym otuchy. – Ja też się martwię, ale czy możemy zrobić najpierw to, zanim powiadomimy policję? I czy przynajmniej mogę porozmawiać z Imogen, nim założymy, że to ona?

Cały Will. Jak zawsze głos rozsądku w naszym małżeństwie.

– Zgoda – ustępuję, przyznając, że może ma rację.

Nie chcę nawet myśleć, że Otto miałby stać się wyrzutkiem w nowej szkole, że dzieciaki miałyby go prześladować. Ale nie mogę też znieść wrogości, jaką okazuje nam Imogen. Musimy jakoś to rozwiązać, nie pogarszając sytuacji.

– Lecz jeśli się to powtórzy, jeśli cokolwiek podobnego się powtórzy – wyciągam rękę z torebki – idziemy na policję.

– Umowa stoi. – Will cmoka mnie w czoło. – Załatwimy to, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

– Obiecujesz? – pytam, marząc, by mógł pstryknąć palcami i ot tak, wszystko naprawić.

– Obiecuję – rzuca i patrzę, jak biegiem pokonuje stopnie i wpada do domu, znikając za drzwiami.

Skrobię palcami litery, potem ocieram dłonie o spodnie i wsiadam do wyzębionego samochodu. Uruchamiam silnik i włączam ogrzewanie szyb, patrząc, jak ostatnie ślady groźby topnieją, choć wiem, że będzie mi towarzyszyła przez resztę dnia.

Minuty na zegarze z deski rozdzielczej mijają, dwie, potem trzy. Wbijam wzrok w drzwi frontowe, czekając, aż się otworzą, aż zjawi się Otto i powlecze do wozu z nieprzeniknioną miną skrywającą, o czym naprawdę myśli. Stale tak wygląda.

Mówią, że rodzice powinni wiedzieć takie rzeczy – co myślą nasze dzieci – ale tak nie jest. Nie zawsze. Tak naprawdę nigdy do końca nie mamy pewności, o czym ktoś myśli.

A jednak gdy dzieci podejmują złe wybory, najpierw wini się rodziców.

– Jak mogli nie wiedzieć? – pytają często krytycy. – Jakim cudem przeoczyli znaki ostrzegawcze?

– Czemu nie zwracali większej uwagi na to, co robią ich dzieci. – To moje ulubione, bo sugeruje, że tego nie robiliśmy.

Ale ja robiłam.

Wcześniej Otto był cichy i zamknięty w sobie. Lubił rysować, głównie postacie z kreskówek, a zwłaszcza anime, modne ludziki o szalonych fryzurach i ogromnych oczach. Szkicom w notesie nadawał imiona i marzył, że pewnego dnia stworzy własny komiks opowiadający o przygodach Asy i Ikena.

Wcześniej Otto miał tylko paru przyjaciół – dokładnie dwóch, którzy zwracali się do mnie *proszę pani*. Kiedy przychodzili na obiad, odnosili talerze do zlewu. Zdejmowali buty przy drzwiach. Przyjaciele Ottona byli mili. Uprzejmi.

Otto dobrze sobie radził w szkole. Nie był szóstkowym uczniem, ale średniactwo w zupełności mu wystarczyło, Willowi i mnie także. Zwykle dostawał czwórki, czasem piątki, odrabiał pilnie zadania domowe i oddawał na czas. Nigdy nie zasypiał na lekcjach. Nauczyciele go lubili i narzekali tylko na jedno: woleliby, by Otto bardziej się udzielał.

Nie przeoczyłam znaków ostrzegawczych, bo nie było czego przeoczyć.

Teraz wpatruję się w dom, czekając, aż wyjdzie z niego syn. Po czterech minutach poddaję się i odwracam wzrok. W tym momencie dostrzegam coś przez okno samochodu: pan Nilsson popycha panią Nilsson na jej wózku w dół ulicy, która opada stromo. Trzeba wiele wysiłku, by utrzymać gumowe rączki fotela. Idzie powoli, napierając na pięty niczym na hamulce i w ten sposób na zaciągniętym hamulcu pokonuje ulicę.

Nie ma nawet siódmej dwadzieścia, a oni są starannie wystrojeni: on w tweedowych spodniach i swetrze, ona w wełnianym bliźniaku barwy jasnego różu. Włosy ma nakręcone, starannie zaczesane i wylakierowane. I wyobrażam go sobie, jak skrupulatnie owija każdy kosmyk wokół wałka, zabezpiecza spinką. Ona na imię ma chyba Poppy. On Charles albo George. Tuż przed naszym domem pan Nilsson skręca pod kątem prostym i przechodzi na drugą stronę. Gdy to robi, nie odrywa wzroku od tyłu mojego samochodu, z którego wylatują chmury spalin. I w tym momencie powraca do mnie dźwięk nocnej syreny, ostrzegawcze zawodzenie, gdy pojazd przejechał obok domu i zniknął gdzieś w głębi ulicy.

W głębi żołądka czuję tępy ból, choć sama nie wiem dlaczego.

Sadie

Prom od kliniki dzieli tylko kilka przecznic. Po niecałych pięciu minutach od pozostawienia Ottona skręcam pod skromny, niski, błękitny budynek, niegdyś zwykły dom. Od frontu wciąż przypomina dom, choć z tyłu otwiera się znacznie szerzej niż jakikolwiek budynek mieszkalny, robiąc miejsce dla taniego ośrodka opieki dla seniorów, z łatwym dostępem do pomocy medycznej. Dawno temu ktoś przekazał swój dom klinice. Wiele lat później zbudowano też ośrodek.

Stan Maine liczy około czterech tysięcy wysp. Przed przyjazdem nie miałam o tym pojęcia. Na tych rzadziej zaludnionych, takich jak nasza, brakuje lekarzy. Wielu starszych przechodzi na emeryturę, pozostawiając wolne etaty, które trudno zapełnić.

Izolacja wyspiarskiego życia nie jest dla każdego, w tym dla mnie. Świadomość, że kiedy odpłynie ostatni wieczorny prom, stajemy się dosłownie uwięzieni, ma w sobie coś niepokojącego. Nawet za dnia wyspa ze skalistym wybrzeżem i wysokimi sosnami sprawia przytłaczające wrażenie. Kiedy nastaje zima, co stanie się już niedługo, pogoda robi się nieprzyjemna, a większość firm zamyka swoje podwoje. Otaczająca nas zatoka czasami zamarza, więżąc nas tutaj.

Dostaliśmy z Willem dom za darmo i dodatkowo ulgę podatkową, jeśli zgodzę się pracować w klinice. Nie podobał mi się ten pomysł, ale Willowi owszem, choć nie potrzebowaliśmy pieniędzy. Wcześniej zajmowałam się medycyną ratowniczą i nie mam uprawnień do pracy w internie, dostałam jednak tymczasowe zezwolenie, do czasu wyrobienia pełnej licencji w Maine.

Wewnątrz niebieski budynek nie przypomina już domu: część ścian wyburzono, dostawiono inne, tworząc recepcję, poczekalnię, gabinet. W powietrzu unosi się charakterystyczny zaduch ciężkiej wilgoci, otacza mnie nawet po wyjściu. Will też go czuje. A fakt, że Emma, recepcjonistka, pali jak smok, wypalając około paczki dziennie, nie pomaga, bo choć wychodzi na papierosa na zewnątrz, wieszka płaszcz obok mojego i woń dymu przenika je oba.

Czasami po powrocie do domu Will patrzy na mnie dziwnie.

– Paliłaś? – pyta.

Nic dziwnego, zważywszy na smród nikotyny i tytoniu, które przynoszę ze sobą z pracy.

– Oczywiście, że nie – protestuję. – Wiesz, że nie palę.

A potem opowiadam mu o Emmie.

– Zostaw płaszcz na dworze, wypiorę go – powtarza raz po raz Will i faktycznie go pierze, ale niczego to nie zmienia, bo następnego dnia sytuacja się powtarza.

Dzisiaj, przekraczając próg kliniki, widzę czekające na mnie Joyce, naczelną pielęgniarkę, i Emmę.

– Spóźniłaś się – mówi Joyce, ale jeśli nawet, to zaledwie minutę. Joyce ma na oko z sześćdziesiąt pięć lat, jest tuż przed emeryturą i bywa jędzowata. Pracuje tu znacznie dłużej niż Emma czy ja, co sprawia, że przynajmniej we własnej opinii szefuje całej klinice. – Tam, skąd pochodzisz, nie nauczyli cię punktualności?

Przekonałam się już, że umysły mieszkańców są równie ciasne jak sama wyspa.

Mijam ją bez słowa i zaczynam dzień pracy.

Wiele godzin później rozmawiam właśnie z pacjentką, gdy widzę twarz Willa na ekranie komórki, półtora metra dalej. Telefon jest wyciszony i nie słyszę dzwonka, lecz imię Willa pojawia się nad zdjęciem atrakcyjnej twarzy o mocnych rysach, jasnych zielonych oczach. Jest tak przystojny, że aż zapiera dech w piersiach, i mam wrażenie, że sprawiają to właśnie oczy. Albo może fakt, że w wieku czterdziestu lat wciąż mógłby udawać dwudziestopięciolatka. Will nosi długie włosy, zebrane w koczek, który ostatnimi czasy zyskał popularność i który sprawia, że wygląda intelektualnie i hipstersko. Studenci to uwielbiają.

Teraz jednak nie zwracam uwagi na zdjęcie Willa w komórce i skupiam się na pacjentce, czterdziestotrzyletniej kobiecie z gorączką, bólem w piersi i kaszlem. To bez wątplenia zapalenie oskrzeli, ale na wszelki wypadek przyciskam stetoskop do klatki piersiowej, by osłuchać płuca.

Przed przyjazdem tutaj przez lata zajmowałam się medycyną ratunkową w najnowocześniejszym szpitalu akademickim w sercu Chicago. Każdy dyżur zaczynałam, nie wiedząc, z czym przyjdzie mi się mierzyć. Każdy pacjent stanowił nowe wyzwanie. Ofiary karamboli, kobiety z krwotokami po porodach w domu,

stupięcdziesięciokilogramowi mężczyźni w trakcie ataku psychozy. Cały czas towarzyszyło nam dramatyczne napięcie i tam właśnie, na nieustannie wysokich obrotach, czułam, że żyję.

Tutaj jest inaczej. Tu każdego dnia dokładnie wiem, co zobaczę, ten sam zestaw: zapalenie oskrzeli, biegunki i brodawki.

Gdy w końcu mam chwilę, by oddzwonić, w głosie Willa czuję napięcie.

– Sadie – mówi i wiem już, że coś się stało. Milknie, a mój umysł natychmiast przywołuje niewypowiedziane scenariusze. W końcu skupia się na Ottonie i na tym, jak zostawiłam go tego ranka w terminalu promowym. Przyjechałam akurat na czas, minutę czy dwie przed odpłynięciem promu, pożegnałam się, zostawiwszy trzydzieści metrów dalej samochód z włączonym silnikiem, i patrzyłam, jak Otto bez entuzjazmu wyrusza, by rozpocząć kolejny dzień szkoły.

To wtedy dostrzegłam kątem oka Imogen stojącą na skraju pomostu z przyjaciółkami. Imogen to piękna dziewczyna, bez dwóch zdań. Skórę ma naturalnie jasną, w odróżnieniu od koleżanek nie musi pokrywać jej talkiem, by wyglądać blado. Potrzebowałam trochę czasu, by oswoić się z kolczykiem w jej nosie. Z bladej twarzy spoglądają lodowato błękitne oczy, niewyregulowane brwi zdradzają, że wcześniej była szatynką. Imogen rezygnuje z ciemnej dramatycznej szminki, popularnej wśród nastolatek, zamiast tego używa gustownego różowego beżu, który wygląda uroczo.

Otto nigdy wcześniej nie mieszkał tak blisko dziewczyny i widzę, że bardzo go ciekawi. Niewiele ze sobą rozmawiają, Imogen nie jeździ z nami do przystani, nie odzywa się do niego w szkole. Z tego, co wiem, nie dostrzega go też podczas dojazdów. Ich interakcje ograniczają się do krótkich spotkań w domu – na przykład zeszłego wieczoru Otto siedział przy kuchennym stole i odrabiał zadanie z matematyki, a Imogen, przechodząc obok, zerknęła na zeszyt, zauważyła widniejące na nim nazwisko i skomentowała:

– Pan Jansen to kurewski palant.

Otto jedynie zapatrzył się na nią w odpowiedzi. Słowo *kurwa* nie należy jeszcze do jego repertuaru, ale przypuszczam, że to tylko kwestia czasu.

Tego ranka Imogen i jej przyjaciółki stały na skraju pomostu i paliły papierosy, dym snuł się wokół ich głów, biały w mroźnym powietrzu. Patrzyłam, jak unosi papierosa do ust, zaciąga się głęboko, fachowo, jak ktoś, kto robił to już wcześniej,

kto wie, co i jak. Przetrzymała dym w płucach, a potem wypuściła powoli. Gdy to robiła, byłam pewna, że odszukała mnie wzrokiem.

Czyżby zauważyła, jak siedzę w aucie i ją obserwuję?

A może po prostu patrzyła bezmyślnie w pustkę?

Tak bardzo zajęłam się Imogen, że gdy się nad tym zastanowić, nie widziałam, jak Otto wsiada na prom. Zauważyłam tylko, że to zrobił.

– To Otto – mówię teraz na głos, dokładnie w chwili, gdy Will mówi *To nie byli Nilssonowie*, i z początku nie wiem, o co mu chodzi. Co Otto miałby mieć wspólnego z parą staruszków mieszkającą w sąsiedztwie? – O co chodzi z Nilssonami? – pytam, lecz mój umysł ma problem ze zmianą tematu, ponieważ po tym, jak nagle uświadomiłam sobie, iż nie widziałam syna wsiadającego na prom, jestem w stanie myśleć wyłącznie o Ottonie, siedzącym na krześle w gabinecie dyrektora z kajdankami na rękach, pod czujnym okiem stojącego metr dalej policjanta. Na biurku dyrektora leżała torebka z dowodami, choć nie potrafiłam dostrzec, co tkwi w środku.

– Pan i pani Foust – powiedział do nas tego dnia dyrektor i po raz pierwszy w życiu podparłam się własnym autorytetem.

– Doktor – poprawiłam z nieprzeniknioną miną, kiedy staliśmy z Willem za plecami Ottona. Will położył mu dłoń na ramieniu, aby syn wiedział, że cokolwiek zrobił, jesteśmy z nim.

Nie wiedziałam, czy tylko to sobie wyobraziłam, ale byłam niemal pewna, że policjant skrzywił się złośliwie.

– Ta syrena zeszłej nocy – wyjaśnił teraz przez telefon Will, sprowadzając mnie z powrotem do chwili obecnej. To było kiedyś, przypominam sobie, a jesteśmy teraz. To, co zdarzyło się z Ottonem w Chicago, to już przeszłość. Miniona i skończona. – To jednak nie byli Nilssonowie. Nilssonom nic nie jest. Chodziło o Morgan.

– Morgan Baines? – pytam, choć sama nie wiem czemu. Przy naszej ulicy chyba nie mieszka inna Morgan.

Morgan Baines to sąsiadka. Nigdy z nią nie rozmawiałam, ale Will owszem. Bainesowie mieszkają nieco wyżej, w wiejskim domu podobnym do naszego – Morgan, jej mąż i córeczka. Ponieważ ich działka leży na szczycie wzgórza, często

zastanawialiśmy się z Willem, że muszą mieć wspaniały widok na morze, trzysta sześćdziesiąt stopni naszej małej wysepki i otaczającego ją oceanu.

A potem pewnego dnia Will wygadał się, że rzeczywiście. Są wspaniałe. To znaczy widoki.

Próbowałam zwalczyć obawy. Powtarzałam sobie, że Will nie przyznałby się do odwiedzin w ich domu, gdyby coś działo się między nimi. Ale w przeszłości miewał kontakty z kobietami. Rok temu przysięgłabym, że Will nigdy mnie nie zdradzi. Teraz wiedziałam, że jest zdolny do wszystkiego.

– Tak, Sadie – mówi. – Morgan Baines. – I dopiero wtedy przypominam sobie jej twarz, choć wcześniej nie oglądałam jej z bliska. Tylko z daleka. Długie włosy koloru mlecznej czekolady i za długa grzywka, którą często odgarniała za ucho.

– Co się stało? – pytam, szukając sobie miejsca, żeby usiąść. – Wszystko w porządku?

Zastanawiam się, czy Morgan ma cukrzycę, a może astmę, czy chorobę autoimmunologiczną, która wymagałaby nocnej wizyty w izbie przyjęć. Na wyspie są tylko dwie lekarki, ja i moja koleżanka, doktor Sanders. Zeszłej nocy to ona miała dyżur.

Nie mamy tu ratowników, jedynie policjantów, którzy potrafią prowadzić karetkę i przeszli podstawowe przeszkolenie ratownicze. Nie mamy też szpitala, musieli zatem wezwać łódź ratunkową z kontynentu, by spotkała się z karetką na przystani i przewiozła Morgan na leczenie, podczas gdy druga karetka czekała na brzegu, żeby dostarczyć ją do izby przyjęć.

Myślę o tym, jak długo w sumie by to trwało. Słyszałam co prawda, że system działa jak dobrze naoliwiona maszyna, ale jednak od kontynentu dzieli nas prawie pięć kilometrów. Łodzie ratunkowe nie pływają zbyt szybko i są całkowicie uzależnione od woli współpracy ze strony samego morza. Ale to przecież myślenie katastroficzne, od razu skupiam się na najgorszym możliwym scenariuszu.

– Nic jej nie jest? – pytam ponownie, bo przez cały ten czas Will milczy.

– Nie, Sadie – odpowiada, jakby oczekiwał, że będę wiedzieć, co się stało. Słyszę w jego słowach szorstkość. Znowu milknie.

– No to co się stało? – naciskam, a on oddycha głęboko i mi mówi.

– Ona nie żyje.

Jeśli reaguję apatią, to tylko dlatego, że śmierć stanowi część mojej codziennej rutyny. Poznałam jej wszystkie możliwe rodzaje, nie znałam natomiast Morgan Baines. Zetknęłam się z nią tylko raz, gdy pomachałam jej przez okno, mijając powoli jej dom, a ona stała tam i odgarniała włosy za ucho, po czym odpowiedziała podobnym gestem. Potem przez długi czas analizowałam każdy szczegół, jak to miewam w zwyczaju. Zastanawiałam się, co wyrażała jej twarz. Czy skrzywiła się na mój widok, czy też myślała o czymś innym.

– Nie żyje? – powtarzam teraz. – Ale jak?

Słyszę, jak Will po drugiej stronie zaczyna płakać.

– Mówią, że została zamordowana.

– Mówią? Kto?

– Ludzie, Sadie. Wszyscy. W mieście nie rozmawiają o niczym innym.

I gdy otwieram drzwi gabinetu i wchodzę do poczekalni, odkrywam, że to prawda. Pacjenci toczą gorączkową rozmowę na temat morderstwa, patrzą na mnie ze łzami w oczach, pytając, czy już słyszałam.

– Morderstwo! Na naszej wyspie! – jęczy ktoś.

W pomieszczeniu zapada cisza. Gdy otwierają się drzwi i do środka wchodzi mężczyzna, starsza kobieta krzyczy. To tylko pacjent, a jednak po takich wieściach trudno nie myśleć o wszystkich najgorzej. Trudno nie poddać się strachowi.

Camille

Nie opowiem wam wszystkiego. Tylko te rzeczy, które powinniście wiedzieć.

Spotkałam go na ulicy, na rogu, w miejscu, gdzie jezdnia przechodzi pod torami kolejki. Było tam ciemno i ponuro, budynki i tory przesłaniały światło. Ulicę wypełniały zaparkowane samochody, stalowe wsporniki, pomarańczowe pachołki drogowe. I ludzie, zwykli mieszkańcy Chicago. Normalna, codzienna, eklektyczna mieszanina hipsterów i steampunkowców, bezdomnych, młodych singielek i członków społecznych elit.

Szłam, choć nie wiedziałam dokąd. Wokoło mnie szumiało miasto, z klimatyzatorów kapąca woda; włóczęga zebrał o parę groszy. Na chodniku uliczny kaznodzieja toczył pianę z ust, ogłaszając, że wszyscy zmierzamy prosto do piekła. Minęliśmy się z jakimś facetem, nie wiedziałam, kim jest, ale znałam ten typ. Bogaty absolwent prywatnej szkoły, który nigdy nie zadawał się ze śmieciami ze szkół publicznych, takimi jak ja. Teraz dorósł i pracował w dzielnicy finansowej, robił zakupy w organicznych delikatesach. Nazywają takich Chad, choć pewnie na imię miał inaczej, Luke, Miles, Brad – coś w tym stylu, nadętego, pospolitego. Przyziemnego. Pozdrowił mnie skinieniem głowy i uśmiechem świadczącym o tym, że kobiety łatwo poddają się jego urokowi. Ale nie ja.

Odwróciłam się i szłam dalej, nie dając mu satysfakcji uśmiechu.

Czułam, jak podąża za mną wzrokiem.

Dostrzegłam swoje odbicie w jednej z wystaw. Włosy: długie, proste, z grzywką, barwy rdzy, opadające do połowy pleców i na ramiona lodowobłękitnej koszulki, pasującej barwą do oczu.

Zobaczyłam to, co ujrzał ów palant.

Odgarnęłam dłonią włosy. Wyglądałam całkiem, całkiem.

Nad moją głową z grzmotem przemknęła kolejka. Choć głośna, nie zdołała zagłuszyć kaznodziei. Cudzołożnicy, ladacznice, bluźniercy, żarłocy. Wszystkich nas czeka potępienie.

Dzień był gorący, lato chyliło się ku końcowi, jakieś trzydzieści stopni. Wszystko cuchnęło niczym ścieki, dobiegający z mijanej alejki smród śmieci sprawił, że poczułam mdłości. Gorące powietrze więziło go i nie dało się przed nim uciec, tak samo jak przed upałem.

Patrzyłam w górę na kolejkę, próbując się zorientować, gdzie właściwie jestem. Zastanawiałam się, która jest godzina. Znałam wszystkie zegary w mieście: Peacock, Father Time, Marshall Field. Cztery zegary na budynku Wrigleya – nieważne, z której strony podchodzisz, wciąż widzisz jeden z nich. Ale tu, na tym rogu, nie było żadnego zegara.

Nie zauważyłam, że światło przede mną zmieniło się na czerwone. Nie dostrzegłam taksówki pędzącej ulicą, ścigającej się z drugą, by zgarnąć klienta. Obiema stopami zeszałam na jezdnię. Najpierw go poczułam. Uchwyt dłoni na przegubie, zaciśnięty niczym imadło, tak że nie mogłam nawet drgnąć.

W ułamku sekundy zakochałam się w tej dłoni – ciepłej, stanowczej, solidnej. Godnej zaufania. Grube palce, duże dłonie, czyste, krótkie paznokcie. Na skórze między palcem wskazującym a kciukiem widniał maleńki tatuaż, jakiś symbol, mały i szpiczasty, przypominający górski szczyt. Przez chwilę nie widziałam nic więcej. Tylko granatowy szczyt. Uchwyt dłoni mocny i szybki zatrzymał mnie jednym ruchem. W sekundę później obok przemknęła taksówka, zaledwie kilkanaście centymetrów od moich stóp. Poczułam na twarzy pęd powietrza, który odepchnął mnie, a potem pociągnął z powrotem. Ujrzałam tylko błysk kolorów, poczułam powiew, nie widziałam taksówki, póki nie odjechała w głąb ulicy. Dopiero wtedy zrozumiałam, że omal nie zginęłam pod jej kołami.

Nad moją głową kolejka ze zgrzytem zatrzymała się na torach.

Spojrzałam w dół. Oto jego dłoń. Mój wzrok powędrował wzdłuż przegubu, ręki, ramienia, do oczu. Oczy miał duże, brwi ściągnięte z troską. Martwił się o mnie. Nikt nigdy się o mnie nie martwił.

Światło zmieniło się na zielone, ale nawet nie drgnęliśmy. Nie odzywaliśmy się. Dokoła nas maszerowali ludzie, a my staliśmy na środku, zagradzając im drogę. Minęła minuta. Dwie. Wciąż nie wypuszczał mojego przegubu. Dłoń miał ciepłą, lepłą. Powietrze było wilgotne, tak gorące, że trudno się oddychało. Ani śladu świeżego powiewu. Uda miałam mokre od potu, dzinsy lepiły się do nich, tak jak błękitna koszulka do ciała.

Kiedy w końcu się odezwaliśmy, przemówiliśmy jednocześnie.

– Było blisko.

Wybuchnęliśmy śmiechem, wydaliśmy synchroniczne westchnienie.

Czułam, jak serce wali mi w piersi. Nie miało to nic wspólnego z taksówką.

Kupiłam mu kawę. Po fakcie brzmi to tak banalnie, prawda? Takie oklepane. Ale w tamtym momencie nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Postawię ci kawę – rzekłam. – Zapłacę za to, że ocaliłeś mi życie.

Zatrzepotałam rzęsami. Położyłam mu dłoń na piersi. Posłałam uśmiech. I dopiero wtedy zauważyłam, że już ma kawę; w drugiej dłoni trzymał zamrożony napój kawowy. Spojrzeliśmy na niego jednocześnie i prychnęliśmy. Cisnął kubek do kosza na śmieci.

– Udaj, że tego nie widziałaś. Kawa byłaby miła – powiedział. Jego uśmiech obejmował również oczy.

Powiedział, że nazywa się Will; gdy to mówił, zająknął się, tak że zabrzmiało to Wi-will. Był nerwowy, nieśmiały wobec dziewczyn. Wobec mnie. To mi się podobało.

Ujęłam jego dłoń.

– Miło cię poznać, Wi-willu.

Usiedliśmy w łoży obok siebie. Popijaliśmy kawę. Rozmawialiśmy; śmialiśmy się.

Tego wieczoru miała się odbyć impreza w lokalu na dachu, z którego roztaczał się widok na miasto. Przyjęcie zaręczynowe przyjaciół Sadie, Jacka i Emily. To ją zaprosili, nie mnie, Emily za mną nie przepadała, ale i tak zamierzałam pójść, tak jak Kopciuszek na królewski bal. Wybrałam nawet sukienkę, którą wzięłam z szafy Sadie; pasowała idealnie, choć Sadie była ode mnie cięższa, miała szerokie ramiona i masywne biodra. Nie powinna nosić tej kiecki. Robiłam jej przysługę.

Miałam paskudny zwyczaj grzebania w rzeczach Sadie. Raz, kiedy byłam u niej zupełnie sama – tak przynajmniej myślałam – usłyszałam brzęk kluczy w drzwiach frontowych. Wymknęłam się z jej sypialni do salonu, zaledwie sekundę przed nią. Moja droga współlokatorka przystanęła, podpierając się pod boki, i spojrzała na mnie pytająco.

– Wyglądasz, jakbyś coś kombinowała – zauważyła.

Nie odparłam, że jestem niewinna, bo też rzadko bywałam. To Sadie przestrzegła zasad, nie ja.

Nie tylko sukienkę jej zabrałam. Użyłam też jej karty kredytowej, żeby kupić sobie buty, metaliczne sandały na koturnach z krzyżującymi się paskami.

Tego dnia w kawiarni wspomniałam Willowi o przyjęciu zaręczynowym.

– Nawet się nie znamy, ale byłabym idiotką, gdybym nie spytała. Pójdiesz ze mną?

– To dla mnie zaszczyt – odparł, patrząc mi w oczy przy stoliku. Siedział blisko, łokciem muskał mój łokieć.

Przyjdzie na imprezę. Podałam mu adres i dodałam, że spotkamy się w środku.

Rozstaliśmy się pod torami kolejki. Patrzyłam, jak odchodzi, aż pochłonął go tłum pieszych. Nawet wtedy wciąż patrzyłam.

Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy ujrzę go tego wieczoru.

Los jednak sprawił, że nie dotarłam na imprezę. Tej nocy miał wobec mnie inne plany.

Ale Sadie tam była. Sadie, zaproszona na przyjęcie zaręczynowe Jacka i Emily. Niesamowita Sadie. Podszedł wprost do niej, zachwycił się nią i zapomniał o mnie.

Ułatwiłam jej to, zapraszając go na imprezę. Zawsze wszystko ułatwiałam Sadie.

Gdyby nie ja, nigdy by się nie poznali. Był mój, zanim stał się jej.

A ona ciągle o tym zapomina.

Sadie

Nasza ulica nie wygląda zbyt imponująco, podobnie jak większość uliczek przecinających i splatających się na wyspie. Składa się na nią jedynie grupka pokrytych gontem domków i większych budynków oddzielonych kępami drzew.

Na wyspie mieszka niecały tysiąc osób. Żyjemy w bardziej zaludnionej części, niedaleko promu. Z naszej stromej ulicy częściowo widać kontynent, i choć w oddali wydaje się bardzo mały, jego widok dodaje mi otuchy.

Poza wyspą wciąż istnieje świat, który widzę, choć nie jestem już jego częścią.

Powoli wjeżdżam na górę. Brzozy zrzuciły już liście, a iglaki szpilki, które pokrywają grubą warstwę ulicę, chrzęszcząc pod kołami samochodu. Wkrótce przysypie je śnieg.

Przez uchylone okno do środka wpada słone morskie powietrze. Czuć w nim ziąb, ostatnie ślady jesieni, nim w pełni nastanie zima.

Minęła już szósta wieczór. Niebo pociemniało. Nade mną, po drugiej stronie ulicy, dwa domy od naszego widać ruch przed rezydencją Bainesów. Przy chodniku parkują trzy nieoznakowane samochody. Wyobrażam sobie krzątających się w środku techników kryminalistycznych, zbierających dowody, odciski palców, fotografujących miejsce zbrodni.

Nagle ulica wygląda inaczej.

Kiedy skręcam pod dom, na podjeździe widzę radiowóz. Parkuję obok forda crown victoria i wysiadam powoli, sięgając na tylną kanapę po swoje rzeczy. Ruszam do drzwi frontowych, rozglądając się czujnie, sprawdzając, czy jestem sama. Ogarnia mnie przejmujący niepokój. Trudno nie dać się ponieść wyobraźni, wizji zabójcy, który kryje się wśród krzaków i mnie obserwuje. Lecz na ulicy panuje cisza, wokół nikogo nie dostrzegam. Moi sąsiedzi wrócili do domów, błędnie sądząc, że w środku są bezpieczni – Morgan Baines też zapewne tak myślała, zanim zginęła we własnych czterech ścianach.

Wsuwam klucz do zamka drzwi frontowych. Kiedy wchodzę, Will zrywa się z miejsca. Na sobie ma wytarte, wypchane w kolanach džinsy, z których częściowo wysunęła się koszula. Długie włosy opadają na ramiona.

– Jest tu pan policjant – mówi żwawo, choć już widzę go siedzącego na poręczy kanapy. – Prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa – dodaje Will, praktycznie dławiąc się tym słowem. Morderstwo.

Oczy ma zmęczone i przekrwione, płakał. Sięga do kieszeni, wyciąga chusteczkę i ociera je nią szybko. Will z nas wszystkich ma najcieńszą skórę, jest najwrażliwszy. Płacze na filmach. Płacze, gdy ogląda wieczorne wiadomości. Rozpłakał się też, gdy odkryłam, że sypia z inną kobietą, choć na próżno usiłował temu zaprzeczać.

– Nie ma żadnej innej kobiety, Sadie – mówił, padając przede mną na kolana tyle miesięcy temu i wypłakując oczy, upierając się, że jest niewinny.

Musiałam przyznać, że nie widziałam kobiety, ale oznaki jej obecności dostrzegałam wszędzie. Winiłam się za to. Powinnam była to przewidzieć. Ostatecznie od początku nie byłam pierwszym wyborem kandydatki na żonę Willa. Bardzo staraliśmy się zostawić to za sobą. Wybacz i zapomnij, mówią, ale łatwiej powiedzieć niż zrobić.

– Ma do nas kilka pytań – mówi teraz Will, a ja powtarzam *Pytań?*, zerkając w stronę funkcjonariusza, mężczyzny po pięćdziesiątce czy sześćdziesiątce, z łysiejącym wysokim czołem i pokrytą dziobami skórą. Nad wargą wyrasta kępka włosów, niby-wąsik, brązowo-siwy, tak jak włosy na głowie.

– Doktor Foust – mówi, patrząc mi w oczy, wyciąga rękę i się przedstawia. – Berg. Funkcjonariusz Berg.

Odpowiadam, że jestem Sadie Foust.

Funkcjonariusz Berg sprawia wrażenie poruszonego, może wręcz wstrząśniętego. Domyślam się, że zwykle zajmuje się problemami psów załatwiających się na trawnikach sąsiadów, niezamkniętych drzwi w siedzibie Legionu Amerykańskiego i wiecznie popularnych głuchych telefonów na numer alarmowy. Ale nie tym. Nie morderstwem.

Na wyspie pracuje tylko garstka policjantów, Berg jest jednym z nich. Często wychodzą na spotkanie promu, żeby sprawdzić, czy wszyscy wsiedli i odплыnęli bez problemów, nie żeby kiedykolwiek coś się tam działo, przynajmniej nie o tej

porze roku, choć słyszałam, że kiedy nadejdzie lato i turyści, wiele się zmieni. Na razie jednak na wyspie panują spokój i cisza, jedynymi pasażerami promu są codziennie dojeżdżający, którzy przepływają zatokę, zmierzając do szkoły bądź pracy.

– Jakich pytań? – mówię teraz.

Otto siedzi zgarbiony na krześle w kącie pokoju, skubie frędzle poduszki, patrzę, jak błękitne nitki odrywają mu się w palcach. Jego oczy spoglądają czujnie, martwię się o stres, jaki wywoła to spotkanie, informacja z ust policjanta, że sąsiadkę zamordowano. Zastanawiam się, czy się boi, bo ja na pewno. Sama idea jest niewyobrażalna: morderstwo tak blisko naszego domu. Drżę na myśl o tym, co wydarzyło się zeszłej nocy u Bainesów.

Rozglądam się dokoła, szukając wzrokiem Imogen i Tate'a, Will odzywa się, jakby odgadł, o czym myślę.

– Imogen jeszcze nie wróciła ze szkoły.

– Nie? – pyta z zainteresowaniem funkcjonariusz Berg.

Szkoła kończy się o wpół do trzeciej. Droga do domu zabiera sporo czasu, ale mimo wszystko Otto zazwyczaj dociera o wpół do czwartej bądź czwartej. Zegarek na kominku wskazuje dziesięć po szóstej.

– Nie – odpowiada teraz Will – ale wkrótce się zjawi, lada moment – dodaje, wspominając o dodatkowych zajęciach, choć oboje wiemy, że żadnych nie miała.

Policjant oznajmia, że musi także pomówić z Imogen.

– Oczywiście – odpowiada Will. Proponuje, że jeśli wkrótce nie wróci, zawiezie ją jutro do remizy. To ogólna siedziba służb, w której paru policjantów pełni też funkcję ratowników medycznych i strażaków w czasie pożarów. Gdyby nasz dom stanął w płomieniach, możliwe że funkcjonariusz Berg zjawiłby się u progu w wozie strażackim. Albo gdyby Will dostał ataku serca, przyjechałby karetką.

Tylko siedmioletniemu Tate'owi oszczędzono przesłuchania.

– Tate jest na dworze – mówi Will, widząc, jak szukam go wzrokiem. – Bawi się z psami – uzupełnia i wtedy słyszę szczekanie.

Posyłam Willowi spojrzenie pytające, czy mądrze jest zostawiać Tate'a samego na dworze, gdy zeszłej nocy na naszej ulicy grasował morderca. Wyglądam przez wychodzące na tyły okna i widzę go w bluzie, dzinsach i wełnianej czapce naciągniętej na głowę, szaleje z psami i piłką, wyrzucając ją jak najdalej i zanosząc

się śmiechem, a obie suki pędzą za nią, sprzecząc się po drodze, która odniesie zdobycz do wyczekującej ręki chłopca.

Na dworze widać ślady ognia w palenisku, już dogasa, pozostały tylko żar i dym. Płomienie zniknęły. Jest dość daleko od Tate'a i psów, toteż się nie martwię.

Funkcjonariusz Berg też widzi dogasające ognisko i pyta, czy mamy pozwolenie.

– Pozwolenie? – dziwi się Will. – Na rozpalenie ognia?

Kiedy funkcjonariusz Berg mówi, że owszem, Will wyjaśnia, że nasz syn Tate wrócił do domu ze szkoły, błagając o pieczone pianki. Czytali o nich książeczkę i przez resztę dnia myślał tylko o tym.

– W Chicago mogliśmy zapiekać pianki jedynie w tosterze. To była szybka akcja, nic więcej.

– Tu, na wyspie – odpowiada funkcjonariusz Berg, wyraźnie niezainteresowany pragnieniami Tate'a – trzeba mieć zezwolenie, żeby rozpalić ogień.

Will przeprosza, tłumacząc się niewiedzą, i policjant wzrusza ramionami.

– Następnym razem będzie pan wiedział – ucina, wybacząc mu ten występki. W końcu ma na głowie ważniejsze sprawy.

– Mogę odejść? – pyta Otto, dodając, że musi odrobić lekcje, i widzę po jego oczach, że źle się czuje. To za dużo jak na głowę czternastolatka. Choć znacznie starszy od Tate'a, Otto wciąż jest dzieckiem. Czasami o tym zapominamy. Klepię go po ramieniu i pochylam się niżej.

– Jesteśmy tu bezpieczni, Otto. Musisz to wiedzieć. – Nie chcę, żeby się bał. – Twój tata i ja zawsze cię obronimy – zapewniam.

Otto patrzy mi w oczy. Zastanawiam się, czy mi wierzy, gdy przemawiam z taką pewnością siebie. Czy naprawdę jesteśmy bezpieczni?

– Możesz iść – mówi policjant. Gdy Otto odchodzi, przysiadam na drugiej poręczy kanapy. Teraz oddziela nas aksamitna sofa barwy margerytek, jak wszystkie meble w tym domu pochodząca sprzed pół wieku, lecz niestety nie modernistyczna. Po prostu stara.

– Wie pani, czemu tu jestem? – pyta Berg.

– Wiem, że zamordowano panią Baines – mówię, iż zeszłej nocy słyszeliśmy syrenę.

– Tak, proszę pani – potwierdza i pytam, jak zginęła, bo nie ujawniono jeszcze żadnych szczegółów. Wyjaśnia, iż czekają, aż powiadomią rodzinę.

– Pan Baines nie wie? – dziwię się, on jednak odpowiada tylko, że pan Baines podróżował w interesach.

Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, brzmi, że w takich przypadkach to zawsze jest mąż. To pan Baines to zrobił, gdziekolwiek jest teraz.

Berg dodaje, że to córeczka Bainesów znalazła martwą matkę, zadzwoniła na telefon alarmowy i powiedziała operatorowi, że nie może obudzić Morgan. Wzdycham głośno, starając się nie wyobrażać sobie wszystkiego, co widziała dziewczynka.

– Ile ma lat? – pytam, a Berg odpowiada.

– Sześć.

Unoszę dłoń do ust.

– Och, jakie to straszne.

Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Tate miał znaleźć mnie bądź Willa martwych.

– Chodzą z Tate'em razem do szkoły – oznajmia Will, patrząc na funkcjonariusza Berga, potem na mnie. Mają tę samą nauczycielkę. Tych samych kolegów. W szkole na wyspie uczą się dzieci od przedszkola do piątej klasy, reszta, gimnazjum i liceum, musi płynąć promem na kontynent. W sumie do podstawówki uczęszcza jedynie pięćdziesięcioro kilkoro dzieci, dziewiętnaścioro z nich do klasy Tate'a, bo pierwszą klasę połączono z zerówką.

– Gdzie jest teraz ta mała? – pytam, a Berg odpowiada, że z rodziną, podczas gdy władze próbują skontaktować się z Jeffreyem podróżującym w interesach do Tokio.

Fakt, że przebywał za granicą, nie oczyszcza w mojej głowie Jeffrey'a Baines'a. Mógł ktoś wynająć, żeby dokonał zabójstwa.

– Biedactwo – mruczę, wyobrażając sobie czekające ją w przyszłości lata terapii.

– Jak możemy pomóc? – pytam funkcjonariusza Berga, a on wyjaśnia, że rozmawia ze wszystkimi mieszkańcami ulicy, zadając im pytania. – Jakie pytania? – powtarzam.

– Czy może mi pani powiedzieć, doktor Foust, gdzie pani była zeszłej nocy około jedenastej? – Innymi słowy, czy mam alibi na czas zabójstwa?

Zeszłej nocy, po tym jak położyliśmy Tate'a spać, oglądaliśmy z Willem telewizję. Leżeliśmy po dwóch stronach pokoju, on rozłożony na sofie, ja zwinięta w fotelu. Nasze stałe miejsca. Wkrótce po tym, jak je zajęliśmy i włączyliśmy telewizor, Will przyniósł mi kieliszek caberneta z butelki, którą otworzyłam poprzedniego wieczoru.

Obserwowałam go przez jakiś czas ze swojego miejsca, wspominając, że jeszcze nie tak dawno nie potrafiłabym siedzieć z dala od Willa na osobnej kanapie. Ciepło wspominałam dni, gdy częstował mnie winem wraz z długim pocałunkiem w usta, drugą dłonią przesuwając po moim ciele, a ja łatwo dawałam się przekonać przez pociągający pocałunek, dłoń i te oczy. Te oczy! A potem jedno prowadziło do drugiego i wkrótce, chichocząc niczym nastolatki, próbowaliśmy pośpiesznie i bezdźwięcznie kochać się na kanapie, cały czas wyęzając uszy, by wyłapać skrzypienie podłogi na górze, jęk sprężyn łóżka, kroki na schodach i mieć pewność, że chłopcy wciąż śpią. Dotyk Willa miał w sobie dziwną wielkoduszność, coś, co sprawiało, że przyjemnie kręciło mi się w głowie, jakbym upiła się bez wypicia choćby kropli alkoholu. Nigdy nie miałam go dosyć. Upajał mnie.

Ale potem znalazłam papierosa, marlboro silver ze śladami szminki koloru truskawek na filtrze. Najpierw natrafiłam na niego, wkrótce potem na opłaty za pokoje hotelowe na wyciągu z karty kredytowej i parę majtek w naszej sypialni, z pewnością nienależących do mnie. I wtedy zrozumiałam, że Will był też wielkoduszny i upajający dla kogoś innego.

Ja nie paliłam. Nie nosiłam szminki. I byłam stanowczo zbyt rozsądna, by zostawiać bieliznę w cudzym domu.

Kiedy podetknęłam Willowi pod nos wyciąg z karty kredytowej i spytałam wprost o opłaty za hotel, Will tylko spojrział na mnie. Wydawał się tak wstrząśnięty faktem, iż go przyłapałam, że zabrakło mu czasu, by wymyślić jakieś kłamstwo.

Zeszłego wieczoru, po tym jak dopiłam pierwszy kieliszek, zaproponował, że mi doleje, a ja się zgodziłam, bo podobało mi się, że po winie czuję się spokojna i taka lekka. Następne, co pamiętam, to syrena wyrywająca mnie ze snu.

Musiałam zasnąć w fotelu. Will zaniósł mnie do łóżka.

– Doktor Foust? – powtarza policjant.

– Byliśmy tu oboje z Willem – mówię. – Oglądaliśmy telewizję. Wieczorne wiadomości, a potem *The Late Show*, ten ze Stephenem Colbertem – dodaję,

patrząc, jak funkcjonariusz Berg zapisuje rysikiem moje zeznania na tablecie. – Zgadza się, Will? – pytam, a on kiwa głową i potwierdza, iż mam rację. To był *The Late Show*. Ten ze Stephenem Colbertem.

– A po programie? – pyta policjant i mówię, że po programie poszliśmy do łóżka.

– Zgadza się, proszę pana? – pyta funkcjonariusz Berg.

– Owszem – potwierdza Will. – Było późno – dodaje. – Po *The Late Show* poszliśmy z Sadie do łóżka, rano musiała iść do pracy, a ja, no cóż – dodaje – byłem zmęczony. Było późno – powtarza, i jeśli nawet policjant to dostrzeże, to nie daje po sobie tego poznać.

– A która dokładnie godzina? – pyta zamiast tego.

– Chyba gdzieś w pół do pierwszej – mówię, bo choć nie mam pewności, potrafię dodawać.

Policjant zapisuje coś i przechodzi do następnego pytania.

– Czy w ciągu ostatnich dni zauważyła pani coś niezwykłego?

– Na przykład? – naciskam, a on wzrusza ramionami.

– Cokolwiek – sugeruje. – To może być wszystko. Obcy w okolicy. Nieznane samochody krążące po dzielnicy.

Ja jednak tylko kręcę głową.

– Jesteśmy tu nowi, proszę pana. Nie znamy zbyt wielu ludzi.

Wtedy jednak przypominam sobie, że Will zna ludzi. Że kiedy cały dzień jestem w pracy, Will zdobywa nowych przyjaciół.

– Była jedna rzecz – odzywa się nagle Will; policjant i ja odwracamy się do niego jednocześnie.

– To znaczy? – pyta funkcjonariusz Berg.

Will jednak natychmiast próbuje się wycofać, kręci głową.

– Nieważne, nie powinienem był o tym wspominać. To pewnie nic takiego, tylko drobny przypadek.

– Może ja to osądzę – oznajmia funkcjonariusz Berg.

– Nie tak dawno temu, może parę tygodni, zabrałem Tate'a do szkoły i pojechałem załatwić parę spraw. Nie było mnie góra dwie godziny. Ale kiedy wróciłem, coś nie pasowało – wyjaśnia niechętnie Will.

– To znaczy?

– Po pierwsze, drzwi garażu były podniesione. Dałbym głowę, że je zamknąłem. A kiedy wszedłem do środka, omal nie powalił mnie smród gazu. Był taki silny. Dzięki Bogu, że psom nic się nie stało, kto wie, jak długo tym oddychały. Szybko znalazłem źródło, pochodził z kuchenki.

– Z kuchenki? – pytam. – Nic mi o tym nie wspominałeś. – Mój głos brzmi głucho, opanowany, ale wewnątrz szaleję z niepokoju.

– Nie chciałem, żebyś martwiła się bez powodu – odpowiada kojąco Will. – Pootwierałem drzwi i okna, wywietrzyłem dom. – Wzrusza ramionami. – Pewnie w ogóle nie warto o tym wspominać, Sadie, nie powinienem był nic mówić. Rano okropnie się śpieszyliśmy, usmażyłem francuskie grzanki, byliśmy z Tate’em spóźnieni, w szaleńczym pędzie musiałem zostawić włączony palnik, a przeciąg go zdmuchnął.

Funkcjonariusz Berg uznaje to za wypadek i odwraca się do mnie.

– A pani, pani doktor? – pyta. – Nie zauważyła pani niczego niezwykłego?

Odpowiadam, że nie.

– Jak zachowywała się pani Baines, kiedy rozmawialiście panie ostatnio, pani doktor? – pyta Berg. – Czy była... – zaczyna, ale powstrzymuję go i wyjaśniam, że nie znałam Morgan Baines. Nigdy jej nie poznałam.

– Od przyjazdu byłam bardzo zajęta – dodaję przepraszająco, choć tak naprawdę nie mam za co przeproszać. – Nie miałam czasu, żeby zajrzeć i się przedstawić – dodaję, myśląc, choć nie odważyłabym się powiedzieć tego głośno, bo mogłoby to zostać uznane za przejaw niewrażliwości, iż Morgan Baines także jakoś nie wygospodarowała nawet chwili, żeby odwiedzić mnie i się przedstawić.

– Sadie ma mnóstwo zajęć – wtrąca Will, by policjant nie osądzał mnie za to, że nie zaprzyjaźniłam się z sąsiadami. Jestem mu za to wdzięczna. – Pełni długie dyżury, prawie codziennie. Ja wręcz przeciwnie, mam zajęcia tylko z trzema grupami, nakładające się z lekcjami Tate’a. Specjalnie. Kiedy on tu jest, ja także. To Sadie zarabia na życie – przyznaje Will bez wstydu ani oburzenia. – Ja jestem niepracującym ojcem. Nigdy nie chcieliśmy, żeby nasze dzieci wychowywała niania – tłumaczy.

Ustaliliśmy to dawno temu, nim jeszcze przyszedł na świat Otto. To była wspólna decyzja, z finansowego punktu widzenia miało sens, by to Will został

w domu, zarabiałam więcej od niego, choć nigdy nie rozmawialiśmy o takich sprawach. Will robił to, co do niego należało, a ja to, co do mnie.

– Parę dni temu rozmawiałem z Morgan – odpowiada teraz za mnie. – Wyglądała zupełnie normalnie, w porządku. Zepsuł im się bojler, czekała na mechanika, miał sprawdzić, czy da się go naprawić. Sam też próbowałem. Zwykle dobrze sobie radzę – dodaje – ale nie aż tak dobrze. Macie jakieś tropy? – pyta, zmieniając temat. – Ślady włamania, podejrzanych?

Funkcjonariusz Berg przegląda pliki w tablecie i mówi Willowi, że na razie nie może zbyt wiele ujawniać.

– Ale – dodaje – mogę rzec, że pani Baines zginęła wczoraj pomiędzy dziesiątą wieczór a drugą w nocy. – I w tym momencie, wciąż siedząc na poręczu kanapy, prostuję się, wyglądając przez okno. Choć domu Bainesów nie widać z mojego miejsca, nie mogę powstrzymać myśli, że kiedy zeszłej nocy byliśmy tu, popijaliśmy wino i oglądaliśmy telewizję, tuż poza zasięgiem mojego wzroku ktoś ją mordował.

Ale to nie wszystko. Bo co wieczór o wpół do dziewiątej odplywa ostatni prom, co oznacza, że zabójca spędził tę noc wśród nas, na wyspie.

Funkcjonariusz Berg wstaje szybko, zaskakując mnie. Zachłystuję się, unosząc dłoń do serca.

– Wszystko w porządku, pani doktor? – pyta, patrząc z góry, jak drzę.

– Tak – odpowiadam. – Nic mi nie jest.

Przesuwa dłonią po nogawkach spodni, przyglądając je.

– Chyba wszyscy jesteśmy dziś trochę nerwowi – zauważa, a ja przytakuję.

– Gdybyśmy tylko mogli cokolwiek zrobić, Sadie i ja. – Will odprowadza funkcjonariusza Berga do drzwi frontowych. Podnoszę się z kanapy i ruszam za nimi. – Proszę dać nam znać, zawsze chętnie pomożemy.

Berg z wdzięcznością uchyla czapki.

– Bardzo dziękuję. Zapewne zgadują państwo, że na całej wyspie panuje nerwowa atmosfera. Ludzie boją się o swoje życie. Takie rzeczy nie zachęcają też turystów. Nikt nie chce odwiedzać miejsca, w którym krąży morderca. Wolelibyśmy to załatwić najszybciej, jak się da. Gdybyście cokolwiek zobaczyli czy usłyszeli... – zawiesza głos.

– Rozumiem – przytakuje Will.

Morderstwo Morgan Baines źle służy interesom.

Berg żegna się, wręcza Willowi wizytówkę. Już ma wyjść, lecz w drzwiach zadaje ostatnie pytanie.

– Jak się czujecie w tym domu?

Will odpowiada, że w porządku.

– Jest stary i jak to bywa, ma pewne problemy, nieszczelne okna, piec, który musimy wymienić.

Policjant się krzywi.

– Piece nie są tanie. To was będzie kosztowało parę tysięcy.

Will odpowiada, że wie.

– To straszne nieszczęście z Alice. – Funkcjonariusz Berg patrzy Willowi w oczy.

Will potwierdza.

Nieczęsto poruszam temat Alice z Willem, ale są rzeczy, których chciałabym się dowiedzieć, na przykład jaka była i czy dogadałybyśmy się, gdybyśmy miały okazję się spotkać. Wyobrażam sobie ją jako mało towarzyską, choć Willowi nigdy bym tego nie powiedziała. Ale zapewne ból fibromialgii zatrzymał ją w domu, z dala od zabaw i spotkań.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że popełni samobójstwo – odzywa się nagle funkcjonariusz Berg i odnoszę wrażenie, że chyba myliłam się w swoich ocenach.

– Co to znaczy? – W głosie Willa pojawia się obronna nuta.

– No nie wiem – mówi Berg, choć wyraźnie wie, bo dodaje, że Alice, stała uczestniczka piątkowych rozgrywek bingo, kiedy ją widział, była radosna i życzliwa. Że jej uśmiech potrafił rozjaśnić cały pokój. – Chyba nigdy nie zrozumieć, jak ktoś taki może odebrać sobie życie.

Przestrzeń między nami wypełnia cisza i napięcie. Nie przypuszczam, by miał na myśli cokolwiek złego, jest odrobinę niedyplomatyczny. Willa jednak wyraźnie zabolęły jego słowa, milczy, i to ja w końcu odzywam się pierwsza.

– Chorowała na fibromialgię – wyjaśniam, uświadamiając sobie, że funkcjonariusz Berg zapewne o tym nie wie, albo może należy do osób, które uważają, że to bardziej dolegliwość psychiczna niż medyczna. Fibromialgia pozostaje chorobą nierozumianą, ludzie sądzą, że nie jest prawdziwa, że to tylko wymysł. Nie ma na nią lekarstwa i z pozoru pacjent wydaje się zupełnie zdrowy, bo

nie istnieje też test, który stwierdzałby tę dolegliwość; z tej przyczyny diagnoza opiera się wyłącznie na objawach – innymi słowy rozległym bólu, niemającym innego źródła. Spora część medyków kwestionuje wiarygodność takiej diagnozy, sugerując często pacjentom, by zgłosili się do psychiatry. Smutno mi na myśl, że Alice tak bardzo cierpiała i nikt jej nie wierzył.

– Tak, oczywiście – potwierdza policjant. – Coś okropnego, musiała naprawdę cierpieć, skoro zrobiła to, co zrobiła – dodaje i znów szukam wzrokiem Willa. Wiem, że funkcjonariusz Berg nie chce być nieuprzejmy; na swój własny, niezręczny sposób składa nam kondolencje. – Bardzo lubiłem Alice – dodaje. – Była naprawdę urocza.

– W istocie – potakuje Will i policjant raz jeszcze mamrocze *co za tragedia*. W końcu zegna się i odchodzi.

Kiedy znika, Will w milczeniu kieruje się do kuchni, żeby zacząć gotować obiad. Pozwalam mu odejść. Patrząc przez wąską szybkę wzdłuż drzwi, jak Berg wyjeżdża swoim fordem z naszego podjazdu. Rusza w górę, by dołączyć do kolegów w domu Bainesów, tak przynajmniej przypuszczam.

Okazuje się jednak, że wcale nie jedzie do Bainesów. Zatrzymuje się na końcu podjazdu naprzeciwko nich, przed domem Nilssonów. Funkcjonariusz Berg wysiada, zostawia włączony silnik, czerwone światła płoną jasno w mroku nocy. Patrząc, jak wkłada coś do skrzynki na listy i zamyka drzwiczki. Wraca do samochodu i znika za wierzchołkiem wzgórza.

Camille

Zniknęłam tej nocy, kiedy Will poznał Sadie. Przepęłniał mnie gniew i wstręt do samej siebie. Ale nie mogłam wiecznie trzymać się z dala od Willa. Cały czas o nim myślałam. Był zawsze w mojej głowie, wystarczyło tylko mrugnąć.

W końcu zaczęłam go szukać. Odrobina surfingu w sieci i odkryłam, gdzie mieszka, gdzie pracuje. Poszukałam go i znalazłam, choć był już wówczas starszy, siwiejący, z dziećmi, podczas gdy ja przez wszystkie te lata prawie się nie zmieniłam. Najwyraźniej to kwestia dobrych genów, bo wiek jakby się mnie nie miał: wciąż miałam włosy barwy rdzy i intensywnie błękitne oczy. Moja skóra mnie nie zdradziła.

Włożyłam sukienkę, czarną, z łódkowym dekoltem, makijaż, perfumy. Biżuteria. Uczesałam się starannie. Śledziłam go całymi dniami, by wreszcie pokazać się w chwili, gdy najmniej się mnie spodziewał.

– Pamiętasz mnie? – spytałam, zagradzając mu drogę w sklepie spożywczym. Stałam zbyt blisko i chwyciłam go za łokieć. Nazwałam go imieniem, ponieważ nic nie podnieca nas bardziej niż brzmienie własnego imienia. To dla nas najśłodszy dźwięk świata. – Na rogu Madison i Wabash. Piętnaście lat temu. Uratowałeś mi życie, Will.

Potrzebował chwili, żeby sobie przypomnieć, jego twarz pojaśniała. Czas nie był dla niego łaskawy. Napięcia związane z małżeństwem, rodzicielstwem, pracą, kredytem. Ten Will stanowił wypaloną wersję Willa, którego poznałam. Wiedziałam, że zdołam to naprawić. Musiał tylko na jakiś czas zapomnieć, że ma żonę i dzieci.

A ja mogłam mu w tym pomóc.

Obdarzyłam go szerokim uśmiechem. Wzięłam za rękę.

– Gdyby nie ty – rzekłam, pochylając się i szepcząc mu do ucha – już bym nie żyła.

Dostrzegłam błysk w jego oczach. Zarumienił się. Omiótł mnie wzrokiem od stóp do głów, zatrzymując się blisko moich ust. Uśmiechnął się.

– Jak mógłbym zapomnieć – rozpromienił się i roześmiał. – Co tu robisz?

Odrzuciłam włosy do tyłu.

– Akurat przechodziłam i wydało mi się, że dostrzegam cię przez szybę.

Dotknął koniuszków moich włosów, powiedział, że wyglądają bardzo ładnie.

– I ta sukienka – zagwizdał przeciągle, z uznaniem.

Nie patrzył już na moje wargi, tylko na uda.

Wiedziałam, dokąd chcę doprowadzić tę rozmowę. I, jak się to często zdarza, udało mi się. Nie było to natychmiastowe, o nie, wymagało siły perswazji, która przychodzi mi naturalnie. Reguła numer jeden: wzajemność. Ja robię coś dla ciebie, ty w zamian robisz coś dla mnie. Otarłam mu musztardę z ust, zobaczyłam, że ma pustą szklanekę, sięgnęłam po nią i napełniłam z dystrybutora.

– Nie musiałaś tego robić – rzekł, kiedy usiadłam i przesunęłam pepsi po stole, pilnując, by nasze dłonie się zetknęły. – Sam mogłem sobie nalać.

Uśmiechnęłam się.

– Wiem, że nie musiałam. Ale chciałam, Will.

I od tej chwili był mi coś winien.

Jest też kwestia sympatyczności. Kiedy chcę, potrafię być przesympatyczna. Po prostu wiem, co powiedzieć, co zrobić, jak kogoś zauroczyć. Cała sztuka to zadawanie otwartych pytań, tak, by ludzie zaczęli mówić o sobie. Czują się wtedy, jakby byli najciekawszymi osobami świata. Nie lekceważmy też dotyku. Znacznie łatwiej osiągnąć współpracę jednym musnięciem ręki, ramienia, uda. Dodajmy do tego fakt, że z tego, co widziałam, małżeństwo jego i Sadie stanowiło książkowy przykład abstynencji. Will potrzebował czegoś, co tylko ja mogłam mu dać.

Z początku się nie zgodził. Zamiast tego uśmiechnął się niemądrze i zarumienił. Oznajmił, że ma spotkanie, że musi już iść.

– Nie mogę – rzekł, ja jednak przekonałam go, że może, bo zaledwie kwadrans później wymknęliśmy się w najbliższą alejkę, tam przycisnął mnie do ściany budynku, wsunął dłoń pod spódnicę, przywarł ustami do ust.

– Nie tutaj – zaprotestowałam wyłącznie przez wzgląd na niego; mnie to miejsce pasowało, ale on musiał myśleć o swoim małżeństwie i reputacji. Ja nie. –

Chodźmy gdzie indziej – szepnęłam mu do ucha.

Znał jakiś hotel niecałą przecznicę dalej. Może nie Ritz, ale się nadał. Wbiegliśmy po schodach do pokoju. Tam pchnął mnie na łóżko i wziął szybko. Kiedy skończyliśmy, leżeliśmy obok siebie, dysząc ciężko, próbując złapać oddech.

Will przemówił pierwszy.

– To było... – Kiedy skończyliśmy, brakowało mu słów, ale promieniał radością.

Znów spróbował.

– To było niesamowite. Ty – ukląkł nade mną, przyciskając mi dłonie do głowy i patrząc w oczy – jesteś niesamowita.

Mrugnęłam do niego.

– Też jesteś całkiem niekiepski.

Przyglądał mi się długą chwilę. Nigdy wcześniej żaden mężczyzna tak na mnie nie patrzył, jakby nie miał mnie dosyć. Powiedział, że tego potrzebuje, bardziej, niż przypuszczam. Ucieczki od rzeczywistości. Dodał, iż mam idealne wycucie czasu, to był dla niego kiepski dzień, kiepski tydzień.

Idealnie.

– Ale ty – wbił we mnie wzrok – jesteś idealna.

Zaczął wymieniać powody dlaczego, a ja słuchałam z bijącym sercem, choć wszystkie były bardzo płytkie: moje włosy, uśmiech, oczy. I nagle znów go całowałam.

Kiedy skończył, dźwignął się z łóżka. Leżałam tam, patrząc, jak naciąga elegancką koszulę i dżinsy.

– Już wychodzisz, tak szybko? – spytałam.

Przystanął na końcu łóżka, patrząc na mnie przepaszająco.

– Mam spotkanie, już jestem spóźniony. Możesz zostać, jak długo chcesz – dodał. – Zdrzemnij się, odpocznij. – Jakby wręczał nagrodę pocieszenia. Samotną drzemkę w tanim hotelu.

Przed wyjściem pochylił się nade mną. Ucałował mnie w czoło, przyglądził włosy. Patrząc mi w oczy, rzekł:

– Spotkamy się wkrótce.

To nie było pytanie, tylko obietnica.

Uśmiechnęłam się.

– Oczywiście, że tak. Już się mnie nie pozbędziesz, Will. Nigdy cię nie wypuszczę.

A on oznajmił z uśmiechem, że dokładnie to potrzebował usłyszeć.

Kiedy wychodził, starałam się nie czuć zazdrości. Nigdy nie byłam zazdrosna, póki nie spotkałam Willa, a wtedy owszem, choć nie miałam wyrzutów sumienia z powodu tego, co między nami zaszło. Will był mój. Sadie mi go odebrała. Nic nie byłam jej winna.

Przeciwnie, to ona była coś winna mnie.

Sadie

Dwa razy okrążam dom. Sprawdzam, czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte. Robię to raz, a potem, bo nie mam pewności, czy faktycznie sprawdziłam wszystkie, jeszcze raz. Zaciągam żaluzje i zasłony, zastanawiając się, czy nie rozsądniej byłoby zainstalować w domu alarm.

Tego wieczoru zgodnie z obietnicą Will zawiózł Imogen do remizy, by pomówiła z funkcjonariuszem Bergiem. Miałam nadzieję, że wróci z wieściami o morderstwie – czymś, co mnie uspokoi – ale nie miał nic do dodania. Policja nie zbliżyła się do rozwiązania sprawy. Widziałam statystyki dotyczące morderstw. Koło jednej trzeciej czy więcej spraw trafia do archiwum, powiększając zbiór nierozwiązanych zbrodni. To epidemia.

Przerażające, jak wielu morderców krąży co dzień wokół nas. Mogą być wszędzie, a my nie mamy o tym pojęcia.

Według Willa Imogen nie przekazała Bergowi żadnych nowych informacji na temat zeszłej nocy. Spała, o czym dobrze wiedziałam. Spytana, czy w ciągu ostatnich kilku tygodni widziała coś niezwykłego, zeszywniała i poszarzała na twarzy.

– Moją mamę wiszącą na pierdolonym stryczku – oznajmiła.

Po tym funkcjonariusz Berg nie miał do niej więcej pytań.

Gdy zastanawiam się nad trzecim obchodem okien i drzwi, Will woła mnie ze szczytu schodów, pyta, czy zamierzam przyjść do łóżka. Mówię, że tak, już idę, i raz jeszcze szarpnięciem sprawdzam drzwi frontowe. Zostawiam w salonie zapaloną lampę, ma sugerować, że nie śpimy. Wspinam się po schodach i układam w łóżku obok Willa. Ale nie mogę zasnąć. Całą noc leżę tam i rozmyślam o tym, co mówił funkcjonariusz Berg, o córeczce Bainesów, która znalazła martwą Morgan. Zastanawiam się, jak dobrze Tate ją zna. Chodzą do jednej klasy, ale to nie znaczy, że się przyjaźnią.

Odkrywam, że nie jestem w stanie uwolnić się od wizji sześciolatki stojącej nad martwym ciałem matki. Zastanawiam się, czy się bała. Czy krzyknęła. Czy zabójca czał się w pobliżu podniecony krzykami. Zastanawiam się, jak długo czekała na przyjazd karetki i czy w tym czasie bała się o własne życie. Myślę o niej zupełnie samej, jak znajduje martwą matkę, podobnie jak wcześniej Imogen. Choć nie, nie podobnie, samobójstwo i morderstwo to dwie zupełnie różne rzeczy. Mimo wszystko jednak nie potrafię pojąć tego, co obie dziewczynki oglądały w swoim krótkim życiu.

Obok mnie Will śpi jak zabity, ale nie ja. Bo gdy tak leżę w pełni rozbudzona, zaczynam się zastanawiać, czy zabójca wciąż jest z nami na wyspie, czy też już wyjechał.

Na tę myśl wymykam się z łóżka, serce przyspiesza gwałtownie. Muszę mieć pewność, że dzieciom nic nie jest. Psy na posłaniach w kącie pokoju zauważają mnie i ruszają za mną. Każę im być cicho, bo Will przekręca się w pościeli, pociągając koldrę.

Na drewnianych posadzkach stopy szybko mi marzną, jest jednak za ciemno, żebym zdołała znaleźć kapcie. Zostawiam je i wychodzę z sypialni, ruszając wąskim korytarzem.

Najpierw podchodzę do pokoju Tate'a, zatrzymuję się w progu. Tate śpi z otwartymi drzwiami i włączoną nocną lampką, by odstraszać potwory. Jego drobne ciało leży pośrodku łóżka, tuląc w ramionach pluszową chihuahue. Śpi spokojnie, w odróżnieniu ode mnie niedręczony myślami o morderstwach i śmierci. Ciekawe, o czym marzy. Może o szczeniakach i lodach?

Zastanawiam się, co Tate wie o śmierci. Co ja wiedziałam o śmierci, kiedy miałam siedem lat, jeśli w ogóle cokolwiek.

Przechodzę do sypialni Ottona. Za oknem ma kawałek dachu, skośny, kryty dachówką, osłaniający frontową werandę. Przytrzymuje go seria kolumn, po których można się wspiać. Dostanie się tu bądź wyjście stąd nie byłoby wcale takie trudne, nawet w środku nocy.

Moje stopy instynktownie przyspieszają kroku, gdy przechodzę przez korytarz, powtarzając sobie, że Otto jest bezpieczny, że żaden intruz z pewnością nie wspiałby się do niego na piętro. Ale w tej chwili nie mam pewności. Naciskam

klamkę i bezszelestnie otwieram drzwi przerażona tym, co zastanę po drugiej stronie. Otwarte okno, puste łóżko. Ale nie. Otto tu jest. Cały i zdrowy.

Jakiś czas stoję w drzwiach i przyglądam się mu, wstrzymując oddech, aby go nie obudzić. Wygląda tak spokojnie, choć koc odkopał na sam skraj łóżka, a poduszkę zrzucił na podłogę. Jego głowa spoczywa płasko na materacu. Sięgam po koc i naciągam na niego, przypominając sobie czasy, gdy był mały i prosił, żebym z nim spała. Kiedy kładłam się obok, zarzucał mi na szyję ciężką rękę i przytrzymywał, nie wypuszczając przez całą noc. Tak szybko dorósł. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu.

Następnie sprawdzam sypialnię Imogen. Kładę dłoń na klamce i próbuję nacisnąć, starając się nie hałasować. Ale nie ustępuje. Drzwi są zamknięte od wewnątrz. Nie mogę się dowiedzieć, co z nią.

Odwracam się od nich i cichutko schodzę na dół. Psy drepczą tuż za mną, ale jak dla nich poruszam się stanowczo za wolno. W pewnym momencie mijają mnie i pędem pokonują resztę stopni, zmierzając wprost do tylnych drzwi, ich pazury stukają o deski podłogi niczym klawisze maszyny do pisania.

Przystaję przed frontowymi drzwiami i wyglądam przez boczne okienko. Pod tym kątem dostrzegam fragment domu Bainesów. Nawet o tak późnej porze wciąż panuje tam ruch, światło zalewa wnętrze, garstka ludzi kręci się w środku. Policja prowadzi poszukiwania. Ciekawa jestem, co znajdą.

Psy skomlą w kuchni, odciągając moją uwagę od okna. Chcą wyjść na dwór. Ruszam za nimi i otwieram rozsuwane szklane drzwi, a one wypadają na podwórko, zmierzając biegiem wprost w kąt, gdzie ostatnio zaczęły wykopywać dziury w trawie. Kopanie to ich najnowszy nawyk, okropnie mnie irytuje. Klaszczę głośno, by je powstrzymać.

Parzę sobie kubek herbaty i siadam przy kuchennym stole. Zaczynam szukać czegoś do roboty. Nie ma sensu wracać do łóżka, bo wiem, że nie zasnę. Nie istnieje nic gorszego niż leżenie w ciemności i niespokojne rozmyślanie, zamartwianie się rzeczami, na które nic nie poradzę.

Na brzegu stołu leży książka, którą czytał Will, reportaż kryminalny z zakładką wciśniętą w środek. Zabieram książkę do salonu, zapalam lampę i sadowię się na żółciutkiej kanapie Alice, przykrywając kolana kapą. Otwieram książkę. Przypadkiem zakładka Willa wypada, lądując na podłodze obok mojej stopy.

– Szlag – mrużę, sięgając po nią. Głupio mi, że Will stracił zaznaczone miejsce.

Ale wyrzuty trwają tylko moment, po czym zastępuje je coś innego. Zazdrość? Gniew? Współczucie? A może zdumienie? Bo z książki wyleciała nie tylko zakładka. Bo jest tam też zdjęcie Erin, pierwszej narzeczonej Willa, kobiety, którą miał poślubić zamiast mnie. Zachłystuję się głośno, moja dłoń zatrzymuje się milimetry od twarzy, serce przyspiesza. Dlaczego Will ukrywa zdjęcie Erin w książce? Czemu w ogóle wciąż je ma?

Fotka jest stara, ma może dwadzieścia lat, Erin wygląda na niej na osiemnasto-, dziewiętnastolatkę. Włosy ma rozczochrane, uśmiech beztroski i promienny. Patrzę na nią, w jej oczy i czuję zazdrość, widząc, jaka jest piękna. Jaka fascynująca.

Ale jak mogę być zazdrosna o kobietę, która nie żyje?

Umawiałam się z Willem ponad miesiąc, nim wspomniał jej imię. Gdy wciąż byliśmy na etapie absolutnego zauroczenia, wszystko wydawało się ważne i istotne i godzinami gadaliśmy przez telefon. Nie miałam zbyt wiele do powiedzenia o przeszłości, zamiast tego opowiadałam o planach na przyszłość, o wszystkim, co kiedyś zamierzam zrobić. Kiedy się poznaliśmy, Will nie wiedział jeszcze, czego chce, toteż opowiadał o przeszłości. O psie z dzieciństwa. O ojczymie, u którego zdiagnozowano raka, i o tym, że jego matka miała trzech mężów. A także o Erin, kobiecie, którą miał poślubić, kobiecie, z którą był zaręczony kilka miesięcy przed jej śmiercią. Kiedy o niej mówił, rozplakał się. Niczego nie ukrywał i kochałam go za to, za tę ogromną zdolność do miłości.

Wcześniej przez całe życie nie widziałam płaczącego dorosłego mężczyzny.

W owym czasie smutek z powodu utraty narzeczonej przez Willa jeszcze bardziej mnie pociągał. Will był złamany niczym motyl bez skrzydeł. Chciałam stać się osobą, która go uleczy.

Minęły lata, nim znów usłyszałam jej imię. Nie żebyśmy o niej rozmawiali, ale od czasu do czasu ktoś wspomina o innej Erin i zapada cisza. Imię to niesie ze sobą ciężar. Nie pojmowałam jednak, czemu Will wykopał Bóg wie skąd to zdjęcie i nosi je ze sobą. Dlaczego teraz, po tylu latach?

Muskam palcami fotkę, ale nie mam ochoty jej podnosić. Jeszcze nie. Wcześniej widziałam inne zdjęcie Erin, to, które Will pokazał mi kiedyś na moją prośbę. Nie chciał, ale nalegałam, pragnęłam wiedzieć, jak wyglądała. Kiedy poprosiłam

o zdjęcie, pokazał mi je niechętnie, nie był pewien, jak zareaguję. Staralam się zachować pokerową twarz, ale nie mogłam zaprzeczyć, że wewnątrz poczułam ostry ból. Erin była przepiękna.

I w tym momencie zrozumiałam: Will kochał mnie tylko dlatego, że Erin umarła. Byłam jego drugim wyborem.

Teraz przesuwam palcem po jasnej skórze Erin. Nie mogę być zazdrosna. Po prostu nie mogę. I nie mogę się wściekać. Okazałabym brak wrażliwości, żądając, by wyrzucił to zdjęcie. Ale siedzę tu teraz, po tylu latach, i czuję się, jakbym grała drugie skrzypce przy wspomnieniu nieżyjącej kobiety.

Sięgam po fotkę i tym razem przytrzymuję ją w dłoni. Nie pozwolę sobie na tchórzostwo, wpatruję się w nią. W jej twarzy dostrzegam coś dziecinnego, coś surowego, buńczucznego i czuję ogromną ochotę, by skarcić ją za to, o czym myśli, wydymając wargi do kamery, jednocześnie bezczelnie i prowokująco.

Wciskam zdjęcie i zakładkę z powrotem między kartki, wstaję z kanapy i zanoszę książkę na kuchenny stół. Zostawiam ją tam, tracąc wszelką ochotę na lekturę.

Psy tymczasem zaczęły szczekać. Nie mogę zostawić ich na dworze hałasujących w środku nocy, więc otwieram drzwi i wołam, ale nie przychodzą. Żeby zwrócić na siebie ich uwagę, muszę wyjść na podwórko. Taras pod nogami jest zimny jak lód, ale to drobiazg w porównaniu z tym, co czuję wewnątrz, gdy pochłania mnie ciemność. Kuchenne światło blednie szybko za mną i otacza mnie grudniowa noc.

Nic nie widzę. Gdyby ktoś tu był, stał w ciemności na podwórku, nie wiedziałabym. I nagle atakuje mnie niechciana myśl, ślina staje mi w gardle i się krztuszę.

Psy mają o wiele bardziej wyczulone zmysły od ludzi, widzą znacznie lepiej w ciemności. Zastanawiam się, co takiego widzą, czego ja nie dostrzegam, na co szczekają.

Syczę w mrok, wołając cicho obie suki. Jest środek nocy, nie chcę krzyczeć, ale za bardzo się boję, by pójść dalej, niż jestem.

Skąd wiadomo, czy w pobliżu nie czai się zabójca Morgan Baines?

Skąd mam wiedzieć, czy psy nie szczekają, bo w moim ogrodzie jest morderca?

Oświetlona padającym z tyłu blaskiem, czuję się jak ryba w akwarium.

Sama nic nie widzę, ale ktokolwiek tam jest – jeśli jest – z pewnością widzi mnie.

Bez zastanowienia gwałtownie cofam się o krok. Strach działa obezwładniająco, czuję ogromną potrzebę, by wrócić biegiem do kuchni, zamknąć za sobą drzwi na klucz i zaciągnąć zasłony. Ale czy psy same obronią się przed zabójcą? I wtedy nagle przestają szczekać i sama nie wiem, co przeraża mnie bardziej: ich głosy czy cisza.

Serce wali mi jeszcze mocniej, po skórze przemyka mrowienie, dreszcz wzdłuż rąk. Wyobrażnia szaleje, zastanawiając się, jakież to straszliwy stwór stoi na moim podwórku.

Nie mogę tak stać i czekać, aż się dowiem. Znów klaszczę, ponownie wzywając psy. Pośpiesznie wracam do środka po ciasteczka i gorączkowo potrząsam puszką. Tym razem, dzięki Bogu, wracają. Otwieram puszkę, wysypuję pół tuzina przysmaków na podłogę w kuchni, a potem zamykam drzwi na klucz i zasłaniam starannie.

Z powrotem na górze sprawdzam, co u chłopców. Wyglądają dokładnie tak jak wcześniej.

Ale tym razem, kiedy przechodzę, widzę, że drzwi Imogen są uchylone o centymetr. Nie są już zamknięte. Nie są zamknięte. Do wąskiego, ciemnego korytarza dociera tylko tyle światła, żebym nie poruszała się całkiem na oślep. Lekki blask lampy w salonie pomaga mi widzieć.

Mój wzrok wędruje do wąskiej szczeliny pomiędzy drzwiami a framugą. Nie wyglądały tak ostatnio, kiedy tu byłam. Pokój Imogen, podobnie jak Ottona, wychodzi na ulicę. Podchodzę do drzwi i napieram na nie, uchylając o kolejnych parę centymetrów, dostatecznie, by zajrzeć do środka. Leży tam na łóżku, odwrócona do mnie plecami. Jeśli nawet udaje sen, to bardzo przekonująco. Oddycha głęboko, rytmicznie, widzę, jak kołdra podnosi się i opada. Zasłony ma rozsunięte, do środka wpadają promienie księżyca, okno i drzwi są uchylone o parę centymetrów. Wewnątrz panuje lodowaty chłód, ale nie śmiem wejść do środka, żeby je zamknąć.

Z powrotem w naszej sypialni potrząsam Willem i budzę go. Nie powiem mu o Imogen, bo tak naprawdę nie ma o czym – równie dobrze mogła wstać, żeby

skorzystać z łazienki, zrobiło jej się gorąco i otworzyła okno. To nie zbrodnia, choć gdzieś z tyłu głowy wciąż kryją się inne pytania.

Dlaczego nie usłyszałam spuszczonej wody?

Czemu przechodząc korytarzem pierwszy raz, nie zauważyłam zimna sączącego się z pokoju?

– O co chodzi? Co się stało? – pyta zaspany Will.

– Chyba coś jest na podwórzu – mówię, gdy ociera oczy.

– To znaczy co? – Odchrząka, oczy ma opuchnięte, głos ciężki od snu.

Odczekuję sekundę.

– Nie wiem. – Pochyliam się ku niemu. – Może człowiek.

– Człowiek? – Will prostuje się szybko i opowiadam mu, co się właśnie stało, że coś bądź ktoś na podwórku spłoszył psy. Mój głos załamuje się nerwowo. Will to zauważa.

– Widziałaś jakiegoś człowieka? – pyta, ale odpowiadam, że nie, niczego nie widziałam. Że po prostu wiem o tym, iż ktoś tam był. Podpowiada mi to instynkt.

Will gładzi moją dłoń.

– Mocno to tobą wstrząsnęło, prawda? – mówi ze współczuciem.

Obejmuję moje ręce, czując, jak drżą. Odpowiadam, że owszem, sądząc, iż wstanie z łóżka i pójdzie sprawdzić, czy ktoś jest na podwórzu. Zamiast tego jednak zaczyna budzić we mnie wątpliwości, niezamierzenie; nie traktuje mnie protekcjonalnie, odgrywa raczej rolę głosu rozsądku.

– A może to kojot? Szop albo skunks? Jesteś pewna, że to nie jakieś zwierzę zdenerwowało psy?

Gdy to mówi, rozwiązanie wydaje się tak proste, tak oczywiste. Zastanawiam się, czy ma rację. To by wyjaśniało poirytowanie suk. Może wyczuły jakieś stworzenie krążące po podwórku? To przecież psy myśliwskie, naturalnie chciałyby je dopaść. Oto znacznie logiczniejsze wyjaśnienie niż to, że po trawniku przechadza się morderca. Bo czego by od nas chciał? Wzruszam ramionami w ciemności.

– Może – przyznaję.

Czuję się niemądrze, choć nie do końca. Zeszłej nocy przy naszej ulicy doszło do morderstwa, a zabójcy nie schwytano. Nie jest całkiem nieracjonalne sądzić, że

wciąż gdzieś się kręci.

– Rano możemy wspomnieć o tym funkcjonariuszowi Bergowi – uspokaja mnie Will. – Poprosić, żeby to sprawdził. Spytamy też, czy w okolicy nie kręcą się kojoty. Dobrze wiedzieć, czy musimy mieć oko na psy.

Czuję wdzięczność, że tak mi pobłąza, ale mówię, że nie.

– Z pewnością masz rację. – Wślizguję się do łóżka obok niego, wiedząc, że nadal nie zdołam zasnąć. – To był pewnie kojot. Przepraszam, że cię obudziłam, wracaj do łóżka – mówię i robi to, obejmując mnie ciężkim ramieniem, chroniąc przed tym, co kryje się po drugiej stronie drzwi.

Sadie

Przytomnieję, kiedy Will wymawia moje imię. Musiałam odpłynąć. Stoi koło mnie, obdarzając mnie spojrzeniem. Typowym dla Willa, pełnym troski.

– Gdzie byłaś? – pyta, a ja rozglądam się, żeby sprawdzić, gdzie jestem. Nagły ból głowy niemal mnie powala, robi mi się słabo.

– Nie wiem – mówię, nie pamiętając, o czym rozmawialiśmy, nim odpłynęłam.

Zerkam w dół i widzę, że rozpiął mi się guzik koszuli, odsłaniając kawałek czarnego stanika. Zapinam go i przepraszam, że wyłączyłam się w środku rozmowy.

– Po prostu jestem zmęczona. – Pocieram oczy, patrząc na stojącego przede mną Willa, otaczającą nas kuchnię.

– Wyglądasz na zmęczoną – przyznaje Will i czuję wzbierające wewnątrz zdenerwowanie.

Zerkam na podwórko, spodziewając się, że coś będzie nie tak. Że dostrzegę ślady nocnego intruza, ale nie. Mimo wszystko jednak najeżam się, wspominając, co czułam, gdy tak stałam w ciemności, błagając, aby psy wróciły.

Chłopcy siedzą przy stole, dojadają resztki śniadania. Will stoi przy blacie, napełnia kubek, podaje mi. Z radością przyjmuję kawę i pociągam głęboki łyk.

– Nie spałam dobrze – mówię, nie chcąc przyznać się, że w ogóle nie spałam.

– Chcesz o tym pogadać? – pyta, choć przecież nie bardzo jest o czym. Powinien widzieć dlaczego, zaledwie dwa dni temu w domu po drugiej stronie ulicy zamordowano kobietę.

Przemykam wzrokiem ponad Tate'em i mówię, że nie, bo nie jest to rozmowa, której powinien słuchać. Póki możemy, staram się nie naruszać niewinności dzieci.

– Wystarczy ci czasu na śniadanie? – pyta Will.

– Nie dzisiaj. – Zerkam na zegar i przekonuję się, że jest później, niż sądziłam. Muszę ruszać. Zaczynam zbierać rzeczy, torbę, płaszcz. Torba Willa czeka obok

stołu. Zastanawiam się, czy wsadził do środka swoją książkę, tę z ukrytym w środku zdjęciem Erin. Nie mam odwagi, żeby o nim wspomnieć.

Całuję Tate'a na pożegnanie, wyciągam słuchawki z uszu Ottona i mówię, żeby się pospieszył. Podjeżdżam do promu, po drodze praktycznie nie rozmawiamy z synem. Kiedyś byliśmy bardzo blisko, ale czas i okoliczności oddaliły nas od siebie. Staram się nie brać tego osobiście. Ilu nastolatków pozostaje blisko z matką? Niewielu, jeśli w ogóle tacy są. Ale Otto to wrażliwy chłopiec, inny od reszty. Wysiada z wozu, rzucając mi szybkie pożegnanie. Patrzę, jak przechodzi po trapie z metalowych kratownic i wsiada na prom wraz z innymi porannymi podróżnymi. Ciężki plecak zarzucił na plecy. Nigdzie nie widzę Imogen.

Jest dwadzieścia po siódmej. Pada deszcz, fala kolorowych parasolek przelewa się ulicą wiodącą do promu. Dwaj chłopcy mniej więcej w wieku Ottona przebijają się na pokład za nim, ze śmiechem mijając go w wejściu. Mówię sobie, że śmieją się z jakiegoś prywatnego żartu, nie z niego, ale żołądek i tak zaciska mi się mocno na myśl, jak samotnie musi czuć się Otto, wyrzutek bez żadnych przyjaciół.

Wewnątrz promu jest mnóstwo miejsc siedzących, ciepłych i suchych, Otto jednak wspina się na najwyższy pokład, stając w deszczu bez parasola. Patrzę, jak majtkowie podnoszą trap i odcumowują prom, który odbija od brzegu i odpływa w mgliste morze, odbierając mi Ottona.

Dopiero wtedy widzę funkcjonariusza Berga. Patrzy na mnie. Stoi po drugiej stronie ulicy obok swojego forda, oparty o drzwi od strony pasażera. W rękach trzyma kawę i bułeczkę cynamonową, jedynie krok od najbardziej stereotypowego glińskiego pączka. Kiedy do mnie macha, odnoszę wrażenie, że cały czas mnie obserwował, patrzył, jak odprowadzam syna wzrokiem. Uchyła czapki, kiwam do niego przez szybę.

Zazwyczaj na tym etapie zawracam i wjeżdżam na wzgórze tą samą drogą, którą przyjechałam. Ale nie mogę tego zrobić na oczach policjanta, a zresztą to nie ma znaczenia, bo funkcjonariusz Berg porzucił już swój posterunek i idzie ulicą w moją stronę. Gestem pokazuje spuszczenie szyby. Naciskam przycisk i otwieram okno, do środka natychmiast wpraszają się krople deszczu, osiadając na wewnętrznej stronie drzwi. Funkcjonariusz Berg też nie ma parasola, naciągnął na głowę kaptur kurtki przeciwdeszczowej, wyraźnie nie przejmując się pogodą.

Wpycha do ust ostatni kęs bułeczki cynamonowej i popija haustem kawy.

– Dzień dobry, doktor Foust.

Jak na policjanta ma życzliwą twarz, brak w niej zwykłej kamiennej stanowczości, która natychmiast kojarzy mi się z przedstawicielem władzy. Jest w nim coś miłego, odrobina niezręczności i niepewności, która mi się podoba.

Życzę mu miłego dnia.

– Co za dzień. – On na to, a ja:

– Paskudny, prawda?

Według prognoz nie ma padać cały dzień, ale w najbliższym czasie słońce raczej się nie pojawi. Tu, gdzie mieszkamy, na wybrzeżu stanu Maine, ocean łagodzi klimat, temperatury nie spadają tak nisko jak w Chicago o tej porze roku, choć wciąż jest chłodno.

Słyszeliśmy, że czasem zatoka zamarza zimą i promy muszą przebijać się przez krę, żeby dostarczyć ludzi na ląd i z powrotem. Ponoć pewnej zimy prom utknął i pasażerowie musieli przejść po lodzie, by dotrzeć na brzeg, nim straż przybrzeżna zjawiała się, aby go uwolnić.

Niepokojąca myśl, i szczerze mówiąc, nieco przytłacza mnie świadomość, że mogłabym zostać uwięziona na wyspie, odcięta od reszty świata wielkimi płytami lodu.

– Wcześniej dziś pani wstała – mówi funkcjonariusz Berg.

– Jak i pan – podkreślam.

– Obowiązek wzywa. – Stuka palcem w odznakę.

– Mój także – mówię z palcem gotowym, by podnieść szybę i ruszyć w drogę.

Joyce i Emma mnie oczekują i jeśli wkrótce się nie zjawię, znów cały dzień będę musiała słuchać kąśliwych uwag. Joyce pilnie przestrzega punktualności.

Funkcjonariusz Berg zerka na zegarek i zgaduje, że klinikę otwieramy około wpół do dziewiątej. Odpowiadam, że owszem.

– Ma pani chwilkę, doktor Foust? – pyta.

Mówię, że krótką.

Podjeżdżam bliżej chodnika i parkuję. Funkcjonariusz Berg okrąży maskę z przodu i wsiada od strony pasażera. Od razu przechodzi do rzeczy.

– Wczoraj skończyłem rozmowy z sąsiadami. Zadawałem im te same pytania, co pani i panu Foustowi – mówi i z jego tonu wnoszę, że nie jest to tylko zwykła

informacja o rozwoju śledztwa, choć to właśnie ona najbardziej mnie interesuje. Chcę, żeby Berg powiedział mi, że są gotowi aresztować podejrzanego, żebym mogła lepiej sypiać w nocy, wiedząc, iż zabójca Morgan trafił za kratki.

Tego ranka, zanim dzieci wstały, Will poszukał w sieci informacji na temat jej zabójstwa. Znalazł artykuł opisujący szczegółowo, jak znaleziono Morgan w domu, przedstawiał fakty nowe dla mnie i dla Willa. Na przykład to, że policja znalazła liściki z pogrózkami w domu Bainesów, choć nie zdradzili jakimi. Ostatniej nocy policja opublikowała też nagranie wezwania ich córeczki. Wisiało teraz w sieci, klip audio sześciolatki, z trudem powstrzymującej łzy i mówiącej operatorce po drugiej stronie linii: *Nie chce się obudzić. Morgan nie chce się zbudzić.*

W artykule nie wspomniano jej imienia, cały czas pisano *sześciolatka*, bo nieletni na szczęście mogą liczyć na pewną anonimowość, której pozbawieni są dorośli.

Leżeliśmy z Willem w łóżku, laptop między nami, trzy razy odsłuchując nagranie. Rozdzierało serca. Dziewczynka zdołała zachować względny spokój podczas trwającej kilka minut rozmowy. Potem dyspozytorka wysłała pomoc, cały czas pozostając na linii. Ale coś w nagraniu nie dawało mi spokoju, coś, czego nie potrafiłam określić. Nieustannie mnie dręczyło i dopiero za trzecim razem w końcu usłyszałam.

– Nazywa swoją matkę Morgan? – spytałam Willa, bo mała nie powiedziała, że nie może dobudzić matki. Powiedziała Morgan. – Dlaczego? – zdziwiłam się.

– Morgan jest jej macochą. – Przełknął głośno ślinę, starając się nie rozplakać. – To znaczy była jej macochą.

– Aaa. – Nie miałam pojęcia, jakie to ma znaczenie, ale najwyraźniej miało. – Jeffrey był wcześniej żonaty?

Oczywiście nie zawsze tak jest, dzieci rodzą się także poza małżeństwem, ale uznałam, że warto spytać.

– Tak – odparł Will i nie mówił nic więcej. Zastanawiam się nad pierwszą żoną Jeffrey'a, kim była, czy nadal mieszka z nami na wyspie. Will również pochodził z rozbitej rodziny, stanowiło to dla niego czuły punkt.

– Jak długo Jeffrey i Morgan byli małżeństwem? – pytam, zastanawiając się, co jeszcze mu powiedziała.

– Nieco ponad rok.

– To nowożeńcy.

– Już nie, Sadie – poprawia mnie ponownie Will. – On jest wdowcem. Ona nie żyje.

Potem przestaliśmy rozmawiać, czytaliśmy dalej w milczeniu.

Teraz, siedząc w wozie obok funkcjonariusza Berga, zastanawiam się nad śladami włamania – wybitym oknem, rozwaloną framugą – i krwią. Czy na miejscu zbrodni była krew? Może rany wskazujące na obronę, na rękach Morgan? Czy próbowała walczyć z intruzem? A może dziewczynka widziała napastnika albo słyszała krzyki macochy?

Nie pytam o to funkcjonariusza Berga. Od zabójstwa biedaczki minęła ponad doba, bruzdy przecinające jego czoło są dziś głębsze niż poprzednio, widzę, że ciężar śledztwa go przygniata, i w tym momencie pojmuję: nie jest wcale bliższy rozwiązania sprawy niż wczoraj. Serce ściska mi się boleśnie.

– Czy znaleźliście już pana Bainesa? – pytam, a on mówi, że jest już w drodze, choć podróż z Tokio z przesiadką na LAX i JFK zajmie dwadzieścia cztery godziny, więc zjawi się dopiero wieczorem. – Znaleźliście jej komórkę? To mogłoby naprowadzić was na jakiś ślad.

Kręci przecząco głową, mówiąc, że szukali, ale bez powodzenia.

– Istnieją sposoby, by odszukać zaginioną komórkę, ale jeśli bateria się wyładowała, nie zadziałają. Zdobycie nakazu na billingi od operatora wymaga czasu i sporo wysiłku, ale pracujemy nad tym – dodaje.

Potem poprawia się w fotelu, odwraca ku mnie, kierując kolana w moją stronę, i uderza niezręcznie w dźwignię zmiany biegów. Na kurtce i we włosach iskrzą się krople deszczu, nad wargą pozostały ślady lukru.

– Wczoraj powiedziała pani, że nigdy nie poznała pani Baines – mówi, a ja z trudem odrywam wzrok od lukru.

– Zgadza się. Nigdy się nie spotkałyśmy.

W sieci widziałam zdjęcie tej kobiety, według gazety miała dwadzieścia osiem lat, jedenaście lat mniej ode mnie. Na zdjęciu stała w otoczeniu rodziny, szczęśliwy mąż u boku, pasierbica z drugiej strony, wszyscy wystrojeni w pasujące do siebie ciuchy i promiennie uśmiechnięci. Miała piękny uśmiech, lekko odsłaniający dziąsła, ale poza tym uroczy.

Funkcjonariusz Berg rozpina kurtkę przeciwdeszczową i sięga za pazuchę. Z wewnętrznej suchej kieszeni wyciąga tablet, stuka palcem w ekran, szukając

czegoś. Gdy odnajduje właściwe miejsce, odchrząka i odczytuje mi moje słowa.

– Wczoraj powiedziała pani *Nie miałam czasu, żeby zajrzeć i się przedstawić*, pamięta to pani? – pyta, a ja odpowiadam, że tak, choć teraz brzmi to zbyt lekko, prawdę mówiąc, nieco bezlitośnie, biorąc pod uwagę, że ta kobieta nie żyje. Powinnam była dodać coś empatycznego w stylu *Chociaż żałuję*, odrobinę, aby zmniejszyć lekceważące brzmienie moich słów.

– Rzecz w tym, doktor Foust – zaczyna policjant – iż twierdziła pani, że nie знаła pani Baines, a jednak wygląda na to, że się znałyście. – I choć ton jego głosu brzmi życzliwie, to samo pytanie już nie.

Właśnie oskarżył mnie o kłamstwo.

– Słucham? – Patrzę na niego zdumiona.

– Wygląda na to, że znała pani Morgan Baines.

Na zewnątrz leje jak z cebra, deszcz łomocze o dach samochodu niczym młotki o blaszane puszkę. Myślę o Ottonie, zupełnie samym na górnym pokładzie promu, zlanym wodą, i czuję, jak ściska mnie w gardle. Przetykam szybko. Zamykam okno, żeby nie wpuszczać do środka deszczu. Z rozmysłem patrzę funkcjonariuszowi w oczy.

– Jeśli fakt, że raz pomachałam jej przez szybę jadącego wozu, nie liczy się jako znajomość, to nie znałam Morgan Baines. Dlaczego sądzi pan inaczej?

A on wyjaśnia ponownie, tym razem ze szczegółami, jak to sprawdził całą ulicę, rozmawiał ze wszystkimi sąsiadami, zadając te same pytania, co Willowi i mnie. Kiedy dotarł do domu George'a i Poppy Nilssonów, zaprosili go do kuchni na herbatę i pierniczki imbirowe. Mówi, iż spytał Nilssonów, co robili w noc śmierci Morgan, tak samo jak Willa i mnie. Czekam, by usłyszeć odpowiedź, sądząc, że funkcjonariusz Berg wyjaśni, iż starsza para siedziała tej nocy w salonie, wyglądała przez okno i zauważyła zabójcę wmykającego się spod osłony ciemności do domu Bainesów.

Ale on mówi co innego.

– Jak pewnie można się spodziewać po osiemdziesięcioparolatkach, George i Poppy spali. – Wypuszczam wstrzymywany oddech. Nilssonowie nic nie widzieli.

– Nie rozumiem, funkcjonariuszu. – Zerkam na zegar na desce rozdzielczej, wiedząc, że wkrótce muszą jechać. – Skoro Nilssonowie spali, to... co?

Bo oczywiście, że jeśli spali, niczego nie mogli widzieć ani słyszeć.

– Spytałem też Nilssonów, czy widzieli coś nietypowego w ciągu ostatnich kilku dni. Nieznajomych kręcących się w pobliżu, obce samochody parkujące na ulicy.

– Tak, tak – przytakuję szybko, bo mnie i Willa pytał o to samo. – I? – naciskam, starając się go popędzić, żebym mogła jechać do pracy.

– Cóż, tak się składa, że faktycznie widzieli coś nietypowego. Coś, czego wcześniej nie oglądali. A to sporo znaczy, ponieważ pół życia mieszkają przy tej ulicy. – Stuka palcem w tablet, odnajdując rozmowę z panem i panią Nilssonami.

Zaczyna opisywać mi popołudnie w zeszłym tygodniu. Był piątek, pierwszy grudnia, pogodny dzień, błękitne niebo, ani jednej chmurki. Rześko, chłodno, ale nie mroźno, wystarczył gruby sweter albo lekka kurtka. George i Poppy wybrali się na popołudniowy spacer, wyjaśnia funkcjonariusz Berg, i właśnie wracali do domu, wspinając się po stromej ulicy. Gdy dotarli na szczyt, George przystanął, by odetchnąć, i zatrzymał się przed domem Bainesów.

Berg mówi dalej, że pan Nilsson poprawił koc na kolanach Poppy, aby się nie przeziębila. Gdy to robił, coś go zainteresowało. To były podniesione głosy kobiet wrzeszczących na siebie, choć nie miał pewności, co dokładnie krzyczały.

– Jakież to okropne – mówię, a on przytakuje, dodając, że biednym George'em naprawdę to wstrząsnęło, nigdy wcześniej niczego takiego nie słyszał, a to wiele znaczy w ustach człowieka w jego wieku. – Ale co to ma wspólnego ze mną? – pytam, a on znów sięga po tablet.

– George i Poppy tylko chwilę stali na ulicy, ale wystarczyło, bo kobiety wynurzyły się z cienia drzewa i George wyraźnie zobaczył kto to.

– I kto? – pytam nieco zdyszana.

Berg odczekuje moment.

– To była pani Baines – mówi – i pani.

I z odtwarzacza w tablecie puszcza mi zeznanie pana Nilssona.

– Kłóciła się z tą nową doktorką z naszej ulicy. Obie krzyczały i wrzeszczały, wściekle jak osy. Nim zdążyłem się wtrącić, doktorka złapała panią Morgan za włosy i wyrwała jej garść. Potem odeszła szybko, a my z Poppy pospiesziliśmy do domu. Nie chcieliśmy, żeby sobie pomyślała, że weszliśmy czy coś, inaczej mogłaby nas potraktować tak samo.

Funkcjonariusz Berg zatrzymuje nagranie, odwraca się do mnie.

– Czy to brzmi jak utarczka między kobietami, które nigdy wcześniej się nie spotkały?

Ja jednak siedzę tam oniemiała. Nie potrafię odpowiedzieć. Dlaczego George Nilsson wymyślił coś tak okropnego?

Funkcjonariusz Berg nie czeka na odpowiedź, kontynuuje.

– Czy często, doktor Foust, wyrywa pani garstki włosów nieznanym kobietom?

Odpowiedź oczywiście brzmi *nie*, choć wciąż nie jestem w stanie wydać z siebie głosu.

– Potraktuję pani milczenie jako zaprzeczenie. – Jego dłoń sięga ku drzwiom, otwiera je, walcząc z naporem wiatru. – Zostawię z tym panią – mówi – żeby mogła pani jechać do pracy.

– Nigdy nie rozmawiałam z Morgan Baines – udaje mi się wykrztusić, nim wyjdzie, choć słowa nie brzmią zbyt przekonująco.

Policjant wzrusza ramionami.

– W takim razie w porządku – rzuca, wychodząc na deszcz.

Nie mówi jednak, że mi wierzy.

Nie musi.

Myszka

Kiedys, dawno temu, żyła sobie dziewczynka, która nazywała się Myszka. To znaczy nie miała tak naprawdę na imię, ale odkąd pamięta, ojciec ją tak nazywał. Dziewczynka nie wiedziała, czemu ojciec zwie ją Myszka. Nie pytała, bo bała się, że jeśli zwróci na to uwagę, ojciec przestanie posługiwać się tym przydomkiem, a tego nie chciała. Lubiła, kiedy mówił do niej *Myszka*, bo było to coś wyjątkowego między nią a ojcem, choć nie wiedziała dlaczego.

Myszka wiele razy o tym rozmyślała, miała różne pomysły na temat tego, czemu ojciec ją tak zwie. Miała słabość do sera. Czasami gdy wyciągała z kłębowiska długie kawałki mozzarelli, układając je na języku, myślała, że może dlatego nazwał ją Myszka, bo też bardzo lubi ser. A może ojciec sądził, że wygląda jak myszka? Może znad górnej wargi wyrastają jej wąsiki, tak malutkie, że sama ich nie widziała, ale ojciec czasem tak? Myszka często chodziła do łazienki, wdrapywała się na umywalkę, przyciskała twarz do lustra, by móc poszukać wąsików. Raz nawet zabrała szkło powiększające, przytrzymała je między ustami a odbiciem, ale wciąż niczego nie dostrzegła. Może, uznała, nie ma to nic wspólnego z wąsikami, lecz z brązowymi włosami, dużymi uszami i wielkimi przednimi zębami.

Ale Myszka nie miała pewności. Czasami sądziła, że chodzi o jej wygląd, czasem, że wcale nie, ale o wszystko inne. Choćby ciasteczka maślane firmy Salerno, które czasami jadali z ojcem na deser. Może to przez nie nazwał ją Myszka?

Myszka uwielbiała ciasteczka maślane Salerno bardziej niż jakiegokolwiek inne, nawet domowe. Nabijała je sobie na palec, przewlekając przez dziurkę, i chrupała, skubiąc dookoła, tak jak myszka obgryzająca kawałek drewna.

Zwykle jadła ciasteczka przy stole w jadalni, ale pewnego wieczoru, kiedy tata odwrócił się plecami, zanosząc naczynia do zlewu, wsunęła kilka dodatkowych do kieszeni na nocną przekąskę. Na wypadek gdyby ona lub jej miś zgłodnieli.

Myszka wstała od stołu i próbowała zakraść się do sypialni z ciasteczkami w kieszeniach, choć wiedziała, że wciśnięte tam szybko zamienią się w okruchy.

Dla niej nie miało to znaczenia. Okruchy przecież smakują równie dobrze jak całe ciastka.

Ale ojciec przyłapał ją na gorącym uczynku. Nie nakrzyczał na nią, nigdy jej nie upominał, nie musiał. Zamiast tego zaczął żartować, że zbiera jedzenie i chowa gdzieś w sypialni tak jak myszy magazynujące resztki w ścianach ludzkich domów.

Myszka nie sądziła jednak, by to dlatego tak właśnie ją nazwał.

Bo wtedy już była Myszka.

Myszka miała bujną wyobraźnię, uwielbiała wymyślać historie, nigdy nie zapisywała ich na papierze, ale układała w głowie, gdzie nikt inny nie mógł ich zobaczyć. W jej historiach występowała dziewczynka o imieniu Myszka, która mogła robić wszystko, co tylko chciała, nawet fikołki na Księżycu, jeśli tego pragnęła, bo nie potrzebowała niemądrych rzeczy takich jak tlen czy grawitacja. Niczego się nie bała, bo była nieśmiertelna. Nieważne, co zrobiła, nikt nie mógł skrzywdzić wymyślonej Myszkki.

Myszka uwielbiała rysować, ściany jej sypialni pokrywały obrazki przedstawiające ojca i ją, ją i misie. Całymi dniami bawiła się w udawane scenki. Jej pokój, jedyny na drugim piętrze starego domu, pękał w szwach od lalek, zabawek i pluszowych zwierzątek. Każde zwierzę miało własne imię. Jej ulubieńcem był pluszowy brązowy niedźwiedź, pan Miś. Myszka miała też dom dla lalek, zestaw kuchenny z udawanymi garnkami, patelniami i skrzynkami plastikowego jedzenia. Miała serwis herbaciany. Bardzo lubiła sadzać lalki i zwierzęta w kółku na podłodze, na brzeżku pasiastego chodnika ze szmatek, i podawać każdemu maleńki kubek herbaty i plastikowego pączka. Znajdowała na półce jakąś książkę i czytała głośno przyjacielom, a potem układała ich do snu.

Czasami jednak Myszka nie bawiła się zwierzętami i lalkami.

Czasami stała na łóżku i udawała, że podłoga dokoła to rozpalona lawa wylewająca się z wulkanu po drugiej stronie pokoju. Nie mogła nadepnąć na podłogę, bo to groziło śmiercią. W takie dni Myszka gramoliła się z łóżka na biurko, w bezpieczne miejsce. Stąpała niepewnie po małym białym blacie – nogi biurka chybotwały się pod nią, grożąc złamaniem. Myszka nie była zbyt duża, ale stare biurczko i tak ledwie się trzymało, nie przeznaczono go do utrzymywania ciężaru sześciolatki. Nie miało to jednak znaczenia, bo wkrótce Myszka

ześlizgiwała się już do kosza na pranie pełnego brudnych ubrań. Cały czas uważała, żeby nie stanąć na podłogę, i oddychała z ulgą, kiedy znalazła się bezpiecznie w koszu. Bo choć kosz stał na podłodze, był bezpieczny. Nie mogła pochłonąć go lawa, bo zrobiono go z tytanu, a Myszka wiedziała, że tytan się nie topi. Była bystrą dziewczynką, mądrzejszą niż jakakolwiek inna znana jej w jej wieku.

Wewnątrz kosza z praniem pokonywała wulkaniczne fale, aż w końcu lawa wystygła i zakrzepła i znów można było po niej chodzić. Dopiero wtedy opuściła kosz i wróciła do zabawy na brzeżku pasiastego dywanu, z panem Misiem i lalkami.

Czasami Myszka sądziła, że właśnie to jej tendencja do znikania w pokoju – cicho jak kościelna mysz, jak mawiał ojciec – i zabaw całymi dniami stanowi powód, dla którego tak ją nazwał.

Trudno powiedzieć.

Ale jedno było pewne.

Myszka uwielbiała swój przydomek do dnia, gdy pojawiła się Fałszywa Mama. A potem już go nie lubiła.

Sadie

Siedzę na podłodze w poczekalni kliniki, przed sobą mam stolik aktywności, który ma zabawiać dzieci podczas oczekiwania na wizytę. Podłogę pokrywa ciemny dywan, cienki i tani, miejscami przetarty, plamy idealnie zlewają się z nylonem, widać je dopiero, gdy jest się bardzo blisko, tak jak ja.

Siedzę ze skrzyżowanymi nogami z boku stolika, naprzeciwko klocka z dziurkami różnych kształtów. Patrzę, jak moja ręka wpycha mniejszy klocek w kształcie serca w odpowiedni otwór.

Po drugiej stronie stolika siedzi dziewczynka, na pierwszy rzut oka czterolatka, uczesana w dwa krzywe warkoczyki. Kosmyki jasnych włosów wymykają się spod gumek i opadają jej na twarz, do oczu, a ona zostawia je i nie odgarnia. Bluzę ma czerwona i buty nie do pary: jeden to czarny skórzany pantofelek z paskiem, drugi czarna baletka, łatwo się pomylić.

Zaczynam czuć ból w przykurczonych nogach. Prostuję je i szukam sobie innej pozycji, bardziej nadającej się dla trzydziestodwuletniej. Kątem oka dostrzegam kuszące krzesło, ale nie mogę wstać z podłogi i odejść, jeszcze nie, bo dziewczynka naprzeciwko patrzy na mnie wyczekująco.

– Idź – uśmiecha się dziwnie i pytam, dokąd mam iść, choć głos mam zdławiony. Odchrząkam, próbuję ponownie.

– Dokąd mam iść? – Tym razem bardziej przypominam siebie.

Moje ciało zdążyło zeszywnieć. Nogi bołą. Głowa także. Gorąco mi. Zeszłej nocy w ogóle nie spałam i dziś za to płacę zmęczeniem i dezorientacją. Poranna rozmowa z funkcjonariuszem Bergiem mną wstrząsnęła i jeszcze pogorszyła ten dzień.

– Idź – powtarza dziewczynka. Kiedy patrzę na nią i nic nie mówię, dodaje: – Twój ruch. – Zamiast „r” wymawia „P”.

– Mój ruch? – dziwię się.

– Tak. Jesteś czerwona, racja? – Tyle że nie mówi czerwona, mówi *czetwona*. *Czetwona, łacja?*

Kręcę głową. Wyraźnie nie zwracałam uwagi, bo nic nie pamiętam, w ogóle nie wiem, o czym mówi, dopóki nie pokazuje czerwonych koralików na stole z kolejką, tą, która pokonuje czerwone drucziane wzgórza, w górę i w dół, wirując na czerwonych korkociągach.

– Ach! – Sięgam ręką, by dotknąć czerwonych drewnianych koralików. – Dobrze, to co robię z czerwonym? – pytam dziewczynkę, której z nosa płyną smarki, oczy lśnią jak w gorączce i nie muszę się zastanawiać, czemu tu jest. To moja pacjentka. Przyszła do mnie. Kaszle głośno, zapominając zasłonić usta. Jak to maluchy.

– Robisz o tak. – Unosi brudną, rojącą się od bakterii rączkę i chwyta rząddek żółtych koralików, przeciągając je przez żółte wzgórze wokół żółtych spirali. – Właśnie tak – dodaje, gdy koraliki docierają wreszcie na drugi koniec, i puszcza je, ręka opada jej na biodro. Dziewczynka spogląda na mnie wyczekująco.

Uśmiecham się do niej i zaczynam przesuwając czerwone koraliki.

Niemal natychmiast jednak słyszę syknięcie z tyłu.

– Doktor Foust. – To głos kobiety, wyraźnie poirytowany. – Co pani tu robi, doktor Foust?

Odwracam się i widzę stojącą za mną Joyce. Trzyma się prosto, twarz ma surową. Mówi, że przyszedł pacjent z jedenastej, czeka na mnie w pokoju numer trzy. Wstaję powoli, potrząsając zdrewniałymi nogami. Nie mam pojęcia, dlaczego uznałam za dobry pomysł zabawę na podłodze z tą dziewczynką. Mówię jej, że muszę wracać do pracy, że może pobawimy się później, a ona uśmiecha się nieśmiało. Wcześniej nie była nieśmiała, ale teraz już jest, zmieniła się i chyba ma to coś wspólnego z moim wzrostem. Teraz, gdy stoję, nie patrzę już na nią z wysokości metra. Zmieniłam się.

Dziewczynka podbiega do matki i obejmuje jej kolana.

– Co za słodkie dziecko – mówię, a matka dziękuje mi za chwilę zabawy.

Wokół mnie w poczekalni tłoczą się pacjenci. Idę za Joyce przez korytarz, jednak zamiast do pokoju lekarskiego kieruję się do kuchni i pociągam łyk wody z dystrybutora, odczekując chwilę, by odetchnąć. Jestem zmęczona i głodna. Wciąż boli mnie głowa.

Joyce podąża za mną do kuchni, posyła mi miazdzące spojrzenie, jakby mówiła: co za czelność pić wodę w takiej chwili, kiedy pacjent czeka. Widzę to w jej oczach za każdym razem, kiedy na mnie patrzy: Joyce mnie nie lubi. Nie wiem, dlaczego mnie nie lubi, w żaden sposób jej się nie naraziłam. Powtarzam sobie, że to nie ma nic wspólnego z tym, co wydarzyło się w Chicago, że nie ma mowy, by się o tym dowiedziała. Nie, wszystko zostało na miejscu, bo złożyłam wypowiedzenie. Tylko w ten sposób mogłam uniknąć oskarżenia o zaniedbanie obowiązków, które zakończyłoby moją medyczną karierę. Nie wiem jednak, czy kiedykolwiek będę mogła jeszcze praktykować medycynę ratowniczą. Mój życiorys może nie ucierpiał, ale pewność siebie bardzo.

Informuję Joyce, że zaraz będę, ona jednak stoi i patrzy, odziana w zielononiebieski strój pielęgniarki i chodaki, podparta pod boki. Wydyma usta i dopiero w tym momencie dostrzegam zegar na ścianie. Czerwone cyfry informują mnie, że jest kwadrans po pierwszej.

– Och – mruczę, choć to przecież niemożliwe. Nie mogłam mieć takiego opóźnienia. Raczej przyzwicie podchodzę do pacjentów. Zdarzało się, że zajmowałam się nimi odrobinę zbyt długo, ale nie aż tak.

Zerkam na zegarek, pewna, że się spóźnia, że to przez niego straciłam czas. Ale nie, godzina na nim idealnie odpowiada tej na ścianie.

Czuję, jak wzbiera we mnie frustracja. Emma omyłkowo zapisała zbyt wielu pacjentów w za krótkim czasie, przez resztę dnia będę to nadganiać i zapłacimy za to wszyscy, ja, Joyce, Emma i pacjenci. Ale głównie ja.

Jazda do domu nie trwa długo. Cała wyspa ma półtora na dwa kilometry, co oznacza, że w tak paskudny dzień nie mam czasu, żeby się rozluźnić przed powrotem. Jadę powoli, nie śpiesząc się, potrzebuję dodatkowego kółka, by odetchnąć, nim skręcę na podjazd.

Tu, tak daleko na północy świata, noc zapada wcześniej, słońce zaczyna zachodzić tuż po czwartej, pozostawiając nam o tej porze roku tylko dziewięć godzin światła. Reszta dnia upływa w najróżniejszych odcieniach zmierzchu i mroku. Teraz niebo jest zupełnie ciemne.

Nie znam większości sąsiadów, niektórych widywałam w przelocie, ale większości nigdy, bo mamy późną jesień albo wczesną zimą, i o tej porze roku ludzie zwykle chowają się w domach. Najbliżej nas jest domek letni, obecnie niezamieszkały. Właściciele – Will dowiedział się tego i mi powtórzył – przenoszą się na kontynent z nastaniem jesieni, pozostawiając swoją siedzibę staruszkowi mrozowi. Teraz myślę, że takie miejsce to pokusa dla włamywaczy. Z łatwością mógłby się tam ukryć zabójca.

Kiedy przejeżdżam obok, w domu jak zawsze panuje ciemność, dopiero o siódmej zapala się jedna lampa. Podłączono ją do zegara, gaśnie przed północą; ma zniechęcać złodziei, ale poprzez swoją regularność może zadziałać odwrotnie.

Jadę dalej. Mijam własny dom i kieruję się w stronę wzgórza. W domu Bainesów także jest ciemno, naprzeciwko w domu Nilssonów płonie światło, miękki blask lśni wokół grubych zasłon. Zatrzymuję się przed nim z włączonym silnikiem, wbijając wzrok w wielkie frontowe okno. Na podjeździe stoi samochód, zardzewiały sedan pana Nilssona. Z komina w zimową noc wzlatają obłoczki dymu. Ktoś jest w domu.

Przez chwilę mam ochotę skrócić na podjazd, zaparkować, zastukać do drzwi frontowych i spytać o to, co powtórzył mi funkcjonariusz Berg. Dlaczego pan Nilsson twierdził, iż widział, jak kłócę się z Morgan parę dni przed jej śmiercią? Ale mam dość rozsądku, by wiedzieć, że jeśli to zrobię, mogę się im wydać bezczelna, może wręcz groźna, a nie jest to wrażenie, jakie chciałabym wywrzeć.

Okrażam cały kwartał i w końcu podjeżdżam pod dom. Chwilę później stoję sama w kuchni, zaglądam pod pokrywkę, żeby sprawdzić, co przygotował dziś Will. Kotlety wieprzowe. Pachną bosko.

Stoję tam wciąż w butach, z torbą na ramieniu. Jest ciężka, pasek wpija mi się głęboko w skórę, choć ledwo go czuję, bo to brzuch boli mnie najbardziej. Jestem głodna, skręca mnie z głodu, czas przeciekał mi między palcami, tak że nie zdążyłam zjeść lunchu.

Will bez słowa wślizguje się do kuchni i przytula do mnie od tyłu, kładzie mi brodę na ramieniu, obejmuje w pasie ciepłymi rękami, ściskając mocno. Kciukiem kreśli kółka wokół pępka, grając na mnie jak na gitarze. Czuję, jak spinam się pod jego dotykiem.

– Jak ci minął dzień? – pyta.

Powracam myślami do czasów, gdy w ramionach Willa czułam się bezpieczna, nietykalna i kochana. Przez moment niczego nie pragnę bardziej niż odwrócić się, spojrzeć na niego i poskarżyć na koszmarny dzień, opisać spotkanie z funkcjonariuszem Bergiem. Ale wiem dokładnie, co wtedy by się stało. Will pogładziłby mnie po włosach, potem dźwignął ciężką torbę z ramienia i odstawił na podłogę. Powiedziałby coś współczującego, na przykład *faktycznie nie było lekko*, i nalał mi kieliszek wina. Nie próbowałby niczego naprawiać tak jak inni faceci, zamiast tego zaprowadziłby mnie do samotnego krzesła pod kuchenną ścianą i wręczyłby kieliszek. Potem ukląkłby na podłodze przede mną, zdjął mi buty i wymasował stopy. I wysłuchałby mnie.

Ale nie opowiadam Willowi o swoim dniu, bo nie mogę. Na blacie dostrzegam jego książkę i w jednej chwili znów wraca do mnie wczorajsza noc. Z miejsca, w którym stoję, zauważam brzeżek zdjęcia Erin, wystający spomiędzy kartek, ledwie parę milimetrów błękitnego papieru, i choć nie widzę, wciąż wyobrażam sobie niebieskie oczy, jasne włosy, krągłe ramiona. Smukła dziewczyna, podparta pod boki, wydymająca usta do kamery, kusząca tego, kto stoi po drugiej stronie.

– Co się stało? – pyta Will, i choć przez chwilę się waham, zastanawiam się, czy nie powiedzieć *Nic* i nie wyjść, bo jestem w tej chwili zbyt zmęczona na taką rozmowę, mówię: – Zeszłej nocy zaczęłam czytać twoją książkę. Nie mogłam spać. – Wskazuję tom na kuchennym blacie.

Will nie łapie aluzji, odsuwa się ode mnie i zabiera za obiad.

– Ach tak? I jak ci się podoba? – rzuca odwrócony do mnie bokiem.

– No... – odpowiadam z wahaniem. – Tak naprawdę nie zdążyłam niczego przeczytać. Otworzyłam i ze środka wyleciało zdjęcie Erin. – Czuję wstyd, przyznając się do tego, jakbym zrobiła coś nie tak.

Dopiero wtedy Will odkłada sztucce do mięsa i odwraca się do mnie.

– Sadie. – Wyciąga rękę.

– W porządku, naprawdę – mówię, starając się ze wszystkich sił zachować dyplomatycznie, bo na miłość boską, Erin nie żyje, nie mogę okazywać złości ani zazdrości, że Will cały czas nosi przy sobie jej zdjęcie, to nie byłoby właściwe. Poza tym nie mam powodów do obaw, ja też miałam chłopaka w liceum, rozstaliśmy się, kiedy poszedł do college'u. Nie umarł, ale i tak zerwaliśmy wszelkie kontakty.

W ogóle o nim nie myślę. Gdybym minęła go na ulicy, pewnie bym go nie rozpoznała.

Will ożenił się ze mną, powtarzam sobie w duchu. Ma ze mną dzieci.

Wbijam wzrok w dłoń. To nie ma znaczenia, że pierścionek, który noszę, należał kiedyś do niej. Ponieważ był pamiątką rodzinną, matka Willa nie pozwoliła im pochować go z Erin. Kiedy dał mi pierścionek, niczego nie ukrywał, wyjaśnił, przez co przeszedł i jak, a ja obiecałam go nosić na pamiątkę zarówno jego babci, jak i Erin.

– Po prostu... – patrzę na książkę, jakbym mogła przeniknąć wzrokiem okładkę i zajrzeć, co jest w środku – nie wiedziałam, że nosisz ze sobą jej zdjęcie. Że wciąż o niej myślisz.

– Bo nie noszę. I nie myślę. Posłuchaj. – Sięga po moje dłonie, nie cofam się, choć mam wielką ochotę, chcę cierpieć i cierpię, ale staram się okazać współczucie. – Owszem, nadal mam jej zdjęcie, natrafiłem na nie wśród rzeczy, kiedy się rozpakowywałem. Nie wiedziałem, co z nim zrobić, więc wsadziłem do książki. Ale to nie to, co myślisz. Po prostu niedawno uświadomiłem sobie, że w przyszłym miesiącu minie dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat od śmierci Erin. To wszystko, praktycznie już jej nie wspominam, Sadie, ale tym razem zacząłem o tym myśleć, tylko że wcale nie z żalem, bardziej: kurde, to już dwadzieścia lat. – Milknie i przeczesuje palcami włosy, starannie dobierając słowa. – Dwadzieścia lat temu byłem innym człowiekiem. Nie byłem nawet mężczyzną – ciągnie – tylko chłopcem. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że i tak nie dotrwalibyśmy z Erin do ołtarza, wcześniej czy później zrozumielibyśmy, jacy oboje jesteśmy głupi. Jacy naiwni. Łączyła nas młodzięcza miłość dwójki durnych dzieciaków. To, co my mamy... – Stuka palcem w pierś najpierw mnie, potem siebie i muszę odwrócić wzrok, bo patrzy na mnie z takim napięciem, że przeszywa mnie na wskroś. – To, Sadie, to jest małżeństwo. – A potem przyciąga mnie do siebie i obejmuje mocno, i ten jeden raz pozwalam mu. Przyciska wargi do mojego ucha.

– Nieważne, wierzysz mi czy nie, ale czasami dziękuję Bogu, że tak właśnie się stało, bo gdyby nie to, być może nigdy bym cię nie poznał.

Nie mam na to odpowiedzi. Nie mogę przyznać, że ja też cieszę się, iż Erin nie żyje. Jaki człowiek mógłby powiedzieć coś takiego?

Po minucie cofam się, Will wraca do kuchenki, sięga szczypcami, obraca kotlety na patelni. Informuję go, że skoczę na górę się przebrać.

W salonie Tate bawi się klockami Lego na poobijanym stoliku kawowym. Witam się z nim, a on wstaje z podłogi i ściska mnie mocno, wołając *Mamusia wróciła!* Prosi, żebym się z nim pobawiła, a ja obiecuję, że po obiedzie, bo teraz mamusia musi się przebrać.

Ale zanim zdążę odejść, ciągnie mnie za rękę.

– Zabawa w posąg, zabawa w posąg! – woła.

Nie wiem, o co mu chodzi, ale jestem zbyt zmęczona, żeby mnie ciągał. Nie robi tego specjalnie, ale szarpie mocno, tak że boli mnie ręka.

– Tate – mówię – ostrożnie.

Cofam się i widzę, że się dąsa.

– Chcę się pobawić w posąg – marudzi.

Odpowiadam, że pobawimy się lego. Po obiedzie. Obiecuję. Widzę zamek, który zaczął już wznosić, łącznie z wieżą i domkiem strażniczym. Imponujący. Na szczycie wieży tkwi samotna figurka pełniąca straż nad krainą, trzy kolejne stoją na stoliku, gotowe do ataku.

– Sam to wszystko zbudowałeś? – pytam.

A Tate odpowiada, że owszem, i uśmiecha się promiennie, kiedy znikam na górze.

W domu panuje półmrok – poza brakiem okien, a tym samym światła dziennego, ściany wyłożono staroświecką drewnianą boazerią, która wszystko przyciemnia. Efekt jest ponury i bynajmniej nie poprawia nam nastrojów, zwłaszcza w takie dni, same w sobie dostatecznie przygnębiające. Na górze drzwi pokoju Ottona zastaję zamknięte. Jest w środku jak zawsze, słucha muzyki i odrabia lekcje. Stukam i wołam *cześć*.

– Cześć – odpowiada.

Zastanawiam się, jak dotarł do szkoły, czy cały dzień chodził w przemoczonych ciuchach po deszczowej przeprawie promem i dalej szkolnym autobusem, czy siedział z kimś podczas lunchu. Mogłabym spytać, ale prawdę mówiąc, wolę nie znać odpowiedzi. Jak to mówią, niewiedza to błogosławieństwo.

Drzwi Imogen są uchylone. Zaglądam do środka, ale jej tam nie ma.

Kieruję się do sypialni mojej i Willa, tam patrzę na swoje znużone odbicie w wysokim lustrze: zmęczone oczy, popelinowa koszula, spódnica. Makijaż prawie już zniknął, skórę mam bladą, poszarzałą, a może to kwestia światła. W kącikach ust widać kurze łapki. Zmarszczki mimiczne pogłębiają się z każdym dniem. Ot, radość starzenia. Cieszę się, że włosy odrastają do zwykłej długości po impulsywnym strzyżeniu, nieszczęsnej nieudanej fryzurze, której nie cierpiałam. Zawsze tylko podcinałam końcówki, ale pewnego dnia moja długoletnia fryzjerka ciachnęła dziesięć centymetrów więcej. Patrzyłam na nią wstrząśnięta, gdy skończyła, zerkając na sterty włosów na podłodze.

– No co? – spytała, spoglądając na mnie wielkimi oczami. – Przecież o to właśnie prosiłaś, Sadie.

Powiedziałam, że wszystko w porządku, to tylko włosy. Odrosną. Nie chciałam, żeby czuła się głupio albo źle, a poza tym to przecież tylko włosy. Faktycznie odrosną. Ale gdybyśmy się nie wyprowadzili, poszukałabym sobie nowej fryzjerki.

Zrzucam szpilki i patrzę na pokrywające skórę pęcherze. Zsuwam spódnice, ciskając ją do kosza z praniem. Włożywszy ciepłe skarpetki i wygodne spodnie od piżamy, schodzę do kuchni, po drodze sprawdzając termostat. W tym domu panuje albo lodowaty ziąb, albo dławiący upał, nic pośredniego. Piec nie jest już w stanie właściwie rozprowadzać ciepła. Odrobinę podkręcam temperaturę.

Kiedy schodzę, Will nadal stoi w kuchni, kończy przygotowanie obiadu. Chowa do szafek mąkę i skrobię kukurydzianą, odstawia do zlewu brudną patelnię. Potem woła chłopców, chwilę później wszyscy siedzimy już przy kuchennym stole. Will podał dziś kotlety wieprzowe i szpinakowy kuskus. Jego talenty kulinarne zdecydowanie przewyższają moje.

– Gdzie Imogen? – pytam i Will mówi, że u przyjaciółki, przygotowuje się do klasówki z hiszpańskiego. – Wróci do domu przed siódmą.

Wywracam oczami i mamroczę: tylko się nie nastawiaj, bo Imogen bardzo rzadko spełnia obietnice. Czasami jada z nami obiad, a gdy to robi, wparowuje do kuchni pięć minut później niż reszta rodziny, tylko dlatego, że może. Bo wie, że nie będziemy gderać, ale wie też, że jeśli chce zjeść przygotowany przez Willa obiad, to z nami, inaczej niczego nie dostanie. Lecz i tak przychodzi spóźniona i wychodzi wcześniej, by podkreślić swoją niezależność. Dziś jednak się nie zjawia i zastanawiam się, czy naprawdę uczy się u przyjaciółki, czy może robi coś innego, na przykład kręci się w ruinach opuszczonych umocnień wojskowych na końcu

wyspy. Podobno dzieciaki spotykają się tam, żeby pić, ćpać i uprawiać seks. Na razie przeganiam tę myśl. Zamiast tego pytam Ottona, jak mu minął dzień. Wzrusza ramionami.

– Chyba w porządku – mruczy.

– A jak klasówka z fizyki? – wtrąca Will, dopytując o rzeczy takie jak tarcie statyczne i kinetyczne. – Pamiętałeś, co to znaczy?

Otto odpowiada, że chyba tak. Will sięga nad stołem i czochra mu włosy.

– Brawo, młody. Czyli nauka pomogła.

Patrzę, jak kosmyk ciemnych włosów opada synowi na oczy. Włosy zanadto mu urosły, wciąż potargane i kędzierzawe, zasłaniają twarz. Otto ma oczy brązowo-zielone, jak Will, w jednej chwili mają barwę ciepłego bursztynu, w drugiej są błękitne jak niebo, choć nie widzę, jak wyglądają dzisiaj.

Rozmowy przy obiedzie dotyczą głównie szkolnych zajęć Tate'a, choć ponoć połowy klasy nie było, bo rodzice mieli dość rozsądku, by nie posyłać dzieci do szkoły, gdy na wyspie krąży morderca. Oczywiście Tate tego nie wie.

Patrzę, jak Otto siedzący naprzeciwko kroi kotleta nożem do steków. To, jak go trzyma, jak atakuje mięso, ma w sobie coś prymitywnego. Wieprzowina jest soczysta i idealnie wysmażona, mój nóż przecina ją gładko. Lecz Otto piłuje z całej siły, jakby bardziej przypominała podeszwę i niemal nie dało jej się naruszyć ząbkowanym ostrzem, co nie odpowiada prawdzie.

Widok noża w jego dłoni odbiera mi apetyt.

– Nie jesteś głodna? – pyta Will, widząc, że nie jem.

Nie odpowiadam, zamiast tego sięgam widelcem i wsuwam kęs mięsa do ust. Wspomnienia wracają gwałtowną falą i odkrywam, że ledwie jestem w stanie go pogryźć. Ale żuję, bo Will mnie obserwuje, podobnie jak Tate. Tate, który nie lubi kotletów wieprzowych, choć w naszym domu panuje zasada trzech kęsów. Trzy kęsy, a potem możesz skończyć. Na razie zjadł tylko jeden. Otto natomiast zajada łapczywie, piłując mięso niczym drwal kłodę.

Nigdy wcześniej nie rozmyślałam na temat noży. Po prostu stanowiły część zastawy, i tyle. Aż do dnia, kiedy z Willem wmaszerowaliśmy do gabinetu dyrektora szkoły publicznej Ottona w Chicago i ujrzeliśmy go na krześle, zwróconego plecami do nas, w kajdankach. Widok syna skutego niczym pospolity przestępca wstrząsnął mną do głębi. Will odebrał telefon od dyrektora, że w szkole

coś się stało i musimy o tym porozmawiać. Skróciłam dyżur w izbie przyjęć i jadąc samotnie do szkoły, gdzie miałam spotkać się z Willem, zastanawiałam się, o co chodzi. Zły stopień, przeoczone oznaki śladów jakichś zaburzeń w uczeniu, o których dotąd nie wiedzieliśmy? Może Otto cierpi na dysleksję. Myśl, że musiałby z czymś walczyć, zasmuciła mnie, chciałam pomóc. Po drodze do szkoły minęłam parkujący na dworze radiowóz. Z niczym mi się nie skojarzył. Potem jednak na widok Ottona w kajdankach zawrzała we mnie matczyzna krew. Chyba nigdy w życiu nie byłam tak wściekła. Natychmiast je mu zdejmijcie, zażądałam. Nie macie prawa, dodałam, choć po prawdzie nie wiedziałam, czy policjant ma takie uprawnienia. Stał zaledwie krok od Ottona, patrząc z góry na chłopca, który wbijał wzrok w podłogę, siedząc z pochyloną głową i niezgrabnie wykręconymi do tyłu rękami. Na tym krześle Otto wydawał się taki mały, bezradny i kruchy. W wieku czternastu lat nie wystrzelił jeszcze w górę tak jak inni jego rówieśnicy, wciąż był o głowę niższy od każdego z nich i dwa razy chudszy. A choć przyszliśmy z Willem, był sam. Zupełnie sam. Każdy to widział. Czułam, jak pęka mi serce.

Dyrektor szkoły zajął miejsce po drugiej stronie dużego biurka, minę miał ponurą.

– Pan i pani Foust. – Podniósł się, wyciągając rękę na powitanie, oboje to zignorowaliśmy.

– Doktor – poprawiłam. Policjant uśmiechnął się złośliwie.

Wkrótce dowiedziałam się, że torebka z dowodami leżąca w kącie biurka zawiera nóż. I to nie zwykły nóż, lecz dwudziestocentymetrowy nóż szefa kuchni z ukochanego kompletu Willa, ukradzony dziś rano z drewnianego stojaka na kuchennym blacie. Dyrektor wyjaśnił Willowi i mnie, że Otto przyniósł do szkoły nóż ukryty w plecaku. Na szczęście, dodał, jeden z uczniów zauważył to i miał dość rozsądku, by zawiadomić nauczyciela. Wezwano miejscową policję, aby zatrzymała Ottona, nim stanie się coś złego.

Kiedy tak mówił, myślałam tylko o jednym, jakie to musiało być upokarzające dla Ottona, kiedy został zakuty w kajdanki na oczach rówieśników. Wyprowadzony z klasy przez policjanta. Bo ani przez moment nie uwierzyłam, że Otto faktycznie mógł przynieść do szkoły nóż i grozić nim dzieciom. To musiała być straszliwa pomyłka, za którą zażądamy z Willem odszkodowania, jak również za zepsutą reputację naszego syna.

Otto był miły, milczący, może nie tryskał otwarcie radością, ale był szczęśliwym dzieckiem. Miał przyjaciół, ledwie garstkę, niemniej przyjaciół. Zawsze dokładnie przestrzegał zasad, nigdy nie miał problemów w szkole, nigdy nie został zatrzymany po lekcjach, nie dostał uwagi w dzienniczku, żaden z nauczycieli nigdy do nas nie dzwonił. Nie było takiej potrzeby. Uznałam zatem, że nie ma mowy, by zrobił coś tak okropnego i przyniósł do szkoły nóż.

Will obejrzał go uważnie i przyznał, że należy do niego. Starał się to zlekceważyć – to popularny zestaw, założy się, że wielu ludzi ma podobne – lecz nikt nie mógł wątpić w wyraz jego twarzy, kiedy rozpoznał zgubę, grymas wstrząsu i zgrozy.

I wtedy w gabinecie dyrektora Otto się rozplakał.

– Co ty sobie myślałeś? – spytał łagodnie Will, kładąc mu dłoń na ramieniu i masując lekko. – Jesteś na to za dobry, chłopie – dodał. – Za mądry.

Teraz płakali już obaj, z naszej trójki tylko ja miałam suche oczy. I wtedy Otto przyznał się nam krótko, urywanie, chwilami ledwie słyszany pośród szlochów, że od zeszłej wiosny stał się obiektem prześladowań rówieśników. Z początku sądził, że to samo minie, ale kiedy wrócił do szkoły w sierpniu, sytuacja się pogorszyła. Oznajmił, że kilku popularnych chłopców ze szkoły twierdziło, iż robi maślane oczy do innego dzieciaka w klasie. Chłopaka. Plotki szybko się rozeszły i wkrótce nie było dnia, by ktoś nie nazwał go homosiem, ciotą, pedałem. Durny pedał, mówili. Zdychaj, pedałku.

Otto kontynuował, wymieniając serię epitetów, jakimi obrzucali go koledzy. Dopiero gdy urwał, by zaczerpnąć tchu, wtrącił się dyrektor, pytając, kto dokładnie to mówił i czy są jacyś świadkowie, czy może to tylko kwestia słowa przeciw słowu.

Czuliśmy wyraźnie, że dyrektor mu nie wierzy.

Otto opowiadał, że wyzwiska stanowiły tylko część prześladowań, bo doszło też do aktów fizycznych i gróźb. Raz chłopcy zapędzili go w kąt w męskiej toalecie, innym razem pchnęli na szafki. Do tego dręczenie cyfrowe, zdjęcia, które mu robili, paskudnie wyfotoszopowane i rozsyłane.

Słuchając go, czułam przejmującą rozpacz i narastającą wściekłość. Chciałam znaleźć chłopaków, którzy tak potraktowali Ottona, i skreślić im ich małe karki. Skoczyło mi ciśnienie, czułam tętnienie w głowie i w piersi, musiałam przytrzymać się oparcia krzesła Ottona.

– Co spotka tych chłopców? – spytałam ostro. – Z pewnością zostaną ukarani za to, co zrobili? Nie może im to ujsć na sucho.

– Jeśli Otto powie nam, kto to zrobił, to z nimi porozmawiam – odparł niechętnie dyrektor.

Po twarzy Ottona przemknął grymas i wiedziałam, że nigdy nie naskarży, bo gdyby to zrobił, jego życie stałoby się jeszcze gorsze.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś? – Will przykucnął obok syna, patrząc mu prosto w oczy.

Otto spojrział na niego, kręcąc głową.

– Nie jestem gejem, tato – oświadczył, jakby to cokolwiek znaczyło. – Nie jestem gejem – upierał się, tracąc resztki panowania nad sobą.

Ale nie było to odpowiedzią na pytanie, które zadał Will, bo takie rzeczy, jak orientacja seksualna, nie miały dla nas znaczenia.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że cię prześladują? – doprecyzował mój mąż i wtedy Otto odparł, że powiedział. Zrobił to. Powiedział mnie.

W tym momencie serce zaciążyło mi tak bardzo, że praktycznie umknęło z piersi. W mieście dochodziło do coraz liczniejszych aktów przemocy, co oznaczało, że w izbie przyjęć zjawiało się więcej pacjentów z krwawiącymi ranami i postrzałami. Moja codzienna praca zaczęła przypominać sensacyjne seriale medyczne, jakie pokazują w telewizji, nie tylko zajmowanie się pacjentami z gorączką czy złamaniem. Dodajmy do tego fakt, że brakowało nam personelu, a moje dwunastogodzinne dyżury zwykle trwały bliżej piętnastu i stanowiły nieustanny maraton, podczas którego brakowało czasu, bym cokolwiek zjadła czy opróżniła pęcherz. Po powrocie do domu poruszałam się jak zombie, zmęczona i niedospana. Zapominałam o różnych rzeczach, wizycie u dentysty, kupnie mleka po drodze z pracy.

Czy to możliwe, by Otto powiedział mi, że go prześladują, a ja to zlekceważyłam? A może byłam tak zatopiona w myślach, że w ogóle go nie usłyszałam?

Wzrok Willa powędrował ku mnie, pytający, pełen jakże znajomego niedowierzania. Wzruszyłam ramionami i pokręciłam głową, tak by uwierzył, że Otto nic nie mówił. Bo może powiedział, a może nie. Nie wiedziałam.

– Dlaczego uznałeś, że możesz zabrać nóż do szkoły? – spytał wtedy Will, a ja usiłowałam zrozumieć logikę, która sprawiła, że tego ranka postanowił go wziąć. Czy możemy oczekiwać prawnych reperkusji, czy wystarczy zwykła nagana? I jak miałabym posłać go z powrotem na zajęcia po tym wszystkim? – Co dokładnie zamierzałeś z nim zrobić, chłopie? – Will miał na myśli nóż, a ja zebrałam się w sobie, niepewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

Otto obejrzał się na mnie przez ramię i zdyszany od płaczu wyszeptał:

– To był pomysł mamy.

Na te słowa zbladłam, moja twarz przybrała najróżniejsze odcienie białości, bo jego słowa mną wstrząsnęły. Co za bezczelne kłamstwo.

– To był pomysł mamy, żebym zabrał nóż do szkoły. Nastraszył ich – skłamał Otto, spuszcżając wzrok, a Will, policjant i ja słuchaliśmy. – To ona wsadziła mi go do plecaka – dodał cicho i sapnęłam głośno, natychmiast pojmując, dlaczego to powiedział. Dotychczas zawsze go broniłam. Byliśmy skrojeni z tej samej materii, ja i Otto. Synek mamusi, zawsze taki był, sądził, że go ochronię, że jeśli przyjmę na siebie winę, to mu się upiecze. Ale nie zastanowił się nad tym, jak to może wpłynąć na moją reputację, pracę, na mnie samą.

Okropnie żałowałam Ottona. Ale teraz byłam też na niego zła. Do tej chwili nie wiedziałam, że dręczą go w szkole. I z całą pewnością nie zasugerowałabym, żeby zabrał ze sobą nóż – nóż! – i zagroził nim nastolatkom, nie mówiąc już o tym, że nie wsadziłabym mu go do plecaka. Czy to możliwe, żeby ktokolwiek w to uwierzył?

– To śmieszne, Otto – syknęłam, gdy wszystkie oczy w gabinecie zwróciły się ku mnie. – Jak możesz tak mówić? – Poczułam pod powiekami piekące łzy, przycisnęłam mu palec do piersi. – Ty to zrobiłeś, Otto. Ty – szepnęłam, a on wzdrygnął się na krześle, jakbym uderzyła go w twarz.

Odwrócił się do mnie plecami i znów zaczął płakać.

Wkrótce potem zabraliśmy go do domu. Dyrektor poinformował nas, że zanim pozwolą synowi wrócić do szkoły, będzie musiał zostać przesłuchany przez szkolną radę, która zadecyduje, czy zostanie wydalony. Nie czekaliśmy na tę decyzję. Nie mogłabym tam posłać Ottona z powrotem.

– Nie sądzisz, że byłaś dla niego zbyt surowa? – spytał Will później tego wieczoru, gdy zostaliśmy sami.

I to był ten moment. Pierwsza rysa na naszym małżeństwie. Do tej chwili nasz związek nie miał żadnej skazy, a przynajmniej o niczym nie wiedziałam. Byliśmy z Willem jak diamenty, sądziłam, że zdołamy znieść każdą presję małżeństwa i życia w rodzinie.

Żałowałam tego, co wydarzyło się w gabinecie dyrektora, wciąż czułam przeszywający ból w żołądku na myśl o tym, że Otto tak długo znosił dręczenie i prześladowania, a my o niczym nie wiedzieliśmy. Żałowałam, że do tego doszło, że mój syn uznał, iż jedynym wyjściem jest zabrać do szkoły nóż. Ale byłam zła, bo próbował zrzucić winę na mnie.

Odparłam, że nie, nie sędzę, bym potraktowała Ottona zbyt surowo.

– To tylko chłopiec, Sadie – mruknął Will. – Popęłnił błąd.

Ale jak wkrótce miałam się przekonać, niektórych błędów nie da się tak łatwo wybaczyć, bo niecałe dwa tygodnie później odkryłam, że Will ma romans i że trwa to od dłuższego czasu. Potem nadeszły wieści o śmierci Alice. Nie byłam pewna, ale Will owszem. Czas się wyprowadzić. Nazwał to zrządzeniem losu.

– Nic nie dzieje się bez przyczyny – rzekł.

Obiecał mi, że w Maine będziemy szczęśliwi, że musimy tylko zostawić za sobą wszystko, co wydarzyło się w Chicago, i zacząć od początku, choć oczywiście dostrzegłam ironię w tym, że za nasze szczęście Alice zapłaciła życiem.

A teraz, gdy siedzimy przy stole, dojadając resztki obiadu, i odkrywam, że wyglądam przez ciemne okno nad kuchennym zlewem, myślę o Imogen i rodzinie Bainesów, o porannych oskarżeniach funkcjonariusza Berga i zastanawiam się, czy kiedykolwiek możemy tu być szczęśliwi, czy też pech wszędzie za nami podąży.

Camille

Po tym pierwszym razie zaczęłam regularnie spotykać się z Willem. Były też inne pokoje hotelowe, im bardziej błagałam, tym lepszej klasy. Nie podobały mi się te, do których zabierał mnie na początku, brudne, wilgotne, tanie. W pokojach śmierdziało stęchlizną. Pościel była cienka i drapała, pokrywały ją plamy. Słyszałam ludzi po drugiej stronie ścian, a oni słyszeli mnie. Zasługiwałam na coś więcej. Byłam za dobra na tanie hotele, na krytykę personelu zarabiającego minimalne pensje. Byłam wyjątkowa i zasługiwałam na to, by tak mnie traktować. Will powinien już to zrozumieć. Pewnego popołudnia zrobiłam mu aluzję.

– Zawsze marzyłam o tym, by obejrzeć wnętrza Waldorfa.

– Waldorfa? – spytał i stanął przede mną, śmiejąc się z moich słów.

Znajdowaliśmy się głęboko we wnętrzu kompleksu mieszkaniowego, gdzie nikt nas nie widział. Nigdy nie rozmawialiśmy o jego małżeństwie, było jedną z tych rzeczy, które po prostu istnieją i w które nie chcemy wierzyć, jak śmierć, kosmici, malaria.

– Waldorf Astorii? – doprecyzował. – Wiesz, że nocleg kosztuje ze cztery stówy, może więcej.

– Nie jestem tyle dla ciebie warta? – spytałam nadąsana.

Okazało się, że byłam, bo po niecałej godzinie mieliśmy już pokój na dziesiątym piętrze i darmowego szampana od obsługi.

– Nie ma takiej rzeczy – oznajmił Will, otwierając drzwi eleganckiego apartamentu i wpuszczając mnie do środka – której bym dla ciebie nie zrobił.

W pokoju znajdowały się kominek, taras, minibar, bajerancka wanna, w której mogłam się wyciągnąć i z piankowej kąpieli podziwiać widoki miasta. Obsługa zwracała się do nas *państwo Foust*.

– Miłego pobytu, państwo Foust.

Wyobraziłam sobie świat, w którym byłabym panią Foust. W którym mieszkałabym w domu Willa, nosiłabym i wychowywała jego dzieci. To byłoby

dobrze życie. Ale nie chciałam, by ktokolwiek brał mnie za Sadie. Bo byłam od niej znacznie, znacznie lepsza.

Will mówił szczerze: był gotów zrobić dla mnie wszystko. Dowodził tego raz po raz. Obsypywał mnie słodkimi drobiazgami. Pisał liściki miłosne, kupował prezenty. Kiedy nikogo nie było, zabierał mnie do domu. A ten wyglądał zupełnie inaczej niż ciemne mieszkanie, które kiedyś dzieliłam z Sadie, dwie sypialnie w centrum. W pobliżu kręcili się pijacy i bezdomni, żebrząc o pieniądze, gdy tylko przekroczyłyśmy próg. Nie żebyśmy miały jakąś luźną gotówkę, a nawet jeśli, nie zamierzałam się nią dzielić. Nie słynę ze szczodrości. W odróżnieniu od Sadie, która zawsze grzebała w portmonetce, a pijacy i bezdomni oblegali ją, niczym wszy włosy. Tego samego próbowali ze mną. Powiedziałam, żeby spierdalali.

W domu Willa i Sadie pogładziłam dłońmi poręcz skórzanej kanapy, obmacałam szklane wazon i świeczniki, wszystkie wyraźnie kosztowne. Sadie, którą znałam, nie stać było na podobną ekstrawagancję. Praca lekarza ma swoje zalety.

Will poprowadził mnie do sypialni. Ruszyłam za nim.

Na stoliku przy łóżku dostrzegłam zdjęcie jego i Sadie, fotografię ślubną. Naprawdę uroczą: stali na środku ulicy, ostrzy i wyraźni, podczas gdy cała reszta stanowiła rozmazane tło. Drzewa wznosiły się nad nimi niczym baldachim, pełne wiosennych kwiatów. Nie patrzyli w obiektyw, uśmiechając się sztucznie na żądanie fotografa, jak większość młodych par. Zamiast tego pochylali się ku sobie w pocałunku. Ona miała zamknięte oczy, on na nią patrzył. Patrzył jak na najpiękniejszą kobietę świata, dłonią obejmował ją w pasie, ona przyciskała mu swoją do piersi. Na głowy sypał im się deszcz ryżu – zwiastun pomyślności, płodności i szczęścia.

Will przyłapał mnie na gapieniu się na zdjęcie.

– Masz ładną żonę – rzekłam, by zachować twarz, jakbym nigdy wcześniej jej nie widziała. Ale Sadie zdecydowanie nie była ładna. W najlepszym razie przeciętna.

– Też tak uważam – odparł Will z miną zbitego psa.

Powtarzałam sobie w duchu, że musiał tak powiedzieć. Że nie mógł przecież postąpić inaczej. Ale wcale tak nie myślał. Podszedł do mnie, przyglądał mi włosy i pocałował głęboko.

– Jesteś piękna – rzekł. To wyższa forma ładności, co oznacza, że byłam ładniejsza od niej.

Poprowadził mnie do łóżka, zrzucił poduszki na ziemię.

– Nie sądzisz, że twojej żonie by się to nie spodobało? – spytałam, siadając na brzegu łóżka.

Nie mam zbyt wielu moralnych obiekcji, z pewnością to widać. Mnie to nie przeszkadzało, ale pomyślałam, że pewnie jemu owszem. Will odpowiedział psotnym uśmiechem. Podszedł do mnie i wcisnął mi dłoń pod spódnice.

– Taką mam nadzieję.

Potem nie rozmawialiśmy już o jego żonie. Odkryłam za to, że Will przed ślubem był psem na baby, prawdziwym dziwkarzem z rodzaju tych, którzy sądzą, że nigdy się nie ustatkują. Jak powiadają, stare nawyki trudno zmienić. Sadie próbowała to kontrolować.

Ale choć bardzo się staramy, ludzi nie da się zmienić, zatem trzymała go na krótkiej smyczy, tak jak kiedyś mnie. Dawno temu moje zapalniczki, fajki znikaly, gdy je znalazła. Zamki zmieniały się, kiedy zapomniałam zamknąć drzwi mieszkania. Była prawdziwą despotką, uwielbiała karać innych.

Widziałam w jego oczach, jak bardzo go osłabiała, jak pozbawiała męskości. Ja natomiast sprawiałam, że czuł się jak mężczyzna.

Sadie

Jest wpół do ósmej, Imogen wciąż nie wróciła. Will jakoś się nie martwi, nawet kiedy zaczynam naciskać, pytając, u kogo się uczy i gdzie mieszka jej przyjaciółka.

– Wiem, że chcesz myśleć o niej jak najlepiej, Will, ale daj spokój, oboje wiemy, że nie uczy się hiszpańskiego.

Will wzrusza ramionami.

– To po prostu nastolatka, Sadie.

– Nastolatka nieprzestrzegająca jakichkolwiek zasad – podsumowuję z twarzą bez wyrazu.

Czternastoletni Otto też jest nastolatkiem, ale jutro ma szkołę, więc jest w domu z nami, tak jak powinien. Will ściera stół po obiedzie i wrzuca do zlewu brudną ścierkę. Odwraca się do mnie z promiennym uśmiechem.

– Też kiedyś nie przestrzegałem zasad i zobacz, na kogo wyrosłem. Będzie dobrze.

W tym momencie do salonu wchodzi Otto z zadaniami z geometrii. Obaj z Willem rozkładają je na kuchennym stole, żeby odrobić lekcje. Tate włącza telewizor w salonie i sadowi się na kanapie, opatulony w kapę, chłonąc kreskówki.

Zabieram na górę mój kieliszek wina. W planach mam długą relaksującą kąpiel, ale na górze schodów czuję, że przyciąga mnie nie główna sypialnia, lecz pokój Imogen.

W środku jest ciemno, przyciskam dłoń do drzwi, otwierając je szerzej. Nie zwracając uwagi na napis zabraniający wstępu, wchodzę do środka, macając ścianę w poszukiwaniu włącznika. Zapalam światło i widzę wnętrze, stertę ciemnych ciuchów rozrzuconych po podłodze, dość dużo, bym musiała je przesunąć, żeby na nic nie nadepnąć.

W pokoju pachnie kadzidełkiem, na biurku Imogen stoi ich całe pudełko, obok uchwytu w kształcie zwiniętego węża – patyczki wsuwa się mu do paszczy. Woń jest tak mocna, że zastanawiam się, czy Imogen była tu po szkole i czy przed

zniknięciem zapaliła kadzidelko. Na blacie starego drewnianego biurka widnieją słowa wycięte w drewnie jakimś ostrym narzędziem. Nie są miłe, przepełnia je gniew. PIERDOL SIĘ. NIENAWIDZĘ CIĘ.

Pociągam łyk wina, potem odstawiam kieliszek na blat, przesuwam palcem po rysach w drewnie, zastanawiając się, czy to to samo pismo, co wiadomości na szybie samochodu. Z perspektywy czasu żałuję, że przed włączeniem ogrzewania nie pstryknęłam fotki. Wówczas mogłabym porównać charakter pisma, sprawdzić kształt liter. I wtedy bym wiedziała.

Pierwszy raz tak naprawdę znalazłam się w pokoju Imogen. Nie przyszłam tu z intencją węszenia, teraz jednak to mój dom rodzinny, mam do tego prawo. Willowi by się to nie spodobało, ale ledwie słyszę stłumione głosy jego i Ottona dobiegające z kuchni. Nie mają pojęcia, gdzie jestem.

Najpierw zaglądam do szuflad biurka. Kryje się w nich to, czego można się spodziewać. Długopisy, papier, spinacze. Staję na krześle, przesuwam dłonią na oślep po półce nad biurkiem. Tylko kurz. Ostrożnie schodzę na podłogę. Zostawiam wino na miejscu i podchodzę do szafki przy łóżku. Pociągam drewnianą gałkę, przeglądam różne przypadkowe przedmioty. Dziecięcy różaniec, kłęb zwiniętych chusteczek, zakładkę. Prezerwatywę. Sięgam po nią i przez chwilę trzymam w dłoni, zastanawiając się, czy powiedzieć Willowi. Imogen ma szesnaście lat, w dzisiejszych czasach szesnastolatki uprawiają seks, ale przynajmniej prezerwatywa świadczy o tym, że rozsądnie podchodzi do sprawy. Przestrzega zasad bezpieczeństwa. Nie mogę mieć do niej pretensji. Gdybyśmy się dogadywały, porozmawiałabym z nią jak kobieta z kobietą. Ale się nie dogadujemy, a poza tym w tym wieku mogę jej już umówić wizytę u ginekologa. Może to lepsze rozwiązanie. Odkładałam prezerwatywę na miejsce. I wtedy znajduję zdjęcie.

Widzę, że przedstawia mężczyznę, świadczy o tym kształt ciała i to, co zostało z włosów, niezdrapane w ataku gniewu. Lecz jego twarz zniknęła niczym zużyta zdrapka, zeszkrobana krawędzią monety. Zastanawiam się, kto to, skąd Imogen go zna i dlaczego tak bardzo się wściekła, że uznała, iż musi zrobić coś takiego.

Na czworakach zaglądam pod łóżko, a potem zaczynam grzebać w kieszeniach rozrzuconych ubrań. Wstaję i przechodzę do szafy, rozsuwając drzwi, sięgam do środka, macając na oślep w poszukiwaniu włącznika światła, pociągam sznurek.

Nie chcę, żeby Will wiedział, że węszę w pokoju Imogen. Wstrzymuję oddech, nasłuchując odgłosów dobiegających z dołu. Słyszę tylko kreskówkę Tate'a w telewizji i jego niewinny śmiech. Gdyby na zawsze mógł pozostać w tym wieku. Will i Otto siedzą cicho, wyobrażam sobie, że pochylają się nad zeszytami na kuchennym stole, zatopieni w myślach.

Niedługo po incydencie z Ottonem przeczytałam artykuł, jak najlepiej przeszukiwać pokój nastolatka i które miejsca sprawdzać. Nie te oczywiste, jak szuflady w biurku, raczej tajne kieszenie w poszewce płaszczy, wnętrza gniazdek elektrycznych, puszki po napojach z fałszywym dnem. To, czego mamy szukać, też nie jest oczywiste: głównie środki chemiczne do sprzątnięcia, leki bez recepty – coś, czego nastolatek z łatwością mógłby użyć do niewłaściwych celów. Nigdy nie rewidowałam pokoju Ottona. Nie musiałam. To, co się stało, było jednorazowe, Otto dostał nauczkę. Rozmawialiśmy o tym. Wiedziałam, że to się nie powtórzy.

Ale Imogen jest dla mnie niczym zamknięta księga. Rzadko się odzywa, najwyżej jedno zdanie, a i to niechętnie. Nic o niej nie wiem, nie wiem, z kim uprawia seks. I czy robi to tu, w tym pokoju, kiedy nie ma nas z Willem, czy może wykrada się nocą przez okno w sypialni. Nic też nie wiem o dziewczynach, z którymi pali papierosy, co robi w czasie, kiedy nie ma jej z nami. Powinniśmy lepiej to z Willem ogarniać, nie możemy pozostawać w niewiedzy, to nieodpowiedzialne z naszej strony. Ale za każdym razem, gdy poruszam z nim ten temat – kim naprawdę jest Imogen? – zbywa mnie, twierdząc, że nie możemy zanadto naciskać. Że kiedy będzie gotowa, sama się otworzy.

Nie mogę dłużej czekać.

Przeszukuję szafę. W kieszeni grafitowej bluzy znajduję list, nietrudno na niego trafić. Najpierw sprawdzam pudełka z butami, ciemne zakamarki szafy, w których zalega tylko kurz, a potem ubrania. Za czwartą czy piątą próbą moja dłoń natrafia na coś i wyciągam to z kieszeni. To kartka, złożona wiele razy, tak mała, że ma najwyżej dwa centymetry wysokości i szerokości. Za to jest gruba. Wyciągam ją z szafy i rozkładam ostrożnie.

Na papierze widnieją nabazgrane litery: *Proszę, nie bądź zła*. Tusz jest jasny, jakby ktoś wrzucił bluzę do pralki razem z listem. Ale jednak tu są, napisane drukowanymi literami, znacznie bardziej męskimi niż moje pajęczne pismo. Oceniam, że to list od mężczyzny, zresztą i tak łatwo zgadnąć po treści. *Równie*

dobrze jak ja wiesz, co czuję. To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie oznacza, że cię nie kocham. Ale nie mogę prowadzić dłużej podwójnego życia.

Na dole drzwi frontowe otwierają się nagle. Potem zatrząskują głośno.

Imogen wróciła.

Czuję, jak serce wali mi w piersi.

Wita ją głos Willa, serdeczniejszy niż być powinien. Pyta, czy nie jest głodna, czy ma jej odgrzać obiad – co sprzeciwia się zasadzie, że jada z nami albo w ogóle. Wolałabym, żeby Will tak łatwo nie ustępował, ale taki już jest, zawsze chce wszystkich zadowolić. Imogen odpowiada krótko, ostro – nie, nie, jej głos dobiega już ze schodów.

Reaguję błyskawicznie. Składam liścik i wpycham z powrotem do kieszeni bluzy, wieszam ubrania na miejscu. Gaszę światło i pospiesznie zamykam szafę, wypadając z pokoju. W ostatniej chwili przypominam sobie, żeby zgasić światło i przymknąć drzwi, tak jak je znalazłam, lekko uchylone.

Nie mam czasu sprawdzać, czy wszystko wygląda tak jak wcześniej. Modłę się, by tak było.

Nasze drogi krzyżują się na schodach. Pozdrawiam ją lekkim uśmiechem, ale nic nie mówię.

Myszka

Dawno, dawno temu był sobie stary dom. Wszystko w tym domu było stare: okna, sprzęty, a zwłaszcza schody. Za każdym razem, kiedy ktoś na nie wszedł, wydawały z siebie jęk, taki sam jak czasem staruszkowie.

Myszka nie wiedziała, czemu stopnie to robią. Widziała mnóstwo rzeczy, ale nie to, jak podnóżki i podstopnie trą o siebie, napierając na gwoździe i śruby po drugiej stronie, gdzieś pod stopniami, niewidoczne. Wiedziała tylko, że schody hałasują, wszystkie, ale zwłaszcza ostatni, który był najgłośniejszy.

Myszka sądziła, że wie o tych stopniach coś, czego nie wie nikt inny: uważała, że kiedy ktoś po nich chodzi, czują ból i dlatego jęczą, i uginają się pod stopami – choć ona sama ważyła tylko dwadzieścia jeden kilogramów, i gdyby nawet próbowała, nie zdołałaby skrzywdzić nawet muchy.

Myszce stopnie kojarzyły się ze staruszkami z drugiej strony ulicy, tymi, którzy poruszali się, jakby wszystko ich bolało, i jęczeli, tak jak czasem stopnie.

Myszka była wrażliwa w sposób niedostępny innym ludziom. Martwiła się, kiedy stawiała stopę na ostatni stopień, toteż tak jak uważała, by na ulicy nie rozdeptać gąsienicy czy stonogi, dokładała wszelkich starań, aby przekroczyć ostatni stopień, choć była jeszcze mała i nie robiła zbyt dużych kroków.

Ojciec próbował naprawić schody. Zawsze nakręcał się na ich temat, klnąc pod nosem z powodu nieustannego wkurzającego skrzypienia.

– To czemu go nie przeskoczysz? – spytała, bo ojciec Myszki był mężczyzną wysokim i stawiał znacznie dłuższe kroki niż ona, z łatwością mógł pominąć ostatni stopień, nie obciążając go. Był też jednak człowiekiem niecierpliwym i chciał, żeby wszystko układało się po jego myśli.

Ojciec nie nadawał się do wykonywania obowiązków domowych. Znacznie lepiej radził sobie, siedząc za biurkiem, popijając kawę i gadając przez telefon. Gdy to robił, Myszka ukrywała się po drugiej stronie drzwi, nasłuchując. Nie wolno jej

było przeszkadzać, ale jeśli siedziała cichutko, mogła posłuchać jego słów, tego, jak głos mu się zmieniał, kiedy rozmawiał przez telefon z klientem.

Ojciec Myszki był człowiekiem przystojnym, miał ciemnokasztanowe włosy i wielkie, okrągłe, zawsze czujne oczy. Zwykle zachowywał się spokojnie, poza chwilami, kiedy chodził, bo sporo ważył i stawiał ciężkie kroki. Myszka słyszała go z odległości kilometra.

Był dobrym ojcem, zabierał ją na dwór i grał w piłkę, uczył ciekawostek na temat ptasich gniazd i tego, jak króliki ukrywają swoje dzieci w dziurach w ziemi. Ojciec Myszki zawsze wiedział, gdzie je znaleźć, podchodził do dziur, unosił bryły trawy i kłaki futra i pozwalał Myszcze zajrzeć.

Pewnego dnia, gdy ojciec Myszki miał już dosyć skrzypiącego stopnia, przyniósł skrzynkę z narzędziami z garażu i wspiął się na schody. Młotkiem zaczął wbijać gwoździe w podnózek, mocując go do drewna po drugiej stronie. Potem chwycił garść krótszych gwoździ i zamocował nimi wszystko do podstopnia.

Wyprostował się dumnie, by podziwiać swoje dzieło. Ale z ojca Myszki kiepski był majsterkowicz. Powinien był wiedzieć, że nieważne, co zrobi, nie zdoła naprawić stopnia, bo nawet po tej ciężkiej pracy ten nadal skrzypiał.

Z czasem Myszka nauczyła się polegać na tym dźwięku. Leżała w łóżku, wbijając wzrok w zwisającą z sufitu lampę, z sercem walącym w piersi, i nie mogła zasnąć.

Trwała tak, nasłuchując chwili, gdy ostatni stopień krzyknie ostrzegawczo, dając znać, że ktoś wchodzi po schodach, kierując się do niej, żeby mogła się ukryć.

Sadie

Patrzyłam z łóżka, jak Will przebiera się w spodnie od pizamy, wrzucając ubranie do kosza na podłodze. Przez chwilę staje przy oknie, wyglądając na ulicę w dole.

– Co się dzieje?

Siadam na łóżku. Coś przyciągnęło uwagę Willa i zwabiło go do okna, stoi tam pogrążony w namyśle.

Obaj chłopcy śpią, w domu panuje niezwykła cisza.

– Światło – mówi Will.

– Gdzie? – pytam.

– W domu Morganów.

To mnie nie dziwi. Z tego, co wiem, dom nadal pozostaje miejscem zbrodni. Zdaję sobie sprawę, że technicy kryminalistyczni potrzebują kilku dni, aby zebrać wszystkie dowody. Dopiero potem wzywają firmę bioremediacyjną, żeby uprzątnęła z wnętrza domu krew i inne płyny. Wkrótce będziemy patrzeć z Willem, jak ludzie w żółtych kombinezonach ochronnych, z aparatami oddechowymi na twarzach, zaczną krążyć wokół domu i wynosić zaplamione krwią przedmioty.

Zadziwia mnie przemoc, jaka dokonana się tu tej nocy, rozlew krwi. Ile zakrwawionych rzeczy będą musieli wynieść?

– Na podjeździe stoi samochód – mówi Will, nim jednak mam szansę odpowiedzieć, dodaje: – Jeffreya. Pewnie wrócił z Tokio.

Jeszcze minutę czy dwie stoi bez ruchu przy oknie. Podnoszę się z łóżka, porzucając ciepłą kołdrę. Dziś w domu panuje ziąb. Podchodzę do okna i staję obok Willa, nasze łokcie się stykają. Wyglądam, widzę to co on, ciemnego SUV-a parkującego na podjeździe obok radiowozu, oba samochody oświetlone lampą z werandy.

I gdy obserwujemy sąsiednią posesję, drzwi frontowe się otwierają, ze środka wychodzi funkcjonariusz, który gestem zaprasza Jeffreya. Jeffrey jest od niego

wyższy co najmniej o ćwierć metra. Przystaje w otwartych drzwiach, po raz ostatni zaglądając do środka, w ręce ma walizkę. Potem wychodzi, mija policjanta, który zamyka za nim drzwi na klucz. Zgaduję, że spotkali się tutaj, gliniarz miał oko na miejsce zbrodni, podczas gdy pan Baines pakował kilka osobistych drobiazgów.

– To wszystko jest takie surrealistyczne – mruczy pod nosem Will.

Kładę mu dłoń na ramieniu. To najbardziej pocieszający gest, na jaki mnie stać.

– Okropne – odpowiadam, bo rzeczywiście nikt, a zwłaszcza młoda kobieta, nie powinien ginąć w ten sposób.

– Słyszałaś o uroczystości pożegnalnej? – pyta Will, nie odrywając wzroku od okna.

– Pierwsze słyszę – mówię.

– Odbędzie się pożegnanie – informuje. – Jutro. Dla Morgan. W kościele metodystów. – Na wyspie są dwa kościoły, drugi należy do katolików. – Kiedy odbierałem małego ze szkoły, usłyszałem przypadkiem, potem sprawdziłem w sieci i znalazłem klepsydrę ze wzmianką o uroczystości. Zakładam, że w końcu urządują też pogrzeb, ale... – nie kończy, z łatwością zgaduję, że ciało pewnie zostanie w kostnicy do czasu ukończenia śledztwa. Formalności takie jak pogrzeb będą musiały poczekać do chwili złapania zabójcy, tymczasem uroczystość pożegnalna musi wystarczyć.

Następnego dnia pracuję, ale w zależności od tego, o której odbędzie się pożegnanie, mogę pójść na nie z Willem. Wiem, że by chciał. Ostatecznie Will i Morgan przyjaźnili się ze sobą, a choć nasz związek przeżywał ostatnio kłopoty, uznaję, że czułby się samotny, będąc tam beze mnie. Mogę to zrobić dla niego. A poza tym samolubnie mam wielką ochotę przyjrzeć się Jeffreyowi Bainesowi z bliska.

– Jutro pracuję do szóstej – oznajmiam. – Pójdziemy razem. Gdy tylko skończę. Może Otto przypilnuje Tate'a.

Nie przypuszczam, aby trwało to zbyt długo: złożymy wyrazy uszanowania i się pożegnamy.

– Nie idziemy na uroczystość pożegnalną – ucina stanowczo Will.

Zaskakuje mnie, bo nie tego oczekiwałam.

– Czemu nie? – pytam.

– Mogliby to uznać za przejaw arogancji. Ty w ogóle jej nie znałaś, a ja tylko trochę.

Zaczynam wyjaśniać, że nabożeństwo żałobne nie jest uroczystością, która wymaga zaproszenia, ale milknę, bo widzę, że podjął już decyzję.

– Myślisz, że on to zrobił? – pytam, wciąż wbijając wzrok w Jeffrey Bainesa po drugiej stronie okna. Muszę wyciągnąć szyję, żeby go dostrzec, bo dom Bainesów nie stoi dokładnie naprzeciwko. Patrzę, jak Jeffrey i policjant rozmawiają na podjeździe, a potem rozstają się i kierują do własnych samochodów.

Kiedy Will nie odpowiada, słyszę własny głos.

– To zawsze jest mąż.

Tym razem odpowiedź pada szybko.

– Nie było go w kraju, Sadie. Czemu sądzisz, że ma z tym coś wspólnego?

– Fakt, że wyjechał, nie oznacza, że nie mógł opłacić kogoś, kto zabił mu żonę.

Wręcz przeciwnie, pobyt za granicą w czasie zbrodni zapewnił mu doskonałe alibi.

Will musi dostrzegać logikę w moich słowach, widzę, jak lekko, niemal niedostrzegalnie kiwa głową, a potem cofa się o krok.

– Co w ogóle ma znaczyć ten tekst o mężach?

Wzruszam ramionami i odpowiadam, że nie wiem.

– Po prostu, jeśli dość długo oglądasz wiadomości, tak to właśnie wygląda. Nieszczęśliwi mężowie zabijają żony.

Wciąż wyglądam przez okno, patrząc, jak po drugiej stronie ulicy Jeffrey Baines otwiera bagażnik SUV-a i wrzuca do środka walizkę. Stoi sztywno wyprostowany, jego postawa ma w sobie coś wyniosłego, lekceważącego.

Nie garbi się, nie wzdryga ani szlocha, jak przystało na męża, który właśnie stracił żonę.

Z tego, co widzę, nie roni nawet jednej łzy.

Camille

Byłam jak narkomanka. Ciągłe nie miałam go dosyć. Obserwowałam go, naśladowałam, śledziłam każdy jego krok. Wiedziałam, gdzie chodzą do szkoły jego synowie, które kafejki odwiedza, co jada na lunch. Chodziłam tam i zamawiałam to samo. Po tym jak wyszedł, siadałam przy tym samym stoliku. Układałam w głowie długie rozmowy. Udawałam, że jesteśmy razem, kiedy nie byliśmy.

Myślałam o nim całymi dniami i całymi nocami. Gdyby to ode mnie zależało, byłby tylko ze mną. Ale nie mogłam stać się tą kobietą. Upartą wariatką cierpiącą na obsesję. Musiałam zachować spokój. Dokładałam wszelkich starań, żeby nasze spotkania wydawały się bardziej przypadkowe, niż były w istocie. Weźmy na przykład ten dzień, gdy wpadliśmy na siebie na starym mieście. Wyłoniłam się zza budynku i zastałam go po drugiej stronie otoczonego pieszymi. Kolejny trybik w maszynie.

Zawołałam, spojrzał na mnie z uśmiechem i podszedł bliżej.

– Co ty tu robisz? Co to za miejsce? – spytał, wskazując budynek za mną. Przytulił mnie szybko, wystarczyło mrugnąć i już.

Obejrzałam się, pospiesznie przeczytałam szyld. Medytacje buddyjskie, wyjaśniłam.

– Medytacje buddyjskie? – powtórzył i zaśmiał się lekko. – Co dzień dowiaduję się o tobie coś nowego. Nigdy bym nie powiedział, że lubisz medytować.

I słusznie. Nie lubiłam. Nie przyszłam tu z powodu medytacji, tylko dla niego. Wiele dni wcześniej zajrzałam do kalendarza Willa, znalazłam rezerwację na lunch w restauracji trzy domy dalej. Wybrałam stary budynek w pobliżu i czekałam w holu, aż przejdzie obok. Na jego widok wyszłam i zawołałam.

Przypadkowe spotkanie? Nie sądzę.

Czasami odkrywałam, że stoję przed jego domem, byłam tam, kiedy wychodził do pracy, ukryta w miejskim chaosie. Jeszcze jedna twarz w tłumie. Patrzałam, jak

przepycha się przez szklane drzwi kamienicy i dołącza do rzeki pieszych na chodniku.

Ze swojego domu Will przechodził trzy przecznice, tam zbiegał stopniami do metra, łapał czerwoną linię na północ do Howard, przesiadał się na fioletową – tak jak ja dwadzieścia kroków za nim.

Gdyby tylko odwrócił się i spojrzął, zauważyłby mnie.

Kampus college'u, w którym pracował, był pretensjonalnie ostentacyjny, budynki z białej cegły porośnięte bluszczem obok ozdobnych łuków. Roilo się tam od ludzi, studentów z plecaczkami, pędzących na zajęcia.

Pewnego ranka podążyłam za Willem chodnikiem, utrzymując stosowny dystans, blisko, lecz nie za blisko. Nie chciałam go zgubić, ale nie mogłam ryzykować, że mnie zobaczy. Większości ludzi brak cierpliwości do takich pościgów. Sztuczka polega na tym, by wtopić się w otoczenie, wyglądać jak wszyscy inni. I tak właśnie uczyniłam.

Nagle usłyszałam czyjś głos.

– Hej, profesorze Foust.

Uniosłam wzrok. To była dziewczyna, kobieta, niemal dorównująca mu wzrostem, odziana w obcisły płaszcz. Na głowie miała rzucającą się w oczy czerwoną czapkę, spod której wypadały kosmyki nienaturalnie jasnych włosów, układając się na ramionach i plecach. Dzinsy też miała obcisłe, podkreślające kształty i wpuszczone w wysokie brązowe kozaki.

Stali z Willem bardzo blisko siebie, ich ciała niemal się stykały.

Nie słyszałam, co mówią, ale ton ich głosów, mowa ciała wystarczyły. Dłoń muskająca jego ramię. Powiedział coś do niej i oboje ryknęli śmiechem. Położyła mu rękę na przedramieniu i wtedy ją usłyszałam: *Niech pan przestanie, profesorze, bo umrę ze śmiechu.* Nie mogła przestać się śmiać. A on patrzył. Nie robiła tego okropnie jak większość ludzi, z otwartymi ustami i rozszerzonymi nozdrzami. W jej śmiechu było coś delikatnego. Coś pełnego wdzięku i uroczego.

Pochylił się blisko, wyszeptał jej coś do ucha, i gdy to zrobił, poczułam pierwszy uścisk potwora zwanego zazdrością.

Jest takie powiedzenie: przyjaciół trzymaj blisko, wrogów jeszcze bliżej, i dlatego poświęciłam sporo czasu, by ją poznać. Nazywała się Carrie Laemmer, studiowała prawo na drugim roku i chciała kiedyś zostać prawniczką

środowiskową. Chodziła na zajęcia Willa. To ona siadała w pierwszym rzędzie i unosiła rękę za każdym razem, kiedy zadał pytanie. To ona zostawała po wykładzie i prowadziła długie rozmowy na temat kłusownictwa i ekspansji ludzkich siedlisk, jakby warto było dyskutować na takie tematy. To ona stała zbyt blisko, gdy myśleli, że są sami, ona pochylała się, wyznawała: *Co za tragedia z tymi gorylami górskimi*, chcąc, by ją pocieszał.

Pewnego popołudnia dogoniłam ją, gdy wychodziła z sali wykładowej. Podeszłam bliżej.

– Te zajęcia mnie dobijają.

W rękach niosłam podręcznik, ten, na który wydałam czterdzieści dolców, żeby wyglądało na to, iż chodzę na te same wykłady. Ot, kolejna studentka na zajęciach profesora Fousty z globalnej polityki zdrowotnej.

– To dla mnie za dużo – dodałam. – Nie daję rady. Ale ty... – zaczęłam wychwalać ją pod niebiosa. Powtarzałam, jaka jest mądra. Że najwyraźniej wszystko wie. – Jak ty to robisz? – spytałam. – Musisz zakuwać cały czas.

– Wcale nie – odparła z uśmiechem i wzruszyła ramionami. – Sama nie wiem, po prostu to mi przychodzi tak łatwo. Niektórzy twierdzą, że mam fotograficzną pamięć.

– Jesteś Carrie, prawda? Carrie Laemmer? – spytałam, pozwalając, by świadomość, że jest kimś wyjątkowym, kimś znanym, uderzyła jej do głowy.

Wyciągnęła rękę. Ucisnęłam ją i dodałam, że jeśli ma trochę czasu, bardzo przydałaby mi się pomoc. Carrie zgodziła się udzielić mi korepetycji, nie za darmo. Spotkałyśmy się dwa razy i tam, w małej herbaciarni, tuż przy kampusie, w której popijałyśmy ziołowe herbatki, dowiedziałam się, że pochodzi z przedmieść Bostonu. Opisała je dla mnie, miejsce, w którym dorastała: wąskie uliczki, widok na ocean, urocze stare budynki. Opowiedziała mi o rodzinie, starszych braciach, członkach drużyn pływackich świetnej uczelni, choć ona, o dziwo, nie umiała pływać. Ale potrafiła mnóstwo innych rzeczy, które mi wymieniła. Biegała, uprawiała wspinaczkę i narciarstwo zjazdowe. Znała trzy języki i, co bardzo nietypowe, potrafiła dotknąć językiem nosa. Pokazała mi.

Mówiła z klasycznym bostońskim akcentem. Ludzie go uwielbiali, samo brzmienie jej głosu przyciągało ich do niej. Kusilo. Nieważne, co miała do powiedzenia, wystarczył sam akcent.

Pozwoliła, by uderzyło jej to do głowy, tak jak wiele innych rzeczy.

Ulubionym kolorem Carrie był czerwony. Sama zrobiła sobie czapkę na drutach. Malowała krajobrazy, pisała wiersze. Żałowała, że nie ma na imię Wren, Meadow czy Clover. Była absolutnie typowym przykładem prawej półkuli mózgowej, idealistką, marzycielką.

Potem wiele razy widywałam ich razem z Willem. Szanse przypadkowego natknięcia się na kogoś w tak dużym kampusie są bardzo małe, stąd wiedziałam, że sama go szukała, że wiedziała, gdzie będzie i kiedy. Zjawiała się tam, by myślał, że to przeznaczenie, iż wciąż tak na siebie wpadają. Ale to nie był przypadek. To była pułapka.

Nie brak mi pewności siebie. Nie mam kompleksu niższości. Nie była ładniejsza ani lepsza ode mnie. Kierowała mną czysta zazdrość.

Wszyscy bywają zazdrośni, dzieci, nawet psy. Psy bardzo strzegą swojego terytorium, pilnują zabawek, posłań, właścicieli. Nie pozwalają nikomu dotknąć tego, co do nich należy. A kiedy tak się dzieje, robią się agresywne, warczą, gryzą. Atakują ludzi we śnie. Wszystko, byle tylko ochronić swoją własność.

Nie miałam wyboru co do tego, co zaszło potem. Musiałam chronić to, co moje.

Sadie

Później tej samej nocy budzę się ze snu, powoli dochodzę do siebie i widzę Willa siedzącego w fotelu w rogu sypialni, ukrytego wśród cieni. Ledwie dostrzegam zarys serwetki, czarną plamę i słaby blask białych oczu, gdy tak siedzi i mi się przygląda. Jakiś czas leżę w łóżku, zbyt zasnana i zdezorientowana, by spytać, co robi, zaproponować, żeby wrócił do mnie.

Przeciągam się i przekręcam na drugi bok, ciągnąc za sobą kołdrę, odwrócona plecami do Willa w fotelu. Kiedy będzie gotów, sam przyjdzie do łóżka. Zwijam się w pozycję płodową, podciągam kolana, wciskam je w brzuch i dotykam czegoś w łóżku. Zakładam, że to piankowa poduszka Willa, wkrótce jednak czuję zarys kręgow, wystającą łopatkę. Will leży obok mnie półnagi, skórę ma lepką i ciepłą, włosy opadają mu na bok, na szyję i na materac.

Will jest ze mną w łóżku. Nie siedzi w fotelu w kącie pokoju.

To ktoś inny. Ktoś inny patrzy, jak śpimy.

Siadam gwałtownie, moje oczy walczą, próbując przystosować się do ciemności w pokoju. Serce podchodzi mi do gardła, ledwie jestem w stanie wydać z siebie głos.

– Kto tu jest? – pytam, ale ze zduszonej krtani wyrywa się tylko jęk.

Sięgam na blat stolika, próbując przekręcić wyłącznik lampy, nim jednak udaje mi się to zrobić, słyszę jej głos, spokojny, miarowy, starannie dobrane słowa.

– Na twoim miejscu bym tego nie robiła.

Imogen wstaje z fotela, podchodzi do mnie i siada ostrożnie na skraju łóżka.

– Co ty tu robisz? Potrzebujesz czegoś? – pytam, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo się boję. Ale niełatwo to ukryć, wyraźnie widać, że jestem bliska paniki. Powinnam poczuć ulgę, widząc, że to ona – nie intruz, lecz jedna z nas – ale nie mogę. Moja sypialnia to nie miejsce dla Imogen, nie tak późno w nocy, przyczajonej w ciemności.

Szukam jej wzrokiem, wypatrując powodu, dla którego tu jest. Wypatrując broni, choć robi mi się słabo na samą myśl, że Imogen zakradła się do nas, żeby zrobić nam krzywdę.

– Czy coś się stało? – pytam. – Chcesz o czymś powiedzieć?

Will, jak zawsze śpiący twardo, nawet nie drgnie.

– Nie miałaś prawa – rzuca z pretensją wrogim tonem – wchodzić do mojego pokoju.

Czuję nagły ucisk w piersi.

Instynkt podpowiada, żeby kłamać.

– Nie było mnie w twoim pokoju, Imogen – odpowiadam szeptem i teraz w najlepszym moim interesie jest zachowywać się cicho, bo nie chcę, by Will wiedział, że się tam zakradłam. Że zamiast się kąpać, przejrzałam szuflady w biurku Imogen, kieszenie jej ubrań. Uznałby to za naruszenie prywatności i nie spojrzał na to życzliwie.

– Jesteś kłamczuchą – cedzi przez zęby Imogen, a ja przysięgam, że nie, naprawdę, Imogen, nie było mnie u ciebie.

Jej następne słowa są niczym cios prosto w brzuch.

– To co tam robiło twoje wino?

Rumienię się gwałtownie i wiem, że mnie przyłapała. Widzę to teraz wyraźnie: odstawiłam kieliszek caberneta na blat, przeszukując sypialnię.

A potem, uciekając w pośpiechu, zostawiłam go tam.

Jak mogłam być taka głupia?

No dobra, gorączkowo szukam w myślach kłamstwa, ale nie znajduję, przynajmniej nie dość wiarygodne, by się nim podzielić, więc nawet nie próbuję. Nigdy nie umiałam dobrze kłamać.

– Jeśli jeszcze kiedyś... – zaczyna, ale na tym kończy, urywając gwałtownie, pozostawiając mi odgadnięcie, co się wtedy stanie.

Imogen wstaje z łóżka. Nagle wzrost daje jej przewagę, góruje nade mną tak, że nie mogę złapać tchu. Imogen nie jest potężnie zbudowana, ma szczupłą sylwetkę, ale jest wysoka, zapewne po ojcu, bo Alice była drobniutka. Teraz, gdy stoi tak blisko obok, uświadamiam sobie, iż nie doceniałam jej wzrostu. Pochyla się i szepcze mi do ucha.

– Trzymaj się, kurwa, z daleka od mojego pokoju – podkreśla te słowa lekkim pchnięciem.

A potem odchodzi, wymyka się z sypialni, stąpając bezszelestnie po drewnianej podłodze, tak jak wcześniej, gdy zakradła się do naszego pokoju.

Leżę w łóżku wstrząśnięta, rozbudzona, nasłuchując nerwowo, czy nie wróci.

Nie wiem, jak długo to trwa. W końcu poddaję się zmęczeniu i z powrotem osuwam w objęcia snu.

Sadie

Jadę w czasie przerwy na lunch, staram się nie rzucić w oczy, wymknąć przez drzwi, kiedy nikt nie patrzy, ale Joyce i tak mnie zauważa.

– Znów pani wychodzi? – pyta tonem sugerującym, że tego nie aprobuje.

– Przegryzę coś szybko – odpowiadam, choć sama nie wiem, czemu kłamię, kiedy prawda mogłaby okazać się lepsza.

– O której możemy się pani spodziewać? – pyta Joyce, a ja odpowiadam, że za godzinę.

– Uwierzę, kiedy zobaczę – mówi z prychnięciem, choć nie jest to wcale uczciwa ocena: nie przeciągam przerw poza wyznaczoną godzinę. Ale wiem, że nie ma sensu się sprzeczać, więc i tak wychodzę, wciąż zdenerwowana po tym, jak zeszłej nocy ujrzałam Imogen w naszej sypialni. Gdy tylko zobaczyła kieliszek, musiała się zorientować, że u niej byłam. Mogła od razu do mnie przyjść i powiedzieć. Ale nie. Zamiast tego czekała godzinami, aż zasnę. Chciała mnie przestraszyć. Taki miała zamiar.

Imogen nie jest niewinnym dzieckiem. Przebiegła z niej sztuka.

Znajduję samochód na parkingu i jadę, starając się przekonać samą siebie, by odpuścić sobie uroczystość pożegnalną. Z początku sądziłam, że nie mam powodów, by tam jechać, poza pragnieniem, by zobaczyć Jeffreya Bainesa. Mieszkamy tu już jakiś czas, ale do tej pory nie zdołałam mu się przyjrzeć. Nie potrafię uwolnić się od myśli, że zabił żonę. Dla bezpieczeństwa swojego i rodziny muszę dowiedzieć się, kim jest, muszę wiedzieć, kim są moi sąsiedzi. Muszę wiedzieć, czy jesteśmy bezpieczni z tym człowiekiem mieszkającym po drugiej stronie ulicy.

Kościół metodystów jest biały, z wysoką wieżą zakończoną ostrą iglicą, w ścianach po obu stronach tkwią po cztery skromne witrażowe okna. Budynek jest bardzo mały, typowy prowincjonalny kościółek. Z gwoździ wbitych w podwójne drzwi zwisają bliźniacze wieńce z iglaków, ozdobione czerwonymi

kokardami. Wygląda to uroczo. Na małym parkingu brak miejsca, zatrzymuję się na ulicy i podążam za innymi do środka.

Uroczystość odbywa się w sali spotkań, wypełnia ją dziesięć czy piętnaście okrągłych stolików pokrytych białymi obrusami. W głębi sali ustawiono stół bankietowy, a na nim tace ciasteczek.

Wchodzę zdecydowanym krokiem; mam takie samo prawo tu być jak wszyscy inni, nieważne, co mówi Will. Kobieta, której nigdy wcześniej nie widziałam, ściska mi dłoń i dziękuje, że przyszedłam, w palcach miętosi chusteczkę. Niedawno płakała. Przedstawia się jako matka Morgan, pyta, kim jestem.

– Sadie – odpowiadam. – Sąsiadka. Tak mi przykro z powodu pani straty – dodaję z szacunkiem.

Kobieta jest starsza ode mnie o dwadzieścia, może trzydzieści lat, włosy jej siwieją, skóra zmieniła się w mapę pełną zmarszczek. Szczupła, włożyła na tę okazję czarną sukienkę tuż za kolana. Dłoń ma zimną, i gdy ją ściskam, czuję na skórze cienką chusteczkę.

– To takie miłe z pani strony, że pani przyszła. Cieszę się, słysząc, że Morgan miała przyjaciół.

Na te słowa błędę, bo oczywiście nie byliśmy przyjaciółkami, ale pogrążona w żalobie matka nie musi o tym wiedzieć.

– Była uroczą kobietą – odpowiadam, bo nie wiem, co mogłabym rzec.

Jeffrey stoi półtora metra dalej, rozmawia ze starszą parą. Wygląda na znudzonego, nie okazuje rozpaczy, którą tak wyraźnie widać u matki Morgan. Nie płacze. To takie typowo męskie. Rozumiem. A żal może objawiać się na różne sposoby prócz płaczu – poprzez gniew, niedowierzanie. Nie dostrzegam ich jednak u Jeffreya, który klepie po plecach starszego mężczyznę i wybucha krótkim śmiechem.

Nigdy wcześniej nie stałam tak blisko niego. Do tej pory nie zdołałam mu się przyjrzeć. Jeffrey to mężczyzna elegancki, wysoki, wyrafinowany, z gęstą szopą ciemnych włosów, które zaczesuje do góry i do tyłu. Twarz ma śniadą, oczy ukryte za parą okularów w grubej oprawie. Czarny garnitur uszyto na miarę. Jest przystojny.

Starsza para rusza dalej, raz jeszcze powtarzam matce Morgan, jak bardzo mi przykro, i zostawiam ją. Podchodzę do Jeffreya. On także ściska mi rękę, uścisk ma

mocny, dłoń wilgotną.

– Jeffrey Baines – przedstawia się, patrząc mi w oczy, a ja odpowiadam, że razem z mężem i rodziną mieszkamy naprzeciwko.

– Oczywiście – mówi, choć wątpię, czy kiedykolwiek zwracał uwagę na to, co dzieje się na naszej ulicy. Wygląda mi na jednego ze zręcznych biznesmenów, którzy wiedzą, jak postępować z ludźmi, jak stosować trudną sztukę nawijki. Z pozoru sprawia wrażenie uroczego. Ale pod spodem kryje się coś jeszcze, czego nie widzę.

– Morgan była zachwycona, że na ulicy pojawiła się świeża krew – mówi. – Ucieszyłaby się, że tu przyszedłeś, Sandy – dodaje, a ja poprawiam i mówię:

– Sadie.

– Tak, zgadza się, Sadie. – Obraca to słowo w ustach, uśmiecha się przeproszająco. – Zawsze miałem problemy z zapamiętaniem imion – dodaje, wypuszczając moją dłoń, a ja cofam ją szybko, splatając ręce przed sobą.

– Jak większość ludzi – odpowiadam. – Musi ci być bardzo ciężko – dodaje zamiast powiedzieć *przykro mi z powodu twojej straty*, bo te słowa wydają mi się zbyt przeciętne, banalne, powtarzane raz po raz w całej sali. – Twoja córka musi być wstrząśnięta. – Usilnie staram się okazywać mu współczucie, spuszczam wzrok, marszczę brwi. – Nie wyobrażam sobie, przez co przeszła.

Lecz odpowiedź Jeffrey'a mnie zaskakuje.

– Obawiam się, że nigdy nie były blisko z Morgan. To chyba z powodu rozwodu – stwierdza deprecjonująco, wyraźnie bagatelizując fakt, że żona i córka się nie dogadywały. – Żadna kobieta nigdy nie przyćmi własnej matki – dodaje.

– Och – odpowiadam, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Gdybyśmy z Willem kiedykolwiek się rozwiedli, mam nadzieję, że chłopcy kochaliby mnie bardziej niż macochę. A jednak Morgan zamordowano. Nie żyje. Ta dziewczynka ją znalazła. Jego nonszalancja mnie zaskakuje.

– Jest tutaj? – pytam. – Twoja córka?

Jeffrey odpowiada, że nie. Córka jest w szkole. Dziwne, że się uczy, podczas gdy ludzie żegnają jej macochę.

Wyraźnie dostrzega moje zaskoczenie.

– Na początku roku była chora – wyjaśnia. – Zapalenie płuc, trafiła do szpitala, pod kroplówkę, dostawała antybiotyki. Nie chcemy z jej matką, by straciła jeszcze więcej zajęć.

Sama nie wiem, czy te wyjaśnienia cokolwiek tłumaczą.

– Trudno wszystko nadgonić – rzucam w desperacji.

Jeffrey dziękuje, że przyszedłam.

– Poczęstuj się ciasteczkami – mówi, po czym spogląda ponad moim ramieniem na następną osobę w kolejce.

Podchodzę do stołu, biorę ciastko i znajduję sobie krzesło. Dziwnie się czuję, siedząc sama w sali, w której prawie nikt nie jest sam. Wszyscy przyszli z kimś jeszcze. Wszyscy oprócz mnie. Żałuję, że nie ma tu Willa. Powinien był przyjść. Wielu z zebranych płacze cicho, tłumiąc szlochy, tylko matka Morgan otwarcie okazuje rozpacz.

Nagle tuż obok mnie przeciskają się dwie kobiety. Pytają, czy dwa pozostałe miejsca przy stoliku są zajęte.

– Nie – mówię. – Proszę, siadajcie.

I to robią.

– Byłaś przyjaciółką Morgan? – pyta jedna z nich, musi pochylić się bliżej, bo robi się coraz głośniejsze.

Zalewa mnie nagła fala ulgi. Nie jestem już sama.

– Sąsiadką. A wy? – pytam, przysuwając bliżej składane krzeselko. Zostawiły między sobą a mną puste miejsce, to stosowne zachowanie, ale bardzo utrudnia rozmowę.

Jedna z kobiet wyjaśnia, że są starymi przyjaciółkami Patty, matki Morgan. Przedstawiają się – Karen i Susan – ja robię to samo.

– Biedna Patty, całkiem się rozsypała – mówi Karen. – I nic dziwnego.

Odpowiadam, że to niepojęte. Wzdychamy i rozmawiamy o tym, że dzieci powinny przeżyć rodziców, a nie na odwrót. To, co się stało z Morgan, narusza naturalny porządek rzeczy. Myślę o Ottonie i Tacie, o tym, że mogłoby ich spotkać coś złego. Nie wyobrażam sobie świata, w którym my z Willem nie umarlibyśmy pierwsi. Nie chcę go sobie wyobrażać, świata, w którym ich nie ma, a ja wciąż tu jestem.

– I to nie raz, lecz dwa razy – mówi Susan, jej towarzyszka ponuro kiwa głową, ja także, choć nie wiem, o czym mówią. Tylko częściowo słucham, bo uwagę skupiam na Jeffreyu Bainesie i na tym, jak wita kolejnych żałobników. Przyjmuje ich z uśmiechem, wyciąga ciepłą dłoń, by uścisnąć im ręce. Co za niestosowny uśmiech, dopiero co zamordowano mu żonę. Nie powinien się uśmiechać. Raczej dołożyć wysiłku, żeby przybrać smutną minę.

Zaczynam się zastanawiać, czy Jeffrey i Morgan kłócili się, czy może to obojętność ich dopadła. Obojętność, uczucie gorsze nawet od nienawiści. Może w jakiś sposób go zdenerwowała albo po prostu pragnął jej śmierci, rozwiązania małżeństwa bez paskudnej bitwy. A może chodziło o pieniądze? Ubezpieczenie na życie, polisę.

– Potem Patty nigdy już nie doszła do siebie – kontynuuje Susan i skupiam wzrok na niej.

– Nie wiem, co teraz robi – odpowiada Karen. – Jak przez to przejdzie. Utrata jednego dziecka jest okropna, ale dwójki?

– Nie do pomyslenia. – Susan sięga do torebki po chusteczkę. Zaczyna płakać, wspomina, jak wstrząśnięta była Patty za pierwszym razem, jak to mijały tygodnie, a ona nie mogła nawet wstać z łóżka. Jak bardzo schudła, o wiele za dużo dla kobiety, która z natury jest raczej szczupła. Patrząc na nią, stojącą na czele kolejki. Wygląda na wychudzoną.

– To zniszczy... – zaczyna Karen, nie udaje jej się skończyć, bo w tym momencie próg kościoła przekracza kobieta i rusza wprost w stronę Jeffreya. Na jej widok z jego twarzy znika uśmiech.

– Och – słyszę westchnienie Karen. – Ojejku. Susan, popatrz, kto przyszedł.

Wszystkie patrzymy. Kobieta jest wzrostu Jeffreya, szczupła, ubrana bezwstydnie w czerwień, podczas gdy niemal wszyscy zebrani wybrali ciemne bądź zgaszone kolory. Włosy ma długie i ciemne, opadające na plecy na luźną czerwoną bluzkę w kwiaty z dość wyraźnym dekoltem. Obcisłe spodnie, na ramieniu zimowy płaszcz. Zatrzymuje się tuż przed Jeffreyem i mówi coś do niego. Jeffrey próbuje wziąć ją za rękę i wyprowadzić z sali, ale kobieta mu nie pozwala, cofa się gwałtownie. On pochyla się ku niej, mówi coś cicho. Kobieta podpira się pod boki, przyjmując pozycję obronną. Dąsa się.

– Kto to? – pytam niezdolna oderwać od niej oczu.

Wyjaśniają mi. To Courtney, pierwsza żona Jeffreya.

– Nie wierzę, że miała czelność się tu zjawić – szepcze Susan.

– Może po prostu chce okazać szacunek? – podsuwa Karen.

– Poważnie wątpię! – prychna Susan.

– Rozumiem, że małżeństwo nie skończyło się w przyjaźni – mówię, choć przecież nie muszę. Bo jakie małżeństwa kończą się przyjaźnią.

Moje towarzyszkę wymieniają przeciągłe spojrzenia.

– Sądziłam, że wszyscy o tym słyszeli – oznajmia Susan. – Że wszyscy wiedzą.

– Wiedzą co? – pytam, a one przesuwają się na krzesłach, pozbywając się dzielącego nas pustego siedziska, i opowiadają, że Jeffrey był żonaty z Courtney, kiedy poznał Morgan. Że ich małżeństwo zaczęło się jako romans. Morgan była jego kochanką, dodają, szepcząc to słowo, kochanką, jak nieprzyzwoity wyraz.

Złe słowo. Jeffrey i Morgan pracowali razem, była jego osobistą asystentką. Sekretarką, choć to takie banalne.

– Poznali się i pokochali – puentuje Susan.

Z tego, co opowiadała im matka Morgan, Jeffrey i jego ówczesna żona, Courtney, od dawna rzucali się sobie do gardeł. To nie Morgan rozbiła ich małżeństwo, już było rozbite, zawsze dochodziło w nim do awantur, dwoje podobnych do siebie ludzi, którzy nieustannie się spierali. Morgan na początku romansu powiedziała jej, że Jeffrey i Courtney potrafią być uparci i zapalcywi. Klasyczny typ A. Zachowanie i temperament Morgan bardziej pasowały do Jeffreya.

Spoglądam na niego i jego byłą. Wymieniają kilka ostrych słów, w końcu ona coś mówi, odwraca się i wychodzi.

Myślę, że to już koniec. To wszystko.

Patrzę, jak Jeffrey odwraca się do następnej osoby, zmusza do uśmiechu i wyciąga rękę.

Panie obok mnie wracają do plotek, słucham, ale nie spuszczam wzroku z Jeffreya. Susan i Karen rozmawiają o Morgan i Jeffreyu. O ich małżeństwie. Prawdziwa miłość, słyszę, choć z wyrazu jego twarzy – obojętnego, beznamietnego – wcale to nie wynika. Ale może to forma samoobrony. Później się rozplacze, kiedy zostanie sam, gdy reszta z nas odejdzie.

– Prawdziwej miłości nie da się powstrzymać – oświadcza Karen.

W tym momencie przez głowę przebiega mi myśl. Jest jeden sposób, by ją powstrzymać.

Susan pyta, czy któraś z nas ma jeszcze ochotę na ciastko. Karen przytakuje, Susan odchodzi i przynosi pełny talerz dla wszystkich. Wracają do rozmowy o Patty i postanawiają donosić jej posiłki, by mieć pewność, że coś zje. Jeśli nikt jej niczego nie ugotuje, możliwe, że pogrążona w rozpacz będzie głodować. To je martwi. Karen zastanawia się głośno, co przyrządzić. Ma przepis na placek mięsny, który chciała wypróbować, ale wie też, że Patty przepada za lasagne.

Tylko ja wciąż patrzę, jak Jeffrey minutę później przeprosza i wyslizguje się z sali.

Odsuwam krzesło i wstaję, jego nogi przesuwają się ze zgrzytem po podłodze. Towarzyszki patrzą na mnie ostro, zaskoczone nagłym poruszeniem.

– Wiecie może, gdzie jest toaleta? – pytam z naciskiem. – Natura wzywa.

Karen mi wyjaśnia.

W holu panuje spokój. Choć budynek nie jest wielki, mieści kilka salek. Im dalej się zagłębiam, tym bardziej jest pusto. Skręcam w lewo i w prawo, ludzie znikają. W końcu docieram do końca, zaczynam cofać się tam, skąd przyszłam.

W holu nie ma ludzi, wszyscy zgromadzili się w sali zebrań.

Przed sobą mam dwoje drzwi, jedne wiodą do sanktuarium, drugie na zewnątrz.

Otwieram ostrożnie drzwi do sanktuarium, uchylam je o parę centymetrów, dostatecznie, by móc zajrzeć do środka. Sanktuarium jest małe, kiepsko oświetlone, skąpane w cieniu. Jedyne światło dobiega z czterech witrażowych okien po obu stronach pomieszczenia. Nad amboną wisi krzyż, spoglądając z góry na rzędy sztywnych ławek.

Sądzę, że kościół jest pusty. Z początku ich nie widzę. Już mam wyjść, żeby sprawdzić, czy są na dworze, rozważając możliwość, że w ogóle się nie spotkali, że ona wyszła, a on udał się do toalety. W tym momencie jednak dostrzegam ruch. Ich dłonie unoszą się szybko, gdy go odpycha.

Tkwią ukryci w przeciwległym kącie pomieszczenia, Courtney przyparła Jeffreya do muru. On wyciąga rękę, by pogłodzić jej włosy, lecz kobieta znów go odpycha, tak mocno, że tym razem przyciska do piersi dłoń, jakby ucierpiał.

I wtedy była żona wymierza mu policzek. Wzdrygam się i cofam od drzwi, jakbym to ja dostała. Courtney ostro obraca głowę w prawo i znów skupia wzrok, wstrzymuję oddech i słyszę ją, tylko dlatego, że podniosła głos i jej słowa brzmią donośniej niż wcześniejsze.

– Nie jest mi przykro z powodu tego, co zrobiłam – wyznaje. – Wszystko mi odebrała, Jeff, zupełnie wszystko i pozostawiła mnie z niczym. Nie możesz mnie winić za to, że próbowałam odzyskać co moje – czeka chwilę, a potem dodaje: – Nie jest mi przykro, że zginęła.

Jeffrey chwyta ją za przegub. Oboje patrzą sobie w oczy, ich usta poruszają się, ale teraz mówią cicho, zniżając głos, i nic nie słyszę. Wyobrażam sobie jednak, a moja wyobraźnia podpowiada mi rzeczy pełne nienawiści i bolesne. Ostrożnie wchodzę do środka, wstrzymuję oddech, wyteżam uwagę, rozpaczliwie próbując uchwycić, o czym mówią. Z początku moich uszu dobiegają tylko frazy, takie jak *nie powiem* i *nigdy nie wiadomo*. Wentylator na suficie ożywa i szum powietrza dodatkowo zagłusza ich głosy. Nie trwa to długo, może trzydzieści sekund. Trzydzieści sekund rozmowy, które straciłam. Potem wentylator milknie, a oni znów podnoszą głosy i słowa wracają.

– To, co zrobiłaś. – Jeffrey kręci głową.

– Nie myślałam trzeźwo – przyznaje ona. – Poniósł mnie temperament, Jeff. Byłam wściekła – dodaje – i trudno mnie winić.

Teraz płacze, ale bardziej żałośnie niż w rozpacz. To cichy płacz poprzedzający łzy. Manipulacja. Próbuje wzbudzić w nim współczucie.

Nie mogę oderwać wzroku.

Jeffrey przez minutę milczy. Oboje się nie odzywają.

– Nigdy nie znośnię, jak płaczesz – mówi w końcu głosem lekkim jak piórko.

Łagodnie. Ona także.

Przez sekundę Jeffrey gładzi jej włosy, tym razem Courtney pochyla się ku niemu. Nie odpycha go. Podchodzi bliżej. On obejmuje ją w pasie. Przyciąga do siebie. Ona zarzuca mu ręce na szyję, kładzie głowę na ramieniu. Stoją tak przez sekundę. Są niemal równego wzrostu, nie mogę się powstrzymać, wciąż patrzę, jak się obejmują, bo coś, co zaledwie sekundę temu było gwałtowne i mordercze, teraz stało się dziwnie urocze.

Brzęknięcie telefonu zaskakuje mnie, cofam się gwałtownie i wypuszczam drzwi. Zatrząskują się głośno, przez ułamek sekundy zamieram, jak sarna złapana w promień światła.

Słyszę ruch po drugiej stronie drzwi sanktuarium. Idą tutaj.

Zbieram się szybko.

Pospiesznie przechodzę podwójnymi drzwiami kościoła na zewnątrz w mroźny grudniowy dzień. Kiedy docieram do stopni kościoła, puszczam się biegiem.

Nie mogę pozwolić, by Jeffrey i jego była żona zorientowali się, że to byłam ja.

Biegnę do samochodu parkującego na ulicy, otwieram drzwi i szybko wsiadam, wbijając wzrok w drzwi kościelne, sprawdzając, czy ktoś nie poszedł za mną. Zamykam auto, z wdzięcznością słuchając metalicznego szczęku zamka świadczącego o tym, że mogę się ukryć. Dopiero wtedy zerkam na ekran komórki.

To SMS od Joyce. Sprawdzam na telefonie, od mojego wyjścia minęła ponad godzina. Dokładniej sześćdziesiąt cztery minuty. Joyce liczy każdą z nich.

Spóźniasz się, pisze. Pacjenci czekają.

Wędruję wzrokiem do drzwi kościoła i widzę byłą żonę Jeffrey'a Bainesa, która zaledwie dwadzieścia sekund później wychodzi na dwór. Patrzy w lewo, potem w prawo, biegiem pokonuje stopnie, ręką przyciska do siebie klapy płaszcza w czarno-białą pepitkę, by ochronić się przed mrozem.

Odprowadzam ją wzrokiem do samochodu, czerwonego džipa parkującego na ulicy. Szarpnięciem otwiera drzwi i wślizguje się do środka, a potem zatrząskuje je za sobą.

Zerkam w stronę kościoła i widzę Jeffrey'a. Stoi w otwartych drzwiach i odprowadza wzrokiem byłą żonę.

Sadie

Kiedy tego wieczoru wracam do domu, na podjeździe przed domem zastaję furgonetkę. Zatrzymuję się obok, parkuję auto za samochodem Willa. Czytam napis na furgonetce i z ulgą odkrywam, że Will zamówił wymianę pieca. Zbliżam się do drzwi frontowych. Kiedy wchodzę do środka, w domu panuje spokój. Piec zamontowano w wilgotnej piwnicy i tam właśnie są teraz mężczyźni. Widzę tylko Tate'a, siedzi przy stoliku kawowym i układa klocki Lego. Kiedy zrzucam buty i zostawiam je przy drzwiach, macha do mnie. Podchodzę do niego i całuję w czubek głowy.

– Jak ci minął... – zaczynam, nim jednak zdążę dokończyć zdanie, spomiędzy desek podłogi docierają do nas gniewne głosy, choć nie rozumiem słów.

Ja i Tate patrzymy na siebie.

– Zaraz wrócę – mówię, a kiedy próbuje pójść za mną, dodaję stanowczo: – Zostań tutaj, bo nie wiem, co zastanę w piwnicy, kiedy już tam zejdem.

Ostrożnie stąпам po nierównych drewnianych stopniach, aby sprawdzić, co się dzieje. Denerwuję się, bo mam w głowie wyłącznie wizję obcego mężczyzny w naszym domu – obcego mężczyzny, którego nie znamy ani ja, ani Will. A potem przychodzi następna myśl: skąd wiemy, czy ten gość od pieca to nie morderca? To nie takie naciągane, biorąc pod uwagę, co spotkało Morgan.

Piwnica jest prawie pusta, ściany i podłogę zrobiono z betonu, oświetla ją ostry blask serii nagich żarówek.

Stając na ostatnim stopniu, boję się tego, co zastanę. Gościa od pieca robiącego krzywdę Willowi? Serce przyspiesza gwałtownie, wyrzucam sobie, że nie przyszło mi do głowy, by zabrać na dół coś, czym mogłabym się bronić, i bronić Willa. Ale wciąż mam torebkę, a w środku telefon. To już coś. W razie potrzeby mogę wezwać pomoc. Sięgam do środka i chwytam komórkę.

Moje stopy docierają do ostatniego schodka, obracam się ostrożnie i widzę coś, czego się nie spodziewałam.

Will przypiera gościa od pieca do ściany piwnicy, stoi parę centymetrów od niego. Wygląda to, nie da się tego inaczej opisać, groźnie. Nie przytrzymuje go – na razie to nie starcie fizyczne – ale bliskość, w jakiej się znalazł, nie pozwala tamtemu odejść. Dla kontrastu człowiek ów stoi pokornie i słucha, jak Will nazywa go pasożytem, oportunistą. Will poczerwieniał, na szyi wystąpiły mu żyły.

Podchodzi jeszcze bliżej, tamten się wzdryga. Will dźga go palcem w pierś, sekundę później łapie mężczyznę za kołnierz.

– Powinienem zadzwonić ze skargą do izby rzemieślniczej. Tylko dlatego, że jesteś jedynym pierdzielonym specem od pieców...

– Will – rzucam ostro, takie przekleństwa to do niego niepodobne. Fizyczny konflikt także, nigdy nie widziałam go z tej strony. – Przestań, Will – mówię teraz. – Na miłość boską, co w ciebie wstąpiło?

Will cofa się wyłącznie dlatego, że tu jestem, spuszcza wzrok, wbijając go w ziemię. Nie musi mi mówić, co się stało, szybko zgaduję, znając kontekst. Ten człowiek to jedyny specjalista od pieców na wyspie, z tego powodu wyznacza wysokie ceny. Willowi się to nie podoba. Ale to żadna wymówka.

Kiedy mąż się cofa, człowiek od pieców szybko zbiera narzędzia i ucieka.

Nie rozmawiamy o tym. Przez resztę wieczoru nie wspominamy o tym ani słowem.

Następnego ranka po wyjściu spod prysznicza okręcam się ręcznikiem. Will przygląda się swemu odbiciu w zaparowanym lustrze nad umywalką. Srebrzyste krawędzie pociemniały ze starości, łazienka jak wszystko w domu jest duszna, przytłaczająca i ciasna.

Patrzę na Willa, który wciąż przegląda się w lustrze. Dostrzega mój wzrok, nasze oczy się spotykają.

– Jak długo zamierzasz mnie ignorować? – pyta, wyraźnie mając na myśli milczenie po awanturze z człowiekiem od pieców. Ostatecznie tamten odjechał, zanim cokolwiek zrobił, więc w domu wciąż panuje nieprzyjemna temperatura. W dodatku piec zaczął grzechotać. Wkrótce zupełnie padnie.

Czekam, aż Will przeprosi za swoje zachowanie, a przynajmniej przyzna, że źle postąpił. Rozumiem, czemu się zdenerwował, nie pojmuję natomiast przesadnej

reakcji. Zareagował zbyt gwałtownie, kompletnie nieracjonalnie, a to do niego niepodobne.

Will natomiast spodziewa się, że zamiotę wszystko pod dywan i zapomnę.

– Nigdy nie widziałam cię w takim stanie z powodu takiej głupoty jak cena naprawy pieca – mówię.

Wyraźnie zaboląły go moje słowa, oddycha głęboko.

– Wiesz, jak bardzo się staram zadbać o naszą rodzinę, Sadie – oznajmia urażonym tonem. – Rodzina znaczy dla mnie wszystko. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek nas tak wykorzystywał.

Gdy to mówi, widzę wszystko w nowym świetle i wkrótce to ja go przeproszam.

Tak bardzo o nas dba. Powinnam być wdzięczna, że Will wszystko sprawdził, że nie chciał, by człowiek od pieców nas naciągnął. Chronił nasze finanse, naszą rodzinę, pieniądze, które mogliśmy wydać na zakupy, na fundusze szkolne dzieci. Tak się cieszę, że starczyło mu zarówno wiedzy, jak i odwagi, by je ochronić. Gdybym to ja była na jego miejscu, nieświadomie wyrzuciłabym w błoto setki dolarów.

– Masz rację – przytakuję. – Absolutną rację. Tak mi przykro.

– W porządku – odpowiada i po jego minie widzę, że mi wybaczył. – Zapomnijmy o wszystkim – dodaje i faktycznie zapominamy.

Will wciąż nie wie, że poszłam wczoraj na uroczystość pożegnalną, nie potrafię mu tego wyznać, bo zdecydował, że nie powinniśmy brać w niej udziału. Nie chcę, żeby się złościł. Ale nie mogę przestać myśleć o dziwnej rozmowie, której byłam świadkiem w kościele, między Jeffreyem a jego byłą żoną. Tak bym chciała porozmawiać o tym z Willem, opowiedzieć, co widziałam. Po tym, jak była żona Jeffrey'a wyszła z kościoła, pojechałam za nią. Zawróciłam na ulicy, śledząc czerwonego dzipa w odległości dziesięciu metrów przez trzy przecznice do promu. Jeśli nawet Courtney zorientowała się, co robię, nie zareagowała. Siedziałam z dziesięć minut na ulicy z włączonym silnikiem, ona spędziła je w samochodzie, rozmawiając przez telefon.

Kiedy przyplłynął prom, wjechała na pokład i chwilę później zniknęła na morzu. Odeszła, a mimo to pozostała ze mną, w mojej głowie. Wciąż tam jest. Nie mogę przestać o niej myśleć. O Jeffreyu. O ich sprzeczce i uścisku.

Myślę też o Imogen. O jej sylwetce w ciemnym kącie sypialni.

Will przeczesuje palcami włosy, to jego wersja grzebienia. Słyszę, jak mówi coś pośród szumu wentylatora w łazience, opowiada, że wieczorem zabierze Tate'a na imprezę Lego w bibliotece publicznej. Pojadą z jeszcze jednym chłopcem ze szkoły, kolegą Tate'a, z nim i jego matką. Nazywa się Jessica, informuje mnie lekko Will w trakcie rozmowy i właśnie ta lekkość sprawia, że się jeżę, na moment zapominam o Jeffreyu i jego byłej, o Imogen.

Przez lata to Will planował zabawy naszych chłopców. Wcześniej nigdy mi to nie przeszkadzało, przeciwnie, czułam wdzięczność, że pod moją nieobecność przejął ten obowiązek. Po szkole koledzy chłopców i ich matki odwiedzali nasze mieszkanie, kiedy byłam w pracy. Wyobrażałam sobie, że chłopcy znikają w swoim pokoju, by się pobawić, a Will i jakaś kobieta, której w ogóle nie znam, siedzą przy moim kuchennym stole, obgadując inne matki ze szkoły podstawowej.

Nigdy nie widziałam tych kobiet. Nie zastanawiałam się, jak wyglądają. Ale od czasu romansu wszystko się zmieniło. Teraz obsesyjnie rozmyślam o takich rzeczach.

– Tylko wasza czwórka? – pytam.

Odpowiada, że owszem, tylko ich czwórka.

– Ale będą tam też inni ludzie, Sadie. – Choć stara się dodać mi otuchy, brzmi to sarkastycznie. – To nie jest prywatne spotkanie tylko dla nas.

– Oczywiście – mruczę. – I co będziecie tam robić? – Staram się, by zabrzmiało to lekko, nie chcę zachować się jak harpia, bo wiem, że Tate uwielbia lego.

Will informuje, że zbudują coś z małych cegiełek, które znajdują rozrzucone w całym domu, może tory i pojazdy, które się poruszają.

– Tate nie może się już doczekać, a poza tym – odwraca się od lustra i patrzy na mnie – kilka godzin spędzonych razem dobrze zrobi Ottonowi, Imogen i tobie. Pozwoli wam się zbliżyć – dodaje, a ja pryham, wiedząc, że dziś wieczór zdecydowanie nie zbliżę się do Ottona i Imogen.

Wymijam go, przechodzę z łazienki do sąsiedniej sypialni, Will drepcze za mną. Siada na brzegu łóżka, naciągając skarpetki i patrząc, jak się ubieram.

Dni są coraz chłodniejsze, mróz wnika do kliniki drzwiami i oknami, ściany oddychają, drzwi stale otwierają się i zamykają. Za każdym razem, gdy pacjent wchodzi bądź wychodzi, towarzyszy mu fala zimna.

Zaczynam kopać w stercie prania, szukając brązowego kardiganu, jednego z tych praktycznych ciuchów pasujących do niemal wszystkiego. Sweter nie jest mój. Należał do Alice. Znalazłam go w domu po przyjeździe, widać po nim, że był lubiany, noszony, częściowo to powód, dla którego go polubiłam. Jest nieco wypchany, pokryty kłaczkami, z szerokim, prążkowanym szalowym kołnierzem i dużymi naszywanymi kieszeniami, w które mogę schować ręce. Z przodu ozdobiono go czterema guzikami ze sztucznej masy perłowej, jest dość obcisły, bo Alice była znacznie drobniejsza ode mnie.

– Widziałeś mój sweter? – pytam.

– Który sweter? – Will na to.

– Ten brązowy. Rozpinany. Ten, który należał do Alice.

Will odpowiada, że nie widział. Nie lubi tego swetra, zawsze uważał, że to dziwne, iż od razu go sobie wzięłam.

– Gdzie go znalazłaś? – spytał, kiedy pojawiłam się w nim po raz pierwszy.

– W szafie na górze – odparłam. – Musiał należeć do twojej siostry.

– Serio? Nie sądzisz, że to dość, no nie wiem, upiorne? Noszenie ubrania nieboszczki?

Nim jednak zdążyłam odpowiedzieć, wtrącił się Tate, pytając, co znaczy upiorny, i wyszłam, by uniknąć tej rozmowy, pozostawiając wyjaśnienia Willowi.

Teraz znajduję w praniu inny sweter i naciągam go na bluzkę, Will siedzi i nadal patrzy. Kiedy jestem ubrana, wstaje z łóżka i podchodzi do mnie, obejmuje mnie w pasie i mówi, żebym nie przejmowała się Jessicą. Pochyla się blisko.

– W konkurencji z tobą nie ma szans – szepcze mi do ucha w kiepskiej próbie zażartowania z sytuacji. Dodaje, że Jessica to wiedźma, że rzadko się kąpie, brak jej połowy zębów, a kiedy mówi, bryzga wokół kropelkami śliny.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Brzmi uroczo – odpowiadam, choć wciąż zastanawiam się, czemu muszą jechać razem, dlaczego po prostu nie spotkają się w bibliotece.

Will przytula się jeszcze bliżej, chuchając mi w ucho.

– Może po spotkaniu Lego, kiedy już położymy dzieci, my też będziemy mogli trochę się zbliżyć. – Całuje mnie.

Od czasu romansu nie kochaliśmy się, bo za każdym razem, kiedy Will mnie dotyka, myślę tylko o niej i natychmiast się kulę, ucinając w zarodku wszelkie próby kontaktów intymnych. Nie dałabym głowy, ale święcie wierzę, że to była studentka, jakaś osiemnasto- czy dziewiętnastolatka. Wiem, że nosiła jaskraworóżową szminkę i skąpą bieliznę. Zostawiła ją w mojej sypialni, co oznacza, że miała czelność nie tylko spać z żonatym mężczyzną, ale także paradować po domu bez bielizny. To dwie rzeczy, których ja nigdy nie umiałabym zrobić.

Często zastanawiam się, czy zwracała się do niego *profesorze*, czy też dla niej także był Willem. A może profesorem Foustem, choć poważnie w to wątpiłam. To brzmiało stanowczo zbyt oficjalnie jak na faceta, z którym się sypia, nawet jeśli to starszy o dwadzieścia lat, siwiejący ojciec dwójki dzieci.

Dużo myślę o bezczelnych i śmiałych młodych kobietach. O tym, jak mogła wyglądać. Natychmiast przychodzi mi do głowy krótko obcięta fryzurka i bluzka z głębokim dekoltem odsłaniająca brzuch. Szorty tak krótkie, że z dołu wystają z nich kieszenie. Pończochy kabaretki, wojskowe buty. Farbowane włosy.

Ale może się mylę? Może to nieśmiała młoda kobieta, której brak wiary i szacunku do siebie. Może odrobina uwagi żonatego mężczyzny jej wystarczyła, a może łączyło ją z Willem coś więcej niż seks, to samo pragnienie ratowania świata.

W takim przypadku najpewniej nazywała go profesorem Foustem.

Nigdy nie pytałam Willa, jak wyglądała; chciałam to wiedzieć, a jednocześnie nie chciałam. W ostatecznym rozrachunku uznałam, że niewiedza to błogosławieństwo, i nie spytałam. Zresztą i tak by skłamał i powiedział, że nie było żadnej kobiety. Że zawsze byłam tylko ja.

Gdyby nie chłopcy, po romansie nasze małżeństwo mogłoby skończyć się rozwodem. Raz nawet wspomniałam, że rozwód może być dla nas najlepszym wyjściem, a i chłopcy też czuliby się lepiej.

– Boże, nie – zaprotestował Will. – Nie, Sadie, nie. Mówiłaś, że nas nigdy to nie spotka, że na zawsze zostaniemy razem, że nigdy mnie nie opuścisz.

Jeśli nawet to mówiłam, to nie pamiętałam, zresztą to typowe bzdety, które ludzie powtarzają, kiedy się zakochują. Słowa te kiepsko znoszą próbę czasu i małżeństwa.

Jakaś drobna cząstka mojego umysłu obwinia mnie o romans Willa. Wierzy, że to ja wepchnęłam go w ramiona innej kobiety z powodu tego, kim jestem. Obwiniam moją karierę wymagającą obojętności. Ta obojętność, brak zaangażowania emocjonalnego czasami zakrada się też do naszego małżeństwa. Intymność i otwartość nie należą do moich mocnych stron, i nigdy nie należały. Will sądził, że zdoła mnie zmienić. Okazuje się, że się mylił.

Sadie

Wjeżdżam na parking przed kliniką i z ulgą odkrywam, że jest pusty. Joyce i Emma wkrótce się zjawia, ale na razie jestem sama. Opony ślizgają się po chodniku, gdy ostro skręcam w lewo, na swoje miejsce, zerkając w głąb sąsiedniej ulicy w poszukiwaniu reflektorów. Wsiadam z wozu i ruszam przez parking. O tak wczesnej porze świat dusi się w kłębach mgły. Otaczające mnie powietrze jest mroczne i gęste jak zupa, nie widzę niczego, sięgam wzrokiem na ledwie półtora metra przed siebie. Płuca mi ciążyą i nagle nie wiem już na pewno, czy faktycznie jestem sama, czy może ktoś kryje się we mgle i mnie obserwuje, tuż poza półtorametrową granicą. Po plecach przebiega mi dreszcz, dygoczę.

Nagle odkrywam, że podbiegam do drzwi i gwałtownie wciskam klucz w zamek, zatrzaszukuję je za sobą i zaciągam zasuwę. Dopiero potem ruszam wąskim korytarzem do recepcji, królestwa Emmy.

Nim zjawiłam się na wyspie, pracowała tu inna lekarka, długoletnia mieszkanka tego miejsca, która poszła na urlop macierzyński i już nie wróciła. Joyce i Emma często pokazują sobie zdjęcia dziecka i narzekają, jak bardzo tęsknią za Amandą. Obwiniają mnie o jej odejście, jakby to była moja wina, że urodziła dziecko i postanowiła skupić się na macierzyństwie.

Szybko odkryłam, że wyspiarze nie przepadają za nowymi przybyszami – chyba że to dzieci, jak Tate, bądź osoby towarzyskie jak Will. Rzadko zdarzają się ludzie, którzy z własnej woli zamieszkują tutaj, oddzieleni od reszty świata. Wielu mieszkańców, którzy nie są emerytami, po prostu wybrało samotniczy tryb życia. Polegają głównie na sobie, są autonomiczni, do tego humorzaści, uparci i wyniośli. Spora część z nich to artyści, w mieście roi się od warsztatów garncarskich i galerii, co sprawia, że robi wrażenie kulturalnego, ale też bardzo pretensjonalnego. Powiadają, że społeczność jest ważna ze względu na izolację, która nieodmiennie towarzyszy życiu na wyspie. Różnica między nimi a mną jest taka, że oni zamieszkali tu z własnej woli.

Przesuwam dłonią po ścianie, szukając włącznika światła, i lampy nad moją głową ozywają z pomrukiem. Przede mną wisi duży zmazywalny kalendarz, rozkład dyżurów moich i doktor Sanders. To pomysł Emmy. Harmonogram pracy jest arbitralny i nieregularny, nie dyżurujemy w te same dni w każdym tygodniu. Jeśli w tym szaleństwie kryje się jakaś metoda, to jej nie dostrzegam.

Podchodzę do kalendarza: tusz nieco się rozmazał, nadal jednak widzę to, o co mi chodzi. Moje nazwisko, FOUST, zapisane pod datą pierwszy grudnia. To dzień, w którym pan Nilsson podobno widział, jak kłóciłam się z Morgan Baines. Dzień, w którym według niego brutalnie wyrwałam jej garść włosów.

Według kalendarza Emmy pierwszego grudnia pełniłam dziewięciogodzinny dyżur, od ósmej rano do piątej po południu, co oznaczało, że byłam tu, w klinice, kiedy pan Nilsson zarzekał się, że stałam przed domem Bainesów. Znajduję w torebce telefon i pstrykam fotkę na dowód.

Potem siadam przy biurku w kształcie litery L. Przyklepiono do niego karteczki z notatkami, przypomnienie, żeby Emma zamówiła toner do drukarki, a doktor Sanders zadzwoniła do pacjentki z wynikami badań. Jedna z pacjentek zgubiła lalkę, na biurku widnieje numer do jej matki z prośbą, by zadzwonić, jeśli zabawka się znajdzie. Jest tam też hasło do komputera.

Włączam go. Nasze pliki przechowujemy w programie medycznym. Nie wiem na pewno, czy pan Nilsson to pacjent kliniki, ale można tu znaleźć niemal wszystkich mieszkańców wyspy.

Jest kilka chorób oczu występujących w podeszłym wieku: od starczego przytępienia wzroku, poprzez zaćmę i jaskrę, aż po zwyrodnienie plamki żółtej stanowiące przyczynę ślepoty u osób starszych. Możliwe, że pan Nilsson cierpi na jedną z nich i dlatego uznał, że widział mnie z panią Baines. Bo nie widział. A może zaczynają pojawiać się u niego wczesne objawy choroby Alzheimera i wszystko mu się pomyliło?

Otwieram program komputerowy i zaczynam szukać akt medycznych George'a Nilssona. I rzeczywiście, są tutaj. Z pewnością naruszam prawo do prywatności, ale i tak to robię, choć nie jestem lekarką pana Nilssona. Sprawdzam jego akta i odkrywam, że jest cukrzykiem. Zażywa insulinę. Ma wysoki poziom cholesterolu, łyka statyny, by go kontrolować. Puls i ciśnienie krwi ma całkiem niezłe jak na mężczyznę w jego wieku, choć cierpi na kifozę, co już wiedziałam. Pan Nilsson to

garbus. To widoczna bolesna przypadłość, wynik osteoporozy, znacznie częściej występujący u kobiet niż u mężczyzn.

Nic z tych rzeczy mnie nie interesuje.

Zaskakuje mnie natomiast fakt, iż pan Nilsson ma znakomity wzrok, doktor Sanders nie dostrzegła też żadnych problemów z jego zdolnościami kognitywnymi. Z tego, co widzę, myśli jasno, umysł go nie zawodzi, nie ślepie, co sprawia, że wracam do początku.

Dlaczego pan Nilsson skłamał?

Zamykam program, przesuwam mysz na ikonę internetu, klikam dwa razy, otwiera się przede mną strona. Wpisuję nazwisko Courtney Baines i dopiero w chwili, gdy naciskam ENTER, przychodzi mi do głowy, że może wcale się już tak nie nazywa, może po rozwodzie wróciła do nazwiska panieńskiego. Albo może wyszła powtórnie za mąż. Ale nie mam czasu tego sprawdzić. Bo na końcu korytarza otwierają się tylne drzwi. Starczy mi ledwie czasu, by zamknąć przeglądarkę i cofnąć się od biurka, zanim zjawi się Joyce.

– Doktor Foust. – W jej głosie słyszę za dużo wrogości jak na ósmą rano. – Już pani przyszła – mówi, jakbym tego nie wiedziała. – Drzwi były zamknięte, nie sądziłam, że ktoś tu jest.

– Ja jestem – odpowiadam bardziej radośnie, niż zamierzałam. – Chciałam wcześniej zacząć dzień – wyjaśniam i uświadamiam sobie, że fakt, iż przyszłam wcześniej, wkurzył ją równie mocno jak moje spóźnienia. W oczach Joyce nigdy nie wygram.

Myszka

Dawno, dawno temu żyła sobie kobieta. Nazywała się Falszywa Mama. Oczywiście nie naprawdę, ale tak nazwała ją Myszka, choć tylko za plecami. Falszywa Mama była ładna. Miała gładką skórę, długie, ciemne włosy i szeroki, promienny uśmiech. Nosila ładne ubrania, koszule z kołnierzykiem i błyszczące topy, które wsuwała za pasek dzinsów, by nie marszczyły się nieporządnie, jak wtedy, kiedy Myszka wkładała dzinsy. Zawsze wyglądała elegancko, dokładnie odwrotnie niż Myszka. Wyglądała ładnie.

Myszka i jej ojciec nie nosili ładnych strojów, chyba że na święta albo kiedy ojciec szedł do pracy. Myszka uważała, że ładne ubrania są niewygodne. Trudno się w nich poruszać. Kiedy je wkładała, czuła się, jakby zeszywniały jej ręce i nogi.

Myszka nie wiedziała o Falszywej Mamie do owego wieczoru, kiedy ta się zjawiała. Ojciec nigdy o niej nie wspominał, toteż Myszka sądziła, że pewnie poznał Falszywą Mamę tego samego dnia, ale nie pytała, a on nic nie mówił. W wieczór, gdy się zjawiała, ojciec Myszkki wszedł do domu jak zawsze. Zwykle pracował w domu, w pokoju, który nazywali jego gabinetem. Miał też inny gabinet w wielkim budynku, Myszka widziała go tylko raz, ale nie chodził tam codziennie, jak inni tatusiowie, o których słyszała. Zamiast tego zostawał w domu, w pokoju za zamkniętymi drzwiami, i niemal cały dzień rozmawiał z klientami przez telefon.

Czasami jednak musiał zaglądać do drugiego gabinetu, jak w dniu, gdy przyprowadził ze sobą Falszywą Mamę. A czasami musiał wyjeżdżać. Wtedy nie było go kilka dni.

Owego wieczoru, gdy w domu zjawiała się Falszywa Mama, sam przekroczył próg. Postawił teczkę za drzwiami, odwiesił płaszcz na haczyk, podziękował starszej parze z naprzeciwka, że się nią zajęli. Odprowadził ich do drzwi, Myszka dreptała za nim.

Myszka i jej ojciec patrzyli, jak powoli przechodzą przez ulicę, kierując się do własnego domu. Wyglądało na to, że nie przychodzi im to łatwo. Jakby bolało. Myszka pomyślała, że chyba nie chce się zestarzeć.

Kiedy odeszli, ojciec zamknął drzwi. Odwrócił się do Myszki i oznajmił, że ma dla niej niespodziankę i powinna zamknąć oczy. Myszka była pewna, że niespodzianka to szczeniak, o którego błagała od dnia, gdy zobaczyła go na wystawie sklepu ze zwierzętami, wielki, puchaty i biały. Ojciec wówczas odmówił, powiedział, że szczeniak to zbyt wiele pracy, ale może zmienił zdanie. Czasami to robił, kiedy naprawdę czegoś chciała. Bo Myszka była grzeczną dziewczynką, nie rozpieszczał jej, ale lubił wiedzieć, że jest szczęśliwa. A szczeniak bardzo by ją uszczęśliwił.

Myszka przycisnęła dłonie do oczu, z jakiegoś powodu wstrzymała oddech. Wyteńczyła słuch, próbując uchwycić szczekanie i skomlenie dobiegające z drugiego końca pokoju, w którym stał ojciec. Ale nic takiego nie usłyszała. Zamiast tego do jej uszu dobiegł dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi frontowych. Natychmiast pojęła dlaczego. Ojciec wyszedł na dwór, z powrotem do samochodu, żeby zabrać szczeniaka. Bo przecież nie mógł go schować w aktówce. Wciąż siedział w samochodzie, tam, gdzie go zostawił, żeby móc ją zaskoczyć. I gdy tak czekała, jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Kolana trzęsły się z podniecenia, ledwie nad sobą panowała.

Myszka usłyszała szczęk zamykanych drzwi. Ojciec odchrząknął.

Kiedy się odezwał, w jego głosie dźwięczał zapal. Otwórz oczy, powiedział do Myszki, i nim jeszcze go ujrzała, wiedział już, że też się uśmiecha.

Otworzyła zatem oczy i odruchowo uniosła dłoń do ust. Sapnęła, bo to nie szczeniaka ujrzała w swoim salonie.

Tylko kobietę.

Szczupła dłoń kobiety trzymała rękę ojca Myszki, ich palce splatały się, tak jak u mężczyzn i kobiet w telewizji. Kobieta uśmiechała się do niej szeroko, usta miała duże i piękne. Powiedziała cześć głosem równie ładnym, jak jej twarz. Myszka nie odpowiedziała.

Kobieta wypuściła dłoń ojca Myszki, wystąpiła naprzód, pochyliła się na wysokość dziewczynki, wyciągnęła do niej wąską rękę, ale Myszka nie wiedziała, co z nią zrobić, więc tylko wpatrywała się w kościste palce, stojąc bez ruchu.

Zauważyła, że tego wieczoru nawet powietrze było inne, gęściejsze, trudniej jej się oddychało.

– No już – powiedział tato – nie bądź niegrzeczna, przywitaj się. – I Myszka to zrobiła, mamrocząc słabo cześć i wsuwając własną małą dłoń w palce kobiety.

Ojciec Myszki odwrócił się i pospieszył na dwór. Kobieta ruszyła za nim.

Myszka podeszła do okna. Patrzyła w milczeniu, jak ojciec wyładowuje z bagażnika torby pełne rzeczy kobiety. Tak wielu rzeczy. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Kiedy wrócili do środka, kobieta wyciągnęła z torebki batonik i podała go dziewczynce.

– Twój ojciec mówi, że bardzo lubisz czekoladę – rzekła i faktycznie, bardziej smakowały jej tylko ciasteczka maślane Salerno. Ale czekolada to kiepska nagroda pocieszenia, kiedy liczyło się na szczeniaka. Wolałaby mieć szczeniaka. Wiedziała jednak, że nie może tego powiedzieć.

Myszka zastanawiała się, czy nie spytać kobiety, kiedy sobie pójdzie. Ale rozumiała, że lepiej tego nie robić, toteż wzięła batonik z jej ręki, ścisnęła go we własnych spoconych dłoniach, czując, jak mięknie, gdy czekolada zaczęła się topić. Nie zjadła go. Nie była głodna, choć jeszcze nie jadła kolacji. Straciła apetyt.

Wśród licznych przedmiotów kobiety znalazła się też klatka dla psa. To zwróciło uwagę Myszki. Klatka była całkiem spora i Myszka natychmiast spróbowała sobie wyobrazić, jakiego psa mogła pomieścić: collie, basseta czy beagle'a? Wyglądała przez okno, patrząc, jak ojciec nadal wnosi kolejne rzeczy, i zastanawiała się, kiedy pojawi się pies.

– Gdzie pani pies? – spytała, gdy ojciec skończył rozładowywać samochód i wrócił, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Ale kobieta pokręciła głową i ze smutkiem odparła, że nie ma już psa, że jej pies niedawno umarł.

– To po co pani klatka? – naciskała, lecz wtrącił się ojciec.

– Wystarczy, Myszko, nie bądź niegrzeczna. – Oboje widzieli, że rozmowa o psie zasmuca kobietę.

– Myszko? – powtórzyła nieznajoma, i gdyby Myszka nie wiedziała, co się dzieje, pomyślałaby, że tamta się zaśmiała. – To dopiero przezwisko dla małej dziewczynki. – Nic więcej nie powiedziała. – To dopiero przezwisko. – Nie dodała, czy jej się podoba, czy nie.

Zjedli kolację i oglądali telewizję, siedząc na sofie, lecz zamiast usiąść obok ojca, jak zawsze, Myszka wybrała krzesło po drugiej stronie pokoju, z którego ledwie widziała ekran. Nie miało to jednak znaczenia, bo nie podobał jej się program. Myszka zawsze oglądała z ojcem programy sportowe, teraz jednak wybrali coś z dorosłymi, którzy za dużo mówili i ich słowa bardzo śmieszyły kobietę i ojca. Ale nie Myszkę. Myszka się nie śmiała. Bo wcale nie byli zabawni.

Przez cały ten czas kobieta siedziała na sofie obok ojca Myszki. Gdy Myszka odważyła się zerknąć, dostrzegła, że siedzą bardzo blisko siebie, trzymając się za ręce, jak wtedy gdy się zjawili. Na ten widok poczuła się dziwnie. Starła się nie patrzeć, ale jej wzrok wciąż wracał ku nim i ich dłoniom.

Kiedy kobieta pożegnała się, żeby pójść umyć się przed snem, ojciec pochylił się i powiedział Myszce, że byłoby miło, gdyby nazywała ją mamą. Dodał, że wie, iż przez jakiś czas może wydawać jej się to dziwne. Że jeśli nie chce, to nie szkodzi, ale może z czasem sama się przekona.

Dziewczynka zawsze starała się robić wszystko, co mogła, żeby zadowolić ojca, bo bardzo go kochała. Nie chciała nazywać tej obcej kobiety mamą – ani teraz, ani nigdy – ale wiedziała, że nie ma sensu kłócić się z tatą, tylko zraniłaby jego uczucia, a nie chciała go ranić.

Dziewczynka miała już matkę. To nie była ona.

Jeśli jednak ojciec chciał, będzie nazywać tę kobietę mamą, przynajmniej przy niej i ojcu. Ale w głowie nazwie ją Fałszywą Mamą. Tak sobie postanowiła.

Myszka była mądrą dziewczynką. Lubiła czytać. Wiedziała rzeczy nieznanne jej rówieśniczkom, na przykład dlaczego banany są zakrzywione, że ślimaki mają cztery nosy, a struś to największy ptak na świecie. Kochała zwierzęta, zawsze chciała mieć szczeniaka, ale go nie dostała. Zamiast tego dostała coś innego, bo po przybyciu Fałszywej Mamy ojciec pozwolił jej wybrać sobie świnkę morską. Zrobił to, bo uznał, że tak ją uszczęśliwi.

Razem poszli do sklepu ze zwierzętami. Gdy tylko Myszka ujrziała swoją świnkę, zakochała się w niej. No dobra, nie był to może szczeniak, ale nadal coś wyjątkowego. Ojciec Myszki uznał, że powinni nazwać świnkę Bert, od jego

ulubionego gracza w baseball, Berta Campanerisa, i Myszka się zgodziła, bo sama nie wymyśliła lepszego imienia. I ponieważ chciała ucieszyć ojca.

Ojciec kupił jej też książkę o świnkach morskich. Wieczorem, w dniu, gdy przywiozła Berta do domu, Myszka wcisnęła się do łóżka pod kołdrę i przeczytała ją od deski do deski. Chciała być dobrze poinformowana. Dowiedziała się wielu nowych rzeczy o świnkach morskich, co jedzą i co oznacza ich pisk i chrumkanie.

Odkryła, że świnki morskie nie są w ogóle spokrewnione ze świniami, nie pochodzą znad morza, tylko z wysokich gór zwanych Andy, leżących w Ameryce Południowej. Poprosiła ojca o mapę, żeby sprawdzić, gdzie jest Ameryka Południowa. Ojciec wyrwał mapę ze starego numeru „National Geographic”, który trzymał w piwnicy, niegdyś należącego do dziadka Myszkki. Po śmierci dziadka ojciec próbował wyrzucić pisma, ale mu nie pozwoliła. Fascynowały ją.

Myszka powiesiła mapę na ścianie swojego pokoju, przyklejając ją taśmą. Stała na łóżku i znalazła Andy, zakreśliła je pisakiem dużym, fioletowym kółkiem. Pokazała je palcem, mówiąc śwince morskiej – siedzącej w klatce na podłodze obok łóżka – że stąd właśnie pochodzi, choć wiedziała, że jej świnek nie przyjechał z Andów, tylko ze sklepu ze zwierzętami.

Fałszywa Mama zawsze nazywała Berta świniakiem. W odróżnieniu od Myszkki nie przeczytała książki o świnkach morskich. Nie rozumiała, że Bert to gryzoń, nie świnka, nie jest nawet spokrewniony ze świniami. Nie wiedziała, że nazwano go tak tylko dlatego, że chrumka jak świnka, i ponieważ ktoś kiedyś uznał, że wygląda podobnie – choć wcale nie wyglądał. Zupełnie nie. Myszka uważała, że ten ktoś wyraźnie się pomylił.

Stojąc w salonie, opowiedziała to wszystko Fałszywej Mamie. Nie chciała brzmieć jak przemądrzalska, ale wiedziała mnóstwo rzeczy. Znała długie słowa, potrafiła znaleźć na mapie odległe miejsca i powiedzieć parę słów po francusku i chińsku. Czasami tak ją to fascynowało, że nie mogła się powstrzymać, by nie opowiedzieć innym. Bo nie wiedziała, co powinna wiedzieć dziewczynka w jej wieku, toteż mówiła wszystko, co jej wiadomo.

To była jedna z owych chwil.

Tym razem jednak, kiedy to zrobiła, Fałszywa Mama zamrugnęła gwałtownie i bez słowa, z posępną miną, wbiła wzrok w Myszkę. Między jej brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka, szeroka jak rzeka.

Natomiast ojciec Myszki coś powiedział.

Zmierzył jej włosy, uśmiechnął się z dumą i spytał, czy jest coś na tym świecie, czego by nie wiedziała. Myszka uśmiechnęła się w odpowiedzi i wzruszyła ramionami. Oczywiście, że nie wiedziała mnóstwa rzeczy. Nie wiedziała, skąd się biorą dzieci, dlaczego niektórzy uczniowie w szkole znęcają się nad innymi i czemu ludzie umierają. Ale nie powiedziała tego, bo tato tak naprawdę wcale nie chciał słuchać. To było pytanie retoryczne, kolejne z długich słów, jakie zdążyła poznać.

Ojciec Myszki spojrział na Fałszywą Mamę.

– Niesamowita jest, prawda? – rzekł.

– O tak – odparła Fałszywa Mama. – Niewiarygodna.

Ale nie uśmiechała się tak jak tato. Ani fałszywie, ani w ogóle. Myszka nie była pewna, co myśleć o słowie niewiarygodna, bo niewiarygodne mogło znaczyć różne rzeczy.

Chwila minęła i Myszka uznała, że cała rozmowa o świniach i gryzoniach dobiegła końca.

Lecz później tego wieczoru, kiedy ojciec nie patrzył, Fałszywa Mama podeszła bardzo blisko, pochyliła się i powiedziała, że jeśli Myszka sprawi jeszcze kiedyś, że będzie wyglądała głupio w oczach jej ojca, to słono za to zapłaci. Jej twarz poczerwieniała, Fałszywa Mama wyszczerzyła zęby jak wściekły pies, na jej czole pulsowała żyłka. Kiedy mówiła, bryzgała śliną, wyraźnie tak wściekła, że nie mogła się powstrzymać, plując z wściekłości. Splunęła w twarz Myszki, ale Myszka nie odważyła się podnieść ręki, żeby zetrzeć ślinę.

Chciała się cofnąć, odsunąć od Fałszywej Mamy. Ale ta zbyt mocno trzymała ją za przegub, Myszka nie mogła odejść, bo Fałszywa Mama jej nie puszczała.

Usłyszały ojca Myszki idącego korytarzem. Fałszywa Mama szybko wypuściła rękę dziewczynki, wyprostowała się, odgarnęła włosy, przyglądała bluzkę. Jej twarz odzyskała zwykły odcień, na ustach pojawił się uśmiech. I to nie zwykły uśmiech, lecz promienny. Podeszła do ojca Myszki, pochyliła się i pocałowała go.

– Jak się mają moje dwie ulubione damy? – spytał ojciec i też ją pocałował.

Fałszywa Mama odparła, że dobrze. Myszka wymamrotała coś podobnego, choć nikt nie usłyszał, bo byli zbyt zajęci pocałunkami.

Myszka opowiedziała swojej prawdziwej mamie o swojej Fałszywej Mamie. Usiadła naprzeciw niej na brzeżku czerwonego dywanika ze szmatek i naląła im obu filiżanki udawanej herbaty. I wtedy, gdy popijały herbatę i skubały ciasteczka, powiedziała, że nie za bardzo lubi Fałszywą Mamę. Że czasami Fałszywa Mama sprawia, iż Myszka czuje się jak obca we własnym domu. Że kiedy są razem w tym samym pokoju, boli ją brzuch. Prawdziwa mama odparła, żeby się nie martwiła. Powiedziała, że Myszka jest dobrą dziewczynką, a dobre dziewczynki spotykają tylko dobre rzeczy. Nigdy nie pozwolę, by stało ci się coś złego, dodała prawdziwa mama.

Myszka wiedziała, jak bardzo ojciec lubi Fałszywą Mamę. Po tym, jak na nią patrzył, widziała, jak bardzo go uszczęśliwia. Robiło jej się niedobrze, bo Fałszywa Mama uszczęśliwiała go w sposób, w który ona sama nigdy by nie zdołała, choć wcześniej, przed jej przybyciem też byli szczęśliwi.

Skoro ojciec lubił Fałszywą Mamę, możliwe, że zostanie już na zawsze. Myszka nie chciała, by do tego doszło. Bo czasami w obecności Fałszywej Mamy czuła się niezręcznie, a czasami się bała.

Teraz, kiedy pisała w głowie historie, zaczęła wymyślać opowieści o złych rzeczach spotykających wymyśloną kobietę zwaną Fałszywą Mamą. Czasami spadała ze skrzypiących schodów i uderzała się w głowę. Czasami wpadała do jednej z króliczych nor pod kępami futra i włosów i nie mogła wyjść.

A czasami po prostu zniknęła i Myszkę nie obchodziło, jak ani czemu.

Sadie

Tego wieczoru w powietrzu czuć mróz. Temperatura szybko spada. Wyjeżdżam z parkingu i kieruję się w stronę domu. Po drodze przypominam sobie, że Will i Tate układają dziś lego. To mnie martwi, bo obawiam się braku Willa, który zwykle stanowi bufor między mną a Imogen.

Staram się nie przejmować tym za bardzo podczas jazdy. Jestem dorosłą dziewczynką, potrafię o siebie zadbać. A poza tym razem z Willem pełnimy funkcję oficjalnych opiekunów Imogen, mamy prawny obowiązek dbać o nią, dopóki nie skończy osiemnastu lat. Jeśli chcę przeszukać jej rzeczy, mam święte prawo to zrobić. No i do tego chciałabym także poznać odpowiedzi na kilka pytań. To znaczy kim jest mężczyzna na zdjęciu, którego twarz wydrapała. Czy to autor listu do Imogen znalezionego w kieszeni jej bluzy. Uznałam, że to list zrywający znajomość. Wzmianka o podwójnym życiu sugerowała, że Imogen była tą trzecią. Może facet jest żonaty i złamał jej serce. Ale kto to taki?

Skręcam na podjazd i wyłączam silnik, rozglądam się dokoła, nim wyjdę z bezpiecznie zamkniętego wozu, by upewnić się, że jestem sama. Na dworze jednak panuje nieprzenikniona ciemność. Czy mogę mieć pewność? Wsiadam szybko i niemal biegiem ruszam do drzwi bezpiecznego domu. Zamykam je za sobą na klucz. Dwa razy szarpnięciem klamki, by się upewnić, że zamki trzymają.

Wchodzę do kuchni. Na kuchence czeka na mnie zapiekanka przykryta folią, by nie wystygła. Przyklejono do niej karteczkę, *Całusy, Will*.

W kuchni witają mnie tylko psy. Patrzą na mnie, identycznie szczerząc zęby, błagając, by je wypuścić. Otwieram im tylne drzwi i natychmiast pędzą do narożnika podwórka, gdzie zaczynają kopać.

Wspinam się po skrzypiących stopniach i odkrywam, że drzwi Imogen są zamknięte; bez wątplenia przekręciła też zamek, żeby nie mogła zajrzeć, gdybym chciała. Tyle że kiedy się przyglądam, odkrywam, iż to nowy zamek na drzwiach, cały system – w komplecie z kłódką – który nakłada się na klamkę. Teraz

drzwi zamykają się także z zewnątrz. Imogen musiała sama to zainstalować, żeby mnie nie wpuścić.

Z głośnika na bluetootha, rozkręconego na pełny regulator, ryczą zespoły rockowe, Korn i Drowning Pool, tak głośne, że wyraźnie słyhać teksty piosenek, w których króluje motyw przewodni trupa, do tego koszmarnie przekleństwa i nienawiść wylewająca się z głośników do wnętrza domu. Ale ponieważ nie ma Tate'a, który mógłby to usłyszeć, odpuszczam.

Podchodzę do drzwi pokoju Ottona, stukam lekko i wołam, przekrzykując hałas Imogen.

– Wróciłam!

Otwiera przede mną. Patrzę na Ottona i odkrywam, że z każdym dniem robi się coraz bardziej podobny do Willa. Teraz, gdy urósł, jego rysy się wyostrzyły, szczenięcy tłuszczyk, który je łagodził, zniknął. Cały czas rośnie, w końcu dopadł go okres gwałtownego dojrzewania, który tak długo zostawiał go w tyle, małego chłopczyka pośród szkolnych dryblasów. Jeśli jeszcze nie teraz, to wkrótce będzie mógł z nimi rywalizować wzrostem. Otto jest przystojnym chłopakiem, jak Will, niedługo dziewczyny zaczną się w nim durzyć. Ale na razie jeszcze tego nie wie.

– Jak minął dzień? – pytam.

– Chyba dobrze. – Wzrusza ramionami.

To niekonkretna odpowiedź, toteż traktuję ją jako zaproszenie.

– Chyba? – pytam, chcąc usłyszeć więcej: dowiedzieć się, jak naprawdę upłynął mu dzień, czy dogaduje się z innymi dzieciakami w szkole, czy lubi nauczycieli, czy znajduje przyjaciół. Kiedy milczy, naciskam mocniej. – W skali od jednego do dziesięciu jak byś go ocenił?

To niemądre, jedna z rzeczy, które mówią lekarze, by określić poziom bólu pacjenta. Otto znów wzrusza ramionami i oznajmia, że dzień był szóstką, co oznacza średnio miły, przeciętny.

– Zadali coś do domu?

– Trochę.

– Potrzebujesz pomocy?

Kręci głową. Sam sobie poradzi.

Po drodze do sypialni mojej i Willa, gdzie zamierzam się przebrać, dostrzegam promień światła wypływający spod drzwi wiodących na strych na drugim piętrze. Światło na strychu się pali, a nikt nigdy go nie zapala, bo to tam Alice się zabiła. Prosiłam chłopców, żeby tam nie chodzili, żadne z nas nie powinno tam zaglądać.

Chłopcy wiedzą, że Alice zostawiła nam dom. Nie wiedzą natomiast, jak umarła. Nie wiedzą, że pewnego dnia Alice naciągnęła sobie stryczek na szyję, drugi koniec sznura przywiązała do belki sufitowej, a potem zeskoczyła ze stołka. Jako lekarka wiem, że kiedy już stryczek zacisnął się jej na szyi i zawisła, podtrzymywana tylko przez szyję i szczękę, musiała walczyć o oddech dławiona całym ciężarem ciała. Dopiero po kilku minutach straciła przytomność. To musiała być bardzo bolesna śmierć, a nawet kiedy już zemdląca, jej ciało wciąż walczyło. Umarła znacznie później, może nawet po dwudziestu minutach. Nie jest to przyjemna śmierć.

Willowi trudno rozmawiać o Alice. Rozumiem to. Po śmierci ojca ja też miałam problemy z mówieniem o nim. Nie mam zbyt dobrej pamięci, ale doskonale pamiętam czasy, gdy miałam jedenaście lat i mieszkaliśmy z ojcem na przedmieściach Chicago. Pracował wtedy w domu towarowym w mieście, co dzień jeździł pociągiem do centrum. Byłam już dość duża, by sama się sobą zająć, nosiłam klucz na szyi, chodziłam sama do szkoły i wracałam do domu. Nikt nie musiał mnie upominać, żebym odrobiła lekcje, bo byłam odpowiedzialną dziewczynką. Sama gotowałam sobie posiłki, zmywałam naczynia, kładłam się o rozsądnej godzinie. Zazwyczaj tato podczas jazdy powrotnej wypijał w pociągu parę piw, potem zaglądał do baru i wracał, kiedy już spałam. Czasem słyszałam, jak tłucze się na dole i wywraca różne rzeczy, a następnego ranka musiałam sprzątać ten bałagan.

Sama opłacałam sobie college, mieszkałam w akademiku w jednoosobowym pokoju, a potem w małym mieszkanku. Raz próbowałam przyjąć współlokatorkę, ale nie ułożyło się nam – współlokatorka okazała się nieostrożna i nieodpowiedzialna, była też manipulantką i prawdziwą kleptomanką.

Odbierała wiadomości dla mnie i ich nie przekazywała. Robiła bałagan w mieszkaniu. Jadła moje jedzenie, kradła mi pieniądze z portfela, czekała z książeczki, na moją kartę kredytową kupowała sobie ciuchy. Oczywiście zaprzeczała, ale później sprawdzałam wyciągi i znajdowałam opłaty ze sklepów, salonów fryzjerskich, bankomatów. Kiedy poprosiłam bank o pokazanie skasowanych czeków, wyraźnie widziałam, że na części pismo nie należy do mnie.

Mogłam ją oskarżyć. Z niewiadomych przyczyn tego nie zrobiłam.

Bez pytania wkładała moje ciuchy, przynosiła je pomarszczone i brudne, czasem poplamione, cuchnące dymem papierosowym. Znajdowałam je w takim stanie w szafie. Kiedy pytałam o to, zerknęła na brudne ubranie.

– Myślisz, że włożyłabym na siebie tę paskudną koszulę?

Bo oprócz wszystkiego była też wredna.

Zamontowałam zamek w drzwiach swojego pokoju. To jej nie powstrzymało. W jakiś sposób dostała się do środka. Wróciłam do domu po wieczornej imprezie i zastałam otwarte drzwi i przetrząśnięte szuflady.

Nie chciałam dalej tak żyć.

Zaproponowałam, że się wyprowadzę, że zostawię jej mieszkanie. Wściekła się tak, że o mało mnie nie pobiła. Coś w niej budziło mój lęk. Oznajmiła, że nie stać jej na samodzielne mieszkanie, przysunęła się blisko, powtarzając, że zwariowałam, że jestem psychopatką.

Nie ustąpiłam. Nie wzdrygnęłam się.

– Mogłabym to samo powiedzieć o tobie – odparłam spokojnie.

Ostatecznie to ona się wyprowadziła – i świetnie, bo właśnie wtedy poznałam Willa i potrzebowałam miejsca, w którym moglibyśmy się spotykać. Podejrzywałam jednak, nawet później, że wciąż tam wchodzi i przegląda moje rzeczy. Oddała mi klucz, ale to nie znaczyło, że nie skoczyła najpierw do jakiegoś zakładu i nie zrobiła sobie kopii. Kazałam wymienić wszystkie zamki, bo uznałam, że to ją powstrzyma. Jeśli nawet zdawało mi się, że wciąż mnie odwiedza, była to tylko moja paranoja.

Ale to nie był koniec naszych kontaktów, bo jakieś pół roku temu zauważyłam ją na ulicy niedaleko naszego domu. Wyglądała tak samo, maszerowała Harrison z dumnie uniesioną głową, arogancka jak zawsze. Na jej widok schowałam się szybko i skręciłam w boczną uliczkę.

Willa poznałam tuż po skończeniu studiów, na przyjęciu zaręczynowym przyjaciółki. Mamy różne wersje naszego pierwszego spotkania. Ja pamiętam, że podszedł do mnie, przystojny i uśmiechnięty jak zawsze, i wyciągnął rękę.

– No cześć, chyba się już poznaliśmy.

Pamiętam, że czułam się niepewnie i niezręcznie, ale niezręczność ta ustąpiła po owym banalnym tekście. Oczywiście wcale się nie spotkaliśmy, to był podryw

i zadziałał – resztę wieczoru spędziliśmy objęci na parkiecie. Im więcej wypiałam, tym pewniej się czułam.

Spotykaliśmy się ledwie parę miesięcy, gdy Will zaproponował, że wprowadzi się do mnie. Nie miałam pojęcia, czemu jest sam, nie wiedziałam też, dlaczego spośród wszystkich pięknych kobiet w Chicago wybrał akurat mnie, ale z niewiadomych powodów upierał się, że nie jest w stanie żyć beze mnie. Cały czas chciał być blisko. Romantyczny pomysł – nikt nigdy nie sprawił, że czułam się tak pożądana jak wtedy – ale finansowo miało to sens. Kończyłam rezydenturę, a Will doktorat. Tylko jedno z nas cokolwiek zarabiało, choć skromnie, większość trafiała na konto spłaty szkolnego kredytu. Mimo wszystko jednak nie miałam nic przeciw temu, że opłacam czynsz. Lubiłam ciągłą obecność Willa. Mogłam to dla niego zrobić.

Wkrótce potem wzięliśmy ślub, następnie umarł tato, zabrany z tego świata na własną prośbę. Marskość wątroby.

Urodził się Otto. A potem, wiele lat później, Tate. A teraz znaleźliśmy się w Maine.

Skłamałabym, mówiąc, że nie przeżyłam szoku, gdy dotarły do nas wieści, że siostra Willa zostawiła nam dom i dziecko. Will zawsze wiedział o jej fibromialgii, ale o samobójstwie dowiedzieliśmy się od wykonawcy testamentu. Nie sądziłam, że przeprowadzka do Maine może przynieść cokolwiek dobrego, ale Will uznał inaczej.

Wcześniejsze miesiące były okropne i bezlitosne, najpierw usunięcie Ottona ze szkoły, tuż po tym odkrycie romansu Willa. Zaledwie kilka dni później jeden z moich pacjentów zmarł na stole operacyjnym. Zdarzało się to już wcześniej, ale tym razem o mało mnie nie zniszczyło. Przeprowadzaliśmy nakłucie osierdzia – stosunkowo bezpieczny rutynowy zabieg, w którym usuwamy płyn z worka osierdziowego otaczającego serce. Z dokumentacji wynikało, że zabieg był w pełni uzasadniony, pacjent cierpiał na tak zwaną tamponadę serca, w której zbierający się płyn wywiera zbyt duży nacisk na serce, przeszkadzając mu we właściwym działaniu. Jeśli nie odciągnie się części płynu, tamponada serca bywa śmiertelna. Wykonywałam wcześniej ten zabieg wielokrotnie, bez żadnych problemów, tym razem jednak go nie zrobiłam, bo według moich kolegów wyszłam z sali operacyjnej w chwili, gdy serce pacjenta zatrzymało się, zmuszając rezydenta, by

przeprowadził nakłucie beze mnie. Pacjent na stole był w stanie krytycznym, bez zabiegu by umarł.

Zabieg jednak został wykonany nieprawidłowo, igła przebiła serce i pacjent zmarł na stole operacyjnym.

Znaleźli mnie później na górze, na dachu szpitala, siedziałam na gzymsie na trzynastym piętrze z nogami w powietrzu. Niektórzy twierdzili, że chciałam skoczyć.

Ale wcale nie myślałam o samobójstwie. Owszem, było źle, ale nie aż tak źle. Winiłam usunięcie Ottona i romans Willa o to, że kompletnie namieszały mi w głowie. Załamanie nerwowe, krążyły plotki po szpitalu. Powtarzano, że przeszłam załamanie nerwowe w izbie przyjęć, pomaszero wałam na trzynaste piętro i szykowałam się do skoku. Tak naprawdę straciłam świadomość, zupełnie nic z tego nie pamiętam. Ta część mojego życia zniknęła. Pamiętam, jak badałam pacjenta, a potem ocknęłam się w innym pomieszczeniu – tyle że wtedy to ja leżałam na stole nakryta prześcieradłem. Gdy później usłyszałam, że mój pacjent umarł w rękach niedoświadczonego lekarza, rozplakałam się. Zwykle nie płaczę, ale tym razem nie zdołałam powstrzymać łez.

Miałam wszystkie klasyczne objawy wiodące do załamania nerwowego: okres stresu, z którym sobie nie radziłam, poczucie dezorientacji, niską samoocenę, problemy ze snem.

Następnego dnia szef naszego oddziału wysłał mnie na przymusowe zwolnienie lekarskie i subtelnie zasugerował wizytę u psychiatry. Podziękowałam, ale odmówiłam. Zamiast tego złożyłam wymówienie. I tak już nigdy nie zdołałabym tam wrócić.

Kiedy przyjechaliśmy do Maine, w domu panował niezły bałagan. Stołek wciąż leżał na podłodze strychu, z odsłoniętej belki wspornikowej podtrzymującej sufit nadal zwisał prawie metr sznura obcięty na końcu. Wszystko w zasięgu szamoczącego się ciała Alice leżało powywracane, sugerując, że śmierć nie nadeszła szybko.

Teraz podchodzę do drzwi strychu i otwieram je gwałtownie. Z góry pada światło. Wspinam się na schody, przeskakując po dwa stopnie skrzypiące pod nogami. Strych jest wciąż niewykończony: drewniane belki, korkowa podłoga, kawały różowej puszystej izolacji rozrzucone tu i tam niczym obłoczki. Źródło

światła to samotna nieosłonięta żarówka, którą ktoś – nie wiadomo kto – zapomniał zgasić, pod nią dynda sznurek. Środek pomieszczenia przecina komin, obudowany odsłoniętą cegłą i odprowadzający dym na zewnątrz. Jest tu też okno wychodzące na ulicę, dziś tak ciemną, że niczego nie widać.

Mój wzrok przyciągają kartki, leżą na podłodze wraz z ołówkiem. Natychmiast rozpoznaję jeden z grafitowych ołówków Ottona, tych, które podarowaliśmy mu z Willem i których nie pozwala używać Tate'owi. Są drogie i Otto je uwielbia, choć od miesięcy nie widziałam, żeby cokolwiek rysował. Nie robi tego od czasu wydarzeń w Chicago.

Uderzają mnie jednocześnie dwie rzeczy: zawód, że Otto nie posłuchał i przyszedł na strych, choć mu zabraniałam, oraz ulga, że znów rysuje. Może to pierwszy krok na drodze do normalności?

Może Will ma rację. Może jeśli damy sobie czas, odnajdziemy tu szczęście?

Podchodzę do kartek leżących na podłodze. Okno, lekko uchylone, wpuszcza do środka mroźne grudniowe powietrze, papier porusza się lekko. Uginam kolana, by go podnieść, spodziewając się ujrzeć patrzące na mnie wielkie, mangowe oczy Asy i Kena, postaci z komiksu Ottona, nad którym wciąż pracuje. Zębate linie włosów, smutne, nieproporcjonalnie wielkie oczy.

Ołówek leżący parę centymetrów od kartki jest złamany na pół, końcówkę ma tępą, startą. To niepodobne do Ottona, zawsze bardzo dbał o ołówki. Sięgam po niego i wstaję. Dopiero wtedy patrzę na obrazek. Gdy to robię, z moich ust mimowolnie dobywa się jęk.

Nie widzę bowiem Asy ani Kena.

Zamiast nich wita mnie plątanina niedokończonych linii, które urywają się i znów pojawiają. Coś rozczłonkowanego na kartce, zakładam, że ciało. Okrągły obiekt na końcu, który przypomina głowę, długie kształty jakby rąk i nóg. Na górze widnieją gwiazdy i sierp księżyca. Noc. Na kartce widać jeszcze jedną postać, z wyglądu kobietę, sądząc po długich, potarganych włosach, liniach wyrastających wprost z kółka głowy. W ręce trzyma coś szpiczastego, z czego ścieka jakiś płyn, mogę tylko założyć, że to krew, bo rysunek jest w czerni i bieli. Ani śladu czerwieni. Postać ma szalone oczy, odcięta głowa nieopodal płacze wielkimi ciemnymi łzami, które wydzierają dziurę w papierze.

Wstrzymuję oddech, zamierając bez ruchu, w piersi czuję kłujący ból. Na moment drętwieją mi ręce i nogi.

Ten sam obraz powtarza się na wszystkich trzech kartkach. Niczym się nie różnią, przynajmniej niczym, co dostrzegam.

Z początku uznaję, że rysunki to dzieło Ottona, bo to on jest artystą w naszej rodzinie. Tylko on potrafi rysować. Ale te obrazki są zbyt prymitywne, zbyt proste jak na niego. Otto rysuje znacznie, znacznie lepiej. Lecz Tate to przecież radosny chłopiec. Posłuszny chłopiec, nie przyszedłby na strych, skoro mu zabroniłam. A poza tym Tate nie rysuje tak morderczych, pełnych przemocy obrazów. Nie potrafiłby sobie wyobrazić czegoś takiego, a co dopiero przelać na papier.

Tate nie wie, czym jest morderstwo. Nie wie, jak umierają ludzie.

Wracam myślami do Ottona.

Te obrazki należą do niego.

Chyba że... w mojej głowie pojawia się nagle myśl i znów wstrzymuję oddech. Może to Imogen? Bo Imogen przepełnia gniew, Imogen wie, czym jest morderstwo; wie, że ludzie umierają. Widziała to na własne oczy. Ale co by tu robiła z papierem i rysunkami Ottona?

Zamykam okno i odwracam się do niego plecami. Przy przeciwległej ścianie stoi stary domek dla lalek. Przyciąga mój wzrok. Znalazłam go tego samego dnia, gdy tu przybyliśmy. Na początku sądziłam, że należał do Imogen, kiedy była mała. To uroczy zielony domek z czterema pokojami, rozległym strychem, wąskimi schodami biegnącymi środkiem. Szczegóły są doskonale oddane, miniaturowe skrzynki okienne i zasłony, małe lampy i lichtarze, pościel, stolik w salonie, nawet zielona buda dla psa pasująca do domu, łącznie z miniaturowym psem. Pierwszego dnia z szacunku dla Alice odkurzyłam domek i położyłam rodzinę do łóżek, gdzie mieli spać, póki, być może, nie pojawią się kiedyś wnuki, które mogłyby się nimi bawić. Taka zabawka nie pasowała do Tate'a.

Teraz podchodzę do niego pewna, że znajdę rodzinę śpiącą tam, gdzie ją zostawiłam. Ale nie. Bo ktoś był tu na strychu, rysował obrazki, otwierał okna, majstrował przy różnych rzeczach. Bo wewnątrz domku nie wygląda tak, jak je zostawiłam. W środku dziewczynka nie leży już na piętrecie w łóżku pod baldachimem, lecz na podłodze swojego pokoju. Ojca też nie ma w łóżku – zniknął.

Rozglądam się, ale go nie znajduję. Tylko matka wciąż tam jest i śpi smacznie w łóżku na parterze.

U stóp łóżka leży miniaturowy nóż, nie większy od opuszka kciuka.

Obok domku dla lalek stoi skrzynka pełna akcesoriów. Wieczko ma zamknięte, ale nie na zamek. Unoszę je i zaglądam do środka, szukając ojca, ale nigdzie go nie widzę. W końcu się poddaję.

Pociągam za sznurek i na strychu zapada ciemność.

Kiedy schodzę po stopniach, czując ucisk w żołądku, nagle dociera do mnie, że w domu panuje cisza. Imogen wyłączyła swoją wkurzającą muzykę. Docieram na podest i widzę ją stojącą w drzwiach, oświetloną padającym z tyłu blaskiem lampy.

Patrzy na mnie oskarżycielsko, nie pyta, a jednak widzę to w jej twarzy. Chce wiedzieć, co robiłam na strychu.

– Światło się paliło – wyjaśniam i odczekuję chwilę, nim pytam: – Czy to ty? Ty tam byłaś, Imogen?

Prycha.

– Jesteś idiotką, jeśli sądzisz, że kiedykolwiek tam wrócę.

Przetrawiam to stwierdzenie. Może kłamie. Imogen wydaje mi się mistrzynią kłamstwa.

Opiera się o framugę i krzyżuje ręce na piersi.

– Wiesz, Sadie – zaczyna wyraźnie zadowolona z siebie i uświadamiam sobie, że nigdy wcześniej nie zwróciła się do mnie po imieniu – jak wygląda umierający człowiek?

Wystarczy rzec, że owszem. Widziałam w swoim życiu wiele ofiar śmiertelnych.

Ale teraz, gdy słyszę to pytanie z ust Imogen, brak mi słów.

Dziewczyna nie czeka na odpowiedź. Chodzi jej o szok, chce mnie zastraszyć. Zaczyna opisywać z niepokojącymi detalami, jak wyglądała Alice w dniu, gdy ją znalazła dyndającą ze sznura na strychu. Tego dnia Imogen była w szkole, jak zwykle wróciła promem, weszła do cichego domu i odkryła, co zrobiła matka.

– Na szyi miała ślady paznokci – mówi teraz, przesuwając własnymi fioletowymi paznokciami po jasnej skórze. – Jej pierdolony język zrobił się sinofioletowy, wystawał z ust zatrzaśnięty między zębami, o tak. – Pokazuje mi język i zagryza. Mocno.

Oglądałam już nieraz ofiary uduszenia, wiem, jak naczynia włosowate twarzy pękają, jak oczy stają się przekrwione przez zebraną w oczodole krew. Jako lekarkę z oddziału ratunkowego nauczono mnie szukać tych śladów u ofiar przemocy domowej, sprawdzać, czy ich nie duszono. Wyobrażam sobie jednak, że dla szesnastolatki widok matki w takim stanie mógł wywołać niezłą traumę.

– O mało go, kurwa, nie odgryzła – mówi Imogen, wciąż pozostając przy temacie języka Alice. I wtedy wybucha śmiechem, niestosownym, nieopanowanym śmiechem, który wstrząsa mną do głębi. Imogen stoi metr ode mnie, pozbawiona wszelkich emocji prócz nieprzyzwoitego rozbawienia. – Chcesz zobaczyć? – pyta, choć nie wiem, co ma na myśli.

– Zobaczyć co? – pytam ostrożnie.

– Co zrobiła z językiem – precyzuje.

Nie chcę na to patrzeć, ale i tak mi pokazuje zdjęcie martwej matki, ma je w komórce. Wciska mi w rękę telefon, z mojej twarzy odpływa krew.

Tego okropnego dnia przed przybyciem policji Imogen miała czelność zrobić zdjęcia komórką.

Alice w blad różowym długim swetrze i legginsach zwisa ze stryczka, głowę ma przechyloną, sznur wrzyna się jej w szyję. Ciało zwisa bezwładnie, ręce u boków, nogi proste. Otaczają ją pudła, niegdyś ustawione w stertę, teraz leżące na bokach, ze środka wysypuje się zawartość. Widzę lampę leżącą na podłodze, kolorowe szkło rozrzucone tu i tam. Teleskop – niegdyś może służący do obserwacji nieba przez okno na strychu – także leży na boku, wszystko zapewne wywróciła umierająca Alice. Stołek, na który się wdrapała, by się zabić, stoi ponad metr dalej, prosto.

Myślę o tym, co musiała przeżyć, gdy pokonała trzy kroki ku śmierci i wcisnęła głowę w pętlę. Sklepienie na strychu nie jest zbyt wysokie, Alice musiała wcześniej odmierzyć sznur, by mieć pewność, że kiedy zeskoczy ze stołka, nie dotknie stopami ziemi. Spadła najwyżej kilka centymetrów, za mało, żeby złamać kark, co oznaczało, że czekała ją powolna, bolesna śmierć. Dowody widać na zdjęciu: strzaskaną lampę, ślady paznokci, niemal odgryziony język.

– Dlaczego zrobiłaś to zdjęcie? – pytam, starając się zachować spokój. Nie chcę jej dać tego, czego łaknie.

Imogen wzrusza ramionami.

– A niby czemu nie, do diabła? – odpowiada pytaniem, okazując całkowite lekceważenie wobec śmierci matki.

Ukrywam wstrząs, kiedy zabiera telefon i odwraca się ode mnie, znika w pokoju, pozostawiając mnie roztrzęsioną. Modłę się, by Otto siedzący w sypialni obok miał w uszach słuchawki. Modłę się, by nie usłyszał tej okropnej rozmowy.

Wycofuję się do sypialni, tam przebieram się w piżamę i staję przy oknie, czekając na powrót Willa. Przyglądam się domowi obok, w środku pali się światło, to samo, które co wieczór ożywa o siódmej i gaśnie przed północą. O tej porze roku nikt tam nie mieszka i wyobrażam sobie, jak stoi pusty w środku całymi miesiącami. Co mogłoby powstrzymać intruza przed dostaniem się tam?

Kiedy na podjazd wjeżdża samochód, nie mogę oderwać wzroku. Wnętrze zalewa światło, gdy drzwi się otwierają. Tate i jego przyjaciel siedzą przypięci pasami do tylnej kanapy, a Will z przodu, obok kobiety, która zdecydowanie nie przypomina bezzębnej wiedźmy. To mroczna brunetka, której dokładnie nie widzę.

Kiedy wchodzi do domu, Tate aż podskakuje z radości, wbiega po schodach, by mnie powitać.

– Przyszłaś dziś do mnie do szkoły! – rzuca z dumą, wpadając do pokoju w bluzie z motywem z „Gwiezdných wojen” i wełnianych spodniach. Spodnie te, jak wszystkie inne, są już za krótkie, odsłaniają kostki. Nie nadążamy z Willem z zakupami. Z dziury w skarpetce wystaje duży palec.

Will, podążający tuż za nim, odwraca się do mnie.

– Naprawdę?

Ale ja kręcę głową.

– Nie – mówię, nie wiedząc, co ma na myśli Tate. Szukam go wzrokiem. – Byłam dziś w pracy, Tate, nie w twojej szkole.

– A właśnie, że tak! – odpowiada i widzę, że lada moment wybuchnie płaczem. Ustępuję zatem, żeby go udobruchać.

– To co robiłam? – pytam. – Co powiedziałam?

– Nic nie mówiłaś – odpowiada.

– Nie sądzisz, że gdybym była w szkole, to powiedziałabym coś do ciebie?

Tate wyjaśnia, że stałam po drugiej stronie ogrodzenia placu zabaw i przyglądałam się dzieciom podczas przerwy. Pytam, co miałam na sobie. Odpowiada, że czarny płaszcz i czarną czapkę, dokładnie to, co zawsze, przywykłam do tego stroju, ale w mieście trudno znaleźć kobietę, która nie nosiłaby czarnego płaszcza i czapki.

– Może to była czyjaś mamusia, Tate? – sugeruję, on jednak patrzy tylko na mnie bez słowa.

Wizja kobiety stojącej przy placu zabaw i obserwującej dzieci trochę mnie niepokoi. Zastanawiam się, jak bezpieczna jest szkoła, zwłaszcza w czasie przerwy. Ilu nauczycieli pełni wtedy dyżur? Czy furтка jest zamknięta na klucz, czy każdy może ją otworzyć i wejść do środka? Kiedy dzieci są wewnątrz szkoły, łatwo je upilnować, ale na dworze to zupełnie inna historia.

Will mierzwi mi dłonią włosy.

– Już chyba czas zrobić ci badanie wzroku.

Szybko zmieniam temat.

– Co tu masz? – pytam.

Tate z dumą dzierży w dłoniach minifigurkę, którą sam ułożył z klocków w bibliotece, pokazuje mi ją, a potem na prośbę Willa wspina się na łóżko, żeby powiedzieć mi dobranoc. Potem Will odprowadza go do jego pokoju, tam czyta Tate'owi bajkę i opatula go ciasno kołdrą. W drodze powrotnej do sypialni zatrzymuje się przy drzwiach Ottona i Imogen, żeby życzyć im dobrej nocy.

– Nie zjadłaś zapiekanki – zauważa, gdy zjawia się w naszym pokoju. Jest zmartwiony. Odpowiadam, że nie byłam głodna. – Dobrze się czujesz? – pyta, przyglądając mi ciepłą dłonią włosy. Kręcę głową i mówię, że nie. Myślę, jak by to było przytulić się do niego, pozwolić, żeby objął mnie mocnymi ramionami, choć raz się odłonić, rozsypać przy nim na kawałki i pozwolić, by mnie pozbierał.

– Jak bezpieczny jest Tate w swojej szkole? – pytam zamiast tego.

Will zapewnia, że całkiem bezpieczny.

– To pewnie czyjaś matka podrzuciła zapomniane drugie śniadanie. Tate nie należy do najbardziej uważnych dzieci. Jestem jedynym ojcem, który odbiera dziecko ze szkoły, a i tak co dzień ma problemy ze znalezieniem mnie w tłumie.

– Na pewno? – Staram się nie dać ponieść wyobraźni, poza tym fakt, że to była kobieta, nieco mnie uspokaja. Gdyby to mężczyzna obserwował bawiące się na

boisku dzieci, już szukałabym w internecie mieszkających na wyspie zarejestrowanych przestępców seksualnych.

– Na pewno – odpowiada.

Podsuwam mu rysunki znalezione na strychu. Patrzy na nie i natychmiast uznaje, że to dzieło Ottona; w odróżnieniu ode mnie Will sprawia wrażenie pewnego.

– Czemu nie Imogen? – Bardzo bym chciała, żeby należały do niej.

– Bo Otto – odpowiada bez cienia wątpliwości – to nasz artysta. Pamiętaj o brzytwie Ockhama – dodaje, przypominając mi zasadę, że najprostsze wyjaśnienie jest najczęściej właściwe.

– Ale czemu? – pytam, mając na myśli powód, dla którego Otto miałby narysować coś takiego.

Will nie dostrzega powagi sytuacji.

– To forma autoekspresji, Sadie, naturalna u dziecka, które cierpi.

Samo to jednak już mnie niepokoi, bo cierpienie jest nienaturalnym stanem dla dziecka.

– Myślisz, że znów go prześladują?

Will jedynie wzrusza ramionami, odpowiada, że nie wie, ale rano zadzwoni do szkoły i się dowie.

– Musimy porozmawiać o tym z Ottonem – oznajmiam, lecz Will się nie zgadza.

– Pozwól, że najpierw trochę posprawdzam. Im więcej będziemy wiedzieć, tym lepiej się przygotujemy.

Odpowiadam: zgoda. Ufam jego instynktowi.

– Sądzę, że dobrze by było, gdyby Imogen z kimś porozmawiała – dodaje.

– Co masz na myśli? – pyta poruszony, sama nie wiem czemu. Will nie jest wcale przeciwny terapii, choć to przecież jego siostrzenica, nie moja. To on musi zdecydować. – Chodzi ci o psychiatrę?

Przytakuję.

– Jest coraz gorzej. Musi tak wiele tłumić w sobie. Gniew. Rozpacz. Dobrze by było, żeby z kimś porozmawiała.

Relacjonuję mu naszą wieczorną rozmowę, choć nie mówię o tym, co zobaczyłam w telefonie Imogen. Nie musi wiedzieć, że oglądałam zdjęcie jego

martwej siostry. Mówię tylko, że Imogen opisała mi ze szczegółami, jak wyglądała Alice, kiedy ją znalazła.

– Dla mnie to wygląda, jakby otwierała się przed tobą, Sadie.

Ale mnie trudno w to uwierzyć. Wyjaśniam, że terapia sprawdziłaby się, zwłaszcza u kogoś, kto umie radzić sobie z krewnymi samobójców. Nie ze mną.

– Will – zagaduję, moje myśli wędrują gdzie indziej, do czegoś, co uderzyło mnie wcześniej, gdy wyglądałam przez okno na dom w sąsiedztwie.

– Co? – pyta.

– Ten pusty dom obok. Myślisz, że policja go przeszukała, kiedy sprawdzali okolice?

Patrzy na mnie oszołomiony.

– Nie wiem. A czemu pytasz?

– Po prostu pomyślałam, że pusty dom to świetna kryjówka dla zabójcy.

– Sadie, jestem pewien, że obok nas nie mieszka żaden morderca – odpowiada Will w sposób jednocześnie protekcyjny i dodający otuchy.

– Ale skąd ta pewność? – naciskam.

– Bo byśmy się zorientowali, prawda? Coś wyglądałoby nie tak, zapalone światła, wybite okno. Coś byśmy usłyszeli. Lecz dom nie zmienił się przez cały czas naszego pobytu tutaj.

Wmawiam sobie, że mu wierzę, bo tylko w ten sposób zdołam dziś zasnąć.

Camille

Czasami nocą przychodziłam pod mieszkanie Willa i stawałam samotnie na ulicy, patrząc z zewnątrz. Ale Will i Sadie mieszkali zbyt wysoko, trudno było dostrzec ich z dołu. Toteż pewnej nocy wspiełam się na schody przeciwpożarowe. Ubrałam się na czarno i szybko pokonałam pięć pięter niczym nocna włamywaczka. Na piątym piętrze usiadłam na stalowym podeście tuż za kuchennym oknem Willa. Zajrzałam do środka, lecz w domu panował mrok. Był środek nocy, trudno cokolwiek dostrzec. Siedziałam tak jakiś czas, marząc, by Will się obudził, żeby przyszedł do mnie.

Czekając, zapaliłam papierosa, przez chwilę nie gasiłam zapalniczki, patrząc, jak płomyk ożywa na knocie. Przeciągnęłam przez niego palec, chciałam, żeby zabolalo, ale nie. Po prostu pragnęłam coś poczuć, cokolwiek, nawet ból. Czułam jednak tylko wewnętrzną pustkę. Jakiś czas pozwalałam, żeby ogień nie gasł, zapalniczka cała się rozgrzała. Przycisnęłam ją do dłoni i przytrzymałam, potem odsunęłam z uśmiechem, oglądając swoje dzieło. Ze skóry odpowiedziało do mnie gniewne czerwone oparzenie.

Wstałam, pokiwałam zdrętwiałymi nogami, aby krew znów zaczęła płynąć. Zalała je fala bolesnych ukłuć.

Miasto wokół mnie oślepiało. Wszędzie płonęły światła, w dali migotały ruchliwe ulice, budynki jaśniały.

Zostałam tam całą noc. Will nigdy do mnie nie wyszedł, bo nasze wspólne życie nie zawsze było usłane różami. Miewaliśmy dobre dni, miewaliśmy i gorsze. Czasami byliśmy parą idealną, innym razem wszystko między nami zgrzytało, kompletnie do siebie nie pasowaliśmy. Spędzonemu razem czasowi, nieważne dobremu czy złemu, zawsze towarzyszyła świadomość, że Will nigdy nie pozna mnie tak jak znał Sadie. Bo drugiej kobiecie przypadają tylko skrawki ze stołu pierwszej, nie pełny posiłek.

Chwile spędzone z Willem były ukryte, pospieszne, nauczyłam się rozsądnie szafować spędzonym razem czasem, pierwsza coś inicjować. Raz odwiedziłam go

w uczelni. Weszłam do gabinetu, gdy był pusty, i zaskoczyłam go. Stał przy biurku, zamknęłam za sobą drzwi na klucz i podeszłam do niego. Zadarłam sukienkę do pasa, wskoczyłam na blat i rozsunęłam nogi, demonstrując, że nie mam nic pod spodem.

Will przyglądał mi się nieco zbyt długo, oczy miał okrągłe, usta otwarte.

– Chyba żartujesz – rzekł. – Chcesz to zrobić tutaj?

– Oczywiście, że tak – odparłam.

– Ale tutaj? – powtórzył, napierając na biurko, jakby chciał sprawdzić, czy utrzyma nas oboje.

– To jakiś problem, profesorze? – Jeszcze szerzej rozłożyłam nogi.

Dostrzegłam błysk w jego oku, uśmiechnął się jak Kot z Cheshire.

– Nie – odparł. – Żaden problem.

Kiedy skończyliśmy, zeskoczyłam z biurka, pozwalając, by sukienka opadła mi na uda, i pożegnałam się szybko. Staralam się nie myśleć, dokąd stamtąd pójdzie. Niełatwo być tą drugą. Świat ma dla nas tylko pogardę, nigdy współczucie. Nikomu nas nie żal. Zamiast tego ludzie nas osądzają. Uznają za samolubne, przebiegłe jędze, podczas gdy my jesteśmy tylko winne tego, że się zakochujemy. Zapominają, że też jesteśmy ludźmi i mamy uczucia.

Czasami, kiedy Will przyciskał usta do moich warg, czułam magnetyczne przyciąganie i jakby prąd, który przebiegał przez nas oboje. Często całował mnie namiętnie, ogniście – ale czasem nie. Czasami czynił to chłodno i sądziłam, że to koniec naszego romansu. Myliłam się. Bo tak już bywa ze związkami, namiętność narasta i opada.

Pewnego dnia rozmawiałam o tym z terapeutką. Siedziałam na krześle obrotowym. Gabinet miał wysokie okna, sięgające od podłogi do sufitu, na stoliku między nami stał bukiet kwiatów, za duży, jak wszystko w tym pokoju. Obok dwie szklanki wody, jedna dla niej, druga dla mnie. Krążyłam wzrokiem po pokoju, szukając zegara, zamiast tego znalazłam półki pełne książek dotyczących chorób psychicznych, inteligencji emocjonalnej, psychicznych gier i dyplomy ze studiów.

– Powiedz mi – poprosiła terapeutka – co się działo.

Tak właśnie zaczęła się rozmowa.

Poruszyłam się na krześle, poprawiłam bluzkę. Odchrząknęłam, walcząc o odzyskanie głosu.

– Wszystko w porządku? – spytała, patrząc, jak wiercę się na krześle, jakbym próbowała usadowić się wygodnie we własnej skórze.

Odparłam, że tak, wszystko dobrze. Nie czułam onieśmienia, nigdy nie bywam nieśmiała. Oparłam stopy na kanapie.

– Sypiam z żonatym mężczyzną – poinformowałam siedzącą naprzeciw kobietę.

Była mocno zbudowana, jedna z tych, których wagę od razu widać na twarzy. Jej wyraz nie zmienił się, jedynie lekko uniosła lewą brew. Brwi miała grube i ciemne.

Rozchyliła usta.

– Ach tak? – spytała, nie okazując żadnych emocji. – Opowiedz mi o nim. Jak się poznaliście?

Opowiedziałam jej wszystko, co tylko mogłam o Willu. Uśmiechałam się, gdy to mówiłam, na nowo przeżywając kolejno każdy moment. Dzień, kiedy spotkaliśmy się pod mostem, jego dłoń na moim przegubie ratującą życie. Kawę w kafejce, nas dwoje opartych o ścianę budynku. Głos Willa w moim uchu, jego dłoń na moim udzie.

Potem jednak popsuł mi się nastrój, sięgnęłam po chusteczkę i otarłam oczy. Mówiłam dalej, opowiadając, jak ciężko być tą drugą. Jakie to samotne życie. Że nie mogę liczyć na codzienne kontakty. Żadnych telefonów z pytaniem, jak się czuję, czy nocnych wyznań tuż przed snem. Nie miałam z kim pomówić o uczuciach, sama starałam się o nich nie myśleć. Ale ile razy można słuchać, jak partner nazywa nas imieniem tamtej kobiety, i nie popaść w kompleksy?

Zachęciła mnie, abym zerwała romans.

– Ale on twierdzi, że mnie kocha – odparłam.

– Mężczyzna gotów zdradzać żonę – rzekła – często składa obietnice, których nie może dotrzymać. Kiedy ci mówi, że cię kocha, to rodzaj pułapki. Zdradzający małżonkowie są mistrzami manipulacji – dodała. – Może mówić ci różne rzeczy, żeby powstrzymać cię przed zakończeniem romansu. Ma teraz żonę i kochankę na boku. Po co miałyby to zmieniać?

Choć tego nie planowała, słysząc jej słowa, poczułam ulgę.

Will nie miał powodu mnie zostawić. Will nigdy mnie nie zostawi.

Sadie

Leżę półprzytomna, wyrwana ze snu. W moim śnie także znajdowałam się w nie swoim łóżku, patrząc w nie swój sufit. Ze środka kasetonowego sufitu sterczał wiatrak. Jego łopaty miały kształt liści palmowych. Nigdy wcześniej takiego nie widziałam. Łóżko zapadało się w środku, tworząc dołek, w którym utknęło moje ciało, utrudniając mi ruchy. Leżałam w obcym łóżku, uwięziona w zagłębieniu.

Wszystko stało się tak szybko, że nie miałam czasu, by zastanawiać się, gdzie właściwie jestem, martwić się, jedynie dostrzec, że to nie moje łóżko. Wyciągnęłam rękę w jedną, potem w drugą stronę, szukając Willa, ale poza mną nikogo tam nie było. Moje ciało spowijał kokon z koca pod kapą i leżałam tam, wpatrując się w nieruchomy wiatrak, oświetlony jedynie wpadającym przez okno promieniem księżyca. Było mi gorąco, żałowałam, że wiatrak się nie porusza, że nie posyła strumienia powietrza w dół, by mnie ochłodzić.

A potem nie leżałam już w łóżku, stałam obok, patrząc, jak śpię. Otaczający mnie pokój zmienił się, zniekształcił, kolory zaczęły blaknąć. Nagle wszystko stało się monochromatyczne, ściany się wyginały, przybierając dziwne kształty trapezoidów i równoległoboków. Pokój nie był już kwadratowy.

Poczułam pierwsze zwiastuny bólu głowy.

W moim śnie zmusiłam oczy do zamknięcia, żeby powstrzymać pokój przed dalszymi zmianami.

Kiedy uniosłam powieki, leżałam we własnym łóżku, a w moich myślach pojawił się obraz Morgan Baines. Śniłam o niej. Nie pamiętam szczegółów, ale wiem na pewno, że tam była.

Zanim Will jakiś czas temu wyszedł z sypialni, pocałował mnie i zaproponował, że odwiezie chłopców do szkoły, abym mogła dłużej pospać.

– Wczoraj miałaś kłopoty z zaśnięciem – rzekł i nie byłam pewna, czy to pytanie, czy stwierdzenie.

Właściwie to zasnęłam całkiem szybko, ale sny miałam tak barwne, że musiałam wiercić się i przewracać.

Will cmoknął mnie w czubek głowy, życzył dobrego dnia i zniknął.

Z dołu dobiegają szmery podawanego śniadania, pakowanych plecaków, drzwi frontowe otwierają się i wszyscy wychodzą. Dopiero wtedy siadam na łóżku. Gdy to robię, widzę, że moja nocna koszula leży na skraju, nie mam jej na sobie.

Podnoszę się, zsuwając z siebie kołdrę, i odkrywam, że jestem naga. Zaskakuje mnie to. Odruchowo unoszę dłoń do piersi. Nie żebym miała coś przeciw sypianiu nago, często robiliśmy to z Willem, nim chłopcy zaczęli przychodzić do naszej sypialni, kiedy byli mali. Ale od tego czasu rzadko mi się to zdarzało. Myśl o spaniu nago, kiedy w domu są dzieci, zawstydzają mnie. A gdyby Otto zobaczył mnie w takim stanie? Albo co gorsza Imogen?

Myśl o Imogen zbija mnie z pantafelów. Słyszałam, jak Will i chłopcy wychodzą, ale nie ona.

Mówię sobie, że Will nie wyszedłby przed nią. Najpierw upewniłby się, że poszła do szkoły. Imogen nie zawsze oznajmia swoje plany; najpewniej nie ma jej, wymknęła się cicho przed Willem i chłopcami.

Pod pachami i między nogami mam ślady zaschniętego potu, pamiątkę po nieznośnym upale panującym w starym domu. Pamiętam, jak gorąco było mi we śnie. Pewnie nieświadomie ściągnęłam wtedy koszulę.

Znajduję ubranie w szufladzie komódki – legginsy do biegania i koszulkę z długimi rękawami. Naciągam je szybko. I wtedy znów wracam myślami do Imogen. Co, jeśli podobnie jak ja, Will tylko założył, że poszła do szkoły, bo ma tendencję do wymykania się niepostrzeżenie?

Lęk przed Imogen zabarwia moją ocenę sytuacji, zaczynam się zastanawiać: może wciąż jest w domu? Czyżbyśmy zostały tu same?

Ostrożnie wychodzę z sypialni. Drzwi pokoju Imogen są zamknięte, kłódka nowej blokady bezpiecznie tkwi na miejscu, co świadczy, że w pokoju jej nie ma. Bo nie mogłaby go zamknąć od wewnątrz.

Wiem dobrze, czemu ma służyć ten zamek: nie pozwolić mi wejść. Z pozoru wygląda niewinnie, lecz po chwili zastanawiam się, czy nie można go też użyć, żeby zamknąć kogoś w środku.

By mieć pewność, schodząc do kuchni, wołam Imogen. Na dole stwierdzam, że jej plecak i buty zniknęły, podobnie kurtka.

Will zostawił mi śniadanie na blacie, a obok pusty kubek na kawę; napełniam go i zanoszę wraz z naleśnikami na stół. Dopiero tam odkrywam, że Will zapomniał zabrać książkę, tę o prawdziwych zbrodniach. Pewnie skończył lekturę i zostawił mi do czytania.

Sięgam po nią i przysuwam do siebie, ale to nie o niej myślę. Nie tak naprawdę. Chodzi mi o tkwiące wewnątrz zdjęcie jego dawnej narzeczonej. Biorę tom do rąk, oddycham głęboko i zaczynam przerzucać kartki, spodziewając się, że wypadnie spomiędzy nich fotka Erin.

Kiedy tak się nie dzieje, przeglądam po raz drugi, potem trzeci.

Odkładam książkę. Unoszę wzrok i wzdygam.

Will zabrał zdjęcie, zabrał je, a książkę zostawił dla mnie.

Gdzie mógł je schować?

Nie mogę go spytać, poruszanie po raz kolejny tematu Erin byłoby w złym guście, nie mogę dręczyć go o to raz za razem i wypytywać o nieżyjącą narzeczoną. Zanim zjawiałam się w jego życiu, ona już dawno odeszła, lecz trudno mi przełknąć fakt, że po tylu latach trzymał jej podobiznę.

Will wychowywał się na wybrzeżu Atlantyku, niedaleko miejsca, gdzie teraz mieszkamy. Na drugim i trzecim roku zmieniał college, przenosząc się do Chicago. Śmierć Erin, a potem ojczyma sprawiły, że nie mógł już zostać na wschodzie. Musiał wyjechać. Wkrótce po tym jego matka po raz trzeci wyszła za mąż (w opinii Willa zdecydowanie za wcześnie; należy do tych kobiet, które nie znoszą życia w samotności) i przeprowadziła się na południe. Jego brat wstąpił do Korpusu Pokoju, obecnie mieszka w Kamerunie. Potem zmarła Alice. Will nie ma już rodziny na Wschodnim Wybrzeżu.

Erin i Will byli licealną parą. Kiedy mi o niej opowiadał, nigdy nie używał tego określenia, przywoływało zbyt wiele sentymentalnych skojarzeń. Ale tak było. Licealna para. Erin miała dziewiętnaście lat, kiedy zginęła, on właśnie skończył dwadzieścia. Zaczęli ze sobą chodzić, kiedy mieli piętnaście i szesnaście lat. Z tego, co mówił mi Will, Erin, która wróciła na święta do domu z college'u – Will pierwsze dwa lata studiował na miejscu – zaginęła wieczorem i znaleziono ją następnego dnia. Miała po niego wpaść o szóstej, planowali wspólną kolację, ale

się nie zjawiała. O wpół do siódmej Will zaczął się martwić, koło siódmej wykonał szybką serię telefonów do jej rodziców i przyjaciół. Nikt nie wiedział, gdzie jest Erin.

Około ósmej jej rodzice zadzwonili na policję, ale w tym momencie Erin nie było tylko dwie godziny i policja nie śpieszyła się z podjęciem poszukiwań. Była zima, padał śnieg, gołoledź na drogach. Często dochodziło do wypadków, tej nocy policja miała pełne ręce roboty. Tymczasem zaproponowali, by Will i jej rodzice nadal dzwoniли, sprawdzając wszystkie miejsca, w których Erin mogła się zjawić – co brzmiało idiotycznie, bo wydano ostrzeżenie pogodowe, by tej nocy kierowcy zostali w domach.

Trasa, którą Erin często wybierała, jadąc do Willa, była kręta i pagórkowata, pokryta cienką warstwą lodu i śniegu. Biegła wzdłuż brzegu dużego stawu. Była to boczna droga, z pięknymi widokami, ale taka, której lepiej unikać przy pogorszeniu pogody, jak tamtej nocy.

Erin jednak według Willa zawsze wyróżniała się uporem i nie pozwalała sobie mówić, co ma robić.

W temperaturze zera stopni staw, w którym później ją znaleziono, nie zdążył zamarznąć, cieniutka warstwa lodu nie wytrzymała ciężaru samochodu, kiedy Erin trafiła na gołoledź i w poślizgu wypadła z szosy.

Tej nocy Will wszędzie jej szukał. W siłowni, bibliotece, studiu, gdzie tańczyła. Sprawdził każdą możliwą trasę z domu Erin do siebie, ale na dworze było ciemno, a staw przypominał mroczną otchłań. Dopiero wczesnym rankiem jakiś biegacz zauważył błotnik wystający spomiędzy lodu i śniegu. Najpierw powiadomiono rodziców Erin. Nim Will usłyszał wieści, od niedoszłej randki minęło ponad dwanaście godzin. Rodzice Erin przeżyli wstrząs, podobnie jej młodsza, zaledwie dziewięcioletnia siostra. Podobnie Will.

Odsuwam książkę. Nie mam siły tego czytać, bo jej widok od razu przywołuje niegdyś tkwiące w środku zdjęcie.

Gdzie on trzyma fotografię Erin, zastanawiam się, lecz jednocześnie w mojej głowie pojawia się kolejna myśl: A co mnie to obchodzi?

Will ożenił się ze mną. Mamy dzieci.

On mnie kocha.

Zostawiam talerze na stole, wychodzę z kuchni, wkładam wiatrówkę wiszącą w holu. Muszę trochę pobiegać, żeby rozładować emocje.

Skrećam na ulicę, tego ranka niebo jest szare, ziemia wilgotna po wcześniejszym deszczu, który odpłynął gdzieś nad morze. Widzę go w dali, szare smugi pod podstawą chmur. Świat wydaje się ponury i pozbawiony nadziei. Pod koniec dnia według prognozy deszcz zamieni się w śnieg.

Biegnę w dół ulicy. Ostatnio rzadko miewam wolne, zaplanowałam sobie przebieżkę, a potem spokojny samotny poranek. Otto i Tate są w szkole. Will bez wątpienia wsiadł już na prom, który wiezie go na kontynent, tam złapie autobus na kampus i będzie przez pół dnia zachwycać dziewiętnastolatków opowieściami o alternatywnych źródłach energii i bioremediacji. Potem odbierze Tate'a ze szkoły i wróci do domu.

Biegnę w dół zbocza; wybieram ulicę, która okrąża wyspę, mijając domy stojące na brzegu. Wcale nie ociekają ostentacyjnym bogactwem, są raczej podstarzałe, są tu od pokoleń, co najmniej sto lat. Staroświeckie domki, lekko zapuszczone, przycupnięte pośród rosnących drzew. Trasa wokół wyspy ma osiem kilometrów. Tutejsza przyroda nie jest wymanikiurowana, wygląda wiejsko – długie fragmenty lasów i publiczne plaże, nie tylko kamieniste i zasłane wodorostami, ale też dziwnie puste o tej porze roku.

Biegnę szybko, mam tak dużo na głowie; odkrywam, że znów myślę o Imogen, o Erin; o Jeffreyu Bainesie i jego byłej żonie ukrytych w kościele. Zastanawiam się, o czym rozmawiali i gdzie jest zdjęcie Erin. Czy Will schował je przede mną, czy używa jako zakładki w kolejnej powieści? Czy mam to uznać za dobry znak?

Mijam skały, typowe dla wschodniej strony wyspy, są strome i niebezpieczne, wznosząc się nad Atlantykiem. Staram się nie myśleć o Erin. Na moich oczach fale oceaniczne z wściekłością uderzają o skały. Nagle w oszalałym pędzie przelatuje nade mną stado migrujących ptaków, jak to o tej porze roku. Wystraszona nagłym ruchem krzyczę. Dziesiątki, jeśli nie setki czarnych ptaków pulsują jednocześnie i umykają.

Ocean jest wzburzony, wiatr posyła fale ku brzegowi; wściekle, spienione grzywacze atakują skaliste wybrzeże, wyrzucając w powietrze kilkumetrowe obłoki wodnego pyłu.

Wyobrażam sobie, że woda o tej porze roku jest lodowato zimna i głęboka.

Robię krótki przystanek, by rozciągnąć mięśnie. Schylam się, dotykając palców u nóg, rozluźniając ścięgna Achillesa. Otacza mnie cisza tak głęboka, że aż niepokojąca, słyszę tylko wiatr świszczący wokół, szepczący mi do ucha.

I nagle zaskakują mnie słowa, które przynosi ze sobą.

– Nienawidzę cię. Zawsze przegrywasz. Zdychaj, zdychaj.

Prostuję się gwałtownie, przebiegając wzrokiem horyzont w poszukiwaniu źródła dźwięków. Ale nie widzę niczego ani nikogo.

A jednak nie potrafię uwolnić się od wrażenia, że ktoś tam jest. Ktoś mnie obserwuje. Po plecach przebiega mi dreszcz, ręce zaczynają dygotać.

– Halo? – wołam słabo.

Ale nikt nie odpowiada.

Oglądam się, w dali niczego nie widzę. Nikt nie ukrywa się za domami bądź pniami drzew, na plaży nie ma ludzi, okna i drzwi domów pozostają zamknięte, jak zwykle w taki dzień.

To tylko wyobraźnia. Nikogo tu nie ma. Nikt do mnie nie mówi.

Słyszę tylko szum wiatru.

Mój umysł pomylił go ze słowami.

Biegnę dalej. Gdy docieram do granicy miasta – typowego miasteczka z kościołem metodystów, zajazdem, pocztą, garstką knajpek, w tym otwartą w sezonie lodziarnią, której okna o tej porze roku zabito płatami sklejki – zaczyna padać. Początkowa mżawka wkrótce zamienia się w regularny deszcz. Biegnę, ile sił w nogach, wskakując do knajpki, żeby przeczekać burzę.

Otwieram pchnięciem drzwi i wślizguję się do środka, ociekając wodą. Nigdy wcześniej tu nie byłam. Kawiarnia jest rustykalna i prowincjonalna, z rodzaju tych, w których starszankowie spędzają całe dni, popijając kawę i narzekając na lokalną politykę i pogodę.

Drzwi nie zdążyły się jeszcze zamknąć, kiedy słyszę, jak jedna z kobiet mówi:

– Czy któraś z was była na ceremonii pożegnalnej Morgan?

Kobieta ta siedzi na kiwającym się drewnianym krześle na środku restauracji, przed sobą ma talerz jajek na bekonie.

– Biedny Jeffrey. – Z żalobną miną kręci głową. – Musi być zdruzgotany. – Sięga po karton śmietanki i zalewa nią kawę.

– Okropna sprawa – odpowiada inna kobieta. Siedzą razem, grupka pań w średnim wieku przy długim laminowanym stole pod oknem. – Nie do pomyslenia – dodaje.

Proszę o jednoosobowy stolik przy oknie, kelnerka pyta, co może podać. Odpowiadam, że kawę.

Kobiety przy stole rozmawiają dalej. Słucham ich.

– Słyszałam, że dzisiaj mówili o tym w porannych wiadomościach – stwierdza ktoś.

– I co powiedzieli?

– Policja rozmawiała z podejrzanym.

Jeffrey, dopowiadam w duchu, jest podejrzany.

– Słyszałam, że pchnięto ją nożem – podsłuchuję i w tym momencie mój żołądek ściska się gwałtownie, ręka opada ku brzuchowi. Zastanawiam się, jakie to uczucie, gdy nóż przebija skórę, wnika między jej narządy.

W następnym głosie brzmi niedowierzenie.

– Skąd niby to wiedzą? – Kobieta głośno odstawia kubek i jej towarzyszkę podskakują, ja także. – Policja nie przekazała jeszcze żadnych informacji prasie.

– Teraz już to zrobili – wyjaśnia znowu pierwsza. – To właśnie powiedział koroner. Że została pchnięta nożem.

– Pięć razy, tak mówili w wiadomościach. Raz w pierś, dwa razy w plecy i w twarz.

– W twarz? – pyta ktoś wstrząśnięty, moja ręka unosi się do policzka, jakby sama chciała sprawdzić. Cienka skóra, twarde kości, nie ma miejsca na ostrze noża. – Okropność.

Kobiety zastanawiają się głośno, jakie to uczucie, gdy ktoś pchnie cię nożem. Czy Morgan od razu poczuła ból, czy dopiero na widok pierwszej krwi? A może wszystko zdarzyło się tak szybko, kolejne pchnięcia, że nie miała czasu niczego poczuć, bo już nie żyła?

Jako lekarka wiem, że jeśli broń trafiła w jedną z głównych arterii, Morgan Baines błyskawicznie straciła przytomność. W przeciwnym razie, choć mogła nie

mieć sił, śmierć z powodu wykrwawienia trwa dłużej, a po tym, jak pierwszy szok ustąpił, musiała czuć ból.

Ze względu na Morgan mam nadzieję, że napastnik trafił w tętnicę. Że umarła szybko.

– Nie było żadnych śladów włamania. Wybitych drzwi, wyłamanych zamków.

– Może Morgan mu otworzyła.

– Może w ogóle się nie zamykała – wtrąca ktoś. – Może się go spodziewała – dodaje i kobiety zaczynają dyskutować o tym, że większość ofiar morderstwa zna swojego napastnika. Ktoś cytuje statystyki, głoszące, że przypadkowe zbrodnie zdarzają się względnie rzadko. Cios nożem w twarz, to brzmi jak coś osobistego.

Moje myśli natychmiast wędrują ku byłej żonie, Courtney. Courtney miała powód, by życzyć Morgan śmierci. *Nie żałuję tego, co zrobiłam!* O co jej chodziło?

– Zabójca musiał wiedzieć, że Jeffrey wyjechał – zastanawia się głośno jedna z kobiet.

– Jeffrey często podróżuje, z tego, co słyszę, prawie nie ma go w domu. Jeśli nie jest akurat w Tokio, to we Frankfurcie albo w Toronto.

– Może Morgan spotykała się z kimś innym. Może miała chłopaka.

I znów słyszę pełen niedowierzania głos.

– To tylko pogłoski, plotki – jego właścicielka upomina towarzyszki za obgadywanie zmarłej.

– Pamela, to nie plotki, mówili o tym w wiadomościach – odparowuje szybko jedna z nich, w jej głosie słyszę zaczepną nutę.

– Mówili w wiadomościach, że Morgan miała chłopaka? – pyta Pamela.

– No nie. Nie to. Ale że pchnięto ją nożem.

Zastanawiam się, czy Will o tym słyszał.

– Nożem, powiedzieli. – Odkrywam, że wszechwiedzący oni zaczynają grać mi na nerwach. Jacy oni? – Powiedzieli, że to było narzędzie zbrodni, wyobrażacie sobie? – dodaje kobieta, chwyta rączkę noża do masła i unosi go nieelegancko nad głowę, udając, że dźga sąsiadkę tępym czubkiem. Towarzyszki ją upominają.

– Jackie, przestań. Co w ciebie wstąpiło? – mówią. – Ktoś przecież zginął.

– Tak właśnie mówią – ciągnie kobieta o imieniu Jackie. – Po prostu podaję fakty, moje panie. Według raportu coronera, sądząc z kształtu i długości rany, był

to nóż do filetowania. Wąski i zakrzywiony, około piętnastu centymetrów długości, choć to tylko domysły, bo zabójca Morgan go nie zostawił. Zabrał ze sobą i pewnie wrzucił do morza.

Siedząc tam, w knajpce, wyobrażam sobie gniewne wzburzone fale, które widziałam podczas biegu. Myślę o ludziach, przepływających się promem na kontynent i z powrotem, dzień za dniem, dzień za dniem. Siedzących na górze pośrodku pięciokilometrowej cieśniny, do której można wyrzucić narzędzie zbrodni.

Tyle swobody, tyle możliwości. Każdy jest tak zajęty własnymi sprawami, że nie zwraca uwagi na to, co robią inni.

Prąd atlantycki opływa wybrzeże w stronę Nowej Szkocji, a stamtąd kieruje się do Europy. Jeśli zabójca faktycznie pozbył się w ten sposób noża, mało prawdopodobne, by morze wyrzuciło go na brzeg w Maine.

Zostawiam kawę na stoliku. Nawet jej nie tknęłam.

Camille

Nigdy nie znosiłam oceanu, w jakiś sposób jednak przekonałam samą siebie, żeby pojechać tam za nim, bo gdziekolwiek znalazł się Will, tam i ja chciałam być.

Szybko wyszukałam miejsce, gdzie mogłam się zatrzymać: pusty dom niedaleko niego. Był mały, żaloszny, pełen mebli zasłoniętych płachtami, co sprawiało, że w środku wyglądał upiornie. Przeszłam się po jego wnętrzu, sprawdzając wszystko po kolei. Siedziałam na ich krzesłach, leżałam na ich łóżkach jak Złotogłówka – jedno było za duże, drugie za małe, ale trzecie w sam raz.

Otwierałam i zamykałam szuflady w komodzie. W środku nie znalazłam prawie nic, tylko zapomniane drobiazgi, skarpetki, nić dentystyczną, wykałaczki. Odkręciłam krany. Nic nie popłynęło. Rury były puste, toaleta także. Szafki i lodówka również ziały pustką, znalazłam tylko pudełko sody do pieczenia. Wszędzie panował ziąb.

W tym domu często przeżywałam kryzysy egzystencjalne. Tkwiłam w środku, zabijając czas, i zastanawiałam się dlaczego. Byłam uwięziona w ciemności, miałam wrażenie, że nie istnieję, że nie powinnam istnieć. Czasem myślałam, że lepiej byłoby mi nie żyć, i zastanawiałam się, jak ze sobą skończyć. Nie byłby to pierwszy raz. Próbowałam już wcześniej i udałooby się, gdyby mi nie przerwano. To tylko kwestia czasu, zanim znów spróbuję.

Czasami nocą wychodziłam i stawałam na ulicy, przyglądając się Willowi przez okno jego domu. Zwykle na werandzie paliło się światło, niczym latarnia dla Sadie, gdy jeszcze nie wróciła. Wkurzało mnie to. Kochał Sadie bardziej niż mnie. Nienawidziłam jej za to. Wrzeszczałam na nią. Chciałam ją zabić, chciałam, by zdechła. Ale to nie takie proste.

Kiedy tak stałam na ulicy, patrzyłam, jak dym wypływa z komina i wzbija się w noc, szary na tle granatowego nieba. W domu zapalały się lampy, okno, w którym podpięte zasłony tworzyły idealną literę V, jarzyło się żółtym blaskiem.

Wszystko wyglądało jak z pierdzielonej pocztówki.

Pewnej nocy stałam, patrząc na niego przez okno. Na sekundę zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że jestem po drugiej stronie, z nim. W wyobraźni zmagalam się z jego swetrem, on ciągnął mnie za włosy, przyciskał wargi do moich ust, wszystko było szalone i brutalne. Nadgryzł mi wargę. Poczułam smak krwi.

I wtedy z transu wyrwał mnie odgłos dodawanego gazu. Otworzyłam oczy i zobaczyłam samochód jadący w górę ulicy. Dzielne małe autko. Zeszłam mu z drogi, uskokczyłam do rowu, tam gdzie kierowca nie dostrzeże mnie, przyczajonej wśród cieni.

Samochód przejechał obok, wypuszczając z tyłu obłoczki spalin. Uda się, uda, uda.

Patrzyłam, jak Will klęczy w pokoju wewnątrz swojego domu. Tego wieczoru miał na sobie sweter, szary, do połowy zapinany na zamek, a także dżinsy i buty. Bawił się z dzieckiem, tym młodszym, na kolanach, pośrodku pokoju. Durny dzieciak szczerzył się w uśmiechu, cały czas był cholernie szczęśliwy.

Will wziął małego za rękę, razem wstali z podłogi i podeszli do okna. Stali tak, wyglądając w noc. Ja ich widziałam, oni mnie – nie. Dostrzegałam każdy szczegół wewnątrz, sama bezpiecznie ukryta w ciemności. Ogień w kominku. Wazon na obramowaniu, obraz na ścianie.

Czekali, aż Sadie wróci do domu.

Powtarzałam sobie, że przenosząc się na wyspę, Will nie próbował mnie rzucić. Nie miał wyboru, musiał przyjechać, tak jak larwa nie ma wyboru i musi zamienić się w pchłę.

Minął mnie kolejny samochód. Tym razem nawet nie drgnęłam.

Staralam się nie narzucać, ale czasami nie mogłam się powstrzymać. Zostawiłam wiadomość na szybie samochodu Sadie, innym razem siadłam na masce i wypaliłam paczkę papierosów. Jakaś stara wiedźma próbowała mi powiedzieć, że nie wolno tam palić, że muszę to robić gdzie indziej. Nie lubię, kiedy ktoś mi rozkazuje. Odparłam, że to wolny kraj i mogę palić, gdzie tylko zechcę, do diabła. Nazwałam ją świrniętą staruchą, wiedźmą. Groziła, że złoży na mnie donos.

Pewnego dnia, kiedy nikogo nie było w domu, weszłam do środka. Łatwo było się tam dostać. Jeśli obserwujesz kogoś dostatecznie długo, dowiadujesz się różnych rzeczy. Hasła, piny – wszystkie są takie same i można je znaleźć w papierach wyrzucanych do śmieci. Czyjaś data urodzin, ostatnie cztery cyfry numeru ubezpieczenia społecznego na formularzu podatkowym, kwitek z wypłatą.

Ukryłam się, patrząc, jak samochód Willa odjeżdża, potem podeszłam do garażu i wystukałam na klawiaturze kod. Za trzecim razem trafiłam.

Drzwi wiodące z garażu do domu okazały się niezamknięte. Nacisnęłam klamkę i weszłam.

Kiedy przekroczyłam próg, psy nawet nie szczeknęły, nieźli z nich strażnicy. Podbiegły do mnie, obwąchując mi dłoń, polizały, ja poklepałam je po głowach, powiedziałam, żeby poszły spać, i tak zrobiły.

Zrzuciłam buty. Najpierw zajrzałam do kuchni, majstrując przy różnych rzeczach, dotykając ich. Byłam głodna. Otworzyłam lodówkę, znalazłam coś w środku i usiadłam przy stole, żeby zjeść. Udawałam, że to mój dom: oparłam nogi na drugim krześle, sięgnęłam po wczorajszą gazetę. Jakiś czas tak siedziałam, czytając stare nagłówki.

Zerknęłam ponad stołem, wyobrażając sobie, że Will je wraz ze mną, że nie jestem sama.

– Jak ci minął dzień? – spytałam Willa, nim jednak zdążył odpowiedzieć, zadzwieczał telefon. Jego dzwonek mnie zaskoczył, wzdrygnęłam się i zerwałam z krzesła, żeby odebrać, poirytowana, że ktoś śmie dzwonić w środku obiadu, który zjadam z Willem.

Podniosłam słuchawkę z widełek i przycisnęłam do ucha.

– Halo? – powiedziałam, to był stary telefon tarczowy, taki, jakich nikt na świecie już nie używa.

– Czy to pani Foust? – spytał męski głos, brzmiał pogodnie i rześko.

Nawet nie mrugnęłam.

– Owszem. – Z szerokim uśmiechem oparłam się o blat. – Tu Sadie Foust.

Mężczyzna dzwonił z kablówki z pytaniem, czy chcielibyśmy z Willem powiększyć nasz pakiet. Przemawiał przyjaźnie, przekonująco. Zadawał pytania. Zwracał się do mnie po nazwisku.

No, nie do końca moim.

Ale jednak.

– Jak państwu odpowiada obecny pakiet, pani Foust? Jesteście państwo zadowoleni ze swojego zestawu kanałów?

Odparłam, że nie jestem. Że wybór jest dość skromny.

– Nigdy nie chciała pani przejść na pakiet super premium, pani Foust? A mąż nie chce oglądać meczów baseballowych?

Odparłam, że owszem, ciągle marzę o tym, by to zmienić, że bardzo chcę oglądać filmy na HBO albo Showtime.

– Nie stanowią części naszego obecnego pakietu, prawda?

– Niestety nie, pani Foust – odrzekł. – Ale możemy to zmienić. Możemy to zrobić teraz, przez telefon. To świetny moment na powiększenie pakietu, pani Foust.

Trudno mi było odrzucić taką propozycję. Nie mogłam odmówić.

Odłożyłam słuchawkę na widelki, zapiekankę zostawiłam tam, gdzie stała. Pogładziłam dłońmi blat, otworzyłam i zamknęłam szuflady, majstrując przy gałkach kuchenki gazowej.

Przekręciłam jedną, nie dotykając przycisku zapalającego.

Wkrótce poczułam w nozdrzach woń gazu.

Przeniosłam się do salonu, pomacałam zdjęcia, usiadłam na kanapie, zagrałam na pianinie. Potem odwróciłam się i ruszyłam w stronę schodów. Tam, ściskając poręcz, wspierałam się na górę. Stopnie były drewniane, zapadnięte pośrodku, stare, równie stare jak sam dom.

Szłam korytarzem, przyglądając się pokojom. Wkrótce ustaliłam, który należy do niego.

Stało w nim szerokie łóżko, na krawędzi kosza z praniem wisiała para jego spodni, wewnątrz tkwiły jego koszule, skarpetki, jej staniki. Przesunęłam kciukiem po koronce jednego z nich, potem odrzuciłam z powrotem i pogrzebałam głębiej, aż znalazłam sweter. Zrobiony z brązowej wełny, był rozpinany, paskudny i znoszony, ale ciepły. Wsunęłam dłonie w rękawy, pogładziłam palcami żebrowane obszycia, dotknęłam guzików. Wcisnęłam palce do wielkich naszywanych kieszeni, zawirowałam na pięcie.

Potem podeszłam do toaletki Sadie, gdzie na wieszaku wisiała jej biżuteria; zapięłam na szyi naszyjnik, wsunęłam na przegub bransoletkę. Otworzyłam szufladę, znalazłam kosmetyki do malowania. Przeglądając się w lustrze, oprószyłam nos jej pudrem, podkreśliłam policzki jej różem.

– Pięknie pani wygląda, pani Foust – rzekłam do swojego odbicia, choć zawsze byłam o wiele ładniejsza od Sadie. Lecz mimo to, gdybym chciała, mogłabym uczesać się jak ona, ubrać jak ona i udawać panią Foust. Przekonać innych, by uwierzyli, że jestem żoną Willa, jego wybranką. Gdybym chciała.

Podeszłam do łóżka, chwyciłam kapę i odsunęłam. Pościel była miękka, szara, materiał gładki, bez wątpienia kosztowny.

Pogłaskałam prześcieradło i obszycia, usiadłam na skraju łóżka. Nie mogłam się powstrzymać, musiałam wejść do środka. Wsunęłam stopy pod kołdrę, wcisnęłam się głębiej, jakiś czas leżałam na boku z zamkniętymi oczami. Wyobrażałam sobie, że Will leży obok mnie.

Wyszłam, zanim wrócił. Nie miał pojęcia, że w ogóle tam byłam.

Stałam na przystani, kiedy się zjawił. Dzień był paskudny i szary, chmury opadały z nieba, zasnuwając ulice niczym smog, rozmazując wszystko i wwszystkich. Wwszystcy byli szarzy.

Na dworze kręcili się ludzie dla czystej rozrywki, zupełnie jakby podobała im się ta paskudna zimna pogoda. Stali tam, patrząc na ocean, obserwując punkcik, być może będący promem. Przysuwał się coraz bliżej, pozostawiając za sobą mniejsze łodzie, które kołysały się tam i z powrotem na falach.

Wiatr przenikał przeze mnie niczym ostrze noża. Stałam z biletem w dłoni, ukryta za budką z biletami, i czekałam na Willa. Wypatrzyłam go w końcu – szedł ulicą wiodącą do portu.

Jego twarz promieniała uśmiechem. Serce zabiło mi mocniej.

Ale to nie do mnie się uśmiechał.

Uśmiechał się do motłochu, wymieniając tu i tam parę słów z miejscowymi.

Stałam za budką, patrząc, jak Will zajmuje miejsce na końcu kolejki. Odczekałam chwilę, potem wśliznęłam się za niego, dzieliło nas parę osób. Naciągnęłam kaptur na głowę. Oczywiście ukryłam za ciemnymi okularami.

Weszliśmy na prom jako jedni z ostatnich, stąpając po trapie, więźniowie podczas marszu śmierci. W trapie ziały dziury, przez które dało się przeniknąć wzrokiem, wprost na wzburzoną wodę w dole. Widziałam wodorosty. Czułam zapach ryb.

Will wspiął się po stopniach na górny pokład. Usiadłam w miejscu, z którego mogłam obserwować go, sama nie będąc widziana. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Patrzyłam, jak stoi na rufie, jak zaciska dłonie na relingu, spoglądając w stronę znikającego brzegu.

Woda pod nami była słona i brązowa, nad promem krążyły kaczki.

Cały czas patrzyłam. Will stał niczym figura dziobowa, Posejdon, bóg morza, czuwający nad oceanem. Mój wzrok okręzał jego ciało niczym Księżyc na orbicie, zapamiętując kształt sylwetki. Ogarniał potargane wiatrem włosy, szerokie barki, rękę, liczył każdy palec. Podążył wzdłuż szwu džinsów od uda aż do stopy, zanurkował pod podeszwy butów i wzniósł się z drugiej strony, tą samą trasą – od stopy do uda, do palców. W myślach przeczesalam mu włosy palcami. Przypomniałam sobie, jakie to uczucie, gdy owijały mi się wokół dłoni.

Trwało to może dwadzieścia minut.

Brzeg stawał się coraz bliższy, budynki coraz większe. Cały czas tam były, kanciaste kształty na horyzoncie, nagle jednak urosły, ogromne i szare, jak wszystko inne tego dnia.

Gdy prom przycumował do brzegu, podążyłam za Willem na ląd i przez przystań. Gdzieś po drugiej stronie wsiedliśmy do autobusu. Pogrzebałam w torebce i z radością odkryłam, że mam kartę Metra. Wsiadłam do środka i znalazłam miejsce za nim.

Autobus turlał się powoli, wioząc nas przez miasto. Wkrótce dotarliśmy na miejsce. Kolejny kampus uniwersytecki, znów budynki kryte cegłą. Jak zwykle ruszyłam za Willem, utrzymując cały czas odległość dwudziestu kroków.

Patrzyłam, jak kieruje się do jednego z budynków. Trzydzieści sekund później wspięłam się po schodach, ruszyłam za nim do sali i zatrzymałam się w korytarzu, słuchając, jak mówi. Jego głos brzmiał tak kojąco, jak bulgotanie strumienia, porywający szum wodospadu – jednocześnie podniecał mnie i wyciszał, sprawiał, że miękły mi kolana.

Will nakręcał się, opowiadał z pasją o gęstości zaludnienia, o ludziach żyjących w zatłoczonych miastach, pijących brudną wodę. Przycisnęłam plecy do ściany i słuchałam, nie jego słów, te nic dla mnie nie znaczyły, ale dźwięku głosu.

Tam, w korytarzu, zamknęłam oczy i wyobrażałam sobie, że każde słowo z jego ust to tajna wiadomość, przeznaczona tylko dla mnie.

Kiedy studenci wysypali się z sali, rozmawiali ze sobą głośno, z ożywieniem.

Poczekalam, aż wyjdą ostatni, i ruszyłam do środka. Stał w głębi pomieszczenia. Na mój widok wyraźnie mu ulżyło.

Widziałam, że się cieszy. Uśmiechał się prawdziwym, szczerym uśmiechem, który próbował ukryć, ale nie mógł. Kąciki jego ust same się unosiły.

– Nie wierzę – rzekł, podchodząc do mnie i chwytając w ramiona. – Nie wierzę, że tu jesteś. Co ty tu robisz?

Powiedziałam mu.

– Przyszłam do ciebie. Tęskniłam.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?

Mrugnęłam porozumiewawczo.

– Śledziłam cię. Chyba jest pan obiektem stalkingu, profesorze Foust.

Sadie

Z knajpki wracam nieśpiesznym biegiem do domu. Temperatura spadła jeszcze bardziej, teraz pada już deszcz ze śniegiem, uderza mnie w oczy, wbijam wzrok w betonową nawierzchnię. Pada tak bardzo, że wkrótce zamieni się w prawdziwą śnieżycę. Woda wsiąka w moje ubranie. Zbliżając się do domu, słyszę silnik samochodu pracujący na jałowym biegu, na wzgórzu przede mną. Unoszę wzrok akurat, by dojrzeć forda crown victoria parkującego na końcu podjazdu Nilssonów. Silnik pracuje, spaliny wzlatają ponad czerwone światła w zimne powietrze. Obok skrzynki pocztowej Nilssonów stoi mężczyzna. W taki dzień nikt nie powinien przebywać na dworze.

Zwalniam kroku, unoszę dłoń do czoła, by osłonić oczy. Niezbyt dobrze widzę mężczyznę ze względu na pogodę i odległość. Ale to nie ma znaczenia, wiem kto to, już wcześniej oglądałam tę samą scenę.

Zaledwie pięćdziesiąt metrów ode mnie stoi funkcjonariusz Berg. Przez chwilę czeka za swoim samochodem, trzyma coś w dłoni, rozgląda się, sprawdzając, czy nikt nie patrzy, a potem wciska siłą ów przedmiot do skrzynki Nilssonów. W ostatniej chwili udaje mi się ukryć za drzewem.

Funkcjonariusz Berg robił to już wcześniej, tego samego dnia, kiedy przesłuchiwał Willa i mnie w naszym domu. Patrzyłam, jak odjeżdża, a on skręcił do skrzynki pocztowej Nilssonów i zostawił w niej coś – tak samo jak dzisiaj.

Ukradkowość jego zachowania pobudza moją ciekawość. Co takiego zostawia w skrzynce Nilssonów, że nie chce, by ktokolwiek o tym wiedział?

Berg zamyka drzwiczki pojemnika i wsiada do wozu, a potem odjeżdża za wzgórze. Ciekawość we mnie zwycięża – wiem, że nie powinnam, a jednak odgarniam mokre włosy z twarzy, podbiegam, wyciągam rękę i wydaję zawartość skrzynki, nie ukrywając się, jak to czynił funkcjonariusz Berg.

W pobliżu, pod osłoną drzewa, stwierdzam, że to nieoznakowana koperta, zaklejona, w środku tkwi plik papierów. Unoszę kopertę do mizernego światła. Nie mam stuprocentowej pewności, ale jestem przekonana, że to banknoty. Nagle

zaskakuje mnie odgłos silnika w dali. Wpycham kopertę z powrotem do skrzynki i szybko ruszam do domu.

Jest późny ranek, ale ze względu na pogodę wydaje się, jakby był środek nocy. Pospiesznie wpadam do domu, zamykając za sobą drzwi na klucz. Psy wyskakują mi na powitanie, ciesząc się z ich towarzystwa.

Odwracam się od okna, w holu potykam się o coś. To zabawka, jedna z należących do Tate'a. Po bliskim obejrzeniu stwierdzam, że to lalka. Wcale nie dziwi mnie ten fakt, bo w naszym domu nie wybieramy zabawek przeznaczonych ściśle dla danej płci. Jeśli Tate chce się pobawić lalką zamiast transformerami, bardzo proszę. Ale irytuje mnie to, gdzie leży – pośrodku holu. Ktoś mógłby się potknąć. Odkopuję ją na bok, wyzywając się na biednej lalce.

Dzwonię do Willa, lecz jest w połowie wykładu. Kiedy w końcu ma okazję oddzwonić, opowiadam mu o raporcie koronera, o nożu do filetowania. Lecz Will już wie, bo przeczytał o tym tego ranka w drodze na kontynent.

– Okropność – mówi i razem rozmyślamy chwilę o tych tragicznych i nieprawdopodobnych wydarzeniach.

– Jesteśmy tu bezpieczni? – pytam Willa, a kiedy się waha, bo skąd którekolwiek z nas może wiedzieć, czy jesteśmy bezpieczni, dodaję: – Uważam, że powinniśmy wyjechać. – Zanim zdąży zaprotestować, zaznaczam: – Oczywiście Imogen zabralibyśmy ze sobą.

Nie mówię natomiast, że na naszym terenie mielibyśmy przewagę. Czułabym, że mam władzę nad Imogen, tu nie mam takiego wrażenia.

– Wyjechać dokąd? – pyta Will, mnie jednak wydaje się oczywiste, że nasz nowy początek wcale nie jest taki nowy. Pobyt w Maine okazał się burzliwy, oględnie mówiąc. Nasze życie wręcz pogorszyło się od przyjazdu tutaj.

– Do domu – odpowiadam.

– A gdzie jest teraz nasz dom, Sadie? – pyta.

Na te słowa czuję ukłucie w sercu. Nasze mieszkanie w Chicago, to, w którym spędziliśmy z Willem całe dotychczasowe wspólne życie, już na nas nie czeka, sprzedaliśmy je parze milenialsów. Moja praca w szpitalu także – bez wątplenia zdążyli mnie już zastąpić jakimś młodym absolwentem akademii medycznej. Otto nie mógłby wrócić do swojej szkoły publicznej ani Tate do swojej. Nie z powodu czegokolwiek, co zrobił, ale ponieważ automatycznie zostałby uznany za winnego.

Obaj musieliby pójść do prywatnej szkoły, a gdybyśmy utrzymywali się wyłącznie z pensji Willa – zakładając, że odzyskałby dawną pracę – nigdy by się to nie udało.

– Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę do domu – proponuje Will, gdy nie odpowiadam, a ja się zgadzam, kończę rozmowę i idę do kuchni włączyć czajnik.

Wchodząc, widzę nasze noże i ogarnia mnie niezdrowa ciekawość. Chcę się przekonać, czym jest nóż do filetowania, jak wygląda, przytrzymać go w dłoni. Will ma zestaw noży, które trzyma w drewnianym bloku na blacie, tuż poza zasięgiem ciekawskich rączek Tate'a. Podchodzę do niego. Nie wiem, jak wygląda nóż do filetowania, ale po krótkim wyszukiwaniu w internecie dowiaduję się, że powinnam szukać zakrzywionej klingi z bardzo ostrym czubkiem, długiej na dwanaście do dwudziestu dwóch centymetrów. Po kolei chwytam rękojęści i wyciągam noże, by je obejrzeć, wkrótce odkrywam, że żaden nie pasuje do opisu. Co więcej, jedno miejsce w bloku jest puste. Zestaw liczy dwadzieścia jeden noży, zostało tylko dwadzieścia. Nasz nóż zginął.

W tym momencie ponosi mnie wyobraźnia. Próbuję zachować spokój i rozsądek, raz jeszcze przypominając sobie brzytwę Ockhama. Może to miejsce innego noża, może Will po prostu nie ma noża do filetowania. Może zaginiony nóż jest w zlewie, choć zajrzałam i go nie znalazłam. Może Will zgubił go dawno temu albo przez pomyłkę włożył do szuflady ze sztuczkami. Otwieram szufladę i grzebię w skromnej kolekcji noży zebranej przez Alice – głównie obiadowych i do steków. Nóż do obierania, drugi z ząbkowanym ostrzem, ale nie ten od kompletu.

Przypominam sobie Imogen siedzącą w nocy w naszej sypialni. Ile razy słyszemy opowieści o dzieciach mordujących rodziców w środku nocy? To się zdarza: nie jest aż tak nieprawdopodobne. A Imogen to dziewczyna wrogo nastawiona do świata, zraniona. Byłaby zdolna wziąć ten nóż i zagrozić mi nim – albo jeszcze gorzej.

Odwracam się i wychodzę z kuchni, wspinam się na piętro, ściskając poręcz wilgotną dłonią. Zmierzam do jej pokoju z zamiarem przeszukania go jak tamtego wieczoru, ale mój plan szybko natrafia na przeszkodę, gdy podchodzę do drzwi i uświadamiam sobie, że nie dostanę się do środka bez klucza do kłódki. Przeklinam, szarpiąc kłamkę, znów próbuję zadzwonić do Willa, by powiedzieć mu o zaginionym nożu, ale zmierza już do domu, najpewniej jest na promie, gdzie ma bardzo kiepski zasięg i nie mogę się dodzwonić. Odkładam komórkę z ulgą, myśląc, że Will wkrótce wróci.

Znajduję coś, czym mogłabym się zająć, odkurzam dom, zdejmuję pościel z łóżek, zaczynam zbierać ją na stertę, żeby zanieść do pralni.

W naszej sypialni pociągam prześcieradło na gumkach, i gdy to robię, coś czarnego wyskakuje z mojej strony łóżka, coś, co przez jakiś czas tkwiło zaklinowane między materacem a ramą. Gdy przedmiot zatrzymuje się na środku pokoju sypialni, w pierwszym odruchu zgaduję, że to pilot do sypialnianego telewizora, z którego rzadko korzystamy. Chcę go podnieść i wtedy odkrywam, że to nie pilot, ale komórka nienależąca ani do mnie, ani do Willa. Obracam ją w palcach. Nie ma w niej nic charakterystycznego, ot, zwykły telefon, iPhone starszej generacji. Może należał do Alice, myślę, stwierdzając, że telefon, co mało zaskakujące, jest rozładowany. Alice nie żyje już od dłuższego czasu, więc telefon także padł.

Na dole w szufladzie pełnej gadżetów znajduję pasującą ładowarkę, wpinam ją do gniazdka w salonie, telefon układam na kominku.

Potem wracam do porządków i krzątam się, dopóki Will nie wraca z Tate'em u boku. Witam ich w holu, Will natychmiast dostrzega w moich oczach, że coś się stało.

Obaj z Tate'em są mokrzy od śniegu, który oblepia im płaszcze, włosy i szybko topnieje. Tate, tupiąc, strząsa go z butów, zostawiając kałuże na drewnianej podłodze. Próbuje opowiedzieć mi o czymś, co wydarzyło się w szkole, czymś, czego się nauczył. Zaczyna śpiewać piosenkę, ale nie słucham, podobnie Will.

– Zdejmij buty – rzuca, a potem pomaga Tate'owi ściągnąć płaszczy. Odwiesza go na haczyk w ciemnym holu i przychodzi mi do głowy, że powinnam zapalić światła, ale tego nie robię.

– Podoba ci się, mamusiu? – pyta Tate o piosenkę. – Dni tygodnia, dni tygodnia, dni tygodnia – śpiewa na nutę piosenki z *Rodziny Addamsów*, klaszcząc dwukrotnie po każdym wierszu. Choć go słyszę, nie odpowiadam. – Podoba ci się? – pyta tym razem głośniejszym, niemal krzyjącym głosem.

Kiwam głową, ale tak naprawdę ledwie go słucham. Słyszę piosenkę, lecz mój umysł nie potrafi jej zarejestrować, bo myślę tylko o zaginionym nożu. Tate'owi nie podoba się moje lekceważenie. Cały się zmienia, dramatycznym gestem krzyżuje ręce na piersi i zaczyna się dąsać.

Will obejmuje mnie mocno. To takie miłe uczucie.

– Sprawdzalem systemy alarmowe domow – informuje, wracajac do rozmowy, która prowadziliśmy wcześniej przez telefon, o tym, czy jesteśmy tu bezpieczni. – Umówiłem się już na instalację. I dajmy funkcjonariuszowi Bergowi czas, by mógł dotrzeć do sedna sprawy, zanim zdecydujemy się na ucieczkę. To nasz dom, Sadie, czy nam się to podoba, teraz to nasz dom. Musimy się z tym pogodzić.

Uwalniam się z jego objęć. Próbuje dodać mi otuchy, ale ja wcale się tak nie czuję. Patrzę mu prosto w oczy.

– A co, jeśli system alarmowy nas nie ochroni?

Will patrzy na mnie zdziwiony.

– Co masz na myśli?

– Co, jeśli zagrożenie będzie w naszym domu?

– Chodzi ci o to, że ktoś mógłby dostać się mimo zabezpieczeń?

Will zapewnia, że cały czas będziemy uruchamiać alarm, że firma monitoruje wszystko dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli rozlegnie się alarm, pomoc przybędzie natychmiast.

– To nie intruza się obawiam, tylko Imogen.

Will z niedowierzaniem kręci głową.

– Imogen? – powtarza, a ja potwierdzam. – Nie myślisz chyba... – zaczyna, ale mu przerywam.

– Nasz n-ó-ż – mówię, literując słowo ze względu na Tate'a. Tate umie pisać, ale niezbyt dobrze. – Nasz n-ó-ż do filetowania zniknął, nie mogę go znaleźć. Ona mnie przeraża – przyznaję wymuszonym szeptem.

Myślę o Imogen w naszej sypialni tamtej nocy, patrzącej jak śpimy, o dziwnej wymianie zdań w korytarzu, o zdjęciu nieżyjącej matki, które nosi w telefonie. To nie są normalne zachowania. No i kłódka na drzwiach jej pokoju.

Trzyma tam coś i nie chce dopuścić, żebyśmy to znaleźli. W końcu przyznaję, że byłam tam tamtego wieczoru, przed założeniem zamka. Opowiadam o zdjęciu ze zdrapaną twarzą, o liście pożegnalnym, o kondomach.

– Sypiała z kimś – mówię. – Sądzę, że był żonaty – dodaję, opierając się na treści liściku.

Will nie odpowiada za dużo, jest zawiedziony, że naruszyłam jej prywatność, węsząc w pokoju. Oznajmia natomiast, że sypianie z żonatym to przecież nie

przestępstwo.

– Ona ma szesnaście lat – przypomina. – Szesnastolatki ciągle robią głupie rzeczy. Wiesz, dlaczego założyła zamek? – pyta i nim zdążę odpowiedzieć, wyjaśnia: – To nastolatka, Sadie. Oto dlaczego. Nie chce, żeby ludzie wchodzili do jej pokoju. Jak ty byś się czuła, gdyby to ona zaczęła szperać w twoich rzeczach?

– To by nic nie znaczyło – odpowiadam. – Nie mam nic do ukrycia. Ale Imogen to dziewczyna pełna gniewu i łatwo wpada w złość. Ona mnie martwi – dodaję ze smutkiem.

– Spróbuj postawić się na jej miejscu, Sadie. Nie sądzisz, że też czułabyś gniew? – pyta Will i oczywiście, byłabym w rozpacz i szoku – matka zginęła z własnej ręki, a mnie zmuszono do zamieszkania z ludźmi, których nie znam – ale czy zła? – Nie mamy pojęcia, co Imogen ujrzała tamtego dnia – ciągnie. – Gdybyśmy my zobaczyli coś takiego, też chodzilibyśmy podenerwowani. Tego nie da się odzobaczyć. Poza tym – Will wraca do tematu noża – wczoraj używałem noża do filetowania, żeby obrać ze skóry kurczaka na zapiekankę. Nakręciłaś się bez powodu, Sadie – dodaję i pyta, czy zajrzałam do zmywarki w poszukiwaniu noża. Nie zajrzałam. Nawet nie przyszło mi to do głowy.

Ale w tej chwili to nie ma znaczenia, bo moje myśli wędrują od noża ku zdjęciu w komórce Imogen, temu z martwą Alice. Wiem dokładnie, co Imogen ujrzała w dniu śmierci matki, choć nie chciałabym wspominać o tym Willowi, bo ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, jest świadomość tego, przez co przeszła siostra. A jednak mu mówię, bo to niepokojące, nienormalne, że Imogen zrobiła sobie fotkę Alice po śmierci i nosi ją przy sobie. Po co jej ona? Żeby pokazywać koleżankom?

Odwracam wzrok od Willa i wyznaję mu, że wiem, co widziała Imogen.

– Zrobiła zdjęcie przed przyjazdem koronera po Alice. Pokazała mi – oznajmiam.

Will nagle milknie, przetyka głośno ślinę.

– Zrobiła zdjęcie? – pyta po jakimś czasie. Przytakuję. – Jak wyglądała? – Ma na myśli Alice.

Zwykle nie umiem dobrze opisywać.

– No, była m-a-r-t-w-a – mówię, ostrożnie dobierając słowa. – Ale wyglądała spokojnie – kłamię.

Nie wspominam o śladach zadrapań, o przygryzionym języku. Nie mówię o stanie strychu, wywróconych pudłach, strzaskanej lampie, leżącym w stosie teleskopie. Ale kiedy odtwarzam je w myślach, wyobrażając sobie szamoczące się ciało Alice, uderzające w przedmioty w miarę utraty zapasów tlenu, i kiedy umysł zajmują mi straszne obrazy, coś wnika mi pod skórę, bo znowu widzę powywracane pudła i lampę. Ale stołeczek – ten, po którym Alice wspięła się na wysokość stryczka – stał na własnych nogach. Przypominam to sobie teraz.

Jak to możliwe, by przedmiot, którego Alice potrzebowała, żeby odkopać go w odpowiedniej chwili i popełnić samobójstwo, wciąż stał?

Co więcej, nie był nawet w zasięgu ciała Alice. Może ktoś wyrwał go jej spod stóp? W takim razie, czy to w ogóle było samobójstwo? Czy morderstwo?

Blednę śmiertelnie, unosząc dłoń do ust.

– Co się stało? – pyta Will. – Wszystko w porządku?

Kręcę głową i mówię nie, raczej nie.

– Właśnie coś sobie uświadomiłam – wyjaśniam.

– Co takiego? – pyta z napięciem.

– Zdjęcie Alice. W komórce Imogen – zaczynam.

– I co z nim?

– Kiedy Imogen je pstryknęła, policja jeszcze się nie zjawiała. W domu była tylko Imogen – mówię i zastanawiam się, ile czasu musiało minąć między jej powrotem do domu a wezwaniem policji. Czy dosyć, aby Imogen mogła upozorować samobójstwo? Jest wysoka, ale niezbyt mocno zbudowana; nie wyobrażam sobie, aby miała dość sił, żeby wciągnąć Alice na drugie piętro – nawet gdyby odurzyła ją narkotykami, tak że straciła przytomność i nie mogła walczyć – a potem podsadzić i zacisnąć pętlę. Nie sama. Ktoś musiał jej pomóc. Zastanawiam się nad przyjaciółkami, z którymi popała, czekając na przybycie promu. Odziane w czerń buntowniczeki w kontrze do świata i pełne niechęci do samych siebie. Czy by jej pomogły?

– Will, na zdjęciu jest stołek, który znaleźliśmy na strychu, ten sam, którym posłużyła się Alice, żeby zrobić to, co zrobiła. Wszystko inne było wywrócone, ale stołek wciąż stał. I to za daleko, poza zasięgiem Alice. Gdyby była sama, wywróciłaby go i znajdowałby się znacznie bliżej jej stóp.

Will kręci głową.

– Do czego zmierzasz?

Widzę, jak zachodzą w nim zmiany, jego postawa się zmienia, między oczami występują bruzdy. Marszczy brwi, przyglądając mi się; dobrze wie, co sugeruję.

– Skąd możemy mieć pewność – zaczynam – że to było s-a-m-o-b-ó-j-s-t-w-o? Nie było dochodzenia ani listu. Czy ludzie, którzy się z-a-b-i-j-a-j-ą, zwykle nie pozostawiają listu? Funkcjonariusz Berg sam to powiedział, pamiętasz? Że nigdy nie sądził, by Alice była typem samobójczyni.

– Skąd miałby wiedzieć, czy nim była, czy nie? – pyta zdenerwowany Will.

Taki atak gniewu to nie w stylu Willa. Ale tu mowa o jego siostrze. Jego siostrzenicy. Jego własnej krwi.

– Nie ufam Imogen – przyznaję. – Ona mnie przeraża.

– Posłuchaj samej siebie, Sadie. Najpierw oskarżasz Imogen o to, że zabrała nóż. Teraz twierdzisz, że zabiła Alice. – Will jest zbyt nakręcony, by literować słowa, wypowiada je bezdźwięcznie ze względu na Tate'a. – Miotasz się, atakujesz na oślepa. Wiem, że nie powitała nas serdecznie, ale nie zrobiła niczego, co mogłoby sugerować, że jest zdolna do morderstwa. – Najwyraźniej zapomniał już o wiadomości zostawionej na moim samochodzie. *Zdychaj*. – Serio twierdzisz, że to morderstwo upozorowane na samobójstwo? – dodaje z niedowierzaniem.

Nim zdążę odpowiedzieć, Tate znów zaczyna błagania.

– Proszę, mamusiu, pobaw się ze mną.

Patrzę mu w oczy i widzę tak wielki smutek, że ściska mi się serce.

– No dobrze, Tate. – Ogarniają mnie wyrzuty sumienia, że kłócimy się z Willem, nie zwracając uwagi na synka. – W co chcesz się pobawić? – pytam i głos mi mięknie, choć wewnątrz wciąż pozostaję spięta. – Może w szarady albo planszówkę?

Tate ciągnie mnie mocno za rękę.

– Zabawa w posąg, zabawa w posąg – intonuje.

Wykręca mi rękę tak mocno, że czuję ból. Zaczyna mnie to drażnić, bo nie tylko boleśnie ciągnie mnie za rękę, ale także próbuje odwrócić, sprawić, że pójdę tam, gdzie nie chcę. Podświadomie wyrywam mu się i unoszę rękę nad głowę, poza jego zasięg. Nie planuję tego, ale ów gest ma w sobie coś nagłego i tak gwałtownego, że Tate wzdryga się, jakbym dała mu w twarz.

– Proszę, mamusiu – błaga, patrząc ze smutkiem, gdy tak stoi naprzeciw mnie i podskakuje, by chwycić mnie za rękę.

Staram się zachować cierpliwość, naprawdę, ale myśli wirują mi w dziesięciu kierunkach naraz i nie wiem, o co chodzi Tate'owi z zabawą w posąg. Tate zaczyna płakać, nie tak naprawdę, lecz udawanie, co jeszcze bardziej mnie wkurza. I wtedy dostrzegam lalkę, którą odkopałam na bok godzinę wcześniej. Leży porzucona pod ścianą.

– Pozbieraj zabawki, a potem się pobawimy – mówię.

– Jakie zabawki? – pyta.

– Twoją lalkę, Tate – tracę w końcu cierpliwość. – O tam. – Pokazuję szmacianą lalkę z kręconymi włosami i oczami jak szklane kulki. Leży na boku w rozdartej na szwie sukience, brak jej jednego buta.

Tate patrzy na mnie nieufnie.

– Nie jest moja – podkreśla to słowo, jakbym powinna to wiedzieć.

Ależ oczywiście należy do niego – reszta z nas wyrosła już z zabawek – i pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy to ta, że Tate wstydzi się, iż przyłapaliśmy go na zabawach lalką.

– Odłóż ją – mówię.

Tate odpowiada w najbardziej możliwy dziecinny sposób.

– Sama schowaj swoją lalkę. – Podpiera się pod boki i pokazuje mi język.

Jego zachowanie zaskakuje mnie. To niepodobne do Tate'a. Tate to mój grzeczny synek, miły, posłuszny. Zastanawiam się, co w niego wstąpiło. Nie reaguję jednak, bo Will odzywa się pierwszy.

– Tate – rzuca surowo – rób, co ci każe matka, i schowaj swoją zabawkę. W tej chwili – dodaje: – Albo mama się z tobą nie pobawi.

Nie mając wyboru, Tate podnosi lalkę za nogę i niesie do swojego pokoju. Z góry słyszę łomot, gdy plastikowa głowa uderza o deski. Po powrocie Tate zaczyna nucić:

– Zabawa w posąg, zabawa w posąg. – Raz po raz, aż w końcu muszę przyznać, że nie wiem, na czym polega ta gra, że nigdy wcześniej się w to nie bawiłam i nigdy o tym nie słyszałam.

I wtedy nie wytrzymuje i nazywa mnie kłamczuchą.

– Mamusia to kłamczucha! – krzyczy, a mnie odbiera mowę. – Właśnie, że wiesz! – dodaje i sztuczne krokodyle łyzy zamieniają się w prawdziwe. – Wiesz, jak się w to bawić, ty kłamczucho!

Wiem, że powinnam go upomnieć, ale stoję oszołomiona; przez następnych kilka sekund nie mogę znaleźć właściwych słów. Tate wybiega z pokoju, bosa stopy ślizgają się po drewnianej podłodze – nim zdążę zareagować, znika. Słyszę, jak w sąsiednim pokoju rzuca się na podłogę, bezwładnie, jak lalka. Nic nie robię.

Will podchodzi bliżej, odgarniając mi włosy z twarzy. Zamykam oczy i opieram się o niego.

– Może ciepła kąpiel pomoże ci się odprężyć – podsuwa i dopiero wtedy przypominam sobie, że nie brałam dziś prysznic. Że jestem mokra od przebieżki w deszczu. Ubranie i włosy jeszcze do końca nie wyschły. W dodatku niezbyt przyjemnie pachną. – Nie śpiesz się – mówi Will. – Dam sobie radę z Tate’em. Załatwię to – zapowiada, a ja czuję wdzięczność. Że Will posprząta mój bałagan, którego narobiłam z synem. Kiedy wrócę po kąpeli, wszystko już będzie dobrze.

Po drodze na górę wołam do Tate’a, że kiedy skończę, pobawimy się w coś razem.

– Dobrze, chłopie? – dodaję, przechylając się przez poręcz, i widzę go przewieszzonego przez oparcie sofy. Łzy wsiąkają w rumiankowożółte obicie. Jeśli mnie słyszy, nie odpowiada.

Schody skrzypią mi pod stopami. Na górze, w korytarzu znajduję zdjętą z łóżek pościel, tam gdzie ją zostawiłam. Później ją oblekę.

Ciemność świata zewnętrznego wnika do mojego domu i trudno mi uwierzyć, że to nie środek nocy. Zapalam światło w korytarzu, lecz potem równie szybko je gaszę, na wypadek gdyby ktoś stał na ulicy i zaglądał przez okna, obserwując Willa, Tate’a i mnie.

Myszka

Niedługo po tym, jak Bert trafił do ich domu, zaczął tyć. Zrobił się tak gruby, że ledwo mógł się ruszać, całymi dniami leżał płasko na wielkim brzuchu, niczym spadochron. Ojciec i Fałszywa Mama powtarzali Myszce, że daje mu za dużo marchewek i to dlatego się roztył. Ale Myszka nie mogła się powstrzymać. Bert uwielbiał marchewki, za każdym razem, gdy mu je przynosiła, piszcząc radośnie, i choć wiedziała, że nie powinna, wciąż go nimi dokarmiała.

A potem pewnego dnia Bert urodził dzieci. Stąd Myszka dowiedziała się, że Bert to jednak nie chłopczyk, ale dziewczynka, Berta, bo wiedziała, że chłopcy nie rodzą dzieci. Dzieci musiały tkwić już wewnątrz Berty, kiedy zabrali ją ze sklepu. Myszka nie wiedziała, jak opiekować się świnkowymi maluchami, ale to nie miało znaczenia, bo żaden nie przeżył. Ani jeden. Widząc to, Myszka się rozplakała. Nie lubiła, gdy komuś działo się krzywda, zwłaszcza gdy coś umierało.

Opowiedziała swojej prawdziwej mamie o tym, co spotkało dzieci Berty. Opowiedziała, jak wyglądały tuż po narodzeniu, jak trudno było Bercie wycisnąć je ze środka. Spytała mamę, jak dzieci dostały się do brzuszka Berty, ale prawdziwa mama Myszkki nie odpowiedziała. Zapytała też ojca. Oznajmił, że wyjaśni jej, kiedy będzie starsza, ale Myszka nie chciała wiedzieć kiedyś. Chciała wiedzieć teraz.

Fałszywa Mama oznajmiła, że to pewnie wina Berty, że dzieci umarły, bo nie opiekowała się nimi, jak przystało na dobrą mamę. Ale ojciec Myszkki na osobności powiedział, że to nie przez Bertę umarły. Pewnie po prostu nie wiedziała, co ma robić, bo nigdy wcześniej nie była mamą. A czasami takie rzeczy zdarzają się zupełnie bez powodu.

Zabrali to, co zostało z dzieci, i pochowali w wielkim dole na podwórku. Myszka położyła na grobie marchewkę na wypadek, gdyby dzieci też lubiły marchewki, tak jak Berta.

Ale zauważyła wyraz twarzy Fałszywej Mamy. Fałszywa Mama cieszyła się, że dzieci nie żyją. Myszka pomyślała, że może zrobiła coś, żeby umarły, bo nie życzyła

sobie gryzoni w swoim domu, nawet jednego, a co dopiero pięciu czy sześciu. Ciągłe to Myszce powtarzała.

Myszka nie potrafiła powstrzymać myśli, że to Fałszywa Mama sprawiła, że dzieci Berty umarły. Ale nie odważyła się tego powiedzieć, bo domyślała się, że za to też musiałyby słono zapłacić.

Myszka dowiedziała się wiele o zwierzętach, obserwując je przez okno w swoim pokoju. Siadała na wyściełanym parapecie i wyglądała na otaczające dom drzewa. Na podwórku rosło mnóstwo drzew, a to oznaczało mnóstwo zwierząt, bo, jak się dowiedziała z lektur, drzewa oferują zwierzętom coś, czego potrzebują, czyli schronienie i pożywienie. Drzewa przyciągają zwierzęta. Myszka była wdzięczna za drzewa.

Odkryła, że zwierzęta dogadują się ze sobą. Że potrafią się chronić przed wrednymi zwierzętami, które chciałyby je zranić. Na przykład króliki – biegały bardzo szybko, potrafiły też skradać się wokół podwórka, nigdy w linii prostej, co utrudniało kotu z sąsiedztwa ich doścignięcie. Czasami Myszka bawiła się tak w swoim pokoju: biegała zygzakami, przeskakując z biurka na łóżko, udając, że coś lub ktoś ściga ją, a ona próbuje uciec.

Inne zwierzęta, jak się przekonała, używały maskowania i zlewały się z otoczeniem. Brązowe wiewiórki na brązowych drzewach, białe króliki w białym śniegu. Myszka też tego spróbowała – ubrana w czerwono-różową pasiastą koszulkę położyła się na szmacianym dywaniku, także czerwonym i pasiastym, i udawała, że jest niewidoczna dzięki temu maskowaniu. A gdyby ktoś wszedł do pokoju, to by na nią nadepnął, bo przecież nie zauważy, że tam leży.

Inne zwierzęta udawały martwe albo walczyły, jeszcze inne wychodziły tylko nocą, żeby ich nie widziano. Myszka też ich nie widziała, bo kiedy się pojawiały, już spała, ale rano dostrzegała ich ślady na śniegu bądź w błocie, stąd wiedziała, że tam były.

Tego też spróbowała. Spróbowała być stworzeniem nocnym.

Kiedy uznała, że ojciec i Fałszywa Mama już śpią, wyszła z pokoju i na paluszkach zaczęła krążyć po domu. Ojciec i Fałszywa Mama sypiali w pokoju ojca na parterze. Myszce nie podobało się, że Fałszywa Mama sypia w łóżku ojca, bo to

było jego łóżko, nie jej. Fałszywa Mama powinna sprawić sobie własne łóżko we własnym pokoju i we własnym domu. Tak uważała Myszka.

Ale owej nocy, gdy Myszka stała się zwierzęciem nocnym, Fałszywa Mama nie spała w łóżku ojca. Stąd Myszka dowiedziała się, że Fałszywa Mama nie zawsze sypia, że czasami i ona bywa nocna. Bo czasem stała przy kuchennym blacie, nie zapalając światła, i mówiła do siebie, choć nigdy nic sensownego, jedynie jakiś bełkot. Kiedy Myszka znalazła ją taką, nie odezwała się ani słowem, lecz cichutko odwróciła się i na paluszkach wróciła tam, skąd przysła, po czym położyła się spać.

Ze wszystkich zwierząt Myszka najbardziej lubiła ptaki, bo było tak dużo różnych ich gatunków. Podobało się jej, że w sumie żyją w zgodzie, poza jastrzębiem, który próbował upolować pozostałe. Uznała, że to niemiłe.

I pomyślała, że tacy właśnie są ludzie. Zwykle nawet się dogadują, poza nielicznymi, którzy próbują ranić innych.

Myszka uznała, że nie lubi jastrzębia, bo był bezlitosny, podstępny i wredny, nie obchodziło go, co jada, pożerał nawet pisklęta. Czasami zwłaszcza pisklęta, bo nie miały dość siły, by walczyć. Stanowiły łatwy cel. Do tego jastrząb miał świetny wzrok – nawet jeśli sądziła, że nie patrzy, on obserwował, jakby miał oczy z tyłu głowy.

Z czasem Myszka zaczęła myśleć, że Fałszywa Mama trochę przypomina jastrzębia. Bo kiedy tato wychodził do swojego drugiego biura albo rozmawiał przez telefon za zamkniętymi drzwiami, coraz częściej czepiała się Myszkę. Wiedziała, że jest jak jedno z piskląt, które nie może się bronić, tak jak uczyniliby to mama i tata ptaki. Nie żeby Fałszywa Mama próbowała zjeść Myszkę, tak jak jastrząb pisklęta. To było coś innego, coś bardziej subtelnego. Trącała ją łokciem, przechodząc obok, podkradała ostatnie maślane ciasteczka z talerza Myszkę. Przy każdej możliwej okazji powtarzała, że nienawidzi myszy, że myszy to brudne, małe gryzonie.

Przed pojawieniem się Fałszywej Mamy Myszka i jej ojciec spędzali razem dużo czasu. Nauczył ją łapać piłkę do baseballu, rzucać zakrzywione piłki, wślizgiwać się na drugą bazę. Wspólnie oglądali stare czarno-białe filmy. Grali w monopol, karty

i szachy. Mieli nawet własną wymyśloną grę bez nazwy, którą ułożyli w pewne deszczowe popołudnie. Stali wtedy w salonie, obracali się w kółko, aż zakręciło im się w głowie, a potem zamierali w miejscu, utrzymując niemądrą pozycję, w jakiej się znaleźli. Pierwszy, kto się poruszył, przegrywał. Zwykle był to ojciec Myszki, bo robił to specjalnie, by mogła wygrać. Tak samo jak w monopolu i szachach.

Myszka i jej ojciec lubili wypady pod namiot. Kiedy dopisywała pogoda, ładowali go wraz z zapasami na tył samochodu ojca i jechali do lasu. Tam Myszka pomagała ojcu rozbić namiot i zebrać patyki na ognisko. Piekli nad ogniem pianki, Myszce najbardziej smakowały, kiedy z wierzchu były chrupkie i brązowe, a w środku białe i ciągnące.

Ale Fałszywa Mama nie lubiła, gdy Myszka z ojcem wyjeżdżali pod namiot, bo wtedy nie było ich całą noc. Fałszywa Mama nie chciała zostawać sama, życzyła sobie, by ojciec Myszki był z nią w domu. Gdy zobaczyła, jak w garażu zbierają namiot i śpiwory, przywarła do niego tak blisko, że Myszka poczuła się skrępowana. Położyła dłoń na piersi taty Myszki i potarła nosem jego szyję, jakby go obwąchiwała. Fałszywa Mama ścisnęła go i całowała, i powtarzała ojcu Myszki, jak samotnie się czuje, kiedy go nie ma, jak boi się nocą, gdy zostaje sama w domu.

Ojciec Myszki odkładał wtedy namiot i mówił Myszce: *innym razem*. Ale Myszka była mądrą dziewczynką, wiedziała, że *innym razem* tak naprawdę znaczy *nigdy*.

Sadie

Wchodzę do gabinetu i zastaję czekającego tam funkcjonariusza Berga.

Kiedy stoję w progu, nie siedzi na kozetce, jak inni pacjenci, zamiast tego kręci się po pokoju, majstrując przy różnych rzeczach. Podnosi przykrywkę słoików, naciska pedał stalowego kosza na śmieci.

Patrzę, jak bierze sobie paczkę lateksowych rękawiczek.

– Wie pan, że nie są darmowe? – mówię.

Funkcjonariusz Berg wpycha je szybko z powrotem do kartonowego pudełka.

– Przyłapała mnie pani – mówi i dodaje, że wnuk uwielbia z nich robić baloniki.

– Źle się pan czuje? – pytam, zamykając za sobą drzwi i sięgając po jego kartę. Zamiast tego znajduję puste plastikowe pudełko. Najwyraźniej to pytanie retoryczne, bo szybko dociera do mnie, że funkcjonariusz Berg czuje się świetnie. Że nie był umówiony, ale przyszedł ze mną porozmawiać.

To nie jest badanie, tylko przesłuchanie.

– Pomyślałem, że dokończymy naszą rozmowę.

Dziś wydaje się bardziej zmęczony niż poprzednio, gdy ostatnio go widziałam, a już wtedy był wyczerpany. Skóra poczerwieniała mu i spierzchła od mroźnych wiatrów – to pewnie dlatego że wiele czasu spędza na dworze, przyglądając się, jak prom dobija i odpływa od brzegu.

Na wyspie kręci się znacznie więcej policji niż zwykle, detektywi z kontynentu wchodzą w paradę Bergowi. Zastanawiam się, co o tym myśli. Do ostatniego morderstwa na wyspie doszło w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku, było krwawe, paskudne i wciąż pozostaje nierozwiązane. Przepęstwa przeciw mieniu zdarzają się często, przepęstwa przeciw życiu i zdrowiu – bardzo rzadko. Po zamknięciu śledztwa funkcjonariusz Berg nie chce skończyć z kolejną nierozwiązaną sprawą. Musi coś znaleźć.

– Jakąż to rozmowę? – pytam, siadając na obrotowym stołku.

Natychmiast żałuję tej decyzji, bo teraz funkcjonariusz Berg góruje nade mną pół metra. Muszę patrzeć na niego z dołu, niczym dziecko.

– Tę, którą przedwczoraj zaczęliśmy w pani samochodzie – mówi i po raz pierwszy od paru dni czuję błysk nadziei, bo mam teraz w telefonie dowód, że nie kłóciłam się z Morgan Baines w dniu, który wymienił pan Nilsson. Byłam wtedy tu, w klinice.

– Już mówiłam, nie znałam Morgan – oznajmiam. – Nigdy nie rozmawialiśmy. Czy nie jest możliwe, by pan Nilsson się mylił? Nie robi się młodszy – przypominam.

– Oczywiście, że to możliwe, doktor Foust – zaczyna Berg, ale przerywam mu. Nie interesują mnie jego teorie, skoro mam dowód.

– Mówił pan, że do incydentu między Morgan a mną doszło pierwszego grudnia. W piątek. – Wyjmuję z kieszeni fartucha komórkę, otwieram galerię i szybko przesuwam palcem, póki nie znajduję właściwego zdjęcia. – Rzecz w tym, że pierwszego grudnia – ciągnę – byłam tu, w klinice, cały dzień pracowałam i nie mogłam rozmawiać z Morgan, bo nie można być w dwóch miejscach jednocześnie, prawda? – dodaję z lekką wyższością.

Podaję mu komórkę, żeby sam mógł zobaczyć, o czym mówię. Zdjęcie ścieralnego kalendarza, na którym Emma zapisała moje nazwisko, wyznaczając mi dziewięciogodzinny dyżur w piątek pierwszego grudnia.

Funkcjonariusz Berg ogląda je uważnie, widzę, jak waha się przez chwilę, a potem dociera do niego, co widzi. Poddaje się. Kiwa głową. Przysiada na skraju kozetki, nie odrywając wzroku od zdjęcia, masuje palcem głębokie bruzdy na czole, kąciki jego ust opadają w grymasie.

Byłoby mi go nawet żal, gdyby nie próbował oskarżyć mnie o morderstwo Morgan Baines.

– Oczywiście sprawdził pan jej męża – mówię i dopiero wtedy unosi wzrok, patrząc mi w oczy. – I jego była żoną.

– Dlaczego pani pyta?

Albo jest dobrym kłamcą, albo naprawdę nie przyszło mu do głowy, że Jeffrey Baines mógłby zabić żonę. Nie wiem, która możliwość niepokoi mnie bardziej.

– Po prostu wydaje mi się, że to dobry początek. W dzisiejszych czasach przemoc domowa to główna przyczyna śmierci kobiet, czyż nie tak?

– Zgadza się, ponad połowa zamordowanych kobiet ginie z rąk swoich partnerów – potwierdza. – Jeśli o to pani pyta.

– Owszem, o to – przytakuję. – Czy to nie dostatecznie dobry powód, żeby przesłuchać jej męża?

– Pan Baines ma alibi. Jak pani wie, w czasie morderstwa nie było go w kraju. I mamy na to dowód, doktor Foust. Nagranie z kamer przemysłowych, na którym widać pana Bainesa w Tokio. Następnego dnia jego nazwisko na liście pasażerów. Dokumentację hotelową.

– Są inne sposoby – podsuwam, ale nie chwyta przynęty. Zamiast tego mówi, że w przypadkach przemocy domowej często mężczyźni walczą pięściami, podczas gdy kobiety pierwsze sięgają po broń.

– Nie wiedziała pani tego, pani doktor? – dziwi się, kiedy nie odpowiadam. – Kobiety nie zawsze są ofiarami, mogą też być sprawczyniami. Choć mężczyźni często stygmatyzuje się jako sprawców przemocy domowej, to działa w obie strony. W istocie nowe badania sugerują, że kobiety inicjują ponad połowę aktów przemocy w burzliwych związkach, a zazdrość to powód większości zabójstw w Stanach Zjednoczonych.

Nie wiem, co to ma wszystko znaczyć.

– Poza tym – kończy – nie przyszedłem rozmawiać o Jeffreyu Bainesie ani jego małżeństwie. Przyszedłem pomówić o pani, doktor Foust.

Ale ja nie chcę rozmawiać o sobie.

– Pan Baines był wcześniej żonaty – zagaduję, a on przygląda mi się sceptycznie i odpowiada, że wie. – Zastanawiał się pan, czy ona nie mogła tego zrobić? Była Jeffreya?

– Mam pewien pomysł – mówi Berg. – Może dla odmiany to ja będę zadawał pytania, doktor Foust, a pani na nie odpowie?

– Odpowiedziałam już na pańskie pytania – przypominam.

A poza tym ja także, jak Jeffrey, mam alibi na czas śmierci Morgan. Byłam w domu z Willem.

Funkcjonariusz Berg wstaje z kozetki.

– Kiedy zjawiłem się dziś rano, przyjmowała pani pacjenta. Miałem parę minut, by pomówić z Emmą w recepcji. Emma chodziła do szkoły z moją najmłodszą córką, znamy się bardzo długo. – Wyjaśnia na swój zwykły, chaotyczny sposób, jak

to Emma i jego córka Amy przyjaźniły się przez wiele lat, a z kolei on i jego żona przyjaźnili się z rodzicami Emmy. W końcu przechodzi do rzeczy. – Kiedy kończyła pani badać pacjenta, porozmawiałem sobie z Emmą. Chciałem się upewnić, że sprawdziłem wszystko, co się dało, i okazało się, że nie, bo podczas rozmowy zobaczyłem na własne oczy to samo, co właśnie mi pani pokazała. I spytałem o to Emmę, doktor Foust. Tak dla pewności. Bo przecież wszyscy popełniamy błędy, nieprawdaż?

– Nie wiem, o co panu chodzi – mówię, lecz mimo to czuję, że moje ciało się spina. Zaczynam tracić odwagę.

– Chciałem mieć pewność, że plany się nie zmieniły, spytałem zatem o to Emmę. Oczywiście strzelałem na oślep, nie spodziewałem się, że będzie pamiętała wydarzenia sprzed tygodnia czy dwóch. Tyle że pamiętała, bo ten dzień różnił się od reszty. Córka Emmy zachorowała w szkole i trzeba ją było odebrać. Grypa żołądkowa – dodaje. – Zwymiotowała podczas przerwy. Emma, jak pani wie, jest samotną matką, musiała tam pojechać. A z tego dnia pamięta potężny chaos w klinice, długą kolejkę czekających pacjentów. Nie mogła wyjść.

Wstaję z miejsca.

– To opisuje praktycznie każdy dzień tutaj, funkcjonariuszu. Przyjmujemy niemal każdego, kto mieszka na wyspie. Nie mówiąc już o tym, że mamy pełnię sezonu grypowego i przeziębieniowego. Nie rozumiem, jak ów dzień miałby się różnić od reszty.

– Ponieważ tego dnia, doktor Foust – mówi Berg – choć pani imię widniało na tablicy, nie było tu pani i Joyce ani Emma nie potrafiły powiedzieć, gdzie się pani podziała. Emma pamięta, że wyszła pani na lunch tuż po południu i wróciła gdzieś w okolicy godziny trzeciej.

Zupełnie jakby wymierzył mi cios prosto w brzuch.

– To kłamstwo – rzucam krótko, bo nic takiego nie zaszło. Unoszę się gniewem. Najwyraźniej Emmie pomieszały się daty. Może to był czwartek, trzynasty listopada, gdy jej córka zachorowała, dzień, kiedy dyżur pełniła doktor Sanders, nie ja.

Ale nim zdążę podsunąć to policjantowi, on podejmuje wątek.

– Musiała przenieść wizyty trzech pacjentów. Czterech postanowiło zaczekać. A córka Emmy? Siedziała na krześle w gabinecie pielęgniarki do końca dnia, bo

Emma była tutaj, tłumacząc się z pani nieobecności.

– Nie tak to wyglądało – oznajmiam.

– Ma pani jakiś dowód? – pyta funkcjonariusz Berg i oczywiście nie mam. Nic konkretnego.

– Mógłby pan zadzwonić do szkoły – przychodzi mi nagle do głowy. – Sprawdzić u pielęgniarki, którego dnia zachorowała córka Emmy. Bo daję głowę, że to nie był pierwszy grudnia.

Berg patrzy na mnie podejrzliwie. Nie odzywa się.

– Jestem dobrą lekarką. – Tylko to przychodzi mi do głowy. – Uratowałam życie wielu osób, funkcjonariuszu, więcej niż mógłby pan sądzić.

I myślę o tych wszystkich ludziach, którzy już by nie żyli, gdyby nie ja. O ofiarach postrzałów w ważne narządy, diabetykach w śpiączce i zatrzymaniach akcji oddechowej.

– Jestem dobrą lekarką – powtarzam.

– Nie twierdzę, że ma to cokolwiek wspólnego z zabójstwem Morgan ani że nie pełni pani właściwie obowiązków lekarza. Twierdzę natomiast, iż wygląda na to, że żywiła pani urazę do pani Baines, i wymaga to wyjaśnienia, podobnie jak pani kłamstwa. Często to późniejsze próby tuszowania okazują się gorsze niż zbrodnia, proszę zatem po prostu powiedzieć. Proszę mi powiedzieć, co się wydarzyło tego popołudnia pomiędzy panią a panią Baines.

Krzyżuję ręce na piersi. Nie mam nic do powiedzenia.

– Zdradzę pani pewien sekret – mówi, gdy nadal milczę. – To mała wyspa, plotki szybko się tu rozchodzą. Mamy tu mnóstwo ciekawskich osób.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tą sprawą.

– Powiedzmy po prostu, że pani mąż nie pierwszy dał się zauroczyć pani Baines.

– To rzekłszy posyła mi kamienne spojrzenie, czekając na jakąś reakcję, na to, że się oburzę.

Nie poddam się. Przelykam głośno, chowam ręce za plecy, bo zaczęły już drżeć.

– Will i ja jesteśmy szczęśliwym małżeństwem. Szaleńczo się kochamy. – Zmuszam się, żeby spojrzeć mu w oczy. Kiedyś faktycznie szaleńczo się kochaliśmy. To półprawda, nie kłamstwo. Na kłamstwo przychodzi pora teraz. – Willa nigdy nie interesowały inne kobiety poza mną.

Funkcjonariusz Berg się uśmiecha. Ale to uśmiech niezbyt szczery, świadczący, że wie lepiej i mi nie wierzy.

– No cóż – dobiera starannie słowa. – Pan Foust to wielki szczęściarz. Oboje macie szczęście. W dzisiejszych czasach szczęśliwe małżeństwo to rzadkość. – Unosi lewą dłoń, demonstrując goły palec. – Dwa razy żonaty – wyznaje. – Dwa razy rozwiedziony. Dla mnie koniec ze ślubami. W każdym razie – dodaje – może źle zinterpretowałem ich słowa.

Nie mam aż tak silnej woli. Wiem, że nie powinnam, a jednak chwytam przynętę.

– Jakie słowa? – pytam.

– Matek odbierających dzieci ze szkoły. Zwykle stoją grupkami przed bramą, czekając, aż skończą się zajęcia. Lubią rozmawiać, plotkować, z pewnością pani wie. Zazwyczaj to tylko pogaduszki dorosłych kobiet, które mają cały dzień, nim mężowie wrócą z pracy.

Opis ten wydaje mi się mizoginistyczny. Kobiety plotkują, mężowie pracują. Zastanawiam się, co funkcjonariusz Berg myśli o moim układzie z Willem, ale nie pytam, słucham dalej.

– Po prostu kiedy je przesłuchałem, sugerowały, że pani mąż i pani Baines byli dość... jakiego to słowa użyły? – zastanawia się głośno i w końcu odpowiada: – Zakumplowani. Tak, tak to nazwały, zakumplowani. Tak to nazwały.

Odpowiadam natychmiast.

– Poznał go pan. Will jest osobą bardzo otwartą, serdeczną. Wszyscy go lubią. To mnie nie zaskakuje.

– Nie? Bo mnie szczegóły nieco jednak zaskoczyły. Kobiety opisywały, jak to stali blisko siebie, rozmawiali, zniżając głosy, szepcząc słowa, których nie słyszał nikt inny. Jedna z nich miała nawet zdjęcie.

– Zrobiła zdjęcie Willowi i Morgan? – wtrącam z niedowierzaniem. Nie tylko plotkuje o moim mężu, ale robi mu zdjęcia? Po co?

– Proszę się uspokoić, doktor Foust. – Brzmi to nieco protekcjonalnie. Z pozoru jestem spokojna, choć serce mi wali. – Zrobiła zdjęcie swego syna wychodzącego ze szkoły. Dostał nagrodę dyrektora – wyjaśnia, znajdując właściwą fotkę i demonstrując mi ją.

Jej syn stoi na pierwszym planie, ma może dziesięć lat, czuprynę płowych włosów opadających na oczy, rozpiętą zimową kurtkę i rozwiązany but. W rękach trzyma dyplom z napisem NAGRODA DYREKTORA. W podstawówce to wielka sprawa, choć niesłusznie, bo do końca roku wszyscy taką dostaną. Dla dzieciaków jednak to ważne osiągnięcie, chłopak uśmiecha się szeroko, jest dumny z dyplomu.

Mój wzrok wędruje za niego. Stoją tam Will i Morgan, tak jak opisał funkcjonariusz Berg: blisko, w sposób, od którego ściska mi się żołądek. On odwrócony ku niej, patrzy na nią, z dłonią na jej ręce. Na jej twarzy, w oczach widzę smutek, dostrzegam go wyraźnie. On pochyła się w pasie pod kątem dwudziestu czy trzydziestu stopni, ich twarze dzieli zaledwie kilka centymetrów. Will ma rozchylone usta, patrzy jej prosto w oczy.

Mówi do niej, widzę to wyraźnie.

Co mówił do niej Will, kiedy zrobiono to zdjęcie?

Co mogło wymagać aż takiej bliskości?

– Jeśli chce pani znać moje zdanie, wygląda to trochę dziwnie – mówi funkcjonariusz Berg, odbierając mi zdjęcie.

– Nie chcę – odpowiadam głośno z coraz większą złością, nie mogąc powstrzymać dalszych słów. – Widziałam pana – przypominam sobie nagle – widziałam, jak wkładał pan coś do skrzynki Nilssonów, funkcjonariuszu. Dwa razy. To były pieniądze – dodaję oskarżycielsko.

Funkcjonariusz Berg nie traci rezonu.

– Skąd pani wiedziała, że to pieniądze?

– Byłam ciekawa – oznajmiam. – Obserwowałam pana. Po tym, jak pan odjechał, poszłam sprawdzić.

– Oszustwa pocztowe to przestępstwo federalne. Zagrożone wysoką karą, doktor Foust. Do pięciu lat więzienia i sporą grzywną.

– Ale to przecież nie była poczta, prawda? Poczta przechodzi przez urząd pocztowy. Tę przesyłkę sam pan włożył, co, jak wiem, samo w sobie też jest przestępstwem.

Na to już nie miał odpowiedzi.

– Co to było, funkcjonariuszu? Ich działka, zapłata za milczenie? – Bo nie widzę innego logicznego wyjaśnienia, dlaczego funkcjonariusz Berg miałby w sekrecie

zostawiać kopertę pełną banknotów w skrzynce pocztowej Nilssonów. Nagle kawałki układanki wskakują na miejsce. – Czy zapłacił pan panu Nilssonowi, żeby skłamał? – pytam wstrząśnięta. – Powiedział, że mnie widział, choć to nieprawda?

Bo bez mordercy Berg potrzebował tylko kozła ofiarnego, kogoś, kogo mógłby obwinić za zabójstwo Morgan Baines.

I wybrał mnie.

Berg opiera się o blat, chowa ręce za plecami. Oddycham głęboko i zbieram się w sobie, poruszając nowy wątek.

– Ile w dzisiejszych czasach kosztuje utrudnienie pracy wymiarowi sprawiedliwości?

– Słucham?

Tym razem ujmuję to prościej.

– Ile zapłacił pan panu Nilssonowi za to, żeby skłamał?

Odpowiada mi chwila ciszy, Berg cały czas patrzy na mnie, zdumienie na jego twarzy zastępuje smutek.

– Niemal chciałbym, żeby tak właśnie było, pani doktor. – Opuszcza głowę. – Ale nie. Niestety nie. Nilssonom ostatnio bardzo źle się wiedzie. Są bliscy bankructwa. Ich syn wpadł w kłopoty i George z Poppy wydali połowę oszczędności, żeby mu pomóc. Teraz krążą pogłoski, że jeśli George nie znajdzie sposobu, by opłacić na czas podatek od nieruchomości, miasto może odebrać im dom. Biedny George – wzdycha. – Ale to dumny człowiek, prędeż by umarł, niż prosił o pomoc. Przekazuję pieniądze anonimowo, aby nie czuł, że to jałmużna. I byłbym wdzięczny, gdyby mu pani o tym nie wspomniała. – Podchodzi o krok bliżej. – Proszę posłuchać, doktor Foust. Tak między nami nie sędzę, by była pani zdolna do morderstwa, ale prawda jest taka, że współmałżonkowie nie zawsze udzielają wiarygodnego alibi. Są uprzedzeni, mają powody, by kłamać. Fakt, iż oboje z mężem twierdzicie, że byliście w domu w czasie śmierci Morgan, nie jest zbyt mocnym alibi. Prokurator mógłby je podważyć. Jeśli dodamy do tego zeznanie świadka, mamy spory problem.

Milczę.

– Jeżeli mi pani pomoże, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pani pomóc.

– Czego pan ode mnie chce? – pytam.

– Prawdy – mówi.

– Ale ja już wyznałam prawdę. Byłam z panem absolutnie szczerą.

– Czy na pewno?

Odpowiadam, że tak. Jakiś czas patrzy na mnie. A potem uchyla kapelusza i wychodzi.

Sadie

Wieczorem mam problemy z zaśnięciem. Przez większość niespokojnej nocy czuwam, czekając, aż Imogen zakradnie się do sypialni. Każdy dźwięk mnie niepokoi, bo wydaje mi się, że to otwierające się drzwi pokoju, kroki na podłodze. Ale nie. To tylko dom zdradzający swój wiek: woda w rurach, szybko gasnący piec. Staram się uspokoić; przypominam sobie, że Imogen przyszła do nas tylko raz z powodu czegoś, co zrobiłam. Nie była to niesprowokowana wizyta. Wmawiam sobie, że podobna się nie powtórzy, ale w żaden sposób mnie to nie uspokaja.

Myszę też o zdjęciu, które pokazał mi funkcjonariusz Berg. Zastanawiam się, czy Will pocieszał na nim Morgan, bo już wcześniej była smutna? A może zrobił albo powiedział coś, co ją zasmuciło?

Jaką władzę miał mój mąż nad tą kobietą, że potrafił ją zasmucić?

Z czasem nadchodzi ranek. Will rusza zająć się śniadaniem, ja czekam na górze, aż mieszkająca w sąsiednim pokoju Imogen przygotuje się do szkoły. Słyszę, jak krąży po sypialni, a potem tupiąc głośno, maszeruje po schodach, ciężko i wrogo stawiając stopy. Słyszę, jak na dole rozmawia z Willem. Wychodzę na korytarz, ale choć wyteżam uszy, nie rozumiem ani słowa.

Drzwi frontowe otwierają się, a potem zatrząskują. Imogen znika.

Kiedy schodzę, Will stoi w kuchni, chłopcy siedzą przy stole i jedzą przyrządzone przez niego francuskie tosty.

– Masz sekundę? – pyta i odchodzę za nim na bok, tak byśmy mogli pomówić na osobności. Twarz ma pozbawioną wyrazu, długie włosy spięte w zgrabny koczek. Opiera się o ścianę, patrząc mi w oczy.

– Rozmawiałem dziś rano z Imogen – oznajmia. – O twoich obawach.

Dobór słów natychmiast mnie drażni. Twoich, czyli nie moich. Nie naszych obawach. Mam nadzieję, że do rozmowy z Imogen nie podszedł tak samo, bo wówczas znienawidziłaby mnie jeszcze bardziej niż teraz.

– Spytałem o zdjęcie, które podobno widziałaś w jej komórce. Też chciałem je zobaczyć.

Starannie wybiera słowa. Natychmiast to dostrzegam. Podobno widziałaś.

– I? – naciskam, widząc jego wahanie. Odwraca wzrok. Chyba Imogen coś zrobiła, myślę. – Pokazała ci zdjęcie Alice? – Mam nadzieję, że Will zobaczył to co ja: stołek, stojący daleko poza zasięgiem dyndających stóp Alice. Przez połowę nieprzespanej nocy, kiedy nie rozmyślałam o Willu i Morgan, myślałam właśnie o nim, o tym, jak kobieta może skoczyć półtora metra ze stolka i trafić głową w stryzynek.

– Pokazała mi telefon – kontynuuje Will. – Przejrzałem wszystkie zdjęcia. Całe trzy tysiące. Nie ma tam nic takiego, jak mi opisałaś, Sadie.

Natychmiast skacze mi ciśnienie. Czuję nagle gorąco i gniew.

– Skasowała je – rzucam lekko, bo oczywiście, że to zrobiła. – Było tam, Will. Sprawdziłeś katalog ostatnio usuniętych plików? – pytam, a on odpowiada, że owszem, i też go tam nie było. – W takim razie skasowała je trwale – dodaję. – Pytałeś o to?

– Owszem, Sadie. Spytałem, co się stało ze zdjęciem. Odparła, że nigdy nie istniało. Nie mogła uwierzyć, że wymyśliłaś coś takiego. Zdenerwowała się. Uważa, że jej nie lubisz.

Nie odpowiadam, mogę tylko patrzeć, oniemiała. Szukam wzrokiem oczu Willa.

Czy on też sądzi, że to sobie wymyśliłam?

Tate woła go z kuchni, chce jeszcze jedną grzanekę. Will wraca do niego, ja drepczę za nim.

– Ona kłamie, wiesz?

Siedzący przy stole Otto, słysząc to, posyła mi dziwne spojrzenie. Will nakłada Tate'owi na talerz kolejnego francuskiego tosta. Nie odpowiada i jego milczenie głęboko mnie boli, bo jeśli nie wierzy, że Imogen skłamała, sugeruje, iż ja to zrobiłam.

– Posłuchaj – mówi – daj mi to przemyśleć, ustalić, co dalej robić. Sprawdzę, czy jest jakiś sposób odzyskania skasowanych zdjęć.

Will wręcza mi tabletki, połykam je, popijając haustem kawy. Jest ubrany w rozpinaną pod szyją koszulkę i bojówki, bo dziś ma zajęcia; spakowana torba czeka na niego przy drzwiach. Czyta nową książkę, widzę kawałek wystający

z torby, twardą okładkę z obwolutą, pomarańczowy grzbiet. Zastanawiam się, czy w środku znów tkwi zdjęcie Erin.

Tate patrzy na mnie z ukosa od stołu. Choć próbowałam go przeprosić, wciąż jest na mnie wściekły za tę kłótnię z lalką i jego grą. Postanawiam, że kupię mu dziś nowy zestaw Lego. Lego są w stanie naprawić wszystko.

Wychodzimy razem z Ottonem. W samochodzie jest bardziej milczący niż zwykle, widzę po jego oczach, że coś się stało. Wie więcej, niż daje po sobie poznać, na temat napięć w naszym małżeństwie z Willem i na temat Imogen. Oczywiście, że tak. To przecież czternastolatek. Nie jest głupi.

– Wszystko w porządku? – pytam. – Chciałbyś o czymś porozmawiać?

Odpowiada krótko *nie* i odwraca wzrok.

Odstawiam go do przystani i wysadzam, szukając Imogen na brzegu. Nie ma jej tam. Prom przybija i odpływa. Gdy Otto znika w dali, wysiadam z samochodu i idę do budki z biletami. Kupuję bilet na następny prom na kontynent, potem wracam do samochodu i czekam. Kiedy prom przybija niecałe pół godziny później, wjeżdżam na pokład dla samochodów, parkuję, gaszę silnik i zostawiając samochód, wdrapuję się po schodkach na górny pokład. Tam siadam na ławce i przez całą drogę wpatruję się w ocean. Dopiero ósma, mam przed sobą niemal cały dzień. Will pracuje, nie dowie się, jak spędziłam czas.

W miarę, jak prom oddala się od brzegu, ogarnia mnie ulga. Wyspa maleje i staje się jedną z wielu wysepek u wybrzeży stanu Maine. Powoli wyrasta przede mną miasto, pełne budynków, ludzi, dźwięków. Na razie odsuwam na bok myśli o Imogen.

Policja szuka wyłącznie kozła ofiarnego. Funkcjonariusz Berg próbuje powiązać to morderstwo ze mną. Aby oczyścić swoje imię, muszę odkryć, kto zabił Morgan.

Mądrze wykorzystuję czas przeprawy, szukając w telefonie informacji na temat byłej Jeffreya Bainesa, Courtney, mieszkającej gdzieś po drugiej stronie Atlantyku. Nie wiem na pewno, ale łatwo to założyć: nie ma jej na wyspie z nami, a kiedy śledziłam ją po uroczystości pożegnalnej, widziałam, jak czerwonym dżipem wjeżdża na prom i znika na morzu.

Wpisuję do przeglądarki „Courtney Baines”. Znalezienie jej jest łatwe, bo jak się okazuje, jest kuratorką miejscowego okręgu szkolnego i jej nazwisko pojawia się bardzo często. Wyłącznie w kontekście profesjonalnym, nic osobistego. Kurator

Baines zatwierdza wzrost pensji nauczycieli i personelu. Kurator Baines wyraża obawy z powodu wzrostu liczby aktów przemocy w szkołach.

Znajduję adres budynku administracji i wpisuję do apki z mapą. To osiem minut jazdy z terminala, dotrę tam o ósmej trzydzieści sześć.

Prom wpływa do portu i cumuje. Zbiegam po stopniach z górnego pokładu do wozu, uruchamiam silnik i gdy tylko widzę sygnał, zjeżdżam z promu. Skręcam na ulicę i podążam zgodnie z mapą w stronę siedziby administracji szkolnej. To miasto to maleństwo w porównaniu z Chicago, mieszka tu niecałe sto tysięcy osób, ani jeden budynek nie przekracza piętnastu pięter. Lecz mimo wszystko to jednak miasto.

Stojący w samym centrum budynek administracji zdradza swój wiek. Wjeżdżam na teren i zaczynam szukać miejsca do parkowania. Sama nie wiem, co tu robię. Nie wiem, co zamierzam powiedzieć kuratorce Baines, gdy już się spotkamy.

Manewrując na parkingu, szybko układam w głowie plan. Jestem pełną obaw matką. W szkole prześladują moje dziecko. Nietrudno w to będzie uwierzyć.

Przechodzę przez pierwszy rząd samochodów i dostrzegam dżipa Courtney Baines, tego samego czerwonego dżipa, który na moich oczach odjeżdżał spod kościoła metodystów. Podchodzę do niego, rozglądam się, by mieć pewność, że jestem sama, a potem wyciągam rękę, by nacisnąć klamkę. Oczywiście jest zamknięty, nikt z choć cieniem rozsądku nie zostawiłby tu otwartego samochodu. Oslaniam dłońmi oczy i zaglądam do środka, szukając czegoś nietypowego.

Potem ruszam do budynku administracji. Tam wita mnie sekretarka.

– Dzień dobry – mówi – czym możemy służyć? – Przemawia w pierwszej osobie liczby mnogiej, choć nie ma tam żadnych *nas*. Siedzi sama w pokoju.

Kiedy wyjaśniam, że chciałabym porozmawiać z kuratorką, słyszę:

– Jest pani umówiona?

Oczywiście, że nie.

– To potrwa tylko chwilkę – mówię.

Kobieta patrzy na mnie.

– Czyli nie ma pani umówionego spotkania?

Odpowiadam, że nie.

– Bardzo mi przykro, ale pani kurator nie ma dziś wolnej chwili. Jeśli zechce się pani umówić na jutro, zdołam panią wcisnąć. – Zerka na ekran i mówi, kiedy kuratorka będzie wolna.

Ale ja nie chcę z nią rozmawiać jutro. Jestem tu teraz, chcę pomówić dzisiaj.

– Jutro nie mogę – informuję sekretarkę, wymyślając jakąś płacziwą historyjkę na temat chorej matki i tego, że jutro idzie na chemioterapię. – Gdybym mogła porozmawiać trzy, góra cztery minuty – dodaję niepewna, co zdołam osiągnąć w trzy minuty. Po prostu chcę porozmawiać z tą kobietą. Wyczuć, jakim jest człowiekiem. Czy takim, który umiałby zabić z zimną krwią? To wszystko, co chcę wiedzieć. Czy trzy minuty wystarczą?

Ale to nieważne, bo sekretarka zdecydowanie kręci głową i powtarza, jak bardzo jej przykro, ale wygląda na to, że tego dnia kuratorka nie ma ani chwili wolnej.

– Mogę wziąć pani numer telefonu – proponuje.

Sięga po kartkę, by zanotować informacje. Nim jednak zdążę jej je podać, w interkomie odzywa się nadąsany, przenikliwy damski głos wzywający ją do siebie.

Znam ten głos. Ostatnio słyszę go niemal za każdym razem, kiedy zamykam oczy.

Nie jest mi przykro z powodu tego, co zrobiłam.

Sekretarka odsuwa krzesło i wstaje. Przed wyjściem zapowiada, że zaraz wróci. Wychodzi i zostaję sama.

Pierwszy odruch nakazuje mi wyjść. Po prostu odejść. Nie ma szans, żebym przebiła się przez sekretarkę bez uciekania się do rozpaczliwych środków. Na razie sytuacja nie jest jeszcze rozpaczliwa. Ruszam do drzwi. Na ścianie za mną wisi wieszak, rama z lanego żelaza z pasującymi haczykami. Na jednym z nich tkwi czarno-biały płaszcz w pepitkę.

Rozpoznaję go. Należy do Courtney Baines. Ten sam płaszcz miała na sobie w dniu, gdy opuściła ceremonię pożegnalną Morgan, spiesząc do samochodu.

Oddycham głęboko, nasłuchując dźwięku głosów, kroków. Jest cicho, podchodzę więc do płaszcza, bez namysłu przesuwam dłońmi po szorstkiej wełnie. Sprawdzam kieszenie i moje palce natychmiast zaciskają się na czymś: na kluczach Courtney Baines.

Wpatruję się w trzymaną w ręce zdobycz: pięć srebrnych kluczy na skórzanym breloku.

Drzwi za moimi plecami otwierają się – nagle, niespodziewanie, nie słyszę żadnych ostrzegawczych kroków. Odwracam się, wciąż z kluczami w dłoni, nie mam czasu ich odłożyć.

– Przepraszam, że musiała pani czekać – mówi sekretarka, opadając z powrotem na krzesło. Trzyma w rękach plik papierów i cieszę się, bo to na nie patrzy, nie na mnie.

Błyskawicznie odchodzę od wieszaka, zaciskam dłoń wokół kluczy.

– Na czym skończyłyśmy? – pyta i przypominam jej.

Zostawiam nazwisko i numer telefonu i proszę, by pani kurator zadzwoniła, kiedy znajdzie chwilę. Ani nazwisko, ani numer do mnie nie należą.

– Dziękuję za pomoc – dodaję i odwracam się do wyjścia.

Nie namyślając się, wsiadam do dżipa. Nie przychodzi mi to nawet do głowy, póki nie staję przed nim z kluczami w dłoniach. Ale byłoby idiotyzmem nie wykorzystać okazji. Bo to prawdziwe zrzędzenie losu. Seria wydarzeń poza moją kontrolą.

Otwieram drzwi od strony kierowcy, wsiadam. Zaczynam szukać szybko, niczego w szczególności, lecz raczej przedmiotów, które powiedziałyby mi coś więcej o życiu tej kobiety. Słucha muzyki country, zbiera serwetki z McDonalda, czyta pismo „Good Housekeeping”, ostatni numer leży na fotelu pasażera wraz ze stertą poczty.

Ku swemu wielkiemu zawodowi nie znajduję tu żadnych dowodów morderstwa.

Wsuwam kluczyki w stacyjkę. Uruchamiam silnik.

Na desce rozdzielczej widzę panel nawigacji. Naciskam przycisk menu, a kiedy się włącza, wydaję polecenie – dom.

Nie mój dom, tylko Courtney Baines.

I dzięki temu zdobywam adres na Brackett Street, niecałe pięć kilometrów dalej.

Nie mam wyboru. Muszę tam jechać.

Myszka

Myszka szybko dowiedziała się, że Fałszywa Mama jest jak moneta: ma dwie strony.

W obecności ojca Myszkę Fałszywa Mama potrzebowała rankiem godziny, by się ubrać i zakręcić włosy. Używała perfum i ładnej jaskraworóżowej szminki. Nim ojciec zaczynał pracę, przyrządzała śniadanie dla niego i Myszkę. Fałszywa Mama nie robiła płatków, do których przywykła Myszka, lecz coś innego: placuszki, naleśniki, jajka po benedyktyńsku. Myszka nigdy wcześniej nie jadła naleśników ani jajek po benedyktyńsku. Ojciec zawsze robił na śniadanie płatki.

Kiedy był w domu, Fałszywa Mama przemawiała głosem ciepłym, słodkim i łagodnym, nazywała Myszkę słoneczkiem, skarbem i laleczką.

– Posypać ci naleśniki cukrem pudrem, laleczko? – pytała, trzymając w dłoni pojemnik, gotowa zasypać naleśniki stertą pysznego cukru pudru, który rozpląwał się w ustach Myszkę.

Myszka jednak kręciła głową, choć tak naprawdę bardzo by chciała. Lecz nawet w wieku sześciu lat wiedziała, że miłe rzeczy czasem mają swoją cenę, której nie chciała zapłacić. Wkrótce zatęskniła za zimnymi płatkami ojca, bo one nigdy nie miały żadnej ceny, tylko mleko i łyżkę.

Gdy ojciec Myszkę był w pobliżu, Fałszywa Mama dobrze ją traktowała. Ale czasami ojciec zniknął, jego praca wymagała podróży. Kiedy wyjeżdżał w jedną z nich, nie wracał całymi dniami.

Aż do pierwszego wyjazdu po przybyciu Fałszywej Mamy Myszka nigdy nie zostawała z nią na długo. Nie chciała z nią zostawać. Ale nie powiedziała tego ojcu, bo wiedziała, jak bardzo ojciec kocha Fałszywą Mamę. Nie chciała zranić jego uczuć. Zamiast tego, kiedy się żegnał, przytrzymała go za rękę. Pomyślała, że jeśli będzie trzymać bardzo mocno, ojciec nie wyjedzie. Albo może zabierze ją ze sobą. Była taka mała, bez problemu zmieściłaby się w walizce. Nie szepnęłaby nawet słówkiem.

Lecz tego też nie zrobił.

– Wróć za kilka dni – obiecał. Nie powiedział dokładnie, ile to znaczy *kilka*, delikatnie uwolnił rękę, pocałował Myszkę w czoło przed wyjściem.

– Świetnie sobie damy radę same. – Fałszywa Mama przyglądała palcami ciemne włosy Myszki. Myszka stała w drzwiach, starając się nie płakać, gdy lepka dłoń Fałszywej Mamy wyrывała jej włosy z głowy. Nie sądziła, że Fałszywa Mama zrobiła to specjalnie, ale może tak. Tak czy siak, Myszka skrzywiła się z bólu. Postąpiła krok naprzód, próbując powstrzymać ojca przed odjazdem.

Dłoń Fałszywej Mamy opadła na jej ramię i zacisnęła się bardzo mocno, nie puszczając. Tym razem Myszka widziała, że zrobiła to specjalnie. Myszka ostrożnie uniosła wzrok ku Fałszywej Mamie, niepewna, co zobaczy. Zmrużone oczy, gniewną minę, tak przynajmniej sądziła. Ale nie, zamiast tego zobaczyła przerażający uśmiech, taki, od którego zabolalo ją w środku.

– Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, zostaniesz tu i pożegnasz się z ojcem – warknęła Fałszywa Mama.

Myszka posłuchała.

Razem patrzyły, jak samochód ojca cofa się z podjazdu. Stały w drzwiach, dopóki nie zniknął za zakrętem ulicy, i Myszka już go nie widziała. Dopiero wtedy uchwyt Fałszywej Mamy na jej ramieniu lekko zelżał.

Gdy tylko ojciec zniknął, Fałszywa Mama zrobiła się wredna. W mgnieniu oka ów słodki, miękki, ciepły głos zlodowaciał. Fałszywa Mama odwróciła się od drzwi, zatrzasnęła je stopą i krzyknęła na Myszkę, żeby przestała wypatrywać ojca, bo już go nie ma.

– I nie wróci, nie tak szybko. Lepiej się z tym pogódź – dodała, po czym poleciała jej, żeby odeszła od drzwi.

Fałszywa Mama zaczęła rozglądać się po pokoju, szukając czegoś, do czego mogłaby się przyczepić. Czegokolwiek. I znalazła to w Panu Misiu, ukochanym brązowym pluszaku Myszki, który siedział oparty w kącie sofy z pilotem od telewizora pod małą włochatą łapką. Pan Miś oglądał telewizję, tak samo jak co dzień; wszystkie programy, które Myszka lubiła oglądać. Ale Fałszywa Mama nie życzyła sobie, żeby miś oglądał telewizję. Nie życzyła sobie misia gdziekolwiek na widoku. Podniosła go z kanapy, chwytając za łapkę i powtarzając Myszce, że musi

pochować swoje durne zabawki, zanim jej je powyrzuca. Przez chwilę potrząsała gwałtownie misiem, po czym cisnęła go na podłogę.

Myszka spojrzała na ukochanego misia. Wyglądał, jakby spał, a może nie żył, bo Fałszywa Mama tak bardzo nim trzęsła. Nawet Myszka wiedziała, że nie wolno tak traktować żywej istoty.

Wiedziała też, że powinna zamknąć buzię. Że musi robić to, co jej każe Fałszywa Mama. Ale nie zdołała się powstrzymać i słowa same posypały jej się z ust.

– Pan Miś nie jest durny! – krzyknęła, sięgając po pluszaka, tuląc go do piersi i pocieszając. Myszka głaskała puszyste futerko zwierzątka, szepcząc mu do ucha: – Ciii, już dobrze, Panie Misiu.

– Nie waż się mi odszczekiwać! – rzuciła Fałszywa Mama. – Twojego ojca tu nie ma, więc masz słuchać mnie. Ja tu rządzę. Póki tu jestem, masz po sobie sprzątać, ty mały gryzoniu – dodała. – Słyszysz, Myszko? – zakończyła i wybuchnęła śmiechem. – Myszka – prychnęła drwiącym tonem i dodała, jak bardzo nienawidzi myszy, że to szkodniki. Poinformowała Myszkę, że przenoszą na stopach odchody, że rozsiewają zarazki, od których ludzie chorują. – Skąd w ogóle wzięłaś taki przydomek, ty mały, brudny gryzoniu?

Ale Myszka nie wiedziała, więc nie odpowiedziała. To jeszcze bardziej rozzłościło Fałszywą Mamę.

– Nie słyszałaś mnie? – Pochyliła się, patrząc Myszcze w twarz.

Myszka nie była wysoka, miała nieco ponad metr wzrostu, ledwie sięgała Fałszywej Mamie do pasa, w miejsce, gdzie wciskała ładne bluzki do džinsów.

– Odpowiadaj, kiedy cię pytam! – warknęła Fałszywa Mama, celując palcem prosto w nos Myszkę, tak blisko, że ją pacnęła. Myszka nie wiedziała, czy tamta chciała to zrobić, czy nie. Czy może zdarzyło się to niby przypadkiem, ale celowo. Ale tak czy siak, zabolęło – zarówno jej nos, jak i uczucia.

– Nie wiem, dlaczego tatuś mnie tak nazywa – odparła szczerze. – Po prostu to robi.

– Zaczynasz mi się tu wymądrzać, mały gryzoniu? Nie waż się przy mnie wymądrzać. – Fałszywa Mama złapała Myszkę za przegub i zaczęła nią potrząsać jak misiem, aż Myszkę rozboleła głowa i ręka. Próbowwała się wyrwać, ale Fałszywa Mama tylko mocniej zacisnęła palce, wbijając jej w skórę długie paznokcie.

Kiedy w końcu puściła, Myszka zobaczyła czerwony odcisk dłoni Fałszywej Mamy na swojej skórze, paznokcie pozostawiły półksiężycowate zagłębienia. Do oczu napłynęły jej łzy, bo bolało, zarówno ręka, jak i głowa, ale jeszcze bardziej serce. Kiedy Fałszywa Mama nią potrząsała, zrobiło jej się smutno, ale też się wystraszyła. Nikt nigdy nie mówił tak do Myszkki ani tak jej nie dotykał i Myszkce się to nie spodobało. Sprawilo, że kropla sików wymknęła jej się ze środka i ściekła po nodze, gdzie wsiąkła w materiał spodni.

Fałszywa Mama roześmiała się na widok drżących warg Myszkki i łez w jej oczach.

– I co teraz zrobisz? – spytała. – Rozplączesz się jak mała beksa? Proszę, jak pięknie, przemądrzała mała beksa. To ci dopiero synkretyzm – zaśmiała się i choć Myszka wiedziała wiele rzeczy, to nie знаła słowa *synkretyzm*, wiedziała natomiast, co znaczy kretyn, bo słyszała, jak dzieci przezywają się tak w szkole. Uznała zatem, że Fałszywa Mama nazwała ją kretynką, co wcale nie byłoby najwredniejszym słowem, jakim się do niej zwracała.

Fałszywa Mama kazała zejść sobie z oczu, bo robi jej się niedobrze od patrzenia na twarz przemądrzałej beksy.

– I nie wracaj, póki nie powiem ci, że możesz – dodała.

Myszka ze smutkiem zaniosiła misia na górę do swojego pokoju i ostrożnie zamknęła drzwi. Położyła Pana Misia na łóżku, nucąc mu do ucha kołysankę. Potem ułożyła się obok i rozplakała.

Już wtedy wiedziała, że nie powie tacie, co mówiła i zrobiła Fałszywa Mama. Nie powie nawet swojej prawdziwej mamie. Nie była skarżypytą, a co więcej, zdawała sobie sprawę, jak bardzo ojciec kocha Fałszywą Mamę. Widziała to w jego oczach za każdym razem, gdy na nią patrzył. Myszka nie chciała zranić jego uczuć. Bo gdyby się dowiedział, co zrobiła Fałszywa Mama, zasmuciłby się, nawet bardziej niż ona teraz. Myszka była małą dziewczynką o sercu pełnym współczucia. Nie chciała nigdy nikogo zasmucać. A zwłaszcza ojca.

Sadie

Starannie zapamiętuję adres. Wsiadam do własnego wozu i podjeżdżam do domu Courtney. Parkuję równolegle na ulicy, z łatwością zajmując miejsce między dwoma samochodami. Wysiadam, zabierając ze sobą klucze Courtney.

W zwykłych okolicznościach nie zrobiłabym czegoś takiego. Ale jestem przyparta do muru. Zanim spróbuję wejść, pukam. Nikt nie podchodzi do drzwi.

Obmacuję w palcach klucze. To mógł być każdy z nich. Sprawdzam pierwszy. Nie pasuje.

Oglądam się przez ramię i dostrzegam kobietę z psem w parku koło ulicy. Kobieta pochyla się, sprzątając odchody psa ze śniegu do foliowej torebki; nie widzi mnie.

Sprawdzam drugi klucz. Ten pasuje, gałka się obraca i drzwi stają otworem. Przekraczam próg domu Courtney Baines, wchodzę do środka, zamykam drzwi za sobą. Wnętrze wygląda uroczo, pełne charakteru: łukowate przejścia, alkowy w ścianach i drewniane wypełnienia. Ale jest także zaniedbane i niekochane. Niewiele tu ładnych rzeczy. W domu panuje bałagan, na kanapie walają się sterty poczty, na drewnianej podłodze stoją dwa puste kubki po kawie. Kosz nieposkładanego prania czeka u podstawy schodów. W kącie wędzną dziecięce zabawki, od dłuższego czasu nietknięte.

Ale są też zdjęcia. Wiszą na ścianach, lekko przekrzywione, na górze ramek widzę grubą warstwę kurzu. Podchodzę do nich, mam ochotę zetrzeć kurz ręką, ale w ostatniej chwili przypominam sobie o odciskach palców, o dowodach i cofam ją szybko. Szukam w kieszeni płaszcza zimowych rękawiczek, nakładam je pośpiesznie.

Zdjęcia przedstawiają Jeffreya, Courtney i ich córeczkę. Dziwne; gdybyśmy po romansie Willa jednak się rozwiedli, pozbyłabym się z domu jego fotografii, by codziennie mi o nim nie przypominały.

Courtney trzyma u siebie nie tylko zdjęcia rodzinne, ale także ślubne. Romantyczne portrety całujących się małżonków. Zastanawiam się, co to znaczy. Czy wciąż darzy go uczuciem? Czy nie dopuszcza do siebie świadomości o romansie, rozwodzie, jego drugim ślubie? Może myśli, że jest szansa, że znów się zejdą? A może tylko tęskni za miłością, która kiedyś ich łączyła?

Wędruję korytarzem, zaglądając do sypialni, łazienek, kuchni. Dom ma trzy ciasne piętra, pokoje urządzone w spartańskim stylu. Dziecięce łóżko przykryte kapą w leśne zwierzątka, jelenie, wiewiórki i tak dalej. Na podłodze leży dywan.

Kolejny pokój to gabinet z biurkiem. Podchodzę do niego, wyciągam przypadkowe szuflady. Nie szukam niczego w szczególności, dostrzegam cienkopisy, ryzy papieru i pudełko kopert.

Wracam na dół. Otwieram i zamykam lodówkę. Odsuwam zasłonę i wyglądam na zewnątrz, sprawdzając, czy nikt nie idzie.

Ile mam czasu, nim Courtney zorientuje się, że klucze zniknęły?

Przysiadam lekko na kanapie, uważając, by nie naruszyć niczego, co na niej leży. Przeglądam pocztę, zachowując ten sam porządek na wypadek, gdyby w tym szaleństwie kryła się jednak jakaś metoda, której nie dostrzegam. To głównie rachunki i reklamówki, ale są też inne rzeczy. Pisma prawnicze, na kopertach wydrukowano napis STAN MAINE – otwieram je i wyciągam papiery palcami w rękawiczkach.

Nigdy zbyt dobrze nie radziłam sobie z prawniczym żargonem, ale natychmiast rzucają mi się w oczy słowa takie jak *zagrożenie zdrowia dziecka* i *natychmiastowe przejęcie pełnej opieki*. Potrzebuję chwili, by zrozumieć, że Jeffrey i Morgan Baines próbowali przejąć pełną opiekę nad dzieckiem jego i Courtney.

Na myśl, że ktoś miałby odebrać mi Ottona bądź Tate'a, natychmiast krew się we mnie gotuje. Gdyby ktoś usiłował pozbawić mnie dzieci, nie wiem, co bym zrobiła. Ale wiem jedno: kiedy ktoś wchodzi pomiędzy kobietę a jej dziecko, to nigdy się dobrze nie kończy.

Wkładam papiery z powrotem do kopert, lecz wcześniej robię im zdjęcie komórką. Układam korespondencję dokładnie tak, jak leżała. Wstaję z kanapy i wyslizguję się frontowymi drzwiami. Na razie skończyłam rewizję. Nie jestem pewna, czy to, co znalazłam, wystarczy, by podejrzewać Courtney o morderstwo. Ale to dość, aby wzbudzić wątpliwości.

Klucze wrzucam do zamykanej na suwak kieszonki w torebce. Później się ich pozbędę.

Ludzie ciągle gubią klucze, nieprawdaż? To nic nadzwyczajnego.

Jestem w połowie drogi do samochodu, parkującego po drugiej stronie ulicy, kiedy dzwoni moja komórka. Wyciągam ją z torebki i odbieram.

– Pani Foust? – pyta dzwoniący. Nie wszyscy wiedzą, że jestem lekarką.

– Tak – mówię – to ja.

Kobieta po drugiej stronie wyjaśnia, że dzwoni z liceum. Natychmiast myślę o Ottonie, o krótkiej wymianie zdań podczas porannej jazdy do portu. Coś go gryzło, ale nie chciał powiedzieć co. Czyżby starał się mi coś powiedzieć?

– Próbowałam najpierw dzwonić do pani męża – mówi kobieta – ale dodzwoniłam się na pocztę głosową. – Zerkam na zegarek. Will jest właśnie w trakcie wykładu. – Chciałam sprawdzić, co dzieje się z Imogen, nauczyciele mówią, że nie przyszła dziś do szkoły. Czy ktoś zapomniał zgłosić, że źle się czuje? – pyta kobieta i z ulgą, że nie chodzi o Ottona, wzdycham, po czym mówię, że nie, że Imogen pewnie wagaruje. Nie zamierzam kłamać, by usprawiedliwić jej nieobecność.

Ton głosu kobiety zmienia się na mniej życzliwy. Wyjaśnia mi, że Imogen ma obowiązek chodzić do szkoły i szybko zbliża się do maksymalnej liczby dopuszczalnych nieusprawiedliwionych nieobecności.

– To pani obowiązek, pani Foust, dopilnować, by Imogen była w szkole – poucza mnie. Zapowiada, że zorganizuje spotkanie ze mną, Willem, Imogen, nauczycielami i administracją. Coś w rodzaju interwencji. Jeśli to nic nie da, szkoła będzie zmuszona uciec się do środków prawnych.

Kończę rozmowę i wsiadam do samochodu. Przed odjazdem wysyłam SMS-a do Imogen: *Gdzie jesteś?* Nie oczekuję odpowiedzi, a jednak ją dostaję. *Znajdź mnie*, brzmi.

Imogen bawi się ze mną.

Po chwili dostaję serię zdjęć. Nagrobki, ponury krajobraz, butelka leków na receptę. To stare leki Alice, których używała do leczenia bólu towarzyszącego fibromialgii. Antydepresant będący też blokerem nerwów. Na etykietce widnieje jej nazwisko.

Muszę znaleźć Imogen, nim zrobi z nimi coś głupiego, nim podejmie nieostrożną decyzję, której już nie cofnie. Dodaję gazu, zmuszając się, by na razie zapomnieć o prawniczych pismach, które znalazłam w domu Courtney. Odnalezienie zabójcy Morgan będzie musiało poczekać.

Myszka

Tego dnia Fałszywa Mama nie dała Myszce obiadu, ale Myszka słyszała, jak krząta się w kuchni, przyrządzając coś dla siebie. Czuła też zapach napływający na pierwsze piętro przez otwory wentylacyjne i prześlizgujący się przez szczeliny w drzwiach pokoju. Nie wiedziała, co to, ale od zapachu przyjemnie zaburczało jej w brzuchu. Chciała coś zjeść. Ale nie mogła, bo Fałszywa Mama nie zaproponowała, że ją poczęstuje.

Wieczorem Myszka była już bardzo głodna. Ale wiedziała, że nie może poprosić o kolację, bo Fałszywa Mama powiedziała wyraźnie, że nie życzy sobie jej widzieć, póki sama nie powie. A przecież nie powiedziała.

Słońce zaszło, niebo pociemniało, a Myszka próbowała nie zwracać uwagi na narastający głód. Słyszała, jak Fałszywa Mama kręci się na dole bardzo długo po tym, jak skończyła jeść, jak myje naczynia, ogląda telewizję.

W końcu jednak w domu zapadła cisza.

Drzwi się zamknęły i Myszka uznała, że Fałszywa Mama poszła do łóżka.

Odrobinę uchyliła drzwi sypialni, stanęła tuż za nimi, wstrzymując oddech, by mieć pewność, że w domu nadal panuje cisza. Że Fałszywa Mama nie zajrzała do pokoju tylko po to, by znów z niego wyjść. Że nie próbuje jej oszukać i zwabić na parter.

Myszka wiedziała, że powinna iść spać. Próbowала pójść spać. Bardzo chciała pójść spać.

Ale była głodna.

A co gorsza, musiała skorzystać z łazienki, która mieściła się na dole. Naprawdę bardzo jej się chciało. Długo powstrzymywała się i nie sądziła, by wytrzymała jeszcze dłużej, a już na pewno nie całą noc. Ale nie chciała też, żeby zdarzył jej się wypadek w pokoju, bo miała sześć lat, a to za dużo na takie wypadki.

Tyle że nie wolno jej było wyjść, póki Fałszywa Mama się nie zgodzi. Zaciskała zatem z całych sił nogi, nakazując w myślach sikom, by zostały na miejscu. Użyła

też ręki, przyciskając ją do krocza niczym korek, myśląc, że to powstrzyma siuski. Ale z czasem brzuch bardzo ją rozboleł, bo była okropnie głodna i musiała zrobić siusiu.

W końcu przekonała samą siebie, żeby zejść na dół. Nie było to łatwe. Myszka nie należała do dziewczynek lubiących łamać zasady, wolała ich przestrzegać, by nie narobić sobie kłopotów. Przypomniała sobie jednak, że Fałszywa Mama tak naprawdę nie kazała jej iść do pokoju. To Myszka postanowiła tak zrobić. Fałszywa Mama powiedziała: *Zejdź mi z oczu*. Skoro więc teraz śpi, to nie zobaczy Myszkę na parterze, chyba że umie patrzeć z zamkniętymi oczami. A w takim razie Myszka nie łamała zasad.

Otworzyła szeroko drzwi swojego pokoju, zaskrzypiały cicho, a ona poczuła, jak w środku robi jej się zimno. Bała się, że to wystarczy, by obudzić Fałszywą Mamę. Policzyła w myślach do pięćdziesięciu, a potem, gdy w domu nadal panowała cisza i z sypialni nie dobiegł żaden dźwięk, ruszyła naprzód.

Skradała się powoli – po schodach, przez salon, na paluszkach w stronę kuchni. Tuż przy kuchni zaczynał się korytarz, który skręcał w stronę pokoju, gdzie spała Fałszywa Mama. Myszka wyjrzała za róg, próbując dostrzec drzwi, i ucieszyła się, że są zamknięte.

Bardziej niż głód doskwierała jej potrzeba zrobienia siusiu, więc najpierw skierowała się do łazienki. Ale łazienkę dzieliło ledwie parę metrów od sypialni ojca i Fałszywej Mamy i Myszka okropnie się bała. Sunęła w skarpetkach po podłodze do drzwi, starając się z całych sił nie oderwać stóp od desek.

W pokoju panował mrok, nie do końca nieprzenikniony, ale Myszka musiała macać palcami po ścianie, żeby na nic nie wpaść. Nie bała się ciemności. Należała do dzieci, które rzadko się boją, bo czuła się bezpiecznie we własnym domu. Przynajmniej do czasu przybycia Fałszywej Mamy. Teraz już nie czuła się bezpiecznie, choć ciemność stanowiła najmniejszy z jej problemów.

W końcu dotarła do łazienki. Wewnątrz ostrożnie zamknęła drzwi. Nie włączała światła, więc w środku było zupełnie ciemno. Łazienka nie miała okna, toteż nie wpadał do niej żaden promyk księżyca ani latarni. Myszka wymacała sobie drogę do sedesu. Dzięki Bogu pokrywa deski była uniesiona. Nie musiała ryzykować, że narobi hałasu, podnosząc ją.

Zsunęła spodnie do kolan, usiadła na desce tak powoli, że zapiekły ją uda. Starła się opanować swoje siuśki, tak by wysączyły się powoli i bezdźwięcznie, ale zbyt długo je wstrzymywała i nie dała rady. Tama pękła i mocz wypłynął z niej głośnym gwałtownym strumieniem. Myszka była pewna, że wszyscy w promieniu kilku ulic ją usłyszeli, a zwłaszcza Fałszywa Mama śpiąca naprzeciwko w łóżku ojca.

Serce zaczęło walić jej w piersi, dłonie spocily się, kolana dygotały tak, że gdy skończyła i podciągnęła spodnie na kościstą pupę, z trudem utrzymała się na nogach, bo uginały się niczym nóżki biurka, gdy próbowała się na nie wspiąć, aby uniknąć gorącej lawy wlewającej się do pokoju. Drżały pod nią, jakby zaraz miały pęknąć.

Opróżniwszy pęcherz, już w spodniach, Myszka stała w łazience bardzo długo przy zgaszonym świetle. Nie zawracała sobie głowy myciem rąk. Ale nim wyjdzie z łazienki, musi mieć pewność, że jej sikanie nie obudziło Fałszywej Mamy. Bo gdyby Fałszywa Mama wyszła na korytarz, zobaczyłaby Myszkę.

Myszka odliczyła w myślach do trzystu. Potem jeszcze raz, znów do trzystu. Dopiero wtedy wyszła. Ale nie splukała wody w obawie, że narobi hałasu. Zostawiła wszystko w toalecie, siuśki, papier toaletowy, wszystko. Otworzyła drzwi łazienki i suwając nogami, wróciła na korytarz, ciesząc się, że drzwi sypialni naprzeciwko wciąż są zamknięte.

W kuchni Myszka poczęstowała się kilkoma ciasteczkami maślanymi Salerno z szafki i szklanką mleka z lodówki. Umyła szklankę i odstawiła na suszarkę. Zebrała w dłoń okruszki ciastka i wyrzuciła do śmieci, bo Fałszywa Mama powiedziała także: *Kiedy tu jestem, masz po sobie sprzątać, ty mały gryzoniu*. I Myszka chciała być posłuszna. Wszystko to zrobiła w ciszy.

Zaczęła wchodzić na schody.

Ale po drodze zaswędził ją nos.

Biedna Myszka, tak bardzo starała się być cicho, nie hałasować. Lecz kichnięcie to odruch, jedna z rzeczy, które zdarzają się niekontrolowane, jak oddychanie, tęcza i pełnia księżyca. I kiedy się zacznie, nie da się go powstrzymać, choć Myszka bardzo próbowała. Och, jak próbowała. Tam, na schodach, przycisnęła dłonie do nosa, zacisnęła palce na jego grzbiecie, przywarła językiem do podniebienia,

wstrzymała oddech i błagała Boga, żeby to powstrzymał. Robiła wszystko co w jej mocy, byle tylko nie dopuścić do kichnięcia.

A jednak kichnęła.

Sadie

Cmentarz wygląda typowo. Jadę wąską żwirową ścieżką i parkuję samochód przy kaplicy. Gdy otwieram drzwi, wita mnie gwałtowny podmuch wiatru. Wsiadam i ruszam naprzód, lawirując między nagrobkami a roslymi drzewami.

Kwatery, gdzie pochowano Alice, jeszcze nie pokryto trawą. To świeży grób zasypany ziemią i oprószony śniegiem, nie ma też nagrobka – trzeba poczekać, póki ziemia nie osiadzie, dopiero wtedy można go zamontować. Na razie można rozpoznać to miejsce tylko po numerach rzędu i miejsca.

Imogen klęczy na zaśnieżonej ziemi, słysząc moje kroki, odwraca się. Kiedy na mnie patrzy, widzę, że płakała. Czarny eyeliner, który tak starannie nakłada co rano, spłynął smugami na policzki, oczy ma przekrwione, spuchnięte. Jej dolna warga drży. Zagryza ją, by to powstrzymać. Nie chce mi się pokazywać z wrażliwej strony.

Nagle wygląda młodziej niż na szesnaście lat. Ale też wydaje się bardziej skrzywdzona i pełna gniewu.

– Nie śpieszyłaś się, kurwa.

Prawdę mówiąc, przez chwilę po drodze zastanawiałam się, czy w ogóle nie odpuścić. Zadzwoiłam do Willa, żeby powiedziec mu o przysłanych przez Imogen zdjęciach, ale ponownie nie odebrał. Skręciłam już w stronę promu, kiedy odezwało się sumienie i zrozumiałam, że muszę przyjechać. Zamknięta fiołka z lekami leży na ziemi obok Imogen.

– Co zamierzasz z nimi zrobić, Imogen? – pytam, a ona nonszalancko wzrusza ramionami.

– Uznałam, że muszą się do czegoś przydać. Mamie ni cholery nie pomogły, ale może pomogą mnie.

– Ile zażyłaś? – naciskam.

– Jeszcze żadnej – odpowiada, ale nie jestem pewna, czy jej wierzę.

Ostrożnie podchodzę bliżej, pochylam się i podnoszę fiolkę z ziemi, otwieram i zaglądam do środka. Wciąż są tam tabletki, ale nie wiem, ile ich było. Temperatura spadła poniżej zera. Wiatr przewiewa mnie na wylot. Naciągam kaptur na głowę, wciskam ręce do kieszeni.

– Zazieźbisz się tu na śmierć, Imogen – mówię, kiepski dobór słów, zważywszy na okoliczności.

Imogen nie ma na sobie płaszcz, czapki ani rękawiczek. Jej nos przybrał barwę jaskrawej czerwieni, z czubka ścieka śluz, skapując na górną wargę, skąd na moich oczach zlizuje go szybko, co przypomina mi, że wciąż jest dzieckiem. Jej policzki pokrywają różowe rumieńce.

– Nie mam tyle szczęścia – mruczy.

– Nie mówisz serio – upominam, ale widzę, że tak, uważa, że lepiej by było, gdyby umarła. – Dzwonili ze szkoły – dodaję – mówią, że znów wagarujesz.

Wywraca oczami.

– Co ty powiesz?

– Co ty tu robisz, Imogen? – naciskam, choć przecież znam odpowiedź. – Powinnaś być w szkole.

Znów wzrusza ramionami.

– Nie miałam ochoty tam iść. Poza tym nie jesteś moją mamą. Nie możesz mi rozkazywać. – Ociera rękawem oczy. Dżinsy ma czarne i podarte, spod rozpiętej czerwono-czarnej koszuli wygląda czarna podkoszulka. – Powiedziałaś Willowi o zdjęciu. Nie powinnaś mu była mówić. – Podpiera się o ziemię i wstaje. Znów uderza mnie, jaka jest wysoka, dość duża, by patrzeć na mnie z góry.

– Dlaczego nie? – pytam.

– Nie jest moim pierdzielonym ojcem. Poza tym to było przeznaczone tylko dla ciebie.

– Nie wiedziałam, że to tajemnica. – Cofam się o krok, odzyskując przestrzeń osobistą. – Nie prosiłaś, żeby mu nie mówić. Gdybyś to zrobiła, nie wspomniałabym o nim – kłamię.

Wywraca oczami, wie, że to kłamstwo. Zapada chwila ciszy, Imogen dąsa się w milczeniu. Nie wiem, dlaczego właściwie mnie tu ściągnęła, więc nie opuszczam gardy. Nie ufam jej.

– Czy w ogóle znałaś swojego ojca? – pytam. Cofam się jeszcze o krok i wpadam na pień drzewa. Imogen posyła mi gniewne spojrzenie. – Bo pomyślałam sobie, że jesteś bardzo wysoka. Twoja mama nie była wysoka, prawda? Will też nie jest. Musiałaś odziedziczyć wzrost po ojcu.

Wygaduję bzdury, sama też to słyszę.

Imogen twierdzi, że go nie znała, a jednak przyznaje, że wie, jak się nazywa on i jego żona i że ma trójkę dzieci. Widziała jego dom. Opisuje mi go, wie, że ma gabinet okulistyczny. Że nosi okulary. Że jego najstarsza córka, piętnastoletnia Elizabeth, jest ledwie o siedem miesięcy młodsza od niej. Imogen ma dość rozumu, żeby wiedzieć, co to znaczy.

– Powiedział mojej mamie, że nie jest gotowy być ojcem.

Ale najwyraźniej był. Po prostu nie chciał być ojcem Imogen. Widzę to po twarzy dziewczyny. To wspomnienie wciąż ją boli.

– Rzecz w tym – dodaje – że gdyby moja mama nie była cały czas tak kurewsko samotna, może chciałaby żyć. Gdyby on też ją kochał, może zostałyby z nami trochę dłużej. Była tak bardzo zmęczona ciągłym przywdziewaniem kurewskiej radosnej maski. Nieszczęśliwa w środku, ale na zewnątrz wesoła. Nikt nie wierzył, że cierpi. Nawet jej lekarze. Nie wierzyli jej. W żaden sposób nie mogła dowieść, że ją boli. I nic jej nie pomagało. Wszyscy ci pierdoleni krytykanci. To oni ją zabili.

– Fibromialgia – odpowiadam – to okropnie frustrująca choroba. Żałuję, że nie znałam twojej matki. Może zdołałabym pomóc.

– Pieprzysz. – Ona na to. – Nikt nie mógł jej pomóc.

– Próbowałabym. Zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy.

Śmieje się gorzko.

– Nie jesteś tak bystra, jak chcesz wmówić innym. Ty i ja mamy coś wspólnego – dodaje, zmieniając temat.

– Ach tak? – rzucam z niedowierzaniem. – Czyli co?

Nie potrafię wymyślić ani jednej rzeczy, która łączyłaby mnie i Imogen.

Dziewczyna podchodzi bliżej.

– Ty i ja – wskazuje kolejno palcem – obie jesteśmy popieprzone.

Przełykam, czując gułą w gardle. Imogen podchodzi krok bliżej, znów celuje we mnie palcem, dźga mnie nim w pierś. Czuję korę drzewa pod plecami, nie mogę

się ruszyć, Imogen mówi coraz głośniejszym głosem, przestaje nad sobą panować.

– Myślisz, że możesz tu przyjechać i zająć jej miejsce? Spać w jej łóżku? Nosić jej kurewskie ciuchy? Nie jesteś nią! Nigdy nie będziesz nią! – krzyczy.

– Imogen – szepczę – ja nigdy... – zaczynam mówić, kiedy spuszcza głowę, twarz ukrywa w dłoniach. Imogen zaczyna szlochać, płacz wstrząsa jej ciałem niczym morskie fale. – Nigdy nie próbowałam zająć miejsca twojej matki – kończę zdławionym tonem.

Powietrze wokół nas jest gorzkie i ciężkie; zbieram się w sobie, gdy kolejny powiew wiatru przepływa obok i przeze mnie. Patrząc, jak farbowane czarne włosy Imogen tańczą wokół niej. Zwykle białą i bladą skórę ma teraz czerwoną od mrozu.

Wyciągam rękę, by poklepać ją po ramieniu, pocieszyć. Cofa się szybko przed dotykem.

Opuszcza ręce, unosi wzrok – i wtedy krzyczy na mnie, a nagłość jej słów i pustka w oczach atakują mnie tak bardzo, że odskakuję.

– Nie mogła tego zrobić. Chciała. Ale nie mogła się zmusić. Zamarła. Spojrzała na mnie. Płakała. Błagała mnie. Pomóż mi, Imogen – cedzi i ślina wypływa jej z ust, zbierając się w kącikach. Milknie.

Kręcę głową, oszołomiona. Co chce mi powiedzieć?

– Chciała, żebyś pomogła jej uśmierzyć ból? – pytam. – Chciała, żebyś sprawiła, by odszedł?

Imogen kręci głową, wybucha śmiechem.

– Idiotka z ciebie.

Nagle opanowuje się, ociera ślinę, staje prosto, patrzy na mnie wyzywająco, jak Imogen, którą znam, nie ta rozbita nastolatka.

– Nie – podejmuje niewzruszenie. – Nie chciała, żebym pomogła jej żyć. Chciała, żebym pomogła jej umrzeć.

Nie mogę oddychać. Przypominam sobie stołek stojący poza zasięgiem stóp Alice.

– Coś ty zrobiła, Imogen? – wyduszam z siebie.

– Nie masz pojęcia – odpowiada mrozącym krew w żyłach tonem. – Nie masz, kurwa, pojęcia, jak to było słuchać jej płaczu w środku nocy. Czasami bolało tak

bardzo, że nie mogła powstrzymać krzyków. Cieszyła się na każdą wizytę u nowego lekarza, każdą nową kurację, ale ta znów nie działała i znów traciła nadzieję. To było okropne. Nic nie pomagało. Nie polepszało się jej i nigdy nie miało polepszyć. Nikt nie powinien musieć tak żyć.

Z oczu Imogen płyną łzy, gdy zaczyna swą opowieść i znów to przeżywa. Dzień zaczął się jak każdy. Obudziła się, poszła do szkoły. Zazwyczaj kiedy wracała, Alice czekała w przedpokoju, ale tego dnia jej tam nie było. Imogen zawołała. Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, zaczęła przeszukiwać dom i światło na strychu zwabiło ją na drugie piętro. Tam znalazła matkę stojącą na stołku ze stryczkiem wokół szyi. Alice spędziła tak kilka godzin. Kolana dygotały jej ze strachu, ze zmęczenia, gdy na próżno próbowała zmusić się, żeby zeskoczyć. Zostawiła list. Leżał na podłodze. Imogen zna go na pamięć. *Proszę, nie bądź zła. Równie dobrze jak ja wiesz, co czuję. To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie oznacza, że cię nie kocham. Ale nie mogę prowadzić dłużej podwójnego życia.* Nie był to list pożegnalny od kochanka, ale samobójczy Alice. Tego dnia Imogen podniosła go i schowała do kieszeni bluzy. Z początku próbowała namówić mamę, by zeszła, przekonać ją, żeby żyła. Ale Alice podjęła już decyzję. Tyle że nie była w stanie tego zrobić. Pomóż mi, Imogen, błagała.

Imogen patrzy prosto na mnie.

– Wyszarpnęłam ten kurewski stołek spod jej stóp. Nie było łatwo, ale zamknęłam oczy i szarpnęłam z całych sił. A potem uciekłam. Uciekłam szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, pobiegłam do swojego pokoju, schowałam głowę pod kurewską poduszką i wrzeszczałam, ile sił w płucach, żeby nie musieć słuchać, jak umiera.

Wstrzymuję oddech. To nie było samobójstwo, nie do końca, ale też nie koszmar, o którym myślałam. Asysta przy samobójstwie, jak u lekarzy, którzy podają zabójczą dawkę środków usypiających śmiertelnie chorym pacjentom, żeby pomóc im umrzeć z godnością. Nigdy nie byłam taką lekarką. Moim zadaniem jest pomaganie pacjentom żyć, nie umrzeć.

Gapię się na Imogen z otwartymi ustami i myślę: kto byłby w stanie to zrobić? Kto mógłby chwycić stołek i pociągnąć, wiedząc dokładnie, co się stanie?

Trzeba szczególnych cech charakteru, żeby zrobić to, co Imogen. Zadziałać impulsywnie, nie zastanawiając się, co będzie potem. Równie dobrze mogła tuż po szarpnięciu wezwać pomoc, równie dobrze mogła odciąć matkę.

Stojąc przede mną, płacze, wstrząsają nią drgawki. Nie mogę znieść myśli o tym, przez co przeszła, co widziała. Żadna szesnastolatka nie powinna się znaleźć w takim położeniu.

Wstydz się, Alice, myślę.

Ale także: wstydz się, Imogen.

– Zrobiłaś jedyną rzecz, jaką umiałaś – kłamię tylko po to, by ją pocieszyć, bo uważam, że potrzebuje pociechy. Z wahaniem sięgam ku niej i przez ułamek sekundy pozwala mi się objąć. Tylko przez chwilę.

Ale kiedy tulę ją nieśmiało, przerażona, przychodzi mi na myśl, że trzymam w objęciach morderczynię, nawet jeśli w swoich myślach czuła się usprawiedliwiona. Teraz jednak rozpacza i żałuje swego czynu. Po raz pierwszy Imogen okazuje uczucia inne niż gniew. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałam.

Potem jednak, zupełnie jakby usłyszała moje myśli, dawna Imogen wraca. Dziewczyna prostuje się nagle, ociera łzy rękawem. Oczy ma puste, twarz obojętną.

Popycha mnie mocno w ramię. W geście tym nie ma niczego łagodnego, jest mocny, brutalny. Miejsce, które gwałtownie nacisnęła palcami, wrażliwy punkt między obojczykiem a żebrami, przeszywa ból. Cofam się o krok i potykam o kamień.

– Zabieraj ze mnie swoje kurewskie ręce – rzuca – albo zrobię z tobą to, co zrobiłam z nią!

Kamień jest dość duży, bym zupełnie straciła równowagę. Upadam na tyłek na mokrą zaśnieżoną ziemię. Tłumię jęk, patrzę na nią, jak stoi nade mną bez słowa. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Imogen znajduje na ziemi kij, chwyta go i rusza ku mnie szybko, jakby znów zamierzała mnie uderzyć. Wzdrygam się i odruchowo unoszę ręce do głowy, by się osłonić.

Tym razem to ona się cofa. Zamiast mnie uderzyć, krzyczy tak głośno, że czuję, jak ziemia pode mną drży. Jedno krótkie słowo.

– Odejdź!

Szybko podnoszę się z ziemi. Gdy odchodzę, przerażona, że muszę odwrócić się do niej plecami, słyszę, jak nazywa mnie jeszcze dziwolągiem, jakby groźenie śmiercią nie wystarczyło.

Sadie

Kiedy wieczorem wracam do domu, skręcam w naszą ulicę i podjeżdżam na górę. Kilka godzin temu zostawiłam Imogen na cmentarzu. Wówczas było wczesne popołudnie, teraz jest już prawie noc. Na dworze jest ciemno. Straciłam poczucie czasu. W komórce mam dwie nieodebrane rozmowy, to od Willa, zastanawiał się, gdzie jestem. Kiedy się zobaczymy, opowiem mu, jak spędziłam dzień. O mojej rozmowie z Imogen na cmentarzu. Ale nie powiem wszystkiego, bo co by o mnie pomyślał, gdyby wiedział, że ukradłam kobiecie klucze i włamałam się do jej domu?

Gdy mijam pusty dom obok naszego, budynek przyciąga mój wzrok. Jest ciemny, tak jak powinien, światła zapalą się dopiero za parę godzin. Na podjeździe zbiera się śnieg. Inne zostały odśnieżone; wyraźnie widać, że nikt tu nie mieszka. Nagle ogarnia mnie przemożne pragnienie, żeby sprawdzić na własne oczy, co kryje się wewnątrz. Nie żebym sądziła, że ktoś tam teraz jest, ale mój umysł nie potrafi zapomnieć o jednym. Gdyby ktoś przybył na wyspę, aby późną nocą zamordować Morgan, nie wróciłby promem na kontynent. On czy ona musiałby spędzić tę noc z nami.

A czy istnieje lepsza kryjówka niż pusty dom?

To nie mordercy szukam, gdy wysiadam z wozu na własnym podjeździe i przekradam się przez zaśnieżony trawnik. Tylko dowodów, że ktoś tam był. Idąc, oglądam się przez ramię. Zastanawiam się, czy ktokolwiek mnie widzi, czy ktokolwiek wie, że tu jestem. Na śniegu widzę ślady stóp. Podążam za nimi.

Sąsiedni dom to chata. Nieduża. Najpierw podchodzę do drzwi i stukam – nie oczekuję odpowiedzi, ale i tak to robię, bo byłoby niemądrze zaniedbać tego kroku. Nikt nie otwiera. Przyciskam zatem twarz do szkła i zaglądam do środka. Nie widzę niczego niezwykłego. Tylko salon i meble okryte płachtami folii.

Powoli okrążam dom. Nie wiem, czego szukam, ale czegoś na pewno. Może drogi do środka? I o dziwo – po krótkich poszukiwaniach, paru nieudanych próbach, tracąc nadzieję – znajduję ją. Pokrywa okna piwnicznego na tyłach domu

nie jest zabezpieczona. Unoszę ją i łatwo ustępuje. Otrzepuję z niej śnieg. Zdejmuję osłonę i odkładam na bok drżącymi rękami. Ostrożnie opuszczam się w głąb otworu. Ciasno, muszę lawirować, żeby dotrzeć do okna. Osłaniająca je siatka okazuje się rozdarta, nie odrobinę, lecz dostatecznie, by człowiek mógł się przecisnąć. Pociągam okno za nią, sądząc, że nie ustąpi – z pewnością to nie może być aż takie łatwe – lecz ku mojemu zdumieniu nie czuję oporu.

Okno do piwnicy nie jest zamknięte na klucz.

Jaki właściciel przed wyjazdem na zimę nie zabezpiecza domu?

Przeciskam się przez okno nogami naprzód i niezgrabnie zeskakuję w głąb ciemnej piwnicy. Gdy stopy lądują na betonie, moja głowa zahacza o pajęczyny, które oblepiają mi włosy, choć to ostatnie z moich zmartwień. Jest tu znacznie więcej powodów do strachu. Serce wali mi w piersi, gdy rozglądam się po piwnicy, by mieć pewność, że jestem sama. Nikogo nie widzę. Ale jest za ciemno, żeby wiedzieć na pewno. Powoli wędruję przez piwnicę, znajduję niedokończone schody na parter. Wspinam się ostrożnie, nie unosząc nóg, uważając, by nie narobić hałasu. U szczytu schodów kładę dłoń na kłamce, moja ręka jest lepka od potu i drży. Nagle zastanawiam się, czemu uznałam, że to dobry pomysł. Ale zaszłam już tak daleko. Nie mogę się cofnąć. Muszę wiedzieć.

Naciskam kłamkę, pchnięciem otwieram drzwi i wchodzę na parter. Umieram ze strachu. Nie wiem, kto tu jest, jeśli ktokolwiek, nie mogę zawołać w obawie, że ktoś mnie usłyszy. Ale gdy tak się skradam na parterze obcego domu, trudno mi zapomnieć o rzeczywistości. Nikogo nie widzę, ale wszędzie dostrzegam ślady życia. Na zewnątrz i w środku jest ciemno, muszę używać latarki w komórce, żeby cokolwiek zobaczyć. Odkrywam zagłębienie w folii pokrywającej fotel w salonie, jakby ktoś tam siedział. Stółek przy pianinie został odsunięty, na podstawce leżą nuty. Na stoliku walają się okruchy.

Domek jest parterowy. Idę powoli ciemnym, wąskim korytarzem, na palcach, żeby nie hałasować. Oddycham płytko i pospiesznie tylko wtedy, gdy nie mogę już znieść pieczenia dwutlenku węgla w płucach, poza tym wstrzymuję oddech. Zaglądam do pierwszego pokoju, świecąc latarką po ścianach. Mała sypialnia, przerobiona na pokój do szycia. Mieszka tu miłośniczka krawiectwa.

Drugi pokój to niewielka sypialnia, pełna zdobionych antycznych mebli ukrytych pod warstwami folii. Podłogę wyściela gruby, puszysty dywan, stopy

zapadają mi się w niego i mam wyrzuty sumienia, że nie zdjęłam butów, jakby to był najgorszy z moich występów. A przecież się tu włamałam.

Sprawdzam największą sypialnię z trzech, główną. W porównaniu z poprzednimi pokój wydaje się przestronny, ale nie dlatego zamieram, wchodząc do środka.

Na dworze zaszło już słońce, do środka wpada tylko słaby niebieski promień. Nazywają to błękitną godziną, gdy resztki słońca nabierają tonów błękitu i świat staje się niebieski.

Świecę do środka latarką. Z sufitu zwisa wentylator o łopatach w kształcie liści palmowych. Sufit jest kasetonowy. Widziałam go już wcześniej. Śniłam o tym pokoju. Śniłam o sobie, leżącej w tym łóżku czy też podobnym do tego, zgrzanej i spoconej, pod tym wentylatorem, w zagłębieniu, które wciąż dostrzegam pośrodku łóżka. Wpatrywałam się w wentylator, marząc, by się poruszył, by omiół moje rozgrzane ciało strumieniem chłodnego powietrza. Ale tego nie zrobił, bo następne, co pamiętam, to jak stałam obok i patrzyłam na siebie, jak śpię.

Tego łóżka w odróżnieniu od innych mebli w domu nie okrywa folia. Płachta, która powinna na nim leżeć, spoczywa na podłodze po drugiej stronie.

Ktoś spał w tym łóżku.

Ktoś tu był.

Tym razem nie zawracam sobie głowy okienkiem w piwnicy i kieruję się wprost do drzwi frontowych. Zamykam je za sobą. W chwili, gdy wychodzę, zapala się światło w salonie.

I kiedy biegnę do domu, przekonuję samą siebie, że sufit, łóżko, wentylator nie wyglądały tak samo jak te we śnie. Były podobne, owszem, ale nie identyczne. Sny szybko odpływają. Zapewne zapomniałam prawdziwe szczegóły, nim otworzyłam oczy. A poza tym w domku było ciemno. Nie przyjrzałam się dobrze sufitowi ani wentylatorowi.

Lecz bez cienia wątpliwości folia została ściągnięta z łóżka. Właściciele nakryli je, tak jak wszystkie inne meble. Ale ktoś ją zdjął.

Dopiero na własnym podwórku zerkam na komórkę. Pada, wskaźnik baterii pokazuje około dwóch procent. Wybieram numer funkcjonariusza Berga. Będzie mógł przeszukać dom i sprawdzić, kto tam był. Przy odrobinie szczęścia znajdzie zabójcę Morgan.

Mam najwyżej minutę czy dwie, nim telefon się rozładuje. Zgłasza się poczta głosowa. Zostawiam krótką wiadomość, proszę, żeby zadzwonił. Nie wyjaśniam dlaczego. Nim udaje mi się skończyć, telefon pada.

Wrzucam komórkę do kieszeni płaszcza, przecinam podjazd, zmierzając w stronę werandy. Dom z zewnątrz jest ciemny, Will zapomniał zostawić dla mnie zapaloną lampę na werandzie. W środku dostrzegam światła, ale stąd nie widzę chłopców. Budynek otacza aura ciepła, rozgrzane powietrze wypływa z otworów wentylacyjnych, szare na tle niemal zupełnej czerni nocy. Na zewnątrz jest zimno i wietrznie, wiatr wzbija w powietrze śnieg, który spadł w ciągu ostatnich kilku dni, tworząc zaspę na podjazdach i ulicach. Na niebie nie widzę chmur, nie zapowiada się, by dziś padało, ale w prognozach cały czas mówią o burzy, która ma nadejść jutro pod koniec dnia. Pierwsza porządna burza w tym sezonie.

Nagle słyszę dźwięk dobiegający z tyłu, nieprzyjemny zgrzyt. Od werandy dzielą mnie trzy metry. Odwracam się gwałtownie i z początku go nie dostrzegam, bo jego sylwetkę zasłania rozłożyste drzewo. Potem jednak wychodzi naprzód i widzę, jak porusza się powoli, rozmyślnie, wlokąc za sobą po ulicy łopatę do odśnieżania.

To właśnie ona wydała ów dźwięk. Metal trący o beton, dłoń w rękawiczce na stylisku ciągnąca łopatę po ziemi. Jeffrey Baines.

Will jest w domu, przyrządza obiad. Kuchnia mieści się na tyłach, nie usłyszy mnie, jeśli krzyknę.

Na końcu naszego podjazdu Jeffrey odwraca się i rusza ku mnie. Wydaje się w opłakanym stanie, włosy ma zjeżone, ciemne oczy pożółkłe i przekrwione, okulary gdzieś zniknęły. Zupełnie nie przypomina eleganckiego, sympatycznego mężczyzny, którego poznałam parę dni temu na uroczystości pożegnalnej, wyglądała na chorego bezdomnego włóczęgę.

Zerkam na łopatę. Wszechstronne narzędzie. Mógłby nie tylko uderzyć mnie nią w głowę i zabić, ale także pogrzebać moje zwłoki.

Czyżby wiedział, że podsłuchiwałam ich z Courtney podczas uroczystości? Że byłam w jej domu? Nagle przychodzi mi do głowy straszna myśl: a jeśli miała w mieszkaniu kamery? Albo jeden z tych nowych bajeranckich dzwonek z kamerą, który pokazuje, kto nas odwiedzał w czasie naszej nieobecności?

– Jeffrey. – Cofam się powolutku. Nie mogę dać się ponieść wyobraźni. Istnieje mnóstwo powodów, dla których tu przyszedł. Tak wiele poza tym jednym, który mnie dręczy. – Wróciłeś do domu – dodaję, bo dopiero w tym momencie uświadamiam sobie, że jego dom przestał być miejscem zbrodni.

Jeffrey wyczuwa mój strach, słyszy go w moim głosie, dostrzega w mowie ciała. Moje stopy cofają się, bardzo wolno, niepostrzeżenie. Mimo wszystko jednak widzę, jak na mnie patrzy. Zauważa ruch. Niczym pies jest w stanie wywęszyć strach.

– Odśnieżałem podjazd i zobaczyłem, jak podjeżdżasz – wyjaśnia.

– Och – odpowiadam i nagle uświadamiam sobie, że jeśli widział, jak mój wóz zatrzymuje się przed domem piętnaście czy dwadzieścia minut temu, to mógł też widzieć, jak włamuję się do domu obok. Mógł usłyszeć wiadomość, którą zostawiłam funkcjonariuszowi Bergowi. – Gdzie twoja córka? – pytam.

– Bawi się u siebie.

Zerkam przez ulicę i widzę światło w oknie na piętrze. Rolety są podniesione, pokój jasny, doskonale widoczna dziewczynka płąsa po pokoju z misiem na ramionach, jakby nosiła go na barana. Śmieje się do siebie, do swojej zabawki. To tylko wzmaga mój niepokój. Przypominam sobie wyznanie Jeffrey'a, że nie były sobie z Morgan bliskie.

Czyżby cieszyła się, że macocha nie żyje? Że znów ma ojca tylko dla siebie?

– Powiedziałem jej, że to potrwa tylko chwilkę. Przepraszam, śpieszysz się gdzieś? – Jeffrey przygląda włosy dłonią w rękawiczce. Ma rękawiczki, ale brak mu czapki. Zastanawiam się, dlaczego jej nie włożył, skoro wyszedł uprzątać śnieg. Czyżby rękawiczki miały nie tylko ogrzewać mu dłonie?

– Will – znów cofam się o krok – jest w środku. Z chłopcami. Nie było mnie cały dzień – odpowiadam, choć to żalosna wymówka i wiem, że powinnam wybrać coś bardziej konkretnego, namacalnego, zdecydowanego. – Obiad już czeka.

Ale moja odpowiedź brzmi słabo i to Jeffrey przejmuje pałeczkę.

– Twojego męża nie ma w domu – oznajmia.

– Oczywiście, że jest w domu – protestuję.

Kiedy jednak odwracam się i patrzę, po raz pierwszy dostrzegam ciemność w środku, brak ruchu. Nagle orientuję się, że na podjeździe nie ma samochodu Willa. Jakim cudem zdołałam zaparkować i tego nie zauważyć? Fakt, nie

zwracałam uwagi na otoczenie, byłam zbyt zajęta innymi sprawami. Wsuwam dłoń do kieszeni. Zadzwońię do Willa, dowiem się, gdzie jest, i poproszę, żeby już wrócił. Ale czarny ekran przypomina mi, że komórka padła.

Musiałam zblednąć, bo Jeff pyta:

– Wszystko w porządku, Sadie?

A choć do oczu napływają mi łzy paniki, zmuszam je, by się cofnęły, przetykam głóśno, ze ściśniętym gardłem.

– Tak, oczywiście. Wszystko okej – kłamię i dodaję: – Miałam dziś mnóstwo roboty. Zapomniałam, że Will musiał odebrać naszego syna od kolegi, mieszka tu niedaleko. – Wskazuję losowo za siebie, licząc na to, iż Jeffrey uzna, że to tylko krótka jazda. Parę minut w jedną i w drugą stronę. Will zaraz wróci.

– Lepiej wejdę do środka i zacznę szykować obiad. Miło było cię widzieć.

Przeraża mnie myśl, że miałabym odwrócić się do niego plecami. Ale nie ma innego sposobu. Muszę wejść do domu, zamknąć za sobą drzwi i zaciągnąć zasuwę. Słyszę szczenie psów, widzę ich pyski przyciśnięte do okien po obu stronach drzwi frontowych, ale póki tam tkwią uwięzione, nie mogą mi pomóc.

Wstrzymuję oddech, zaciskam zęby, szykując się na potworny ból, kiedy kanciaste ostrze łopaty uderzy mnie w tył głowy. Pokonuję zaledwie krok, gdy na ramię opada mi ciężka dłoń w rękawiczce.

– Zanim pójdziesz, chciałem cię o coś spytać.

Gdy to mówi, jego głos brzmi ciężko. I groźnie. Czuję jak słabnie mi przepona miednicy, krople moczu wsiąkają w majtki. Niechętnie odwracam się i widzę wbitą w ziemię łopatę; Jeffrey opiera się na niej, przytrzymuje, podciąga mankiety rękawiczek, poprawiając je.

– Tak? – pytam drżącym głosem.

Między drzewami błyskają światła samochodu. Ale są bardzo daleko i oddalają się, zamiast zbliżać.

Gdzie się podziewa Will?

Jeffrey oznajmia, że przyszedł porozmawiać ze mną o nieżyjącej żonie.

– O czym dokładnie? – Czuję vibracje strun głosowych.

Kiedy jednak zaczyna mówić o Morgan, zachodzi w nim zmiana. Garbi się lekko, głos mu się łamie. To subtelne: jego oczy lśnią tylko wilgotnym blaskiem, nie

ma mowy o łzach ściekających z nosa i po policzkach, połyskują jedynie w promieniach księżyca odbijających się od śniegu.

– Z Morgan było coś nie tak – mówi. – Coś ją zdenerwowało. Może wręcz przeraziło. Nie chciała powiedzieć co. Mówiła ci może?

To wydaje się takie oczywiste, takie ewidentne. Nie ja powinnam podsuwać mu ten pomysł, ale może już tam tkwi, a on tylko przebiegle do tego podchodzi. Sprytny jak lis. Uważam, że on bądź jego była żona mieli z tym coś wspólnego. W jej domu są dowody, sama mu to wyznała. Ale jak mogę przyznać, że podsłuchałam ich rozmowę w kościele, że włamałam się do domu tamtej i przejrzałam jej rzeczy?

Kręcę głową.

– Morgan nic mi nie mówiła.

Nie wspominam, że nie znałam jej dość dobrze, by wyznała mi, co dokładnie ją gryzie. Nie mówię, że w ogóle nie znałam Morgan. Łatwo dostrzec, iż komunikacja nie należała do ich mocnych stron, w przeciwnym razie wiedziałby, że się nie przyjaźniłyśmy.

– Dlaczego sądzisz, że się bała? – pytam.

– Moja firma niedawno zwiększyła zasięg na cały świat. Wiele czasu spędzam za granicą. Było nam ciężko, oględnie mówiąc. Chodzi nie tylko o czas poza domem, ale też trudności związane z nauką nowego języka, kultury, próbami integracji w obcym kraju, odnoszenia sukcesów w pracy. Żyłem pod ogromną presją. Nie wiem, czemu w ogóle ci to mówię – dodaje niemal przepaszająco, zupełnie jakby nieco się odslaniał.

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć, toteż milczę. Ja też nie wiem, czemu mi to mówi.

– Chyba po prostu chcę powiedzieć, że byłem przepracowany, wypalony. Kompletnie przywalony pracą. Ostatnio rzadko bywałem w domu, a jeśli już, to często cierpiałem na jet lag. Ale Morgan coś gryzło. Spytałem ją o to, należała jednak do ludzi, którzy nie myślą o sobie. Nie chciała mi powiedzieć, twierdziła, że to nic takiego, że nie chce mnie obciążać swoimi problemami. Pytałem – przyznaje ze smutkiem – ale nie dość stanowczo.

Nagle uderza mnie myśl, że to nie oblicze szaleńca widzę, to twarz pogrążonego w żałobie wdowca.

– Słyszałam w wiadomościach, że były jakieś listy z groźbami?

– Owszem – potwierdza. – Tak. Policja znalazła je w naszym domu.

– Wybacz, że to mówię, bo to nie moja sprawa, ale twoja była żona. Czy to możliwe, by żywiła urazę do nowej kobiety w twoim życiu?

– Sądzisz, że Courtney to zrobiła? Przysłała listy, zamordowała Morgan? – Kręci głową. – Nie – rzuca zdecydowanym tonem. – Nie ma mowy. Owszem, Courtney potrafi wpaść w szał. Jest zapalczywa, ma temperament, robi różne głupstwa.

A potem opowiada mi o tym, jak pewnej nocy Courtney przypląnęła na wyspę z zamiarem porwania swojego dziecka. Prawie jej się udało, bo miała klucze do domu Jeffreya i Morgan, ponieważ kiedyś był to jej dom. Gdy wszyscy już zasnęli, weszła do środka, ruszyła do sypialni córki, obudziła dziewczynkę. To Morgan je przyłapała, gdy zmierzały do wyjścia. Courtney miała przy sobie bilety lotnicze: jakimś cudem zdołała już wyrobić córeczce paszport. Zamierzała wyjechać z nią z kraju.

– Morgan chciała walczyć o pełną opiekę. Uważała, że Courtney nie nadaje się na opiekunkę.

Powracam myślami do dnia uroczystości pożegnalnej.

Poniósł mnie temperament.

Byłam wściekła.

Nie możesz mnie winić za to, że próbowałam odzyskać co moje.

Nie jest mi przykro, że zginęła.

Czyżby te słowa miały podwójne znaczenie? Może nie były wcale przyznaniem się do morderstwa, lecz odnosiły się do owej nocy, gdy próbowała porwać własne dziecko?

– Odebranie dziecka matce... – mówię i urywam. To z całą pewnością motyw wystarczający, by zabić, tyle że nie mówię tego głośno. – Gdyby ktokolwiek stanął między mną a moimi dziećmi, nie wiem, co bym zrobiła.

Jeffrey nie ustępuje.

– Courtney nie jest morderczynią. A groźby, które dostała Morgan, były... – milknie, niezdolny ująć w słowa, czym dokładnie były owe groźby.

– Jak brzmiały? – pytam z wahaniem.

Nie jestem pewna, czy chcę to wiedzieć.

– W sumie były trzy listy – ciągnie Jeffrey. Nie wie na pewno, kiedy je dostarczono, ale co do jednego ma podejrzenia. Pewnego popołudnia patrzył, jak Morgan podąża w stronę skrzynki. To była niedziela jakiś miesiąc temu, a on akurat odpoczywał w domu. Wyglądał przez okno, patrząc, jak Morgan idzie podjazdem.

– Miałem w zwyczaju przyglądać się jej, kiedy nie wiedziała, że patrzę – wyznaje. – To dlatego, że była taka piękna. Miło się ją oglądało, bo Morgan – uśmiecha się z nostalgią na wspomnienie żony – była śliczną dziewczyną. Wszyscy tak uważali.

Przypominam sobie, co funkcjonariusz Berg mówił o mężczyznach z miasteczka durzących się w niej. O tym, że Will też się nią interesował.

– Tak – odpowiadam – była urocza.

Zmieniam swoje zdanie co do niego, bo widzę w jego oczach, jak bardzo kochał Morgan.

Jeffrey mówi, że tego dnia patrzył, jak pochyła się, wyciąga rękę, sięgając do skrzynki po pocztę, jak rusza z powrotem długim podjazdem, przeglądając po drodze przesyłki. W połowie podjazdu Morgan zatrzymała się gwałtownie. Uniosła dłoń do ust. Gdy dotarła do domu, była blada jak ściana, minęła Jeffrey'a w drzwiach, trzęsąc się cała. Spytał, co się stało, co takiego znalazła w poczcie, że tak bardzo się zdenerwowała. Morgan odparła, że rachunki – że firma ubezpieczeniowa nie opłaciła niedawnej wizyty u lekarza. Że suma, którą muszą zapłacić, to czyste złodziejstwo.

– Powinni ją byli pokryć – warknęła, maszerując na górę z pocztą w dłoni.

– Dokąd idziesz?! – zawołał za nią.

– Zadzwoń do ubezpieczyciela – odparła, ale weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Tego dnia wszystko w zachowaniu Morgan się zmieniło. Zmiany były subtelne, ktoś inny może w ogóle by ich nie dostrzegł. Nagle nabrała zwyczaju szczelnego zaciągania zasłon, gdy tylko niebo pociemniało. Wyczuwał w niej niepokój, którego wcześniej nie było.

Liściki znalezione przez policję miały różną treść. Morgan wcisnęła je pod materac sprężynowy na ich łóżku. Z rozmysłem ukryła je przed mężem.

Pytam, co w nich napisano, a on mi mówi.

Nic nie wiesz.

Jeśli komuś powiesz, zginiesz.

Obserwuję cię.

Po plecach przebiega mi dreszcz, omiatam wzrokiem okna domów przy naszej ulicy. Czyżby ktoś na nas patrzył?

– Czy Morgan i twoja była się dogadywały? – pytam, choć widzę, że takie groźby nie pasują do zdenerwowanej byłej żony. Nie mają nic wspólnego z kobietą usiłującą odzyskać prawa do dziecka. Nic wspólnego z mężem liczącym na wypłatę ubezpieczenia na życie po śmierci żony. Te groźby to coś zupełnie innego. Przez cały czas się myliłam.

– Powtarzam ci. – Jeff zaczyna się denerwować. Mężczyzna witający z uśmiechem gości na uroczystości pożegnalnej żony zniknął. Kompletnie się rozsypał. Teraz też widzę, jak bliski jest załamania, gdy oznajmia z naciskiem: – Courtney nie miała z tym nic wspólnego. Ktoś inny groził mojej żonie. Ktoś inny chciał jej śmierci.

Ja też to widzę.

Sadie

– Zużyłem resztkę mleka do makaronu z sosem serowym – oznajmia Will, kiedy wchodzi do domu zaledwie kilka minut po mnie. Towarzyszający mu Tate wbiega radośnie za próg, wołając do Willa, by policzył do dwudziestu, a potem go znalazł. Potem pędzi się schować, podczas gdy Will rozpakowuje kilka produktów tkwiących w siatce na blacie. – Powiedziałem mu, że jeśli pójdzie ze mną i będzie grzeczny, to pobawimy się w chowanego. – Will mruga do mnie porozumiewawczo. Nawet obowiązki domowe potrafi zamienić w przygodę.

W wolnowarze dochodzi słynny makaron z sosem serowym Willa. Stół już czeka, zastawiony na pięć osób, jak gdyby Will z uporem wierzył, że Imogen wróci. Znosi na stół galon mleka, które właśnie kupił, i napełnia kolejno puste szklanki.

– Gdzie jest Otto? – pytam.

– Na górze – odpowiada Will.

– Nie pojechał z tobą i Tate'em?

Will kręci przecząco głową.

– To był tylko szybki wypad po mleko.

Odwraca się do mnie i dopiero teraz naprawdę mnie widzi, pierwszy raz od powrotu do domu.

– Co się stało, Sadie? – Odstawia mleko na skraj stołu i podchodzi do mnie. – Trzęsiesz się jak liść.

Obejmuje mnie mocno i chcę mu opowiedzieć o odkryciach tego dnia, chcę rzucić to z siebie, ale z jakiejś przyczyny nie mogę.

– To nic – wyjaśniam, że trzęsę się, bo spadł mi poziom cukru. Opowiem mu później, kiedy Tate nie będzie ukrywał się w sąsiednim pokoju, czekając, aż Will go znajdzie. – Nie miałam czasu, żeby zjeść lunch.

– Nie możesz tego sobie robić, Sadie – upomina mnie czule Will.

Sięga do szafki i znajduje herbatnika, podaje mi go.

– Tylko nie mów chłopcom. Żadnych ciastek przed obiadem, to ci popsuje apetyt.

Uśmiecha się, gdy to mówi, i nawet po wszystkim, przez co przeszliśmy, nie mogę powstrzymać uśmiechu w odpowiedzi. Bo on wciąż tu jest, Will, którego pokochałam.

Jakiś czas się mu przyglądam. Mój mąż to przystojny mężczyzna. Długie włosy spiął z tyłu, widzę tylko kanciastą szczękę, wydatne kości policzkowe i te czarujące oczy. Wtedy jednak przypominam sobie słowa funkcjonariusza Berga o tym, że Will interesował się Morgan, i zastanawiam się, czy to prawda. Uśmiech znika mi z twarzy i czuję wzbierający wewnątrz żal. Wiem, że potrafię być zimna, wręcz lodowata. Słyszałam to już wcześniej. Często myślę, że to ja pchnęłam Willa w ramiona innej. Gdybym tylko okazywała więcej czułości, więcej wrażliwości, bardziej się otwierała. Była szczęśliwsza. Ale w całym życiu towarzyszył mi zawsze nieodłączny smutek.

Gdy miałam dwanaście lat, ojciec narzekał na moje zmiany nastroju: jednego dnia byłam szaleńczo nakręcona, drugiego smutna. Obwiniał o to okres dojrzewania. Jak to dzieciaki w tym wieku eksperymentowałam ze strojami, rozpaczliwie pragnęłam odkryć, kim naprawdę jestem. Mówił, że czasami wrzeszczę na niego, żeby przestał mówić do mnie Sadie, bo nie cierpię tego imienia. Chciałam je zmienić, być kimś innym, kimkolwiek, byle nie sobą. Czasami odpowiadałam mu bezczelnie, czasem byłam miła. Czasami otwierałam się, czasem zamykałam w sobie. Równie dobrze mogłam być prześladowcą i ofiarą.

Może był to tylko nastoletkowy bunt, potrzeba odkrycia samej siebie, nagły skok hormonów. Ale moja ówczesna terapeutka tak nie uważała. Zdiagnozowała u mnie chorobę dwubiegunową. Zażywałam stabilizatory nastroju, antydepresanty, środki antypsychotyczne, lecz nic nie pomagało. Przełom nastąpił później, po tym, jak poznałam i poślubiłam Willa, założyłam rodzinę, zaczęłam pracę.

– Chodź, tatusiu, znajdź mnie! – woła z sąsiedniego pokoju Tate.

Will przeprosza mnie na moment i całuje przed odejściem. Nie cofam się, tym razem mu pozwalam. Tuli mi twarz w dłoniach, a gdy jego miękkie wargi muskają moje, czuję coś, czego od dawna nie czułam. Chcę, żeby Will całował mnie dalej. Ale Tate znów go woła i Will odchodzi.

Idę na górę się przebrać. W sypialni zastanawiam się, czy to możliwe, by śnić o miejscu, w którym nigdy się nie było. Sprawdzam szybko w internecie. Odpowiedź niełatwo znaleźć w odniesieniu do miejsc, ale do twarzy – owszem. Google twierdzi, że wszystkie twarze, jakie widzimy w snach, wcześniej widzieliśmy w prawdziwym życiu.

Minęła ponad godzina, ale funkcjonariusz Berg wciąż nie oddzwania.

Przebieram się w piżamę, ubranie wrzucam do kosza z praniem. Zawartość już się wysypuje i myślę, że po wszystkim, co Will robi dla nas, mogę przynajmniej nastawić pranie. Jestem zbyt zmęczona, by zrobić to teraz, ale jutro wcześnie rano, przed pracą, wrzucę je do pralki.

Jemy razem obiad; tak jak oczekiwałam, Imogen się nie zjawia. Skubię jedzenie, w ogóle nie mam ochoty niczego przełknąć.

– Grosik za twoje myśli – rzuca Will pod koniec obiadu i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że przez cały posiłek patrzyłam w przestrzeń.

Przepraszam go i wymawiam się zmęczeniem.

Will zmywa naczynia. Tate znika pooglądać telewizję, Otto, tupiąc głośno, wchodzi po schodach, słyszę, jak drzwi jego pokoju zamykają się i dopiero wtedy, gdy mam pewność, że obaj są poza zasięgiem słuchu, powtarzam Willowi to, co Imogen powiedziała mi na cmentarzu. Nie waham się, bo gdybym zaczekała, mogłabym stchórzyć. Nie jestem pewna, jak zareaguje.

– Widziałam się dziś z Imogen – zaczynam i opisuję szczegółowo, jak zadzwonili ze szkoły, jak znalazłam ją samą na cmentarzu. Że miała przy sobie tabletki. Nie owijam niczego w bawełnę. – Była zła, ale szczerą. Zaczęłyśmy rozmawiać. Will, powiedziała mi, że wyciągnęła stółek spod stóp Alice w dniu jej śmierci – mówię. – Gdyby nie Imogen, Alice być może wciąż by żyła.

Mówiąc to, czuję się jak donosicielka, ale to mój obowiązek, muszę powiedzieć Willowi. Imogen jest niezrównowazona. Potrzebuje pomocy. Will musi wiedzieć, co zrobiła, żeby móc zapewnić jej najlepsze możliwe wsparcie.

Z początku Will sztywnieje. Stoi przy zlewie zwrócony do mnie plecami, ale nagle prostuje się, myte właśnie naczynie wymyka mu się z mokrych palców i wpada do zlewu. Nie rozbija się, lecz odgłos talerza uderzającego o zlew jest bardzo głośny. Podskakuję. Will przeklina.

Zapada chwila ciszy.

– Przykro mi, Will – mówię w końcu. – Tak mi przykro. – Sięgam, by dotknąć jego ramienia.

Will zakręca wodę i odwraca się ku mnie, wycierając ręce w ścierkę. Ma zmarszczone brwi, beznamietną twarz.

– Ona miesza ci w głowie – mówi z głębokim przekonaniem. Wyraźnie nie chce pogodzić się z faktami.

– Skąd wiesz? – pytam, bo jestem pewna, że Imogen mówiła prawdę. Byłam tam. Słyszałam ją.

– Nie zrobiłaby tego. – Ma na myśli to, że Imogen nie pomogłaby matce umrzeć. Ale podejrzewam, że tak naprawdę Will nie chce w to uwierzyć.

– Skąd ta pewność? – Przypominam mu, że ledwie znamy tę dziewczynę, że dopiero od kilku tygodni stała się częścią naszego życia. Nie mamy pojęcia, kim naprawdę jest Imogen.

– Między wami panuje wrogość – rzuca, jakby chodziło o coś drobnego, coś trywialnego, a nie kwestię życia i śmierci. – Nie rozumiesz, że robi to z rozmysłem, bo widzi, że to na ciebie działa? – pyta. Faktycznie, Imogen nie zachowuje się tak w stosunku do Willa i chłopców, ale to niczego nie zmienia. Imogen ma drugie oblicze, którego Will nie dostrzega.

Mój umysł powraca do naszej porannej rozmowy na temat zdjęcia w komórce.

– Czy zdołałeś odzyskać skasowane pliki? – pytam, myśląc, że gdyby je znalazł, miałby dowód, zdołałby spojrzeć na to tak samo jak ja.

Kręci głową i mówi, że nie.

– Jeśli to zdjęcie istniało, to już go nie ma – wyjaśnia.

Jego starannie dobrane słowa są niczym cios prosto w splot słoneczny. Jeśli to zdjęcie istniało. W odróżnieniu ode mnie, Will nie jest tego pewien.

– Nie wierzysz mi? – pytam zraniona.

Nie odpowiada od razu. Zastanawia się chwilę. W końcu odzywa się z zatroskaną miną, krzyżując ręce na piersi.

– Nie lubisz Imogen, Sadie. Sama mówiłaś, że się jej boisz. Nie chciałaś przyjechać tu, do Maine, a teraz pragniesz wyjechać. Myślę, że szukasz powodu. – Widzę, że krąży wokół prawdy. Jego prawdy. Że wymyśliłam sobie powód, by wyjechać.

Unoszę rękę i uciszam go. Nie muszę dłużej słuchać.

Liczy się tylko jedno. On mi nie wierzy.

Odwracam się na pięcie i wychodzę.

Sadie

Kolejną niespokojną noc przewracam się na łóżku. W końcu przed piątą poddaję się i cicho wstaję; psy drepczą za mną, zwabione wizją wczesnego śniadania. Po drodze do wyjścia podnoszę z podłogi kosz z praniem, który sama tam zostawiłam, i opieram o biodro. Wychodzę na korytarz i na dół schodami.

Zbliżam się do podestu, kiedy bosa stopa trafia na coś ostrego, co kłuje mnie w podbicie. Przykucam na stopniach, sprawdzając, co to, kosz z praniem opieram na kolanach. W ciemności macam na oślep, szukając tego, co mnie ukłuło, potem zabieram do oświetlonej kuchni, żeby sprawdzić.

To mały srebrny wisiołek na łańcuszku, teraz zwinięty na mej dłoni. Jest uszkodzony, rozerwany, nie przy zapięciu, lecz pośrodku łańcuszka, tak że nie da się go już naprawić. Wielka szkoda, myślę.

Chwytam wisiołek palcami i widzę, że jedna strona jest gładka.

Obracam go. Po drugiej stronie widnieje litera M. Czyjś inicjał. Ale czyj?

Z początku nie myślę o jej imieniu – przychodzi mi do głowy Michelle i Mandy, i Maggie. Ale potem pojawia się nowa myśl i uderza, pozbawiając tchu.

M jak Morgan.

Siedząc w kuchni, zachłystuję się powietrzem. Czy naszyjnik należał do Morgan? Nie potrafię tego stwierdzić, ale instynkt podpowiada, że tak. Co ten naszyjnik robi w naszym domu? Nie ma żadnego rozsądnego powodu, dla którego miałby się tu znaleźć. Tylko powody, których boję się rozważać.

Zostawiam go na blacie, odwracam się i idę do pralni; ręce dygoczą mi mocno, choć powtarzam sobie, że to tylko teoria. Naszyjnik równie dobrze może należeć do jakiejś Michelle, niekoniecznie do Morgan Baines. Może Otto zadurzył się w jakiejś dziewczynie i chciał jej go podarować? Dziewczynie o imieniu Michelle?

Odwracam kosz do góry i pranie wysypuje się na podłogę. Zaczynam je sortować, oddzielając białe i kolory. Potem wpycham całe naręczą do pralki – za dużo na jeden raz, ale chcę to mieć z głowy. Nie myślę o niczym w szczególności,

lecz o wielu rzeczach, choć najważniejszą jest pytanie, jak mam naprawić sytuację w moim małżeństwie, w mojej rodzinie. Bo kiedyś byliśmy przecież szczęśliwi.

Maine miało się dla nas stać nowym początkiem, odrodzeniem. Zamiast tego zaszkodziło małżeństwu mojemu i Willa, naszej rodzinie, naszemu życiu. Czas, żebyśmy wyjechali, przenieśli się gdzie indziej. Nie z powrotem do Chicago, ale w zupełnie nowe miejsce. Sprzedamy dom, zabierzemy ze sobą Imogen. Myślę o miejscach, w których mogłabym zamieszkać. Tak wiele możliwości. Gdybym tylko zdołała przekonać Willa.

Moje myśli wędrują gdzieś daleko, nie skupiam się na praniu, ledwie zwracam na nie uwagę, koncentruję się na szybkich, mocnych pchnięciach, potrzebnych, by upakować wszystko do pralki. Zamykam drzwi, sięgam po proszek stojący na pobliskiej półce i dopiero wtedy dostrzegam kilka sztuk prania, które mi się wymknęły, uciekinierów z pralki leżących na podłodze.

Schylam się, żeby je pozbierać, gotowa otworzyć drzwi i wcisnąć wszystko do środka. I właśnie wtedy, gdy tak stoję zgarbiona, trzymając w ręce pranie, widzę ją. Z początku obwiniam o to światło w pralni. Krew na kuchennej ścierce, całe mnóstwo, choć próbuję sobie wmówić, że to wcale nie krew.

Plama nie jest czerwona, bardziej brązowa, bo krew zmienia kolor po zaschnięciu. Ale mimo wszystko to krew. Bez cienia wątpliwości.

Łatwo byłoby uznać, że Will skaleczył się przy goleniu albo Tate obtarł kolano, albo, co gorsza, Otto czy Imogen zaczęli się ciąć, gdyby nie ilość krwi na ściereczce. To nie tylko plamka czy kropelka, wygląda na to, że zanurzono w niej całą ścierkę, a potem pozwolono wyschnąć.

Obracam ją w dłoniach. Krew wsiąkła z obu stron. Pozwalam, żeby ścierka wysunęła mi się z ręki.

Serce podchodzi mi do gardła, czuję, że nie mogę oddychać, jakby ktoś zadał mi cios w splot słoneczny.

Kiedy podnoszę się gwałtownie, siła ciężenia sprawia, że cała krew odpływa mi do tułowia, tam zbiera się i nie może wrócić do mózgu. Kręci mi się w głowie, wszystko przede mną zaczyna się rozmazywać, przed oczami tańczą czarne plamki. Opieram rękę o ścianę, żeby nie stracić równowagi, potem powoli siadam na podłodze i tam zostaję, obok zakrwawionej ścierki. Widzę tylko ją. Nie dotykam ze względu na ślady DNA, które musiały na niej pozostać.

Krew Morgan, odciski palców jej zabójcy. I teraz moje.

Nie wiem, skąd zakrwawiona ścierka wzięła się w naszym domu. Ale ktoś tu ją zostawił. Nie ma innych możliwości.

Tracę poczucie czasu. Siedzę na podłodze pralni dość długo, by usłyszeć tupot galopujących stóp, szybkich, lekkich stóp, należących do Tate'a, a potem cięższe: Willa.

O tej porze powinnam być już pod prysznicem. Powinnam szykować się do pracy. Will woła mnie cicho, zauważył, że już wstałam.

– Sadie?

– Już idę! – odkrzykuję zdyszana.

Chcę pokazać Willowi ścierkę, ale nie mogę, póki Tate jest z nim w kuchni. Słyszę głos synka proszący go o francuskie tosty. Ścierka będzie musiała poczekać. Na razie ukrywam ją w pralni pod pralką, gdzie nikt jej nie znajdzie. Jest sztywna od krwi, z łatwością ją wsuwam.

Niechętnie wstaję z podłogi i zakradam się do kuchni. Czuję potężne mdłości. W moim domu mieszka morderca.

– Gdzieś ty była? – pyta Will na mój widok, a ja jestem w stanie odpowiedzieć tylko:

– Pranie.

Słowu towarzyszy wymuszony oddech i znów pojawiają się czarne plamki, wirując mi przed oczami.

– Czemu pranie? – pyta i wyjaśniam, że było go za dużo. – Nie musiałaś tego robić, sam bym się tym zajął.

Sięga do lodówki po mleko i jajka. Wiem, że w końcu zrobiłby pranie. Jak zawsze.

– Chciałam pomóc – mówię.

– Nie wyglądasz najlepiej – zauważa.

Trzymam się mocno framugi, żeby nie upaść. Tak bardzo chcę mu opowiedzieć o zakrwawionej ścierce, którą ktoś zostawił w koszu z praniem. Ale nie mogę ze względu na Tate'a.

Słyszę, jak synek pyta:

– Co się stało mamusi?

– Nie czuję się dobrze. Grypa żołądkowa – wyduszam z siebie.

Will podchodzi do mnie, przykłada mi dłoń do czoła. Nie mam gorączki, ale i tak czuję się lepka i zgrzana.

– Muszę się położyć – oznajmiam, przyciskając ręce do brzucha. W drodze na górę żółć podchodzi mi do gardła i ledwie dobiegam do łazienki.

Myszka

Myszka zamarła. Czekwała na skrzyknięcie otwieranych drzwi sypialni na parterze, na to, że Fałszywa Mama po nią przyjdzie. Bała się, choć przecież to nie jej wina, że narobiła hałasu. Nie da się powstrzymać kichnięcia. Nogi dygotały jej ze strachu. Zaczęła szczerkać zębami, choć wcale nie było jej zimno.

Myszka nie wiedziała, jak długo czekała na schodach. Odliczyła w myślach do prawie trzystu, tyle że dwa razy straciła rachubę i musiała zacząć od początku.

Kiedy Fałszywa Mama nie przyszła, Myszka pomyślała, że może jednak jej nie usłyszała. Może Fałszywa Mama przespała to kichnięcie? Nie sądziła, że to możliwe – kichnęła bardzo głośno – ale jeśli tak, podziękowała swoim szczęśliwym gwiazdom.

Ruszyła do swojego pokoju i do łóżka. Już leżąc, jak zawsze porozmawiała z prawdziwą mamą. Opowiedziała jej, co zrobiła Fałszywa Mama, jak skrzywdziła Myszkę i Pana Misia. Powiedziała prawdziwej mamie, że się boi i chce, żeby ojciec wrócił do domu. Mówiła to wszystko w głowie. Ojciec Myszki zawsze powtarzał, że kiedy tylko zechce, może porozmawiać z prawdziwą mamą. Mówił, że gdziekolwiek mama jest, z pewnością ją słyszy. Toteż Myszka tak właśnie robiła. Cały czas do niej mówiła.

Choć czasami posuwała się krok dalej i wyobrażała sobie, co prawdziwa mama by odpowiedziała. Czasami wyobrażała sobie, że prawdziwa mama jest w tym samym pokoju i rozmawiają naprawdę, tak jak Myszka z ojcem. Ale tylko udawała, bo przecież nie wiedziała, co odpowiedziałaby mama. Mimo to dzięki temu czuła się mniej samotna.

Przez jakiś czas leżała zadowolona, że w brzuchu nie jest już tak pusto, choć trzy ciasteczka maślane to kiepski zamiennik obiadu. Myszka wiedziała, że te trzy ciasteczka nie wystarczą na długo. Na razie musiały.

Na razie mogła zasnąć.

Sadie

– Jak się czujesz? – Will pochyla się nade mną.

– Niedobrze – odpowiadam, wciąż czując w ustach smak wymiocin.

Mówi mi, żebym jeszcze się przespała, że zadzwoni do pracy i wyjaśni, że jestem chora, a potem sam odwiezie chłopców do szkoły. Przysiada na skraju łóżka, gładząc mi włosy, i bardzo chcę mu opowiedzieć o ścierce. Ale nie mogę, bo dzieci są tuż obok i szykują się do szkoły. Przez otwarte drzwi widzę, jak krążą między łazienką a pokojami.

Potem jednak nadchodzi chwila, gdy wszyscy znikają w swoich pokojach, poza zasięgiem głosu, i uznaję, że to dobry moment.

– Will – zaczynam, mam już słowa na końcu języka, lecz w tym momencie Tate wpada do sypialni, prosząc ojca, by pomógł mu znaleźć ulubione skarpetki. Will łapie go za rękę i przechwytuje, nim zdąży wskoczyć na łóżko.

– Co? – pyta, odwracając się ku mnie.

Kręcę głową.

– Nieważne.

– Na pewno?

– Tak.

Razem kierują się do wyjścia, zmierzają do pokoju Tate'a, by poszukać zaginionych skarpetek. Wychodząc, Will ogląda się przez ramię, mówi, żebym pospała jak najdłużej. Zamyka za sobą drzwi.

Powiem mu później.

Słyszę jak Will, Otto, Tate i Imogen krążą po domu, z dołu dobiegają mnie zwykle, codzienne rozmowy na temat kanapek z szynką i serem i klasówek z historii. Słowa docierają przez przewody wentylacyjne. Tate rzuca zagadkę i, na Boga, to Imogen odpowiada, Imogen, która wie, że w parterowym niebieskim domu, w którym wszystko jest niebieskie – niebieskie ściany, niebieskie podłogi, niebieskie biurko i krzesła – schody nie są niebieskie, bo nie ma żadnych schodów.

– Skąd wiedziałaś? – pyta Tate.

– Po prostu wiedziałam.

– To świetna zagadka, Tatuszku – oznajmia Will, używając swojego ulubionego zdrobnienia. A potem każe, żeby znalazł plecak, bo spóźnią się do szkoły.

Na zewnątrz mocno wieje. Wiatr grzechocze deską szalunkową, grożąc, że zerwie ją ze ścian. W domu jest zimno, to takie zimno, które wnika pod skórę. Nie mogę się ogrzać.

– No chodźmy, kochani – rzuca Will i podnoszę się z łóżka, nasłuchując przy drzwiach, jak Tate grzebie w szafie w przedpokoju, szukając czapki i butów. Słyszę głos Imogen: jedzie z nimi do portu i nie wiem dlaczego. Może to kwestia pogody, ale nie potrafię nie zauważyć ironii. Willowi pozwala się odwieźć do promu, ale nie mnie.

I nagle słyszę tylko stopy, niczym tętent stada zwierząt, a potem drzwi frontowe otwierają się i zamykają, a w domu zapada niemal całkowita cisza. Zakłócają ją tylko świst pieca, szum wody w rurach i wiatr atakujący ściany i dach.

Dopiero po ich wyjściu wstaję z łóżka i wychodzę z pokoju. W korytarzu coś przyciąga moją uwagę. Tak naprawdę dwie rzeczy, choć najpierw są to szklane oczy lalki. To ta sama lalka Tate'a, którą znalazłam w przedpokoju, ta, którą zaniósł nonszalancko do siebie na polecenie Willa. Siedzi na końcu korytarza w miejscu, gdzie drewniana podłoga dotyka ściany, ubrana w legginsy w kwiatki i wełnianą sukienkę. Napuszone włosy opadają jej na ramiona splecione starannie w dwa warkocze, ręce złożyła na podołku. Ktoś znalazł jej zgubiony but. Obok stóp lalki dostrzegam ołówki i kartkę. Idę po nie i podnoszę kawałek papieru.

Zbieram się w sobie, wiedząc, co zobaczę, nim jeszcze spojrzę. Obracam kartkę w dłoniach i widzę dokładnie to, czego oczekiwałam. To samo płaczące, rozczłonkowane ciało jak na wcześniejszych obrazkach ze strychu, obok gniewna kobieta ściska nóż. Nadmiar białej przestrzeni wypełniają grafitowe plamy, krwawe łzy, choć nie wiem czyje. Może obojga.

Zastanawiam się, czy przedmioty leżały tu wcześniej, rano, kiedy zaniósłam na dół pranie. Ale wtedy było ciemno, i tak bym ich nie zobaczyła, a w drodze powrotnej miałam mdłości, biegłam do toalety, ledwie zdążyłam na czas, zatem też bym ich nie dostrzegła.

Ciekawe, czy Will widział je przed wyjściem. Pewnie tak, ale uznał, że lalka należy do Tate'a, a rysunki były zakryte. Nie zobaczył ich treści.

Mnie przerażają, bo jeśli należą do Ottona, to znaczy, że cofnął się w rozwoju. To mechanizm obronny, sposób radzenia sobie z życiem. Powrót do dzieciennych zachowań, by uniknąć stawienia czoła problemowi. Moja terapeutka mówiła to o mnie, powtarzała, że czasami zachowuję się jak dziecko, gdy nie chcę się zająć dorosłymi kwestiami w moim życiu. Może Otto robi to samo. Ale czemu? Z pozoru wydaje się szczęśliwy, lecz to typ milczka, nigdy nie wiem, co się dzieje w jego głowie.

Wracam myślami do mojej terapeutki. Nigdy za nią nie przepadałam, nie lubiłam tego, że czułam się przy niej niemądra i mała, że poniżała mnie, kiedy wyrażałam swoje uczucia. Ale nie tylko tego. Myliła mnie też z innymi pacjentami.

Kiedyś usiadłam wygodnie na jej skórzanym obrotowym fotelu i skrzyżowałam nogi, pociągając łyk wody, którą zawsze zostawiała dla mnie na stoliku. Spytała, co u mnie, jak zawsze. *Powiedz mi, co u ciebie.* Nim zdążyłam odpowiedzieć, zaczęła udzielać mi rady, że powinnam zerwać związek z jakimś żonatym mężczyzną, z którym się spotykam. Choć nie spotykałam się z żadnym żonatym. Już sama byłam mężatką. Żoną Willa.

Zbladłam z zakłopotania wobec jej drugiej klientki, tej, której tajemnicę właśnie ujawniła.

– Nie ma żadnego żonatego – wyjaśniłam.

– Nie? Już zerwałaś? – spytała.

– Nigdy nie było żadnego żonatego.

Wkrótce potem przestałam do niej chodzić.

W Chicago Otto też miał terapeutę. Przysięgliśmy, że po przeprowadzce do Maine podejmie terapię, ale tego nie zrobił i uważam, że najwyższy czas, by znów zaczął.

Mijam lalkę i schodzę na dół. Rysunek zabieram ze sobą.

Na blacie w kuchni czeka na mnie talerz francuskich tostów, a także dzbanek kawy podgrzewany w ekspresie. Częstouję się kawą, ale nie mogę zmusić, by cokolwiek zjeść. Kiedy unoszę kubek do ust, ręce mi dygoczą, wzbudzając fale na czarnej powierzchni.

Obok talerza tostów leży liścik: *Obyś poczuła się lepiej*, z podpisem Willa i zawsze obecnym *całuję*. Przygotował mi tabletki. Nie biorę ich, nie chcę niczego zażywać na pusty żołądek.

Przez kuchenne okno widzę psy. Will musiał zostawić je na dworze i dobrze, lubią śnieg – to husky – i w taką pogodę są w swoim żywiole. Nie da się ich zaciągnąć do środka, póki same nie zechcą. Na podwórku wiatr szaleje między nagimi drzewami, wyginając gałęzie. Pada śnieg, gęsty, ciężki, nie spodziewałam się go aż tyle. Dziwię się, że nie odwołano dziś zajęć w szkole, ale też cieszę, bo potrzebuję trochę czasu dla siebie.

Śnieg nie pada pionowo ze względu na wiatr, lecz ukośnie, obficie, tworząc zaspę na podwórku. Na kuchennym parapecie zbiera się gruba warstwa, zupełnie jakby chciał pogrzebać mnie żywą w środku. Czuję jego ciężar na piersi. Trudniej mi oddychać.

Pociągam ostrożnie łyk kawy i zauważam, że naszyjnik z wisiorkiem, który zostawiłam wczesnym rankiem na blacie, zniknął. Sprawdzam podłogę, miejsce za zbiornikami, szufladę ze śmieciami, w której trzymamy różne przypadkowe przedmioty. Nigdzie go nie ma. Ktoś go zabrał. Przypominam sobie, jak tam leżał, delikatny łańcuszek zwinięty w spiralę, z M pośrodku.

Fakt jego zniknięcia tylko wzmacnia moje podejrzenia. Tego ranka, kiedy leżałam w łóżku, cała czwórka – Will, Otto, Tate i Imogen – była razem w kuchni. Imogen z łatwością mogła zgarnąć naszyjnik z blatu, kiedy nikt nie patrzył. Zastanawiam się nad groźbami, które dostała Morgan. Czy Imogen mogła je wysłać? Dlaczego, zastanawiam się na początku, a potem równie szybko: dlaczego nie? Przypominam sobie, jak mnie traktuje. Jak mnie przeraża. Jeśli ze mną mogła to zrobić, równie dobrze mogła i z Morgan.

Rysunek zostawiam na miejscu i zanoszę kawę do pralni. Widzę, że rano, po tym jak wróciłam do łóżka, Will skończył za mnie pranie, sterta ciuchów, które zostawiłam, zniknęła. Zastąpił je pusty kosz i czysta wyłożona kaflami podłoga.

Opadam na kolana obok pralki, zaglądam pod spód i z ulgą odkrywam, że zakrwawiona ścierka wciąż tam jest. Choć jednocześnie budzi we mnie wielką groźbę jak wtedy, gdy ujrzałam ją po raz pierwszy. Fala emocji powraca i wiem, że muszę powiedzieć o niej Willowi.

Zostawiam ścierkę na miejscu, wracam do kuchni. Siadam przy stole. Rysunek Ottona leży dwa metry dalej, oczy odciętej głowy patrzą wprost na mnie. Nie mogę znieść tego widoku. Tuż przed dziewiątą dzwonię do Willa. Wiem, że odwiózł już Tate'a do szkoły i jest sam. Będziemy mogli porozmawiać bez świadków.

Kiedy odbiera, jest na promie i płynie na uczelnię.

Najpierw pyta, jak się czuję, odpowiadam, że niedobrze. Słyszę szum wiatru świszczącego dokoła atakującego słuchawkę. Stoi na dworze, na zewnętrznym pokładzie, w śniegu. Will mógłby siedzieć w przyjemnie ogrzanej kabinie, ale nie, zamiast tego oddał swoje miejsce komuś innemu. Typowy Will, taki szlachetny.

– Musimy porozmawiać – mówię, a choć odpowiada, że na promie jest bardzo głośno i to nie najlepsza pora, powtarzam: – Musimy porozmawiać.

– Mógłbym oddzwonić z kampusu? – pyta. Will mówi głośno, starając się przekrzyczeć szum wiatru.

Odpowiadam, że nie. Dodaję, że to ważne. Że nie może czekać.

– O co chodzi? – pyta.

Od razu przechodzę do rzeczy i oznajmiam, iż według mnie Imogen miała coś wspólnego z morderstwem Morgan. Will wzdycha przeciągle, z rezygnacją, ale pozwala mi mówić i pyta, dlaczego tym razem.

– Znalazłam zakrwawioną ścierkę, Will. W praniu. Całkowicie przesiąkniętą krwią.

Z drugiej strony dobiega mnie rozdzierająca cisza. Ciągnę dalej, bo on nic nie mówi. Słyszę, jak słowa wysypują mi się z gardła, na dłonie występuje pot, choć wewnątrz jest mi tak zimno, że aż dygoczę. Opowiadam, jak ją znalazłam, robiąc pranie, i jak ukryłam ścierkę pod pralką, bo nie wiedziałam, co innego z nią zrobić.

– Gdzie jest teraz? – pyta z troską.

– Nadal pod pralką, ale Will, chcę ją oddać funkcjonariuszowi Bergowi.

– Chwila – rzuca. – Zaczekaj moment, Sadie, to nie ma cienia sensu. Jesteś pewna, że to krew?

– Jestem pewna.

Will próbuje jakoś to wytłumaczyć. Może ktoś starł ścierką plamę, farbę, błoto, coś przyniesionego przez psy?

– Może to psie gówno – dodaje i to niepodobne do Willa używać wulgaryzmów. Ale możliwe, że podobnie jak ja się boi. – Albo jeden z chłopców się skaleczył – podsuwa i przypomina mi, że raz, kiedy Otto był mały, przycisnął palec do ostrza żyłki, żeby sprawdzić, jakie to uczucie, choć wcześniej wielokrotnie powtarzaliśmy mu, żeby nie dotykał żyłek taty. Ostrze rozcięło mu skórę, popłynęła fala krwi, którą Otto próbował przed nami ukryć. Nie chciał pakować się w kłopoty. Znaleźliśmy w śmieciach zakrwawione chusteczki, a kilka dni później w ranę wdała się infekcja.

– To nie to samo co zabawa żyłkami – oznajmiam – to coś zupełnie innego. Ta ścierka była przesiąknięta krwią, Will. Nie paroma kroplami, ale dosłownie namoczona. Imogen ją zabiła – mówię zdecydowanym tonem. – Zabiła ją i wytarła się tą ścierką.

– Nie traktujesz jej sprawiedliwie, Sadie – odpowiada głośno i nie wiem, czy na mnie krzyczy, czy przekrzykuje wiatr. Ale z całą pewnością krzyczy. – To polowanie na czarownice – dodaje.

– Był tu też naszyjnik Morgan – ciągnę. – Znalazłam go na schodach. Nastąpiłam na niego, odłożyłam na blat w kuchni, a teraz zniknął. Imogen go zabrała, żeby ukryć dowód.

– Sadie – odpowiada – wiem, że jej nie lubisz, wiem, że nie przyjęła cię życzliwie, ale nie możesz wciąż jej obwiniać o każdy drobiazg.

Jego dobór słów zaskakuje. Każdy drobiazg. Morderstwo nie jest czymś drobnym.

– Jeśli nie Imogen, to ktoś z naszego domu ją zabił – informuję Willa. – To oczywiste, ponieważ jak inaczej możesz wyjaśnić jej naszyjnik na naszej podłodze, zakrwawioną ścierkę w praniu. Jeśli nie ona, to kto? – pytam, z początku retorycznie, chcę tylko, by zrozumiał, że to Imogen, bo nikt inny w domu nie byłby zdolny do morderstwa. Skoro zrobiła to raz, wyciągając stółek spod stóp matki, to mogła zrobić i drugi.

Lecz wtedy, w nagłej ciszy, mój wzrok pada na gniewny rysunek Ottona, odciętą głowę, plamy krwi. Fakt, że cofnął się tak bardzo, że bawi się lalkami. I przypominam sobie, że mój czternastoletni syn zabrał do szkoły nóż.

Zachłystuję się nagle, bo może Imogen nie jest jedyną osobą w tym domu zdolną do morderstwa. Nie chcę, żeby ta myśl opuściła moją głowę. A jednak się tak

dzieje.

– Czy to mógł być Otto? – zastanawiam się na głos i gdy tylko wypowiadam te słowa, żałuję, że nie mogę ich cofnąć, ukryć w myślach, tam gdzie ich miejsce.

– Nie mówisz serio! – protestuje Will i chciałabym nie mówić serio. Chciałabym nie wierzyć przez sekundę, że Otto byłby zdolny to zrobić. Ale to jednak prawdopodobne, bo pojawia się ten sam argument: skoro zrobił to raz, mógłby ponownie.

– A co z jego historią przemocy?

– To nie historia przemocy – upiera się Will. – Otto nigdy nikogo nie skrzywdził, pamiętasz?

– Ale skąd wiesz, czy by tego nie zrobił, gdyby go wcześniej nie złapali? Gdyby ten uczeń na niego nie doniósł, skąd wiesz, czy nie skrzywdziłby któregoś z kolegów, Will?

– Nie wiemy, co mógłby zrobić, ale chciałbym wierzyć, że nasz syn nie jest zabójcą – podkreśla Will. – Ty nie?

Ma rację. Otto nigdy nie skrzywdził żadnego z dzieciaków w starej szkole, a jednak miał zamiar. Motyw. Broń. Z rozmysłem zabrał nóż do szkoły. Nie można stwierdzić, co mógłby zrobić, gdyby nie zniweczono jego planów.

– Skąd masz tę pewność?

– Bo chcę o nim myśleć jak najlepiej. Bo nie wierzę, że Otto mógłby odebrać komuś życie – odpowiada, a mnie ogarnia osobliwe połączenie strachu i poczucia winy; nie wiem, które z nich zwycięży. Czy bardziej boję się, że Otto zamordował kobietę, czy czuję wyrzuty sumienia, bo pozwałam sobie na takie myśli?

Tu mowa o moim synu. Czy mój syn jest zdolny do morderstwa?

– Nie wiesz tego, Sadie? Naprawdę wierzysz, że Otto mógłby to zrobić? – pyta i to moje milczenie przeważa szalę. Moja niepewność. Milczące przyznanie, że owszem, uważam, że może Otto mógł to zrobić.

Will głośno wypuszcza powietrze, najeżony, jego słowa brzmią ostro.

– To, co zrobił Otto, Sadie – rzuca krótko – nie ma nic wspólnego z morderstwem. Na miłość boską, on ma czternaście lat. To jeszcze dziecko. Działał w samoobronie. Postanowił się bronić w jedyny sposób, jaki znał. Zachowujesz się nierozsądnie, Sadie.

– A co, jeśli nie? – pytam.

Will odpowiada natychmiast.

– Ależ tak. Otto postanowił się bronić, bo nikt inny tego nie zrobił.

Urywa, ale wiem, że chce powiedzieć coś jeszcze. Chce mi powiedzieć, że Otto wziął sprawy w swoje ręce przede mną. Bo choć opowiedział mi o prześladowaniach, nie interweniowałam. Bo nie słuchałam. Szkoła miała gorącą linię. Gorącą linię w sprawie prześladowań. Mogłam zadzwonić, zostawić anonimową skargę. Mogłam zadzwonić do nauczyciela albo dyrektora i poskarżyć się nieanonimowo, a ja nie zrobiłam niczego: zignorowałam go, choć nie intencjonalnie.

Jak dotąd Will mi tego nie wyrzucał. A jednak słyszę to w niewypowiedzianych słowach. Oskarża mnie w milczeniu, uważa, że to moja wina, że Otto zabrał nóż do szkoły, bo nie ofiarowałam mu rozsądniejszego wyjścia, stosowniejszego wyjścia dla naszego czternastoletniego syna.

Otto nie jest mordercą. Nie wierzę, że mógłby zranić te dzieci. To udręczony chłopiec, przerażony chłopiec. A to różnica.

– Boję się, Will – przyznaję.

– Wiem, Sadie. Oboje się boimy – odpowiada łagodniejszym tonem.

– Muszę oddać tę ścierkę na policję. – Głos mi się łamie na skraju łez i dopiero wtedy Will ustępuje. Ze względu na ton mojego głosu. Wie równie dobrze jak ja, że się rozsypałam. – Nie wolno nam jej zatrzymać.

– Zgoda – mówi. – Gdy tylko dotrę na kampus, odwołam zajęcia. Daj mi godzinę, Sadie, potem wrócę. Do tego czasu nie rób niczego ze ścierką – błaga, a potem jego głos zmienia brzmienie, staje się łagodniejszy. – Razem pojedziemy do funkcjonariusza Berga. Zaczekaj tylko, aż wrócę, i porozmawiamy z nim razem.

Kończę rozmowę i przechodzę do salonu, by poczekać. Opadam na żółtą kanapę, wyciągam nogi przed sobą, myśląc, że jeśli zamknę oczy, zasnę. Zaczyna przygniatać mnie ciężar trosk i zmęczenia i nagle czuję się wykończona. Opadają mi powieki.

Nim zdążę zasnąć, unoszą się gwałtownie.

Zaskakuje mnie odgłos szarpanych drzwi frontowych. Poruszają się na zawiasach i trzęsą.

Mówię sobie, że to tylko wiatr.

I wtedy słyszę szcęk klucza w zamku.

Minęło ledwie parę minut, odkąd rozłączyliśmy się z Willem, najwyżej dziesięć, piętnaście. Dopiero dotarł na kontynent, nie zdążył zaczekać, aż pasażerowie zejść na ląd, żeby znów wsiąść na prom. Nie zdążyłby pokonać dwudziestominutowej przeprawy i dodatkowej trasy z portu.

To nie Will.

Ktoś inny tu jest.

Odsuwam się od drzwi, szukając kryjówki, nim jednak pokonuję krok czy dwa, drzwi otwierają się gwałtownie i odbijają od gumowej blokady po drugiej stronie.

W przedpokoju stoi Otto. Plecak ma zarzucony na ramię, włosy oprószone śniegiem, białe. Policzki zarumieniły mu się od mrozu, czubek nosa lśni czerwienią, cała reszta jest blada.

Zatrzaszkuje drzwi.

– Otto – szepczę, przyciskając dłoń do piersi. – Co ty tu robisz? – pytam.

– Jestem chory – odpowiada i faktycznie nie wygląda najlepiej, ale nie jestem pewna, czy to choroba.

– Nie dzwonili ze szkoły. – Bo tak to powinno wyglądać, szkolna pielęgniarka ma zadzwonić i powiedzieć mi, że syn jest chory, a wtedy ja jadę do szkoły i go odbieram. Ale zdarzyło się inaczej. – Pielęgniarka tak po prostu cię odesłała? – Czuję irytację, że pozwoliła dziecku opuścić budynek w połowie dnia, a jednocześnie się boję, bo wyraz twarzy Ottona jest niepokojący. Nie powinno go tu być. Czemu więc jest?

– Nie pytałem – odpowiada lekko i wchodzi o krok głębiej. – Po prostu wyszedłem.

– Rozumiem. – Czuję, jak moje nogi stawiają krok w tył.

– No co? – pyta. – Powiedziałem, że jestem chory, nie wierzysz mi?

Taka wrogość to niepodobne do Ottona.

Patrzy na mnie z zaciśniętymi zębami, wysuwając podbródek. Przeczesuje palcami włosy, potem wpycha dłonie do kieszeni dzinsów.

– Co ci dolega? – Czuję ciężar w żołądku.

Otto znów podchodzi krok bliżej.

– Gardło – odpowiada, choć wcale nie chrypi, nie przyciska dłoni do gardła jak wtedy, kiedy boli.

Ale oczywiście to prawdopodobne. Mógł zachorować na gardło. Może mówi prawdę. Zapalenie gardła jest teraz równie powszechne jak grypa.

– Twój ojciec jedzie już do domu – wyduszam z siebie, choć nie wiem dlaczego.

– Wcale nie – odpowiada przerażająco spokojnym głosem. – Tato jest w pracy.

– Odwołał zajęcia – mówię, znów się cofając. – Wraca do domu, wkrótce powinien dotrzeć.

– Czemu? – pyta Otto, gdy podczas mojego subtelnego odwrotu wpadam na półkę nad kominkiem.

Kłamię, informując Ottona, że Will także źle się czuje.

– Miał zawrócić, gdy tylko prom dobije do brzegu. – Zerkam na zegarek. – Lada chwila powinien być w domu.

– Nie będzie – mówi Otto i w jego głosie dźwięczy absolutna pewność.

Wciągam głośno powietrze, wypuszczam powoli.

– Co to znaczy? – pytam.

– Ruch promów wstrzymano z powodu sztormu. – Odgarnia z powrotem włosy dłonią.

– To jak wróciłeś do domu? – pytam.

– Mój wypłynął jako ostatni.

– Ach – mruczę.

Myszę o tym, że tkwimy z Ottonem uwięzieni w tym domu, aż do wznowienia ruchu promowego. Ile to potrwa? Zastanawiam się, czemu Will nie zadzwonił i nie poinformował mnie o promach. Mój telefon leży w drugim pokoju i nie usłyszałabym dzwonka.

W tym momencie podmuch wiatru uderza w dom, który się trzęsie. Lampa na stoliku pod ścianą mruga. Wstrzymuję oddech, czekając, aż w pokoju zapadnie mrok. Przez okna do środka wpada odrobina światła, lecz w miarę, jak zasypuje je śnieg, coraz trudniej cokolwiek dostrzec. Świat na zewnątrz przybiera grafitową barwę. Psy szczekają.

– Chcesz, żebym obejrzała ci gardło? – pytam Ottona, a kiedy nie odpowiada, wyciągam z torby w przedpokoju miniaturową latarkę i podchodzę do niego.

Stojąc obok syna, odkrywam, że niemal w ciągu nocy przerósł mnie i teraz patrzy na mnie z góry. Nie jest mocno zbudowany, raczej szczupły, pachnie nastolatkiem: hormonami, które wypacają z siebie w okresie dojrzewania. Ale jest przystojny, bardzo podobny do Willa, tyle że młodszy i szczuplejszy. Przyciskam palce do jego węzłów chłonnych. Są powiększone, może faktycznie zachorował.

– Otwórz usta – mówię i choć waha się przez moment, słucha. Otwiera usta, ale bez entuzjazmu, ledwie dostatecznie, żebym mogła zajrzeć do środka.

Świecę latarką i widzę czerwone podrażnione gardło. Przyciskam grzbiet dłoni do jego czoła, sprawdzając czy ma gorączkę. Gdy to robię, ogarnia mnie nagła nostalgia i przypominam sobie cztero- czy pięcioletniego Ottona, którego dopadła paskudna grypa. Zamiast dłoni używałam wtedy ust, które dokładniej wyczuwają temperaturę. Jeden szybki pocałunek i wiedziałam, czy moi chłopcy mają gorączkę, czy nie. To oraz fakt, że leżeli mi bezwładnie w ramionach, czekając, by ich przytulić. Te czasy już minęły.

Niemal natychmiast silna dłoń Ottona zaciska się na moim przegubie i odsuwam się gwałtownie. Uścisk ma mocny. Nie mogę się uwolnić. Latarka wypada mi z dłoni, baterie toczą się po podłodze.

– Co ty wyprawiasz, Otto? Puść mnie! – krzyczę, rozpaczliwie próbując wyrwać się z uchwytu. – To boli – dodaję, a on jeszcze mocniej zaciska palce.

Unoszę wzrok i widzę obserwujące mnie oczy. Dziś są bardziej piwne niż błękitne, bardziej smutne niż zagniewane. W końcu Otto odzywa się szeptem.

– Nigdy ci nie wybaczę – mówi i przestaje się szarpać.

– Ale czego, Otto?

Wciąż myślę o ścierce i naszyjniku. Światła w naszym domu ponownie mrugają i wstrzymuję oddech, aż zgasną. Mój wzrok wędruje ku lampie. Żałuję, że nie mam czegoś, czym mogłabym się obronić. Lampa stoi na pięknej, glazurowanej ceramicznej podstawie, solidnej, dość masywnej, by kogoś skrzywdzić, ale nie tak ciężkiej, żebym nie zdołała jej podnieść. Tyle że dzielą mnie od niej prawie dwa metry; to za daleko, jest poza zasięgiem. A zresztą nie wiem, czy mam w sobie dość desperacji, by chwycić tę lampę i uderzyć ciężkim końcem w głowę mojego syna. Nawet w samoobronie. Nie wiem, czy dałabym radę.

Jabłko Adama Ottona podskakuje.

– Ty wiesz. – Widzę, że walczy ze sobą, by się nie rozplakać.

Kręcę głową.

– Nie wiem – odpowiadam, choć po sekundzie uświadamiam sobie, że owszem, wiem. Nigdy mi nie wybaczy tego, że nie obroniłam go tamtego dnia w biurze dyrektora szkoły. Że nie potwierdziłam jego kłamstwa.

– Twoich kłamstw! – krzyczy, tracąc panowanie nad sobą. – Co do noża.

– Ja nie skłamałam! – protestuję. Chcę powiedzieć, że to on skłamał, ale obwinianie go w tym momencie nie wydaje mi się najmądrzejszym pomysłem. – Gdybyś tylko do mnie przyszedł. Pomogłabym ci, Otto. Porozmawialibyśmy o tym, znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie.

– Przecież przyszedłem – wtrąca drżącym głosem. – Przyszedłem do ciebie. Tylko tobie powiedziałem. – Staram się nie wyobrażać sobie, jak Otton otwiera się przede mną na temat tego, co wydarzyło się w szkole, a ja go lekceważę. Wysilam pamięć, próbując sobie przypomnieć, tak jak każdego dnia i nocy, odkąd to się zdarzyło. Co robiłam, kiedy Otto opowiedział mi o prześladowaniach? Czym byłam aż tak zajęta, że nie zwracałam uwagi, kiedy wyznał mi, że dzieciaki w szkole paskudnie go przezywają, że popychają go na szafki, wciskają głowę do brudnej toalety?

– Otto – mówię cicho przepełniona wstydem, że nie było mnie przy nim, kiedy najbardziej mnie potrzebował. – Jeśli nie słuchałam, nie zwracałam uwagi, przepraszam. – Wyjaśniam, że w tamtych czasach byłam kompletnie przytłoczona pracą, zmęczona, oszołomiona. Ale to kiepska pociecha dla czternastolatka, który potrzebował matki. Nie usprawiedliwiam swojego zachowania, to nie byłoby właściwe.

Zanim jednak zdążę powiedzieć coś jeszcze, Otto zaczyna mówić i po raz pierwszy podaje szczegóły, których wcześniej nie słyszałam. Że siedzieliśmy na dworze, kiedy opowiedział mi o prześladowaniach. Że była późna noc. Że nie mógł zasnąć i przyszedł mnie poszukać. Że znalazł mnie na schodach przeciwpożarowych naszego budynku, tuż za kuchennym oknem, ubraną na czarno, palącą papierosa.

Te szczegóły brzmią idiotycznie.

– Ja nie palę, Otto – protestuję – przecież wiesz. I wysokość? – Kręcę głową i wstrząsa mną dreszcz. Nie muszę mówić nic więcej, wie, o co mi chodzi. Mam lęk wysokości. Zawsze go miałam.

W Chicago mieszkaliśmy na piątym, najwyższym piętrze kamienicy przy Printers Row. Nigdy nie jeździłam windą, zawsze chodziłam schodami. Ani razu nie postawiłam stopy na balkonie, na którym Will co rano sączył kawę, rozkoszując się widokami miasta.

– Chodź ze mną – mawiał, uśmiechając się psotnie i ciągnąc mnie za rękę. – Ja cię ochronię. Przecież zawsze cię chronię – dodawał. Nigdy z nim nie wyszłam.

– Ale tam byłaś – upiera się Otto.

– Skąd wiedziałeś, że tam jestem, skoro był środek nocy? Jak mnie zobaczyłeś?

– Płomyk. Zapalniczki.

Ale ja nie mam zapalniczki, ponieważ nie palę. Milknę jednak, pozwalam mu mówić dalej.

Otto twierdzi, że wyszedł przez okno i usiadł obok mnie. Potrzebował wielu tygodni, by zebrać się na odwagę i wyznać mi wszystko. Mówi, że kiedy opowiedział, jak traktują go dzieciaki w szkole, wpadłam w szal. Kompletnie się nakręciłam.

– Zaczęliśmy snuć plany zemsty. Zrobiliśmy listę najlepszych sposobów.

– Najlepszych sposobów czego? – pytam.

Odpowiada z prostotą, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Najlepszych sposobów, by ich zabić.

– Kogo?

– Dzieciaki w szkole – wyjaśnia. Bo nawet te, które z niego nie drwiły, wciąż się śmiały. Toteż razem, on i ja, postanowiliśmy tamtej nocy, że wszyscy muszą zginąć. Blednę. Słucham dalej tylko dlatego, że wiem, że dla Ottona to jakby katharsis.

– A jak mieliśmy to zrobić? – pytam, niepewna, czy chcę wiedzieć, jakie sposoby na zabicie kolegów z klasy razem wymyśliliśmy. Bo to pomysły Ottona, co do jednego. I chcę wierzyć, że gdzieś wewnątrz niego wciąż kryje się mój syn.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Było ich całe mnóstwo. Rozmawialiśmy o tym, żeby podpalić szkołę płynem do zapalniczek albo benzyną. Powiedziałaś, że mógłbym zatruć jedzenie w stołówce, jakiś czas o tym dyskutowaliśmy. Przez chwilę myślałem, że najlepsze wyjście, to załatwić ich wszystkich jednocześnie.

– I w jaki sposób miałbyś to zrobić? – pytam, kiedy opuszcza go energia i rozluźnia uchwyt na moim przegubie. Próbuję się uwolnić, lecz w tym momencie znów się skupia i ponownie zaciska palce.

– Botoksem – odpowiada pewnym siebie tonem i znów wzrusza ramionami. – Powiedziałaś, że możesz go dla mnie zdobyć.

Botoks. Botulina, którą trzymaliśmy w szpitalu, bo używa się jej w leczeniu migren, objawów choroby Parkinsona i kilku innych dolegliwości. Ale może też być śmiertelna – to jedna z najbardziej trujących substancji na świecie.

– Albo mogłem zadźgać ich wszystkich – ciągnie i opowiada, iż uznaliśmy, że to lepszy sposób, bo nie będzie musiał czekać na truciznę, a nóż łatwiej ukryć w plecaku niż butelki z płynem do zapalniczek. Mógłby to zrobić od razu. Następnego dnia.

– Wróciliśmy do środka – przypomina mi Otto. – Pamiętasz, mamó? Weszliśmy przez okno i obejrzeliliśmy wszystkie noże, sprawdzając, który najlepiej się nada. Ty wybrałaś – dodaje, wyjaśniając, że dałam mu nóż szefa, kierując się jego rozmiarem.

Według Ottona wzięłam następnie ostrzałkę Willa i naostrzyłam nóż. Rzuciłam żarcik, że ostry nóż jest bezpieczniejszy niż tępy, i uśmiechnęłam się do niego. Potem wsadziłam mu go do plecaka w miękkim futerale na laptopa. Zapinając plecak, mrugnęłam porozumiewawczo.

– Nie musisz się starać trafić w jakiś narząd – powiedziałam podobno. – Wystarczy dowolna tętnica.

Na tę myśl skręca mi się żołądek, wolna ręka wędruje do ust, gdy w przelyku czuję krew. Chcę krzyknąć: nie! To nie tak! Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam, wszystko sobie wymyśliłeś! Ale nim udaje mi się odpowiedzieć, Otto mówi, że zanim tej nocy się położył, powiedziałam mu: *Nie pozwól, by ktokolwiek się z ciebie śmiał. Jeśli to zrobią, ucisz ich.*

Tej nocy Otto wyspał się po raz pierwszy od wielu miesięcy. Lecz następnego ranka zaczął mieć wątpliwości. Nagle się wystraszył. Ale mnie tam nie było, żebym mogła z nim pogadać, bo pojechałam już do pracy. Zadzwoił. To pamiętam, pocztę głosową na telefonie, którą odkryłam dopiero wieczorem.

Mamo, powiedział, to ja, naprawdę muszę z tobą pomówić.

Gdy jednak odsłuchałam wiadomość, było już za późno. Otto zabrał nóż do szkoły. Dzięki Bogu nikomu nic się nie stało.

Teraz, słuchając opowieści Ottona, z nagłym bólem zaczynam rozumieć. On nie uważa, że wymyślił tę historię. On w nią wierzy. W jego umyśle to ja spakowałam mu nóż do plecaka, to ja skłamałam. Nie mogę się powstrzymać, wyciągam wolną rękę i gładzę go palcami po brodzie. Sztywnieje, ale się nie cofa. Pozwala mi się dotknąć. Czuję włoski, jedynie niewielką kępkę, z której pewnego dnia wyrośnie broda. Jakim cudem ów mały chłopczyk, który kiedyś skaleczył sobie kciuk żyletką Willa, nagle tak urósł, że zacznie się golić? Włosy wpadają mu do oczu. Odgarniam je i widzę, że w oczach brak zwykłej wrogości, że zamiast tego wyziera z nich przemożny smutek.

– Jeśli w jakikolwiek sposób cię zraniłam – szepczę – przepraszam. Nigdy z rozmysłem nie zrobiłabym niczego, by cię skrzywdzić.

Dopiero wtedy ustępuje, wypuszcza moją rękę, a ja cofam się szybko.

– Idź do siebie, połóż się – proponuję. – Przyniosę ci tosta.

– Nie jestem głodny – mruczy Otto.

– To może soku?

Nie odpowiada.

Patrząc z wdzięcznością, jak odwraca się i gramoli po schodach do swojego pokoju, z plecakiem wciąż na ramionach.

Idę do gabinetu i zamykam za sobą drzwi. Siadam za biurkiem, włączam komputer, uruchamiam przeglądarkę. Sprawdzam stronę przewoźnika promowego, szukając informacji o opóźnieniach. Nie mogę się doczekać chwili, gdy Will w końcu wróci. Chcę mu powtórzyć rozmowę z Ottonem i pojechać na policję. Nie chcę już dłużej czekać.

Gdyby nie pogoda, wyszłabym sama, powiedziałabym Ottonowi, że muszę coś załatwić, i wróciła dopiero, gdy zjawi się Will. Kiedy zaczynam wpisywać adres, wita mnie lista ostatnich wyszukiwań. Ze świstem wypuszczam powietrze, bo w historii wyszukiwań pojawia się nazwisko Erin Sabine. Ktoś sprawdzał byłą narzeczoną Willa. Zakładam, że to on, że ogarnęła go nostalgia w dwudziestą rocznicę jej śmierci. Brak mi samokontroli. Klikam link.

Witają mnie obrazy, a także artykuł, raport sprzed dwudziestu lat opisujący śmierć Erin. Do artykułu dołączono zdjęcia: jedno przedstawia samochód,

wyciągany ze zmarzniętego stawu, ekipy ratownicze czekają z powagą na drugim planie, podczas gdy ciężarówka wyciąga wóz z wody. Czytam szybko artykuł; wszystko wygląda dokładnie tak, jak mi opisał Will. Podczas paskudnej zimowej burzy, takiej jak dzisiaj, Erin straciła panowanie nad samochodem. Utonęła.

Drugie zdjęcie przedstawia Erin i jej rodzinę. Jest ich czworo, matka, ojciec, Erin i jej młodsza siostra, na oko w wieku gdzieś pomiędzy Ottonem a Tate'em, dziesięć, może jedenaście lat. Zdjęcie wygląda jak zrobione przez zawodowca: rodzina na ulicy pomiędzy szpalerami drzew. Matka siedzi na jaskrawożółtym krześle, ustawionym tam przez fotografa. Rodzina otacza ją, dziewczynki pochylają się ku matce. I to właśnie od niej nie mogę oderwać wzroku. Jest w niej coś, co mnie dręczy, krągła kobieta o sięgających ramion ciemnych włosach. Jej widok trąca jakąś strunę, ale nie wiem jaką. Coś, co czai się tuż poza granicami mojego umysłu. Kto to jest?

I wtedy psy zaczynają wyc, słyszę to nawet z gabinetu. W końcu zmęczyła je śnieżycą, chcą wejść do środka. Wstaję z za biurka, drepczę do kuchni i otwieram tylne drzwi. Wychodzę na dwór na werandę, gwizdząc na psy, ale nie przychodzą.

Ruszam przez podwórko. Obie suki stoją niczym posągi w narożniku. Coś złapały, królika bądź wiewiórkę. Muszę je powstrzymać, nim zjedzą biedne stworzenie; oczami wyobraźni widzę już biały śnieg zaplamiony zwierzęcą krwią.

Podwórko pokrywają niskie zaspę, w niektórych miejscach wysokie na ćwierć metra, w innych śnieg ledwie oprószył trawę. Wiatr stara się mnie powalić, gdy idę naprzód, kierując się w stronę psów. Działka jest spora, a one stoją daleko i coś drapią. Przykładam dłonie do ust i je wołam, ale nie słuchają. Śnieg pada ukośnie, wciska mi się pod nogawki piżamy i za dekolt koszuli, stopy w kapciach bolą od mrozu. Nie wpadłam na pomysł, żeby włożyć buty.

Trudno mi cokolwiek dostrzec; drzewa, domy, horyzont zniknęły w śniegu. Mam problemy z otwarciem oczu. Myślę o dzieciach wciąż siedzących w szkole. Jak zdołają wrócić do domów?

W połowie drogi przychodzi mi do głowy, żeby zawrócić. Nie wiem, czy wystarczy mi siła, żeby do nich dotrzeć. Znów klaszczę i wołam obie suki; nie reagują. Gdyby był tu Will, przyszłyby. Zmuszam się, żeby pójść dalej. Każdy oddech boli, powietrze jest tak zimne, że pali mi gardło i płuca. Psy znów szczekają i przebiegam ostatnie siedem metrów. Patrzą na mnie z niemądrymi minami, spodziewam się, że między ich łapami znajdę na wpół pożarte truchło.

Wyciągam rękę, łapię jedną z suk za obroźę i pociągam.

– No chodź, idziemy – mówię, nie przejmując się, czy leży tam okaleczona wiewiórka. Muszę wrócić do środka. Ale ona nadal tam stoi i skomle, nie chcąc się ruszyć, a jest za duża, żebym mogła zawlec ją do domu. Próbuję, ale potykam się i tracę równowagę. Upadam na kolana i dokładnie przed sobą widzę, jak coś błyska w śniegu między psimi łapami. To nie królik. Nie wiewiórka. Jest zdecydowanie za małe na królika bądź wiewiórkę.

No i ten kształt – długi, wąski, ostry. Serce wali mi w piersi, czuję mrowienie w palcach, czarne plamki wracają, tańcząc przed oczami. Mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. I faktycznie dopadają mnie torsje. Przepona kurczy się, ale żołądek mam pusty, nic nie zjadłam, wypłam tylko parę łyków kawy. Nie mam czym zwymiotować.

Jedna z suk trąca mnie nosem, chwytam się jej, przytrzymuję i widzę wyraźnie, że przedmiot leżący między nimi to nóż. Zaginiony nóż do filetowania. To pokrywająca go krew przyciągnęła psy. Klinga noża ma około piętnastu centymetrów długości, tyle samo co ta, od której zginęła Morgan Baines. Obok noża widzę dziurę wykopaną w ziemi przez psy.

To psy znalazły nóż. Ukryto go na naszym podwórku. Przez cały ten czas ryły w ziemi, żeby go wyciągnąć.

Oglądam się szybko na dom. Choć w rzeczywistości nic nie widzę, ledwie niewyraźny zarys budynku, wyobrażam sobie Ottona, jak stoi w kuchennym oknie i przygląda się mi. Nie mogę tam wrócić. Zostawiam psy na miejscu. Nóż także, nie dotykam go.

Kuśtykam przez podwórko, stopy pieką mnie od mrozu i tracą czucie, coraz trudniej nimi poruszać. Ciężkim krokiem okrążam dom, potykając się z powodu zmarzniętych stóp, upadam w zaspę i zmuszam się, by wstać. Od wzgórza dzieli mnie czterysta metrów, to tam leży miasto i budynek, w którym znajdę funkcjonariusza Berga.

Will kazał mi poczekać, ale nie mogę dłużej. Nie mam pojęcia, kiedy wróci ani co do tego czasu ze mną będzie.

Ulica jest pusta i ponura, zawładnęła nią zima. Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Potykając się, schodzę na dół, z nosa kapie mi śluz. Ocieram go rękawem. Mam na sobie tylko piżamę, bez płaszcza, czapki czy rękawiczek. Piżama w żaden sposób

nie chroni mnie przed mrozem, nie grzeje. Szczękam zębami, ledwie udaje mi się unieść powieki z powodu wiatru. Śnieg atakuje ze wszystkich stron jednocześnie, cały czas wiruje w powietrzu niczym trąba powietrzna. Palce mi grabieją, są czerwone, pokryte plamami. Nie czuję własnej twarzy.

Gdzieś w dali słyszę zgrzyt łopaty o chodnik. Ten dźwięk niesie ze sobą cień nadziei, że na tej wyspie jest jeszcze ktoś oprócz mnie i Ottona.

Idę dalej tylko dlatego, że nie mam wyboru.

Myszka

W środku nocy Myszka usłyszała dźwięk, który dobrze znała. To było skrzypienie schodów, które nie miały powodu skrzypieć, bo Myszka leżała już w łóżku, a wiedziała, że na piętrze starego domu mieści się tylko jeden pokój. Nocą, po tym jak się położyła, nie było powodu, by ktokolwiek wchodził na górę oprócz niej. A jednak ktoś wchodził po schodach. Fałszywa Mama się zbliżała i same schody wykrzykiwały ostrzeżenie do Myszkki, żeby uciekła. Żeby się schowała.

Ale Myszka nie miała szans schować się ani uciec. Bo wszystko zdarzyło się zbyt szybko, a ona była zdezorientowana po nagłym przebudzeniu. Ledwie zdążyła otworzyć oczy, gdy drzwi sypialni otworzyły się i w progu stanęła Fałszywa Mama oświetlona od tyłu lampą z korytarza.

Berta w klatce na podłodze wydała z siebie przeszywający pisk, wbiegła spłoszona pod przejrzystą kopułę i zamarła niczym posąg, błędnie sądząc, że póki nie drgnie, po drugiej stronie plastiku nikt jej nie zobaczy.

Leżąca w łóżku Myszka także próbowała zastygnąć bez ruchu. Ale Fałszywa Mama zobaczyła ją, tak jak ujrzała Bertę. Fałszywa Mama zapaliła światło. Nagły blask oślepił zmęczone oczy Myszkki o rozszerzonych źrenicach i z początku nic nie widziała. Ale słyszała. Fałszywa Mama przemówiła głosem opanowanym w sposób, który zaskoczył Myszkę jeszcze bardziej, niż gdyby dźwięczała w nim złość. Ruszyła naprzód powoli, z rozmysłem, choć Myszka wołałaby, żeby wbiegła z krzykiem, a potem odeszła. Bo wtedy już by się to skończyło.

– Co ci mówiłam o sprzątanu po sobie, Myszko? – spytała Fałszywa Mama, zbliżając się do łóżka, mijając Bertę i jej klatkę. Chwyciła kołdrę Myszkki i pociągnęła, odsłaniając ją w pizamie w jednoróżce, tej, którą wkładała sama i nikt jej nie kazał. Obok Myszkki w łóżku leżał Pan Miś. – Czy uważasz, że sprzątanu po sobie nie obejmuje spuszczenia wody w toalecie ani ścierania twoich sików z tej samej deski, na której ja siadam?

Myszkę ogarnął nagły chłód. Nie musiała się zastanawiać, o czym mówi Fałszywa Mama. Wiedziała. I wiedziała, że nie ma sensu tłumaczyć, choć i tak

spróbowała. Głos jej drżał, gdy przemówiła. Opowiedziała Fałszywej Mamie, co się stało. Że próbowała być cicho. Że nie chciała obudzić Fałszywej Mamy. Że nie chciała zasikać deski. Że nie splukała toalety, bo wiedziała, że narobi hałasu. Ale kiedy się odezwała, była zbyt zdenerwowana. Bała się. Jej cichy głos trząsł się tak bardzo, że słów nie dało się zrozumieć. Fałszywa Mama nie lubiła mamrotania.

– Mów głośniej! – warknęła.

Potem wywróciła oczami i dodała, że Myszka nie jest wcale tak bystra, jak uważa ojciec.

Myszka znów próbowała wyjaśnić, mówić głośniej, wyraźniej wypowiadać słowa. Ale to nie miało znaczenia, bo Fałszywa Mama nie chciała wyjaśnień, nieważne: słyszalnych czy nie. Myszka zbyt późno pojęła, że pytanie, które zadała, było retoryczne, takie, które zadaje się, nie oczekując odpowiedzi.

– Wiesz, co się dzieje, kiedy psom zdarza się wypadek w domu? – spytała Myszkę Fałszywa Mama.

Myszka nie wiedziała na pewno, bo nigdy nie miała psa, ale sądziła, że ktoś to sprząta i tyle, koniec, bo tak właśnie było z Bertą. Berta stale siusiała i kupkała na kolana Myszkę, która nigdy nie uważała, że to coś wielkiego. Po prostu wycierała, myła ręce i wracała do zabawy ze świnką. Ale Fałszywa Mama nie zadałaby tego pytania, gdyby to wyglądało tak łatwo.

Myszka odpowiedziała, że nie wie.

– Pokażę ci, co się dzieje – oznajmiła Fałszywa Mama, po czym złapała ją za rękę i wywlokła z łóżka.

Myszka nie chciała iść tam, gdzie zabierała ją Fałszywa Mama, ale nie protestowała, bo wiedziała, że jeśli posłucha, jeśli po prostu pójdzie z Fałszywą Mamą, zamiast dać się wyciągnąć z łóżka i powlec po skrzypiących schodach, będzie mniej bolało. I tak też zrobiła. Tyle że Fałszywa Mama szła szybko i Myszka nie była w stanie dotrzymać jej kroku, toteż się potknęła. A wtedy upadła na podłogę. To rozzłościło Fałszywą Mamę.

– Wstawaj! – krzyknęła.

Myszka wstała. Razem dotarły na dół. W domu było niemal zupełnie ciemno, ale przez okna dostrzegła skrawki nocnego nieba.

Fałszywa Mama zaprowadziła Myszkę do salonu, postawiła ją na środku pokoju, odwróciła w wybraną stronę i Myszka ujrzała, że w kącie stoi pusta klatka dla psa,

jak nigdy otwarta.

– Kiedyś miałam psa – oznajmiła Fałszywa Mama – springer spaniela. Nazwałam go Maks, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Był dobrym psem, głupim, ale dobrym. Chodziliśmy razem na spacer. Czasami, kiedy oglądaliśmy telewizję, siadał u mego boku. Ale potem Maksowi wydarzył się wypadek w kącie pokoju, kiedy nie było mnie w domu, i wtedy Maks stał się zły – oznajmiła. – Widzisz, nie można pozwolić, by zwierzęta sikały i załatwiały się w naszych domach tam, gdzie nie powinny. To paskudne i brudne, Myszko. Rozumiesz? Najlepszym sposobem nauczania psa jest tresura za pomocą klatki. Bo pies nie lubi siedzieć całymi dniami we własnych sikach i gównie, więc uczy się powstrzymywać. Tak samo jak ty – dodała Fałszywa Mama, a potem złapała Myszka za rękę i powlokła przez salon w stronę otwartej klatki.

Myszka walczyła, ale była tylko dzieckiem, sześciolatką. Ważyła niecałą połowę tego co Fałszywa Mama i była o wiele słabsza. Nie jadła obiadu, tylko trzy ciasteczka maślane Salerno. Dopiero co wyrwano ją ze snu. Był środek nocy i czuła zmęczenie. Zwijała się i szarpała, ale na nic więcej nie starczyło jej sił, toteż Fałszywa Mama łatwo sobie z nią poradziła. Zmusiła ją, żeby weszła do klatki tak niskiej, że w środku nie mogła nawet siedzieć wyprostowana, bo uderzała głową o twarde metalowe pręty, szyja szybko zaczęła boleć. Nie mogła się położyć ani wyciągnąć nóg, musiała je podkurczać, więc natychmiast zdrętwiała. Myszka płakała. Błagała, żeby ją wypuścić. Obiecywała, że będzie grzeczna, że już nigdy nie nasika na deskę klozetową.

Ale Fałszywa Mama nie słuchała. Bo Fałszywa Mama wracała na górę.

Myszka nie wiedziała po co. Pomyślała, że może Fałszywa Mama zamierza zabrać biednego Pana Misia.

Ale kiedy Fałszywa Mama wróciła, nie trzymała misia.

Tylko Bertę.

Na widok słodkiej świnki w rękach Fałszywej Mamy Myszka wrzasnęła. Berta nie lubiła, by podnosił ją ktokolwiek oprócz Myszk. Kopła małymi łapkami w dłoniach Fałszywej Mamy, piszcząc przeraźliwie, głośniejsz niż Myszka kiedykolwiek słyszała. Nie był to ten sam pisk, jaki wydawała z siebie na widok marchewki, tylko zupełnie inny. Przerażony.

Serce Myszki biło milion razy na minutę. Zaczęła tłuc rękami o pręty psiej klatki, ale nie mogła wyjść. Próbowała siłą wyważyć drzwiczki, lecz te nie ustąpiły, bo Fałszywa Mama zamknęła je na kłódkę.

– Wiedziałaś, Myszko, że tępy nóż jest groźniejszy niż ostry? – spytała Fałszywa Mama, unosząc w powietrze jeden ze swoich noży i oglądając klingę w blasku księżyca. – Ile razy – dodała, nie czekając na odpowiedź na pierwsze pytanie – muszę ci powtarzać, że nie życzę sobie jednego gryzonia w tym domu, a co dopiero dwóch?

Myszka zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do uszu, żeby nie widzieć ani nie słyszeć tego, co zaraz nastąpi.

Minął niecały tydzień, nim ojciec Myszki znów musiał wyjechać. Zatrzymał się w drzwiach, by się pożegnać, Fałszywa Mama stała obok Myszki.

– Nie będzie mnie tylko parę dni, wrócę, nim się obejrzysz – oznajmił ojciec, patrząc w smutne oczy Myszki i obiecał, że kiedy wróci, kupi jej nową morską świnkę, by zastąpiła Bertę. Ojciec uważał, że Berta po prostu uciekła, że żyje sobie gdzieś szczęśliwie w zakamarkach domu, gdzie nie zdołają jej znaleźć.

Myszka nie chciała nowej świnki. Ani wtedy, ani nigdy. I tylko ona i Fałszywa Mama wiedziały dlaczego. Fałszywa Mama zacisnęła dłoń na ramieniu Myszki. Pogładziła jej mysie brązowe włosy.

– Świetnie sobie poradzimy, prawda, Myszko? A teraz pożegnaj się z ojcem, żeby mógł ruszyć w drogę.

Myszka pożegnała się ze łzami w oczach. Stały z Fałszywą Mamą obok siebie, patrząc, jak samochód ojca wyjeżdża z podjazdu i znika za zakrętem. A potem Fałszywa Mama kopniakiem zamknęła drzwi i rzuciła się na Myszkę.

Sadie

Budynek użyteczności publicznej to niewielka ceglana budowla pośrodku miasteczka. Cieszę się, że drzwi nie są zamknięte na klucz, w środku widzę ciepłe żółte światło.

Za biurkiem siedzi kobieta, wystukuje coś na klawiaturze. Gdy drzwi otwierają się gwałtownie i staję w nich, zaskoczona chwyta się za serce. W taki dzień nie spodziewała się, by ktokolwiek wyszedł z domu.

Potykam się o próg, bo nie zauważyłam trzycentymetrowego występu. Upadam na czworakach tuż za drzwiami, brak mi sił, by utrzymać równowagę. Podłoga nie jest tak miękka jak śnieg i upadek boli znacznie bardziej niż wcześniejsze.

– Ojejku! – Kobieta zrywa się z krzesła, by mi pomóc. Przebiega dookoła biurka i sięga po mnie, usta ma otwarte, oczy okrągłe ze zdumienia. Nie może uwierzyć w to, co widzi. Pomieszczenie, w którym się znalazłam, jest kanciaste i ciasne, żółte ściany, podłoga kryta wykładziną, biurko z podwójnymi kolumnami szuflad. I cudownie ciepłe powietrze. W kącie stoi grzejnik dmuchający nim na cały pokój.

Gdy tylko staję na nogach, podchodzę do niego i opadam na kolana przed obracającym się wiatrakiem.

– Funkcjonariusz Berg – bełkoczę z trudem, wargi mam sztywne od mrozu, kobieta stoi za moimi plecami. – Funkcjonariusz Berg, proszę.

– Tak – mówi. – Tak, oczywiście. – Nim orientuję się, co się dzieje, wzywa go krzykiem, potem sięga ponad mną, żeby przestawić grzejnik na wyższy poziom, a ja przyciskam do niego dłonie piekące z zimna. – Ktoś do ciebie – mówi niespokojnie i odwracam się.

Kiedy funkcjonariusz Berg się zjawia, nie odzywa się; przychodzi szybko zwabiony krzykiem, bo zdenerwowanie w głosie sekretarki ostrzega go, że coś jest nie tak. Patrzy na moją piżamę i rusza do ekspresu, napełnia jednorazowy kubek kawą, podaje mi, żeby mnie ogrzać. Pomaga mi wstać z podłogi, wciskając kubek w dłonie. Nie piję, ale promieniujące z niego ciepło jest takie przyjemne.

Napawam się nim z wdzięcznością. Na dworze wciąż szaleje burza, od czasu do czasu wstrząsając całym budynkiem. Światła mrugają, ściany jęczą. Berg sięga po płaszcz wiszący na wieszaku i opatula mnie nim.

– Muszę z panem pomówić. – W moim głosie słychać wyraźnie desperację i znużenie.

Policjant prowadzi mnie korytarzem, siadamy obok siebie przy małym rozkładanym stole. Poza tym pokój jest pusty.

– Co pani tu robi, doktor Foust? – pyta Berg. W jego głosie dźwięczą troska i obawa, ale też podejrzliwość. – To paskudny dzień na piesze wycieczki – dodaje.

Nagle wstrząsają mną nieopanowane dreszcze. Choć próbuję, nie mogę się rozgrzać. Przyciskam palce do kubka z kawą, funkcjonariusz Berg trąca mnie i mówi, żebym wypila.

Ale to nie z zimna się trzęsę. Zaczynam opowiadać mu wszystko, lecz Berg mi przerywa.

– Niedawno odebrałem telefon od pani męża. – Słowa więzną mi w gardle. Zupełnie nie rozumiem, czemu Will miałby dzwonić, skoro umówiliśmy się, że przyjedziemy tu razem.

– Naprawdę? – pytam, prostując się, bo nie to spodziewałam się usłyszeć.

Funkcjonariusz Berg powoli kiwa głową. Ma niezwykły talent do utrzymywania kontaktu wzrokowego. Walczę z sobą, by nie odwrócić głowy.

– I czego chciał? – dodaję, zbierając się w sobie.

– Martwił się o panią – mówi Berg i odprężam się lekko. Will dzwonił, bo obawiał się, co się ze mną dzieje.

– Oczywiście. – Opieram się na krześle. Może najpierw próbował zadzwonić do mnie, a kiedy nie odpowiedziałam, wybrał numer Berga. Może poprosił, żeby Berg sprawdził, co ze mną, upewnił się, że jestem bezpieczna. – Ta pogoda. I opóźnienia promów. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, byłam bardzo zdenerwowana.

– Tak – mówi. – Pan Foust mi wspomniał.

Wzdrygam się zaskoczona i znów prostuję.

– Wspomniał, że byłam zdenerwowana? – pytam obronnym tonem, bo to osobiste, nie coś, co Will musiał powtarzać policji.

Kiwa głową.

– Martwił się o panią, mówił, że zdenerwowała się pani z powodu jakiejś ścierki.
– Ton rozmowy się zmienia, bo Berg mówi to w sposób protekcyjny, jakbym była głupią gęsią wygadującą bzdury ma temat ścierek.

– Ach – mruczę i nie rozwijam tematu.

– Miałem właśnie pojechać do pani domu i sprawdzić, co się dzieje. Oszczędziła mi pani jazdy. – Funkcjonariusz Berg wyjaśnia, że popołudnie na drogach zapowiada się ciężko, bo miejscowych szkół nie ostrzeżono przed burzą. Na szczęście mówili, że opady mają zelżeć. A potem zaczyna naciskać. – Chciała mi pani opowiedzieć o ścierce?

– Znalazłam ścierkę – mówię powoli. – Pokrytą krwią. W moim praniu. – A potem, ponieważ i tak już sporo powiedziałam, dodaję: – Znalazłam też nóż, zakopany na podwórku.

Nawet nie mruga.

– Nóż, którym zabito panią Baines?

– Tak sędzę. Tak. Był pokryty krwią.

– Gdzie jest teraz ten nóż, pani doktor?

– Na moim podwórku.

– Zostawiła go tam pani?

– Tak.

– Dotykała go pani?

– Nie.

– Gdzie na podwórku? – dopytuje. Usiłuję mu to opisać, choć wyobrażam sobie, że do tej pory śnieg już dawno go zasypał. – A ścierka? Gdzie jest?

– Pod pralką w pralni – wyjaśniam.

Pyta, czy wciąż jest na niej krew, a ja potwierdzam. Przeprasza na chwilę i wychodzi, nie ma go niemal pół minuty, a kiedy wraca, informuje, że funkcjonariusz Bisset pojedzie do mnie, żeby zabrać ścierkę i nóż.

– Mój syn jest w domu – uprzedzam, lecz Berg zapewnia, że nie szkodzi, że Bisset uwinie się bardzo szybko. Nie będzie zawracał głowy Ottonowi.

– Ale obawiam się... – zaczynam i urywam. Nie wiem, jak to powiedzieć, skubię krawędź jednorazowego kubka, odrywając kawałeczki styropianu, które usypuję na stole niczym śnieg. W końcu zmuszam się, by to powiedzieć.

– Obawiam się, że może mój syn zamordował panią Baines. Albo może Imogen. Spodziewam się żywszej reakcji, zamiast tego jednak Berg ciągnie, jakby mnie nie usłyszał.

– Powinna pani o czymś wiedzieć, doktor Foust.

– O czym? – pytam.

– Pani mąż...

– Tak?

– Will...

Wkurza mnie, że krąży wokół tematu, to niezwykle irytujące.

– Wiem, jak się nazywa mój mąż – warczę i przez chwilę Berg wpatruje się we mnie bez słowa.

– Tak – mówi w końcu. – Pewnie tak.

Znów cisza. Cały czas wbija we mnie wzrok, przesuвам się na krześle.

– Kiedy zadzwonił, wycofał swoje wcześniejsze zeznanie na temat nocy, kiedy zginęła pani Baines. O tym, że oboje oglądaliście telewizję, a potem poszliście prosto do łóżka. Według pani męża to nie do końca prawda.

Jego słowa kompletnie mnie zaskakują.

– Nie?

– Nie. Nie według pana Fousty.

– A co według pana Fousty się stało? – pytam grubiańsko.

W tym momencie w policyjnym radiu odzywają się głosy, donośne, lecz niewyraźne. Funkcjonariusz Berg podchodzi do niego i przykręca głośność, żebyśmy mogli rozmawiać. Wraca na swoje miejsce.

– Powiedział, że tamtej nocy, po tym jak program się skończył, nie poszła pani do łóżka, tak jak mówiła. Twierdzi, że zamiast tego zabrała pani psy na spacer, a on poszedł na górę się umyć. Według męża nie było pani całkiem długo.

Czuję, jak coś wewnątrz mnie się porusza. Ktoś tu kłamie. Ale nie wiem kto.

– Ach tak? – pytam.

– Ach tak – powtarza.

– Ale to nieprawda – oznajmiam stanowczo. Nie wiem, czemu Will miałby powiedzieć coś takiego. Istnieje tylko jeden powód. Zrobiłby wszystko, żeby

chronić Ottona i Imogen. Absolutnie wszystko, nawet jeśli oznacza to rzucenie mnie wilkom na pożarcie.

– Twierdzi, że zabrała pani psy na spacer, ale kiedy czas mijał, a pani nie wracała, zaczął się martwić, zwłaszcza gdy usłyszał szczekanie psów. Wyrzwał na dwór sprawdzić, co się dzieje. Kiedy to zrobił, odkrył, że psy są na dworze, ale pani nie ma. Zostawiła je pani na podwórku i poszła do domu Bainesów, prawda?

Żołądek ściska mi się gwałtownie. Mam wrażenie, jakbym spadała, pędziła kolejką górską, moje wnętrzności wywracają się, koziolkują.

Odpowiadam, starannie wymawiając każde słowo.

– Nie poszłam tamtej nocy do domu Bainesów.

Ale on nie zwraca na mnie uwagi, ciągnie, jakbym w ogóle się nie odezwała. Zaczyna mówić o Willu po imieniu, do mnie nadal zwraca się *doktor Foust*. Funkcjonariusz Berg zmienił strony. I nie jest już po mojej.

– Will próbował dzwonić na pani komórkę. Nie odpowiadała pani. Zaczął myśleć, że stało się coś strasznego, pospieszył do sypialni, żeby się ubrać i ruszyć na poszukiwania. Lecz kiedy zaczynał panikować, wróciła pani do domu – przerywa, żeby odetchnąć. – Muszę spytać raz jeszcze, pani doktor: gdzie pani była między dziesiątą wieczór a drugą nad ranem w noc zabójstwa pani Baines?

Kręcę głową bez słowa. Nie mam nic do powiedzenia. Powiedziałam mu, gdzie byłam, ale już mi nie wierzy. Dopiero w tym momencie uświadamiam sobie, że funkcjonariusz Berg przyniósł ze sobą do pokoju dużą kopertę. Cały czas leżała na stole poza naszym zasięgiem, teraz wstaje, sięga po nią i otwiera palcem. Berg zaczyna rozkładać na stole zdjęcia. Są naprawdę koszmarnie, każde kolejne coraz gorsze. Powiększono je, mają co najmniej dwadzieścia na trzydzieści centymetrów. Nawet kiedy odwracam wzrok, wciąż je widzę. Jedno przedstawia otwarte drzwi – framugę i zamek nietknięte. Ślady krwi ściekającej po ścianach. W pokoju panuje uderzający porządek, co oznacza, że raczej nie doszło do walki. Jedyne przedmioty nie na miejscu to stojak na parasole, wywrócony, i oprawione w ramkę zdjęcie, przekrzywione, jakby ktoś w zamieszaniu trącił je łokciem.

A pośrodku wszystkiego leży Morgan. Ułożona w niewygodnej pozycji na dywaniku, ciemne włosy przesłaniają twarz, ręce ma uniesione nad głowę, jakby w ostatnim wysiłku usiłowała chronić twarz przed ostrzem noża. Jedna noga, wygięta w nienaturalny sposób, sprawia wrażenie złamanej w upadku. Morgan ma

na sobie piżamę, flanelowe spodnie i ciepłą górę, wszystko czerwone, więc nie da się stwierdzić, gdzie kończy się krew, a zaczyna materiał. Lewa nogawka podwinęła się aż do kolana. W kałużach krwi widać drobne ślady stóp. W miarę oddalania od ciała ubywa ich: wyobrażam sobie ręce policjanta wabiące dziewczynkę, by odeszła od trupa.

– To, co tu widzę, pani doktor – mówi funkcjonariusz Berg – to nie ślady przypadkowej zbrodni. Ktokolwiek to zrobił, chciał, żeby Morgan cierpiała. Działał w gniewie, agresywnie.

Nie mogę oderwać oczu od zdjęcia. Mój wzrok wędruje ponad ciałem Morgan i krwawymi odciskami stóp do fotografii na ścianie, tej przekrzywionej. Chwytam zdjęcie ze stołu i unoszę do oczu, żeby lepiej się przyjrzeć, bo widziałam już wcześniej to zdjęcie, i to niedawno. Znajomy szpaler drzew. Czteroosobowa rodzina. Matka, ojciec i dwie córki około dziesięciu i dwudziestu lat.

Kobieta, matka, w ładnej zielonej sukience siedzi na jaskrawożółtym krześle pośrodku, rodzina stoi dookoła.

– O Boże – jęczę, unosząc dłoń do ust, bo to zdjęcie, oprawione i wiszące na ścianie Morgan Baines, jest identyczne z tym w artykule na temat śmierci Erin. Starsza dziewczyna, niemal dwudziestolatka, to była narzeczona Willa, Erin. Zrobiono je zaledwie parę miesięcy przed jej śmiercią. Druga to jej młodsza siostra.

Krztuszę się własną śliną. Funkcjonariusz Berg klepie mnie po plecach, pyta, czy nic się nie stało. Kiwam głową, bo nie jestem w stanie mówić.

– Niełatwo na to patrzeć, prawda? – mówi, sądząc, że to zwłoki kobiety tak mną wstrząsnęły.

Teraz dostrzegam to, czego nie widziałam wcześniej. Bo kobieta na zdjęciu – matka przycupnięta na krześle – jest dziś starsza. Ciemne włosy posiwiały, straciła też sporo na wadze. Za dużo, tak że wygląda na wychudzoną. Ale to przecież niemożliwe. Trudno to pojąć. Niewiarygodne. Kobietą na zdjęciu jest matka Morgan. Ta sama, którą spotkałam na uroczystości pożegnalnej. Ta, która wiele lat temu straciła inne dziecko i nigdy już nie doszła do siebie, przynajmniej według jej przyjaciółek Karen i Susan.

Ale nie rozumiem. Bo jeśli to prawda, to znaczy, że Morgan była siostrą Erin. Że Morgan to ta dziewczynka na zdjęciu, licząca sobie dziesięć lat.

Dlaczego Will mi nie powiedział?

Chyba wiem dlaczego. Ze względu na moje ciągłe obawy. Co bym zrobiła, gdybym się dowiedziała, że siostra Erin mieszka tak blisko nas? I pojmuję, że kumpelstwo Willa i Morgan jest prawdziwe, istniało naprawdę. Ze względu na uczucie, jakim darzyli jedyną kobietę, którą Will kochał bardziej ode mnie: Erin.

Pokój dookoła rozmywa się i wiruje, mrugam mocno, próbując go powstrzymać. Berg kiwa się na krześle obok mnie, lecz tak naprawdę się nie rusza, sprawia to moja percepcja. Wszystko dzieje się w mojej głowie. Krawędzie jego twarzy zaczynają mięknąć. Pokój powiększa się nagle, ściany rozszerzają, rozchodzą, kiedy policjant się odzywa, szum w mojej głowie niemal zagłusza jego słowa. Widzę, jak porusza ustami, ledwie cokolwiek rozumiem.

Za pierwszym razem nie jestem w stanie pojąć, co mówi.

– Słucham?! – podnoszę głos.

– Will mówił nam, że bywa pani zazdrosna i niepewna siebie.

– Tak powiedział?

– Tak, doktor Foust, dokładnie. Powiedział, że nigdy nie sądził, by mogła pani cokolwiek z tym zrobić, ale też, że ostatnio przeżywała pani sporo problemów. Że nie jest pani do końca sobą. Wspomniał o ataku paniki, wymuszonym odejściu z pracy. Nie jest pani osobą porywczą, nie według Willa, ale – powtarza własne słowa – mówił, że ostatnio nie była pani sobą. Ma pani coś do dodania?

Milczę. Zaczyna boleć mnie głowa, ból wspina się po karku i dźga mnie między oczy. Zaciskam mocno powieki, napierając palcami na skronie, aby stępić ból. Najpewniej spadło mi ciśnienie, bo nagle pojawiają się problemy ze słuchem. Funkcjonariusz Berg coś mówi, pyta, czy nic mi nie jest, ale słowa są bardziej stłumione niż wcześniej. Jakbym tkwiła pod wodą.

Drzwi otwierają się i zamykają. Berg rozmawia z kimś innym. Niczego nie znaleźli, ale przeprowadzają rewizję mojego domu, bo Will udzielił im zgody.

– Doktor Foust? Doktor Foust?

Czyjaś dłoń potrząsa mi ramieniem. Kiedy otwieram oczy, patrzy na mnie jakiś starszy facet. Praktycznie się ślini. Zerkam na zegar i na własną koszulę, górę od pizamy z niebieskimi guzikami, zapięta aż pod szyję. Niedobrze mi, ledwie mogę oddychać. Ale z niej świętoszka. Rozpinam trzy górne guziki, wpuszczając nieco powietrza.

– Kurewsko tu gorąco – mówię, wachlując się, i widzę, jak zerka na mój dekolt.

– Wszystko w porządku? Nic pani nie jest? – Wygląda, jakby zaskoczyło go to, co widzi. Wysoko unosi brwi. Pociera dłońmi oczy, upewniając się, że nie ma omamów. Ponownie pyta, czy nic mi nie jest. Mam ochotę spytać, czy to jemu nic nie jest – wydaje się znacznie bardziej poruszony ode mnie – ale mam to gdzieś.

– Dlaczego nie miałyby być w porządku? – pytam.

– Sprawiała pani wrażenie, no nie wiem, zdezorientowanej? Dobrze się pani czuje? Mogę przynieść wody, jeśli nie chce pani kawy.

Patrzę na kubek przede mną. Nie jest mój. Mężczyzna przygląda mi się bez słowa.

– Jasne – mówię, zgadzając się na wodę. Owijam kosmyk włosów wokół palca i rozglądam się po pokoju. Zimny, bezbarwny, stół, cztery ściany. Niewiele tego, nie ma na czym zawiesić oka. Nic nie świadczy o tym, gdzie właściwie jestem. Nic poza tym facetem przede mną odzianym w mundur. To ewidentnie gliniarz. I wtedy widzę zdjęcia na stole.

– No dalej – mówię. – Przynieś mi wody.

Wstaje i szybko wraca, stawia kubek na stole przede mną.

– Proszę mi opowiedzieć – mówi. – Co się stało, kiedy wyprowadziła pani psy na spacer?

– Jakie psy? – pytam. Zawsze lubiłam psy. Ludzi nie cierpię, ale psy owszem.

– Pani psy, doktor Foust.

Słyszając to, wybucham donośnym śmiechem. To idiotyczne, oburzające. Jak mógł pomylić mnie z Sadie? To zestawienie mnie obraża. Zupełnie nie jesteśmy do siebie podobne: różne kolory włosów, oczu, wiek. Sadie jest stara, ja nie. Czy facet oślepl, że tego nie dostrzega?

– Proszę. – Odgarniam kosmyk za ucho. – Nie obrażaj mnie.

Facet prawie podskakuje.

– Słucham?

– Powiedziałaś, żebyś mnie nie obrażał.

– Przepraszam, doktor Foust, ja... – przerywam mu, bo strasznie mnie wkurza, że zwraca się do mnie jak do Sadie, do doktor Foust. Sadie chciałaby być mną. Ale nie jest.

– Przestań mnie tak nazywać – warczę.

– Nie chce pani, żeby nazywać ją doktor Foust?

– Nie.

– No to jak mam mówić? – pyta. – Wolałaby pani, gdybym mówił Sadie?

– Nie! – Z oburzeniem kręcę głową. – Mów mi po imieniu.

Mruży oczy, skupiając na mnie wzrok.

– Zdawało mi się, że masz na imię Sadie. Jesteś Sadie Foust.

– No to źle ci się zdawało.

Przygląda mi się, powoli wymawiając każde słowo.

– Skoro nie jesteś Sadie, to kim?

Wyciągam do niego rękę, mówię, że nazywam się Camille. Ściskam mu dłoń, zimną, oklapłą. Rozgląda się po pokoju, pyta, gdzie jest Sadie.

– W tej chwili jej tu nie ma – mówię. – Musiała wyjść.

– Ale przed chwilą tu była.

– Tak – odpowiadam. – Lecz teraz jej nie ma. Jestem tylko ja.

– Przepraszam, nie rozumiem – przyznaje, wcześniej pytając, czy dobrze się czuję, czy nic mi nie jest, zachęcając, żebym wypila wodę.

– Czuję się świetnie. – Jednym haustem opróżniam szklankę. Zgrzałam się i chce mi się pić.

– Doktor Foust...

– Camille – przypominam, szukając wzrokiem jakiegoś zegara, żeby sprawdzić, która godzina, ile czasu straciłam.

– No dobrze, Camille. – Pokazuje mi jedno ze zdjęć ze stołu, to, na którym leży Morgan pokryta własną krwią, z otwartymi oczami, martwa. – Czy coś ci o tym wiadomo?

Nie odpowiadam. Nie mogę jeszcze wszystkiego ujawnić.

Sadie

Jestem sama w pokoju, siedzę na krześle podsuniętym do ściany. Nie ma tu wielu mebli, tylko dwa krzesła i drzwi zamknięte na klucz. Wiem, bo próbowałam już wyjść. Próbowałam przekręcić gałkę, ale nawet nie drgnęła, w końcu zastukałam, zaczęłam walić w nie pięściami, wzywając pomocy. Ale na próżno. Nikt nie przyszedł.

Teraz drzwi otwierają się lekko, do środka wchodzi kobieta, trzyma w dłoni filiżankę. Podchodzi do mnie, na podłodze stawia teczkę i sadowi się na drugim krześle, naprzeciw mnie. Nie przedstawia się, lecz zaczyna mówić, jakbyśmy już się znały, jakbyśmy spotkały się wcześniej. Zadaje mi pytania, osobiste i bardzo wścibskie; najeżam się, siedząc na krześle, i cofam. Dlaczego wypytuje mnie o matkę, ojca, dzieciństwo, jakąś kobietę o imieniu Camille, której w ogóle nie znam? Przez całe życie nie spotkałam nikogo o takim imieniu. Ale ona patrzy na mnie z niedowierzaniem. Najwyraźniej uważa, że ją znam. Opowiada mi rzeczy, które nie są prawdą. O mnie i moim życiu. Denerwuję się i spinam, gdy to mówi.

Pytam, jak może twierdzić, że wie o mnie to wszystko, skoro nawet ja sama tego nie wiem. To z pewnością robota funkcjonariusza Berga. Przysłał ją tutaj, żeby ze mną pomówiła, bo w jednej chwili przesłuchiwał mnie w swoim pokoiku, a w następnej znalazłam się tutaj, choć nie mam pojęcia, która godzina, jaki jest dzień i nie pamiętam, co się wydarzyło. Jak się tu znalazłam, na tym krześle, w tym pokoju? Czy weszłam tu sama, czy też mnie zaciągnęli?

Kobieta oznajmia, iż ma powody sądzić, że cierpię na zaburzenie dysocjacyjne tożsamości. Że alternatywne osobowości – nazywa je altami – od czasu do czasu przejmują kontrolę nad moimi myślami i zachowaniem. Twierdzi, że przejmują kontrolę nade mną.

Oddycham głęboko i zbieram się w sobie.

– To niemożliwe – odpowiadam. – A do tego kompletnie śmieszne. – Unoszę wysoko ręce. – Czy funkcjonariusz Berg to pani powiedział? – Zaczynam wpadać w złość, przestaję nad sobą panować. – Czy Berg nie cofnie się przed niczym, byle

tylko oskarżyć mnie o zabójstwo Morgan Baines? To nieprofesjonalne, nieetyczne, a nawet nielegalne – warczę, pytając, kto kieruje śledztwem, żebym mogła pomówić z tą osobą.

Kobieta nie odpowiada na żadne z moich pytań, zamiast tego zadaje jedno.

– Czy zdarzają się pani okresy utraty przytomności, doktor Foust? Mija pół godziny, godzina, których pani nie pamięta?

Nie mogę zaprzeczać, choć próbuję. Mówię, że nigdy się to nie zdarzyło. Lecz jednocześnie nie pamiętam, jak się tu znalazłam. W tym pokoju nie ma okien. Nie da się określić pory dnia, ale widzę tarczę zegarka kobiety, do góry nogami, lecz wskazówki pokazują około drugiej pięćdziesiąt, choć nie mam pojęcia, rano czy po południu. Tak czy siak, to nie ma znaczenia, bo wiem doskonale, że kiedy weszłam do siedziby policji, była dziesiąta, góra jedenasta rano. Co oznacza, że minęły cztery bądź szesnaście godzin, których nie pamiętam.

– Przypomina pani sobie? Rozmawiałyśmy dziś wcześniej?

Odpowiedź brzmi *nie*, nie pamiętam żadnej rozmowy, ale mówię, że owszem, twierdząc, że doskonale wszystko pamiętam. Tyle że nigdy nie umiałam kłamać.

– Nie pierwszy raz rozmawiamy – oznajmia kobieta. Domyśliłam się już z jej pytań, choć nie oznacza to, że wierzę. Nie oznacza to, że wszystkiego sobie nie wymyśliła. – Ale kiedy ostatnio tu byłam, nie rozmawiałam z panią, doktor Foust. Rozmawiałam z kobietą o imieniu Camille – dodaje i opisuje arogancką, gadatliwą młodą kobietę, Camille, żyjącą wewnątrz mnie wraz z wycofanym dzieckiem.

Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś równie idiotycznego. Mówi, że dziecko nie odzywa się zbyt często, ale lubi rysować. Że obie rysowały dziś razem obrazki. Pokazuje mi, wyciągając z teczki kartkę. I znów to widzę, tym razem naszkicowane ołówkiem na kartce wyrwanej z notatnika: rozczłonkowane ciało, kobietę, nóż, krew. Rysunek Ottona, taki sam jak te, które znajdowałam w domu.

– Ja tego nie narysowałam – mówię. – To mój syn.

Ale ona zaprzecza.

– Nie.

Ma inną teorię na temat tego, kto to narysował. Twierdzi, że to dzieło dziecięcego altu żyjącego we mnie. Słyszając tę absurdalną teorię, śmieję się w głos, bo jeśli jakiś dziecięcy alt żyjący we mnie to narysował, to twierdzi, że ja

narysowałam ten obrazek. Że ja narysowałam obrazki na strychu i w korytarzu i zostawiłam je w domu, żebym sama mogła je znaleźć.

Nie narysowałam tego. Nie narysowałam żadnych obrazków. Bo przecież bym pamiętała.

– To nie mój obrazek – oznajmiam.

– Oczywiście, że nie – odpowiada i przez ułamek sekundy myślę, że mi uwierzyła, póki nie dodaje: – Niedokładnie pani. Nie Sadie Foust. W ZDT osobowość pacjenta się rozpada. Rozszczepia. Fragmenty tworzą odrębne tożsamości, każda ma własne imię, wygląd, płeć, wiek, pismo, sposób mówienia i tak dalej.

– W takim razie jak ona się nazywa? – rzucam wyzywająco. – Skoro z nią pani rozmawiała, rysowała z nią rysunki, to jak się nazywa?

– Nie wiem. Jest nieśmiała, Sadie. Te rzeczy wymagają czasu.

– Ile ma lat?

– Sześć.

Dodaje, że dziewczynka lubi rysować i kolorować. Lubi się bawić lalkami. Ma też ulubioną zabawę; ta kobieta bawiła się z nią po to, żeby bardziej ją otworzyć. Nazywa to terapią zabawową, w tym właśnie pokoju trzymały się za ręce i obracały w kółko. Kiedy obu porządnie zakręciło się w głowie, przestały. Zastygły w miejscach niczym posągi.

– Nazywała to zabawą w posąg – informuje kobieta – bo musiały trwać w bezruchu, dopóki jedna się nie przewróciła.

Próbuję wyobrazić sobie to, co mi mówi. Wyobrażam sobie dziecko wirujące z kobietą, tyle że ów dziecięcy alt – jeśli mam jej wierzyć – to wcale nie dziecko. To ja. Na tę myśl się rumienię. Ja, trzydziestodziewięcioletnia kobieta, trzymałam się za ręce i obracałam w pokoju z drugą dorosłą kobietą, zamierając niczym posągi. Absurdalny pomysł. Nie mogę nawet znieść myśli o tym.

Dopóki nagle nie przypominam sobie słów Tate'a – *Zabawa w posąg, zabawa w posąg!* – i czuję bolesne ukłucie.

Mamusia to kłamczucha! Wiesz, jak się w to bawić, ty kłamczucho!

– Przeciętnie osoby cierpiące na ZDT mają w sobie około dziesięciu altów – informuje mnie kobieta. – Czasem więcej, czasem mniej. Czasem nawet setkę.

– A niby ile ja mam? – pytam, bo jej nie wierzę. Bo to tylko skomplikowane oszustwo mające oczernić mnie, mój charakter, ułatwić przypisanie mi winy za zabójstwo Morgan.

– Jak dotąd poznałam dwa – odpowiada.

– Jak dotąd?

– Może ich być więcej. Zaburzenie dysocjacyjne tożsamości często zaczyna się od znęcania w bardzo młodym wieku. Alternatywne osobowości powstają, by sobie z tym poradzić. Służą różnym celom: ochronie gospodarza, występowaniu w jego obronie, przemawianiu zamiast niego, przechowywaniu bolesnych wspomnień.

I gdy tak mówi, wyobrażam sobie siebie z pasożytami wewnątrz. I myślę o ptaku, bąkojadzie, który zjada robactwo z grzbietu hipopotama. Kiedyś uważano to za związek symbiotyczny, dopóki naukowcy nie uświadomili sobie, że bąkojady to tak naprawdę ptasie wampiry wybijające dziury w skórze, by pić krew hipopotamów. Czyli jednak nie takie symbiotyczne.

– Proszę mi opowiedzieć o swoim dzieciństwie, doktor Foust.

Mówię, że nie pamiętam większości dzieciństwa, w istocie prawie nic do czasu, gdy miałam jedenaście lat.

Kobieta tylko patrzy na mnie bez słowa, czekając, aż sama dodam dwa do dwóch.

– Czy zdarzają się pani zaćmienia, doktor Foust?

Ale zaćmienia to tymczasowe utraty poczucia czasu, wywoływane przez spożycie alkoholu, ataki epilepsji, spadek poziomu cukru we krwi.

– Nie miałam zaćmienia przez cały okres dzieciństwa. Po prostu nie pamiętam.

– To typowe w przypadkach ZDT – oznajmia po chwili milczenia kobieta. – Dysocjacja to sposób oderwania się od traumatycznych przeżyć. Metoda radzenia sobie z nimi – powtarza, jakby nie mówiła tego chwilę wcześniej.

– Proszę mi opowiedzieć o tej kobiecie. – Próbuje przyłapać ją na kłamstwie, z pewnością wcześniej czy później sama sobie zaprzeczy. – Tej Camille.

Mówi, że istnieją różne typy altów. Alty oskarżyciele, obrońcy. Jeszcze nie ustaliła, kim jest owa młoda kobieta, bo czasami mnie broni, ale częściej opowiada o mnie z nienawiścią. Jest nadąsana, poirytowana. Wściekła i agresywna. To miłość połączona z nienawiścią. Nie cierpi mnie, ale też chce być mną. Dziewczynka w ogóle nie wie, że istnieję.

– Funkcjonariusz Berg pozwolił sobie sprawdzić parę rzeczy – ciągnie. – Pani matka zmarła w połogu, zgadza się?

Odpowiadam, że tak, z powodu rzucawki. Ojciec nigdy o tym nie wspominał, ale sądząc po tym, jak na każde wspomnienie jej imienia oczy zachodziły mu łzami, to musiało być dla niego okropne przeżycie. Utrata jej i samotne wychowywanie dziecka.

– Kiedy miała pani sześć lat, pani ojciec powtórnie się ożenił – mówi kobieta.

– Nieprawda. Zawsze byliśmy tylko we dwójkę – protestuję.

– Mówiła pani, że nie pamięta swojego dzieciństwa, pani doktor – przypominam mi rozmówczyni, ale powtarzam jej to, co pamiętam: miałam jedenaście lat, mieszkaliśmy z ojcem w mieście, jeździł pociągiem do pracy, wracał piętnaście, szesnaście godzin później pijany.

– Pamiętam – powtarzam, choć nie pamiętam, co było wcześniej, ale chciałabym wierzyć, że zawsze wyglądało to tak samo.

Kobieta wyciąga z teczki dokumenty i informuje mnie, że w roku, kiedy skończyłam sześć lat, mój ojciec poślubił niejaką Charlotte Schneider. Mieszkaliśmy wtedy w Hobart, w stanie Indiana. Ojciec pracował jako sprzedawca w niewielkiej firmie. Trzy lata później, gdy miałam dziewięć lat, ojciec i Charlotte się rozwiedli. Różnice nie do pogodzenia.

– Co może mi pani powiedzieć o swojej macosze?

– Nic – mówię. – Pani się myli. Funkcjonariusz Berg się myli. Nie miałam żadnej macochy, zawsze byliśmy z ojcem we dwoje.

Pokazuje mi zdjęcie: ojciec, ja i jakaś obca, lecz piękna kobieta, stoimy przed domem, którego nie znam. Jest mały, z niewielkim piętrem, otoczony gęstą kępą drzew. Na podjeździe samochód. Nie rozpoznaję go. Ojciec wygląda młodziej, niż go zapamiętałam, jest przystojniejszy, pełen życia. Nie patrzy w obiektyw, lecz z ukosa na kobietę. Na twarzy ma szczery, autentyczny uśmiech – to dziwne, ojciec rzadko się uśmiechał. Na zdjęciu ma też gęste, ciemne włosy, nie dostrzegam zygzakowatych linii, które później rozchodziły się wokół oczu i przecinały policzki.

Kiedy byłam mała, ojciec wymyślił dla mnie przydomek. Nazywał mnie Myszką, bo należałam do nerwowych dzieci, z częstymi tikami i wciąż marszczyłam nos jak mysz.

– Już wcześniej pokazałam pani to zdjęcie. Dziecięcy alt nie przyjął go dobrze, sprawiło, że dziewczynka uciekła do kąta i zaczęła wściekle bazgrać na kartce. Narysowała to. – Podnosi rysunek, który widziałam wcześniej, rozczłonkowane ciało, plamę krwi. – Mniej więcej w czasie, gdy miałaś dziesięć lat, twój ojciec wystąpił o zakaz zbliżania się dla macochy. Sprzedał dom w Indianie, przeniósł się z tobą do Chicago, zaczął pracę w domu towarowym. Pamiętasz to? – pyta. Ale nie. A przynajmniej nie wszystko.

– Muszę wracać do rodziny – mówię. – Na pewno się martwią, zastanawiają, gdzie jestem. – Kobieta wyjaśnia, że rodzina wie, gdzie jestem.

Wyobrażam sobie Willa, Ottona i Tate'a w domu beze mnie. Ciekawe, czy śnieg przestał sypać, czy promy znów pływają, czy Will dotarł do domu na czas, by odebrać Tate'a ze szkoły. Myślę o Ottonie, samym w domu, gdy policja zjawiała się, żeby zabrać ścierkę i nóż.

– Czy mój syn tu jest? Czy mój syn, Otto, tu jest? – pytam.

Czy w ogóle wciąż przebywam w siedzibie policji, czy też zabrali mnie gdzie indziej? Rozglądam się dokoła, widzę pozbawiony okien pokój, ścianę, dwa krzesła, podłogę. W żaden sposób nie potrafię stwierdzić, gdzie się znalazłam.

– Gdzie ja jestem? – pytam kobietę. – Kiedy będę mogła wrócić do domu?

– Mam jeszcze tylko kilka pytań – odpowiada. – Im szybciej to załatwimy, tym prędzej wyjdiesz. Kiedy zjawiałaś się na posterunku, powiedziałaś funkcjonariuszowi Bergowi, że w domu masz zakrwawioną ścierkę i nóż.

– Owszem – przyznaję. – Zgadza się.

– Funkcjonariusz Berg posłał kogoś do was. Dokładnie przeszukano cały dom, nie znaleziono żadnego z tych przedmiotów.

– Oni się mylą! – podnoszę głos, skacze mi ciśnienie i czuję ból między oczami, tępy, przejmujący ból. Naciskam na to miejsce, patrząc, jak pokój wokół mnie zaczyna rozmywać się i wirować. – Widziałam je oba, wiem na pewno, że tam były. Policja nie szukała dość dokładnie – nalegam, bo wiem, że mam rację. Ścierka i nóż tam były. Nie wyobraziłam ich sobie.

– Jest jeszcze coś, doktor Foust – mówi kobieta. – Pani mąż zgodził się, by policja przeszukała dom. Znaleźli tam zaginioną komórkę pani Baines. Może pani wyjaśnić, skąd wzięła się w waszym domu i dlaczego nie oddała jej pani policji?

– Nie wiedziałam, że tam jest – odpowiadam obronnym tonem, wzruszam ramionami i mówię, że nie potrafię tego wyjaśnić. – Gdzie ją znaleźli? – pytam z nadzieją, że w telefonie znajdzie się odpowiedź na pytania o zabójstwo Morgan.

– O dziwo, ładującą się na kominku.

– Co? – pytam wstrząśnięta i wtedy przypominam sobie martwy telefon. Założyłam, że należał do Alice.

– Spytaliśmy pani męża, mówił, że jej tam nie położył. Czy to pani położyła komórkę na kominku, doktor Foust?

Odpowiadam, że owszem.

– Co pani robiła z telefonem pani Baines?

To mogę wyjaśnić, choć brzmi niewiarygodnie. Opowiadam, jak znalazłam komórkę Morgan w swoim łóżku.

– Znalazła pani komórkę pani Baines w łóżku? Pani mąż twierdzi, że bywa pani zazdrosna. Nieufna. Że nie znosi pani, kiedy rozmawia z innymi kobietami.

– To nieprawda – ucinam, zła na Willa, że mógł powiedzieć coś takiego. Za każdym razem, gdy oskarżałam go o zdradę, miałam powody.

– Czy była pani zazdrosna o związek męża z panią Baines?

– Nie – mówię, ale rzecz jasna kłamię, byłam nieco zazdrosna. Niepewna siebie. Po wydarzeniach z przeszłości miałam prawo. Próbuję jej to wytłumaczyć, opowiadam o przeszłości Willa, o jego romansach.

– Czy sądziła pani, że mąż i pani Baines mają romans?

Prawdę mówiąc, faktycznie tak myślałam. Przez jakiś czas. Ale nigdy bym nic z tym nie zrobiła, a teraz wiem, że to nie był romans, lecz coś sięgającego głębiej. Willa i Morgan łączyła więź, związek z dawną narzeczoną. Tą, której, jak twierdził, nie kochał wcale bardziej niż mnie. Jakoś jednak mu nie wierzę.

Sięgam ponad stołem i biorę ją za rękę.

– Musi mi pani uwierzyć, w żaden sposób nie skrzywdziłam Morgan Baines.

Kobieta cofa rękę.

Nagle czuję się, jakbym opuściła własne ciało, patrzę, jak inna ja siedzi zgarbiona na krześle.

– Wierzę pani, doktor Foust – mówi kobieta. – Nie sądzę, by Sadie to zrobiła – dodaje, choć jej głos staje się coraz bardziej stłumiony, jakbym się oddalała, tonęła

w wodzie. A potem pokój znika mi z oczu.

Will

Wpuszczają mnie do pokoju. Jest tam Sadie. Siedzi na krześle, zwrócona do mnie plecami. Lekko garbi ramiona, twarz ukrywa w dłoniach. Z boku wygląda na jakieś dwanaście lat, włosy ma potargane i posklejane, ma na sobie piżamę.

Postanawiam działać ostrożnie.

– Sadie? – pytam łagodnym tonem, bo może to ona, a może i nie. Póki lepiej się jej nie przyjrzę, nie wiem, z kim mam do czynienia. Fizyczny wygląd się nie zmienia. Zawsze ma ciemne włosy i piwne oczy, tę samą szczupłą figurę, tę samą cerę i nos. Zmiana ogranicza się do zachowania i postawy. Widać ją w sposobie, w jaki stoi i chodzi. I jak mówi, w doborze słów, tonie głosu. A także w zachowaniu: czy jest agresywna, czy skromna, zdołowana, czy wulgarna, wyluzowana, czy przewrażliwiona. Czy zaczyna mnie podrywać, czy kuli się w kącie, płacząc, jak mała, tęskniąca za tatusiem dziewczynka, za każdym razem, kiedy jej dotknę.

Moja żona to kameleon.

Patrzy na mnie. Jest w rozsypce. W oczach ma łzy, co oznacza, że to albo dziecko, albo Sadie. Bo Camille nigdy nie płacze.

– Myślałam, że ją zabiłam, Will.

Sadie.

W głosie Sadie brzmi panika, jak zawsze jest nadwrażliwa. Wstaje z krzesła, podchodzi bliżej i przywiera do mnie mocno, zarzuca mi ręce na szyję, lepi się do mnie. W zwykłych okolicznościach tak się nie zachowuje, ale teraz jest w desperacji. Myśli, że jak zwykle zrobię to, o co mnie prosi. Ale nie tym razem.

– Och, Sadie. – Gładzę jej włosy, jak zawsze zachowuję się życzliwie. – Ty cała drżysz. – Odsuwam ją na odległość ręki.

Doskonale opanowałem sztukę empatii. Kontakt wzrokowy, uważne słuchanie. Zadawaj pytania, unikaj ocen. Mógłbym to robić przez sen. Odrobina płaczu też nie zaszkodzi.

– Mój Boże. – Trzymam ją dostatecznie długo, by sięgnąć po chusteczkę, którą wcześniej wsadziłem do kieszeni, tą z dostateczną ilością mentolu, by wywołać łzy. Ocieram nią oczy i znów chowam do kieszeni, pozwalając, by popłynęły swobodnie. – Berg pożałuje dnia, kiedy cię tak potraktował. Nigdy nie widziałem cię tak zdenerwowanej. – Tulę jej twarz w dłoniach, przytrzymuję. – Co oni ci zrobili?

Kiedy w końcu się odzywa, jej głos brzmi piskliwie. Wpadła w panikę, widzę to w jej oczach.

– Myślę, że zabiłam Morgan. Że zrobiłam to z zazdrości o nią i o ciebie. Nie jestem zabójczynią, Will – dodaje. – Wiesz przecież. Musisz im powiedzieć.

– Oczywiście, Sadie. Oczywiście, że tak – kłamię jak zawsze, jej rycerz w lśniącej zbroi. To się robi nudne. – Powiem im – dodaję, choć wcale nie mam zamiaru. Nie jestem przekonany, czy powinienem dla niej przeszkadzać wymiarowi sprawiedliwości, choć Sadie sama w sobie nikogo by nie zabiła. Do tego przydaje się Camille.

Prawdę mówiąc, lubię Camille o wiele bardziej niż Sadie. Kiedy pierwszy raz mi się objawiła, myślałem, że Sadie mnie nabiera. Ale nie. To było autentyczne. I niemal zbyt dobre, by mogło być prawdziwe. Bo odkryłem, że wewnątrz mojej żony kryje się pełna życia, nieposkromiona kobieta. Kobieta, która zachwyciła mnie o wiele bardziej niż ta, którą poślubiłem. Zupełnie jakbym w kopalni natrafił na żyłą złota.

Wiem, kiedy następuje przemiana. Widziałem to zbyt wiele razy i orientuję się, gdy to się dzieje. Tyle że nigdy nie wiem, kto się pojawi, kiedy mutacja dobiegnie końca. Czy będę miał do czynienia z motylem, czy z żabą.

– Musisz mi uwierzyć – błaga.

– Ależ wierzę, Sadie.

– Chyba próbują mnie zrobić – dodaje. – Ale mam przecież alibi, Will. Kiedy ją zamordowano, byłam z tobą. Obwiniają mnie o coś, czego nie zrobiłam! – krzyczy i znów podchodzę do niej, ujmuję jej uroczą główkę w moje dłonie i powtarzam, że wszystko będzie dobrze.

Wzdryga się nagle, bo coś sobie przypomina.

– Berg twierdził, że do niego zadzwoniłaś. Mówił, że zadzwoniłaś i cofnęłaś swoje zeznanie co do tamtej nocy. Według niego powiedziałaś, że nie byłam wtedy

z tobą. Że wyszłam z psami. Że nie wiesz, gdzie się podziałam. Skłamałeś, Will.

– Tak ci powiedzieli? – pytam z oburzeniem. Pozwalam, by usta mi się otworzyły, oczy zaokrągliły, kręcę głową. – Oni kłamią, Sadie. Wygadują kłamstwa, próbują napuścić nas na siebie. To taktyka. Nie możesz wierzyć w ich słowa.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Morgan była siostrą Erin? – pyta, zmieniając temat. – Ukryłeś to przede mną. Zrozumiałabym, Will. Zrozumiałabym, dlaczego chcesz się zbliżyć do kogoś, kogo kochała Erin. Gdybyś tylko mi powiedział. Wspierałabym cię – mówi i to śmieszne, bo miałem Sadie za mądrzejszą. Nie umie dodać dwa do dwóch.

Nie potrzebowałem nawiązać kontaktu z Morgan. Potrzebowałem go zerwać. Nie wiedziałem, że mieszka na wyspie, kiedy się tu wprowadziliśmy. Gdybym wiedział, nie przyjechalibyśmy.

Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy od dziesięciu lat. Mogłem odpuścić, ale Morgan wciąż rozdrapywała stare rany. Groziła, że doniesie. Powie Sadie, co zrobiłem. Zostawiła dla niej zdjęcie Erin. Znalazłem je pierwszy i schowałem w ostatnim miejscu, do którego Sadie mogła zajrzeć.

W ów wieczór, kiedy pozbawiłem Erin życia, Morgan była tylko durną smarkulą. Słyszała, jak się kłócimy, bo Erin zadurzyła się w jakimś fiucie ze szkoły. Wróciła, żeby zerwać zaręczyny, próbowała oddać mi pierścionek. Nie było jej tylko parę miesięcy, ale do czasu przerwy świątecznej woda sodowa zdążyła uderzyć jej do głowy. Miała się za lepszą ode mnie. Należała do bractwa, a ja wciąż mieszkałem w domu i chodziłem do miejscowego college'u.

Morgan próbowała wygadać prawdę, powiedzieć wszystkim, że słyszała naszą kłótnię poprzedniego wieczoru. Ale nikt, kto znał moją wersję, nie uwierzyłby dziesięciolatce. I świetnie zagrałem rolę zrozpaczonego chłopaka. Byłem wzorcowo załamany. A nikt nie wiedział, że Erin spotykała się z kimś nowym. Powiedziała o tym tylko mnie.

Dowody – burza, gołoledź na drogach, kiepska widoczność – wydawały się niezbite. Podjąłem stosowne środki ostrożności. Kiedy ją znaleźli, nie dostrzegli żadnych zewnętrznych oznak przemocy. Żadnych śladów walki. Uduszenie niezwykle trudno wykryć, a z powodu warunków pogodowych nie zbadali też jej krwi. Nikt nie przypuszczał, że Erin mogła umrzeć z powodu potężnej dawki

xanaxu w organizmie i uduszenia, bo naciągnąłem jej na głowę foliowy worek. Gliny niczego nie wykryły. Nie wpadli na to, że kiedy umarła, ściągnąłem jej worek z głowy, że przełożyłem ciało Erin na fotel kierowcy, wrzuciłem bieg i patrzyłem, jak jej trup wpada do stawu. A potem wróciłem pieszo do domu, wdzięczny za śnieg, który zasypał moje ślady. Nie, myśleli tylko o łodzi na szosie, lewej stopie Erin, niezaprzeczalnym fakcie, że w poślizgu spadła z drogi wprost do lodowatej wody – choć przecież można było temu zaprzeczyć. Bo nie tak się to zdarzyło.

Morderstwo z premedytacją. To niemal zbyt łatwe. I uszło mi na sucho.

Żyłem dalej, poznałem Sadie, zakochałem się, ożeniłem. I tu pojawia się Camille. Zadbła o mnie w sposób, w jaki Sadie nie potrafiła. Nie wyobrażałem sobie rzeczy, które robiła dla mnie przez te wszystkie lata. Morgan nie była pierwszą kobietą, którą dla mnie zabiła. Bo trzeba pamiętać o Carrie Laemmer, mojej studentce, która oskarżyła mnie o molestowanie seksualne.

– Mówią, że przeszłam dysocjację – odzywa się Sadie. – Że jestem tylko jedną z wielu części. Że wewnątrz mnie żyją inni ludzie. To idiotyczne. Bo skoro ty, mój mąż, tego nie zauważyłeś, to jak mogli oni?

– To jedna z wielu rzeczy, które w tobie kocham. Twoja nieprzewidywalność. Co dzień jesteś inna. Uwierz mi, Sadie, nigdy nie byłaś nudna. Po prostu nie potrafiłem tego nazwać – mówię, choć to oczywiście kłamstwo. Od wieków wiedziałem, z czym mam do czynienia. I nauczyłem się to wykorzystywać.

– Wiedziałaś? – pyta wstrząśnięta.

– To dobra rzecz, Sadie. Działa na twoją korzyść, nie rozumiesz? Policja nie uważa, że ty zabiłaś Morgan. Sądzą, że zrobiła to Camille. Możesz twierdzić, że jesteś niewinna, powołać się na chorobę psychiczną. Nie trafisz do więzienia.

Sadie jęczy, kompletnie się załamuje. To bardzo miły widok.

– Ale odeślą mnie do zakładu psychiatrycznego, Will. Nie będę mogła wrócić do domu!

– To przecież lepsze niż więzienie, prawda? Wiesz, jakie rzeczy zdarzają się w więzieniu?

– Ale Will – rzuca z desperacją – nie jestem szalona.

Cofam się o krok. Ruszam do drzwi, bo z nas dwojga tylko ja mogę stąd wyjść. Kryje się w tym władza. Odwracam się i patrzę na nią, moja twarz się zmienia, obojętnie, bo udawanie empatii zaczyna mnie męczyć.

– Nie jestem szalona – powtarza Sadie.

Gryzę się w język. Bo po co miałbym kłamać?

Sadie

Jakiś czas po wyjściu Willa do pokoju przychodzi funkcjonariusz Berg. Drzwi zostawia otwarte. Znam swoje prawa. Żądam adwokata. Ale on tylko wzrusza ramionami bez szczególnego przekonania.

– Nie ma potrzeby – mówi, bo mnie wypuszczają. Nie mają dowodów, które pozwoliłyby mnie zatrzymać. Narzędzie zbrodni i ścierka, którą ponoć widziałam, zniknęły. Aktualna teoria brzmi tak, że wymyśliłam jedno i drugie po to, by zmylić śledczych. Ale tego też nie potrafią dowieść. Twierdzą, że zabiłam Morgan. Że przemieniłam się w jedną z wersji mnie i ją zamordowałam. Lecz zanim policja mnie aresztuje, potrzebuje mieć jakiś motyw. Muszą dysponować czymś więcej niż tylko podejrzeniami. Nawet zeznanie pana Wilsona nie dość mnie obciąża, bo nie umieszcza mnie na miejscu zbrodni. Podobnie telefon komórkowy w moim domu. To wszystko poszlaki.

Wszystko to wydaje mi się takie nierzeczywiste. Istnieją części mojego życia, o których nic nie wiem, łącznie z tamtą nocą. Całkiem prawdopodobne, że zamordowałam tę biedaczkę – a przynajmniej uczyniła to któraś wersja mnie – chociaż nie mam pojęcia dlaczego. Przypominam sobie zdjęcia, które pokazał mi Berg, i z trudem tłumię płacz.

– Chciałaby pani, żebyśmy zadzwonili po męża? – pyta Berg, ale mówię, że nie.

Prawdę mówiąc, jestem trochę zła, że Will zostawił mnie samą na posterunku. Choć pogoda wciąż jest fatalna, muszę uporządkować myśli. Odetchnąć świeżym powietrzem.

Funkcjonariusz Berg proponuje, że mnie odwiezie, ale znów odmawiam. Mam dosyć jego towarzystwa. Zaczynam zdejmować płaszcz, który mi dał, ale mnie powstrzymuje; mówi, żebym go zatrzymała. Odbierze go innym razem. Na dworze jest ciemno, słońce już zaszło. Świat spowiła biel, lecz śnieg przestał już padać. Po ulicy wolno toczą się samochody, reflektory manewrują pośród zasp, opony skrzypią na ubitym śniegu. Nikt go nie uprzętnął.

Na nogach mam kapcie i choć daleko im do porządnych butów, to są wełniane, obszyte sztucznym futrem, które tylko chłonie wilgoć, przez co stopy robią się mokre, czerwone, pozbawione czucia. Moje włosy nie widziały dziś grzebienia, nie mam pojęcia, jak wyglądam, zapewne jak klasyczna wariatka.

Wędrując kilka przecznic do domu, próbuję uporządkować ostatnich kilka godzin mojego życia. Zostawiłam Ottona samego ze ścierką i nożem. Policja zjawiała się, by ich poszukać. Kiedy przybyli, przedmioty zniknęły, ktoś coś z nimi zrobił. Zmierzając w stronę naszej ulicy, pochylam głowę i prę naprzód; ręce splatam w węzeł na piersi dla osłony przed ostrym wiatrem. Podmuchy wciąż wzbijają w powietrze kłęby śniegu z ziemi. Na ulicy zamrzły kałuże, ślizgam się i wywracam, raz, drugi, trzeci. Dopiero za trzecim razem jakiś dobry samarytanin pomaga mi wstać; wyraźnie ma mnie za pijaną. Pyta, czy może zadzwonić po kogoś, żeby mnie odebrał, ale jestem już prawie w domu. Muszę tylko wdrapać się naszą ulicą i robię to niezgrabnie. Kiedy docieram do domu, przez okno widzę Willa. Siedzi na kanapie przy rozpalonym kominku. Nogi ma skrzyżowane, rozmyśla. Tate gania po pokoju promiennie uśmiechnięty, Will łapie go i łaskocze po brzuchu ze śmiechem. Tate wyrywa mu się i pędzi na górę, z dala od Willa, znikając w części domu, której już nie widzę. Will wraca na kanapę, splata ręce za głową i odchyła się, wyraźnie zadowolony.

W górnych oknach, u Ottona i Imogen, palą się światła; te dwa pokoje wychodzą na ulicę, choć zasłony mają spuszczone. Widzę jedynie lśniące zarysy okien, choć zaskakuje mnie, że nawet Imogen jest w domu. O tej porze rzadko w nim bywa.

Z zewnątrz dom wygląda sielsko i idyllicznie, tak jak pierwszego dnia, gdy tu przybyliśmy. Dach i drzewa pokrywa śnieg. Trawnik także iskrzy się bielą. Chmury już się rozeszły i księżyc oświetla bajkową scenę. Kłęby dymu z paleniska ulatują z komina, i choć na zewnątrz świat skuwa mróz, w środku dom wygląda ciepło i przytulnie.

W tej scenie niczego nie brakuje, jak gdyby Will i dzieci zapomnieli już o mnie. Nikt nie dostrzega mojej nieobecności. Lecz sam fakt, że niczego nie brakuje, sprawia, iż instynkt podpowiada mi, że coś jest nie tak.

Will

Drzwi otwierają się gwałtownie. Staje na progu, potargana wiatrem, niechłujnie ubrana.

Miło ze strony Berga, że mnie uprzedził, iż ją wypuścili. Ukrywam swoje zdumienie, zrywam się z miejsca, idę do niej i ujmuję jej zmarzniętą twarz w dłoń.

– Och, dzięki Bogu! – rzucam, obejmując ją, i wstrzymuję oddech, bo okropnie cuchnie. – W końcu zmądrzeli – dodaję, ale Sadie traktuje mnie chłodno, odsuwa się, mówi, że ją tam zostawiłem, że ją porzuciłem. Wszystko to brzmi bardzo dramatycznie.

– Ależ nic podobnego! – odpowiadam, licząc na jej słabość, tendencję do gubienia rachuby czasu. Sadie nie pamięta mniej więcej jednej czwartej prowadzonych rozmów. Dla mnie to wspaniała cecha, dla współpracowników i tym podobnych niezwykle irytująca. Utrudnia też Sadie zaprzyjaźnienie się z kimś, bo przez to wydaje się wyniosła i rozchwiana emocjonalnie.

– Powiedziałem przecież, że wrócę, gdy tylko dopilnuję, żeby dzieci były bezpieczne – mówię. – Nie pamiętasz? Kocham cię, Sadie. Nigdy bym cię nie porzucił.

Kręci głową. Nie pamięta. Bo to nigdy nie miało miejsca.

– Gdzie są dzieci? – pyta, szukając ich wzrokiem.

– W swoich pokojach.

– Kiedy zamierzałeś wrócić?

– Dzwoniłem, próbując znaleźć kogoś, kto posiedziałyby z dziećmi. Nie chciałem ich zostawiać samych całą noc.

– Dlaczego mam ci wierzyć? – pyta niczym niewierny Tomasz. Chce sprawdzić moją komórkę, zobaczyć, do kogo dzwoniłem, i tylko dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu na liście najnowszych telefonów są numery, których Sadie nie zna. Przypisuję im imiona. Andrea, koleżanka. Samantha, doktorantka.

– Dlaczego nie miałabyś mi wierzyć? – odparowuję, grając ofiarę.

Słyszymy, jak Tate na górze skacze na łożku. Cały dom jęczy.

Sadie kręci głową, wyraźnie wyczerpana.

– Sama już nie wiem, w co wierzyć.

Pociera dłonią czoło, próbując wszystko rozgryźć. Ma za sobą koszmarne dzień, nie rozumie, jakim cudem nóż i ścierka po prostu zniknęły. Pyta mnie wrogim, napiętym tonem, wyraźnie szuka powodu do kłótni.

Wzruszam ramionami i odpowiadam pytaniem.

– Nie wiem, Sadie. Jesteś pewna, że je widziałaś? – Bo odrobina zwodzenia nigdy nie zaszkodzi.

– Widziałam! – Desperacko pragnie, żebyśmy jej uwierzył.

Teraz, kiedy włączyła się policja, robi się niezły bałagan, w odróżnieniu od ostatniego razu, gdy wszystko poszło tak gładko. Zwykle załatwiam takie sprawy czysto. Weźmy na przykład Carrie Laemmer. Wystarczyło tylko poczekać, żeby zjawiała się Camille, i podsunąć jej pomysł. Camille jest podatna na sugestie, tak samo jak Sadie. Tyle że Sadie nie przejawia skłonności do przemocy. Mogłem to załatwić sam, ale po co, skoro miałem kogoś, kto zrobi to za mnie? Wypląkiwałem oczy, opowiadałem o groźbach Carrie, o tym, że oskarżyła mnie o molestowanie seksualne. Mówiłem, że chciałbym, aby po prostu zniknęła i zostawiła mnie w spokoju. Jeśli Carrie spełni groźby, stracę wszystko: karierę, reputację. Zabiorą mnie, wsadzą do więzienia. Ona próbuje zniszczyć mi życie, oznajmiłem; próbuje zniszczyć nasze życie.

Nie prosiłem Camille wprost, żeby ją zabiła. A jednak po kilku dniach Carrie już nie żyła. Wyglądało to tak, że pewnego dnia biedna Carrie Laemmer zaginęła. Zorganizowano szeroko zakrojone poszukiwania, ludzie powtarzali, że poprzedniej nocy była na imprezie studenckiej i sporo wypiła. Wyszła sama, potykając się, pijana spadła ze schodków werandy na oczach grupki imprezowiczów. Współlokatorka Carrie wróciła dopiero rano i odkryła łożko nietknięte. Carrie nie dotarła do domu.

Kamery ochrony w kampusie zarejestrowały, jak potykając się, mija bibliotekę, upada na środku ścieżki. To nie było w stylu Carrie, która zwykle miała mocną głowę, tak przynajmniej twierdzili studenci oglądający nagrania z kamer. Jakby

wysoka tolerancja alkoholu była czymś, czym należy się chwalić. Jej rodzice byliby dumni, wiedząc, co kupili za pięćdziesiąt tysięcy dolców rocznie.

W nagraniach jednak pojawiały się przerwy, czarne dziury, miejsca, których kamery nie sięgały. Tego wieczoru byłem na spotkaniu wykładowców, ludzie mnie widzieli. Nie żeby ktokolwiek mnie podejrzewał, bo wtedy, w odróżnieniu od obecnego przypadku, wszystko poszło śpiewająco. I nic nie wypłynęło. Niezamierzona gra słów.

Niedaleko kampusu znajdował się kanał, na którym trenowali uniwersyteccy wioślarze. Woda miała ponad trzy metry głębokości, zanieczyszczona ściekami, tak przynajmniej powtarzano w mieście. Brzegiem kanału wiodła wysadzana drzewami ścieżka dla biegaczy. Po trzech dniach tam właśnie znalazła się Carrie, w kanale. Policja czasem nazywa takich topielców splawikami, ze względu na to, w jakim stanie ich znajdują – ciało unoszące się na powierzchni, ciężka głowa ściągająca je w dół.

Przyczyna śmierci: przypadkowe utonięcie. Wszyscy wiedzieli, że była pijana i chwiała się na nogach. Wszyscy to widzieli. Łatwo zatem założyć, że po pijaku wpadła do kanału. Opłakiwali ją studenci, składali kwiaty na brzegu kanału pod drzewem. Jej rodzice przyjechali z Bostonu; zostawili na miejscu misia Carrie, ulubioną zabawkę z dzieciństwa.

Camille twierdziła, że Carrie w ogóle nie szamotała się w wodzie. Ani razu nie jęknęła, nie wzywała pomocy. Przez chwilę niespokojnie kołysała się na powierzchni. W końcu jej usta się zanurzyły, wychyliły ponad powierzchnię i znów zniknęły. Jakiś czas pływała z uniesioną głową, patrząc szklistymi pustymi oczami.

Camille twierdziła, że jeśli nawet próbowała kopać, to ona tego nie zauważyła.

Trwało to niemal minutę, potem zanurzyła się i bezdźwięcznie zniknęła pod wodą.

Opis Camille brzmiał wyjątkowo mało dramatycznie jak na utonięcie. Rozczarowująco. Wręcz nudnie, jeśli chcecie znać moje zdanie. Tym razem miałem pecha, że Sadie pierwsza zabrała pranie. Byłem nieostrożny. Tamtej nocy z Morgan przemiana z Camille na Sadie nastąpiła zbyt szybko, pozostawiając mi sprzątnięcie bałaganu. Jej ubranie spaliłem, nóż zakopałem. Nie liczyłem, że Sadie zainteresuje się praniem. Bo niby czemu? Nigdy nie robi prania. Nie miałem też

pojęcia, że Camille zabrała wisiołek Morgan, póki nie zobaczyłem go tego ranka na blacie w kuchni.

Camille powinna była bardziej uważać, gdzie staje tamtej nocy. Powinna była przewidzieć rozbryzg krwi. To w końcu nie jej pierwsze rodeo. Ale wróciła do domu cała zakrwawiona i to ja musiałem ją powycierać, i zostawić odciski palców na nożu i ścierce. Nie mogłem pozwolić, żeby policja je znalazła.

Sadie masuje dłonią twarz.

– Po prostu nie wiem już, w co wierzyć – powtarza.

– To był długi dzień. Stresujący. A ty nie zażyłaś tabletek – mówię.

Nagle to do niej dociera. Poszła do łóżka bez tabletek. Zapomniała o nich dziś rano. Wiem, bo wciąż leżą tam, gdzie je zostawiłem.

To dlatego się tak czuje: nie panuje nad sobą, jak zawsze kiedy nie weźmie swoich leków. Sięga po nie z zapalem, połyka, wiedząc, że niebawem znów poczuje się normalnie.

Niemal wybucham śmiechem, bo te tabletki nic nie robią. Wszystko dzieje się w głowie Sadie. Efekt placebo. Ponieważ sądzi, że zażycie pigułki w naturalny sposób sprawi, iż poczuje się lepiej. Boli cię głowa? Łyknij tylenol. Katar? Sudafed.

Można by sądzić, że jako lekarka będzie rozsądniejsza.

Puste kapsułki kupiłem w sieci. Napełniłem je skrobią kukurydzianą, zastępując te przepisane przez lekarza. Sadie grzecznie je łyka, ale czasami marudzi, że przez nie czuje się zmęczona i otepiała, bo tak właśnie powinny działać.

Czasem tak łatwo jej coś wmówić.

Przyrządzam Sadie obiad, nalewam kieliszek wina, sadzam ją przy stole, a kiedy je, rozcieram brudne zimne stopy. Są pokryte plamami i poszarzałe. Zasypia przy stole tak zmęczona, że śpi na krześle. Ale trwa to najwyżej sekundę.

– Jak zdołałeś wrócić do domu w tę burzę? Otto mówił, że zatrzymano promy – pyta oszołomiona, gdy się budzi, bełkocząc ze zmęczenia.

Tyle pytań. Tyle pierdolonych pytań.

– Taksówką wodną.

– O której godzinie?

– Sam nie wiem. Akurat, żeby odebrać Tate'a.

Zaczyna być bardziej świadoma, mówi coraz wyraźniej.

– Zatrzymali dzieci w szkole przez cały dzień? Nawet podczas burzy?

– Dopóki rodzice ich nie odebrali.

– Czyli pojechałeś prosto do szkoły, tak? Nie wróciłeś najpierw do domu?

Odpowiadam, że nie. Widzę, że usiłuje ułożyć w głowie jakąś chronologię, i zastanawiam się dlaczego. Mówię, że popłynąłem taksówką wodną na wyspę, odebrałem Tate'a, wróciłem do domu. A potem pojechałem po nią na policję. Tylko część z tego to prawda.

– Gdzie był Otto, kiedy wróciłeś? – dopytuje.

Będę ją musiał uciszyć. Bo tylko jej ciekawość stoi pomiędzy mną a wolnością.

Sadie

Stoję w sypialni, grzebiąc w szufladach, szukam czystej piżamy, żeby się przebrać. Muszę wziąć prysznic. Bolą mnie stopy, nogi mam posiniaczone. Ale to nieważne, bo umysł zaprzętają mi poważniejsze sprawy. Czuję się, jakbym wyszła z własnego ciała. To, co się dzieje, nie może mnie spotykać. Obracam się nagle, świadoma, że nie jestem już sama. To niemal metafizyczne uczucie, coś, co przebiega mi po kręgosłupie.

Otto bez zapowiedzi wchodzi do pokoju – nie ma go, a potem już jest. Podskakuję, gdy zjawia się tak nagle, i unoszę dłoń do serca. Podchodzę do niego, teraz widzę wyraźnie objawy choroby. Nie kłamał. Faktycznie jest chory. Kaszle w dłoń, oczy ma puste, lśniące od gorączki.

Przypominam sobie naszą ostatnią rozmowę, gdy oskarżył mnie, że wsadziłam mu nóż do plecaka. Jeśli to, co mówi policjantka, to prawda, ja tego nie zrobiłam. Ale część mnie zwana Camille, owszem. Ogarnia mnie przejmujące poczucie winy. Otto nie jest mordercą. Całkiem możliwe, że w odróżnieniu ode mnie.

– Gdzie byłaś? – pyta, a potem znów kaszle, tym razem w jego głosie słyszę wyraźną chrypkę.

Will nie powiedział dzieciom, gdzie jestem. Nie powiedział im, że nie wrócę do domu. Jak długo zamierzał czekać, nim ich uprzedzi? Jak by to wytłumaczył, jakimi słowami przekazałby naszym dzieciom, że zostałam aresztowana? A gdyby spytali dlaczego, co by rzekł? Że ich matka to morderczyni?

– Po prostu wyszłaś – dodaje i widzę tkwiące w nim nadal dziecko. Pewnie bał się, wpadł w panikę, że nie może mnie znaleźć.

– Musiałam coś załatwić – odpowiadam ogólnikowo.

– Myślałem, że tu jesteś. Nie wiedziałem, że wyszłaś, póki nie zobaczyłem taty na dworze.

– Widziałeś, jak wrócił z Tate'em? – Wyobrażam sobie małego sedana Willa przebijającego się przez śnieg. Nie mam pojęcia, jakim cudem mu się udało.

Ale Otto mówi, że nie, że to było, zanim Tate wrócił do domu, że wkrótce po rozmowie w salonie zmienił zdanie. Był głodny. Uznał, że jednak zje tosta. Mówi, że zszedł na dół, żeby mnie znaleźć. Ale mnie nie było. Szukał mnie i dostrzegł Willa odgarniającego śnieg na podwórku. Ale Otto się myli. To mnie, nie Willa zobaczył na dworze.

– To byłem ja – mówię. – Próbowałam zawołać psy do domu. – Nie wspominam mu o nożu.

Dopiero teraz rozumiem, co musiało się wydarzyć wtedy, w Chicago. Camille wsadziła nóż do plecaka Ottona. Historia, którą mi opowiedział o tamtej nocy, schodach przeciwpożarowych i o tym, jak go przekonałam, żeby zadźgał kolegów, to nie były halucynacje. Z perspektywy Ottona wyglądała dokładnie tak, jak ją opisał, ponieważ zobaczył mnie.

I te wstrząsające rysunki, dziwne lalki. To też nie był Otto, tylko ja.

– To był tato – mówi teraz, kręcąc głową.

Orientuję się, że drżą mi ręce, pocą się dłonie, ocieram je o nogawki pizamy i raz jeszcze pytam Ottona, co powiedział.

– Tato tu był – powtarza. – Na podwórku. Odgarniał śnieg.

– To na pewno był twój ojciec?

– A dlaczego nie? – Wyraźnie zirytowały go moje pytania. – Wiem, jak wygląda tato – dodaje.

– Oczywiście, że wiesz. – Kręci mi się w głowie, brakuje tchu. – I jesteś pewien, że widziałeś go na podwórzu?

Tak się cieszę, że ze mną rozmawia. Po wyznaniach tego przedpołudnia dziwię się, że to robi. Przypominam sobie jego słowa: *Nigdy ci nie wybaczę*. I czemuż miał wybaczyć? Ja sama nie wybaczę sobie tego, co mu zrobiłam.

Otto kiwa głową.

– Jestem pewien – oświadcza głośno.

Will odgarniał śnieg z trawnika? Kto, u licha, odgarnia śnieg z trawnika? I nagle uświadamiam sobie, że Will nie odgarniał śniegu. On kopał w śniegu, szukając noża. Ale skąd miałby wiedzieć o nożu? Powiedziałam o nim tylko funkcjonariuszowi Bergowi. I wtedy w mojej głowie pojawia się odpowiedź, wstrząsając mną do głębi.

Will mógł wiedzieć o nożu tylko, jeśli to on go tam ukrył.

Will

Sadie szybko dostrzega coraz liczniejsze dziury w mojej historii. Wie, że ktoś w tym domu zabił Morgan. Wie, że to mogła być ona. Wystarczy trochę powęszyc i wkrótce odkryje – jeśli jeszcze tego nie odkryła – że to ja jestem lalkarzem pociągającym za sznurki. A wtedy powie Bergowi. Nie pozwolę na to. Wcześniej się jej pozbędę.

Po posiłku poszła na górę, żeby się umyć przed snem. Jest zmęczona, ma skołatane nerwy. Dziś wieczór niełatwo zaśnie.

A choć pigułki, które zażywa, to placebo, nie oznacza to, że te, które odbieram w aptece – i zachowuję na czarną godzinę – nie są prawdziwe. Wystarczy zmieszać je z odrobiną wina i *voilà*, śmiertelny koktajl.

Najlepsze jest to, że stan psychiczny Sadie został dobrze udokumentowany jeszcze przed naszym przyjazdem do Maine. Dodajmy do tego odkrycia tego dnia i łatwo uwierzyć, że mogła sama się zabić. Morderstwo upozorowane na samobójstwo. Jej słowa, nie moje.

Znajduję pigułki na górnej półce w szafce. Zgniatam je szybko w mózdzierzu, wcześniej odkręcam kran, żeby zagłuszyć hałas. Tabletki niełatwo rozpuścić, ale mam swoje sposoby. Sadie nigdy nie odmawia kieliszka wina po zażyciu leków, choć powinna wiedzieć, że jedno drugiemu nie służy. Spodziewam się problemów z oddychaniem. Ale kto wie? Przy śmiertelnym przedawkowaniu może pojawić się wiele różnych objawów.

W myślach szkicuję list samobójczy. Łatwo go będzie sfalszować. *Nie mogę dłużej ze sobą żyć. Nie mogę ciągnąć tego dalej. Zrobiłam coś okropnego.*

Po śmierci Sadie zostanę sam, z chłopcami i Imogen. To spore poświęcenie dla mojej rodziny, bo tylko Sadie jako jej żywicielka ma polisę ubezpieczeniową. Widnieje w niej klauzula dotycząca samobójstwa głoścąca, że firma nie wypłaci odszkodowania, jeśli Sadie zabije się w ciągu dwóch lat od wykupienia polisy. Nie wiem, czy minęły już dwa lata. Jeśli tak, dostaniemy w sumie pięćset tysięcy

dolarów. Na tę myśl czuję dreszczyk podniecenia. Jak wiele mógłbym kupić za pół miliona. Zawsze chciałem zamieszkać na barce.

Jeśli wykupiła polisę później niż dwa lata temu, nie dostaniemy nic.

Ale pocieszam się, że nawet wtedy Sadie nie umrze na próżno. Jej śmierć wciąż ma sporą wartość – przede wszystkim mnie uwolni. Po prostu nie będą jej towarzyszyć zyski finansowe.

Na moment przestaję rozgniatać pigułki, bo myśl ta mnie zasmuca. Zastanawiam się, czy może nie lepiej byłoby odłożyć samobójstwo Sadie do czasu, aż zajrzę do polisy. Bo szkoda byłoby stracić pół miliona dolarów.

Ale potem zmieniam zdanie i upominam się w milczeniu. Nie powinienem być tak chciwy, tak materialistyczny. Są przecież ważniejsze rzeczy.

Po wszystkim, co zrobiła Sadie, nie mogę pozwolić, by moi synowie żyli pod jednym dachem z potworem.

Sadie

Po co Will miałby zakopywać nóż na podwórku? Jaki miałby powód, by go wykopać i ukryć przed policją? Skoro zabrał nóż, to czy ścierkę także? I naszyjnik?

Will mnie okłamał. Powiedział, że odebrał Tate'a ze szkoły i wrócił do domu, a było odwrotnie. Will wiedział o mojej przypadłości, o tym, że czasem przemieniam się w kogoś innego, i mi nie powiedział. Skoro zdawał sobie sprawę, że potencjalnie mogę kryć w sobie gwałtowną osobowość, dlaczego nie zapewnił mi pomocy? Nigdy nie byłaś nudna, powiedział. Cóż za płytka, powierzchowna uwaga w obliczu tego, co teraz wiem.

Will coś ukrywa. Zdaje się, że Will ukrywa całkiem sporo.

Zastanawiam się, gdzie jest teraz nóż. Gdzie są ścierka i naszyjnik. Jeśli policja dokładnie przeszukała dom, to znaczy, że ich tu nie ma. Są gdzie indziej. Chyba że Will miał je przy sobie podczas rewizji, a potem schował. Bo w takim razie wciąż mogą tu być.

Jeśli jednak to ja zabiłam Morgan, po co Will miałby ukrywać te przedmioty? Czy próbował mnie chronić? Raczej wątpię.

Zastanawiam się nad tym, co powiedział funkcjonariusz Berg, że Will zadzwonił do niego i odwołał moje alibi z tamtej nocy. Powiedział, że nie było mnie z nim w czasie, gdy zabito Morgan.

Czy Berg kłamał, tak jak twierdzi Will, czy próbował nastawić nas przeciw sobie?

A może wszystko wydarzyło się tak, jak mówił? Czyżby Will mnie obciążał?

Przywołuję wszystko, co mi wiadomo na temat zabójstwa Morgan. Nóż do filetowania. Listy z groźbami. *Nic nie wiesz. Jeśli komuś powiesz, zginiesz. Obserwuję cię.* Owszem, okazuje się to pomocne, ale prowadzi do niewyobrażalnych wniosków. Bo nie mogę pozbyć się myśli o tym, że Morgan i Erin były siostrami. To najbardziej obciążający ze wszystkich dowodów. Ponieważ obie nie żyją.

Mój umysł gubi się pośród wspomnień dnia naszego ślubu, dni, gdy powitaliśmy na świecie nasze dzieci. Sam pomyśl, że Will, ten łagodny, pełny współczucia Will, którego wszyscy lubią, którego znam przez pół życia, mógłby być zabójcą, paraliżuje mnie. Zaczynam płakać. Ale to cichy płacz, bo musi taki być. Przyciskam dłoń do ust, opieram się o ścianę pokoju, żeby nie upaść. Dławię go w sobie, zamykam gdzieś w środku. Moim ciałem wstrząsają konwulsje. Z oczu płyną strumienie łez.

Nie mogę pozwolić, by ktoś mnie usłyszał. Żeby ktoś mnie zobaczył. Uspokajam się, czując smak obiadu Willa, gdy podchodzi mi do gardła. Dzięki Bogu tam zostaje.

Teraz wiem, że Will był zamieszany w zabójstwo Morgan, ponieważ miał też udział w morderstwie Erin. W morderstwie, a nie strasliwym nieszczęśliwym wypadku. Ale dlaczego zabił Morgan? Wracam pamięcią do listów z groźbami. Najwyraźniej wiedziała coś i nie chciał, by zdradziła to reszcie świata.

Ponieważ wciąż jest nad dole, zaczynam szukać w pokoju zaginionych przedmiotów: noża, ścierki, naszyjnika Morgan. Will jest zbyt sprytny, żeby ukryć je w oczywistych miejscach, na przykład pod materacem czy w szufladzie komody.

Idę do szafy. Sprawdzam jego ubrania, szukając ukrytych kieszeni. Nic.

Opadam na kolana i zaczynam pełzać po podłodze. Zrobiono ją z szerokich desek, być może pod jedną kryje się tajemny schowek? Obmacuję je palcami, szukając obluzowanej deski. Wzrokiem szukam subtelnych różnic w wysokości, ziarnie drewna. Nic nie rzuca mi się w oczy. Przykucnięta zastanawiam się szybko, omiatam wzrokiem pokój. Gdzie Will mógłby ukryć coś przede mną, gdyby chciał? Rozważam meble, kratkę wywietrznika, wykrywacz dymu. Mój wzrok wędruje do gniazdek elektrycznych, rozmieszczonych pośrodku każdej ze ścian, w sumie czterech. Wstaję z podłogi i zaczynam grzebać w komódce, pod łóżkiem, za zasłonami – i wtedy zauważam piąte gniazdko, przycupnięte za ciężką kotarą. Nie pasuje do pozostałych tkwiących dokładnie pośrodku, zostało zamontowane asymetrycznie w sposób, który według mnie zupełnie nie ma sensu, zaledwie pół metra w lewo od drugiego. W dodatku po bliższym przyjrzeniu się wygląda nieco inaczej niż reszta, choć niczego niepodejrzewający obserwator nigdy by nie zauważył. Tylko ktoś, kto głęboko wierzy, że mąż ma coś do ukrycia.

Oglądam się na drzwi. Nasłuchuję, sprawdzając, czy Will nie wchodzi na górę. Korytarz jest ciemny i pusty, ale nie do końca cichy, dziś wieczorem Tate wciąż

hałasuje.

Znów poruszam się na czworakach. Nie mam śrubokręta, toteż wciskam w śrubę paznokiec kciuka. Kręcę i kręcę, wyginając paznokiec, odrywając go, aż palec mi krwawi. W końcu śruba wychodzi i gniazdko, zamiast odpaść do ściany, otwiera się, ukazując maleńki sejf. W środku nie ma noża, ścierki ani naszyjnika, zamiast tego widzę rulon banknotów, głównie studolarówek. Podliczam je szybko na oko i tracę rachubę po kilku tysiącach dolarów. Palec krwawi mi na banknoty, serce wali w piersi.

Po co Will miałby ukrywać w ścianie pieniądze? Dlaczego miałby chować je przede mną? Nic więcej tam nie ma. Nie odkładam na miejsce zawartości sejfu, chowam ją w mojej szufladzie komody. Opuszczam zasłonę, wstaję z podłogi, przyciskam dłoń do ściany, by nie upaść. Świat wokół mnie wiruje.

Kiedy odzyskuję panowanie nad sobą, wychodzę cicho z sypialni i kieruję się na dół. Wstrzymuję oddech. Zagryzam mocno wargę, pokonując kolejne stopnie.

Kiedy zostaje ich tylko kilka, słyszę, jak Will nuci wesołą piosenkę. Jest w kuchni i chyba zmywa, bo w zlewie leje się woda. Skręcam do gabinetu, naciskam kłamekę i delikatnie zamykam drzwi za sobą, pilnując, by zamek nie szczęknął. Nie zamykam ich na klucz, to wzbudziłoby podejrzenia, gdyby Will znalazł mnie w gabinecie za zamkniętymi drzwiami.

Najpierw sprawdzam historię wyszukiwania. Nic tam nie ma. Wszystko usunięto, nawet wcześniejsze ślady dotyczące śmierci Erin. Zniknęło. Ktoś usiadł po mnie do komputera i pozbył się historii, podobnie jak noża i ścierki.

Otwieram wyszukiwarkę, wpisuję imię i nazwisko Erin i sprawdzam, co zdołam znaleźć. Ale wyniki są takie same jak wcześniej: szczegółowe relacje na temat burzy i jej wypadku. Teraz widzę, że nigdy nie przeprowadzono śledztwa w sprawie jej śmierci, uznano ją za wypadek ze względu na okoliczności, głównie pogodę. Sprawdzam nasze finanse. Nie rozumiem, dlaczego Will miałby chować aż tyle pieniędzy w ścianach domu. To on opłaca rachunki. Nie zwracam na nie szczególnej uwagi, chyba że zostawi je na wierzchu, abym sama zobaczyła. Poza tym przychodzą i znikają bez mojej wiedzy.

Wchodzę na stronę banku. Hasła do wszystkich kont są niemal identyczne, różne wariacje na temat imion Ottona i Tate'a oraz ich dat urodzenia. Rachunek bieżący i oszczędnościowy wyglądają w porządku. Zamykam stronę i sprawdzam

konta emerytalne, oszczędności na college dla chłopców, karty kredytowe. Nic nie wydaje się podejrzanym.

Słyszę, jak Will mnie woła. Jego kroki na schodach, szuka mnie.

– Jestem tutaj! – odkrzykuję w nadziei, że nie usłyszy drżenia mego głosu.

Nie zamykam programu, zamiast tego wpisuję kolejne wyszukiwanie: zaburzenie dysocjacyjne tożsamości. Kiedy wchodzi do pokoju i pyta, mówię, że próbuję dowiedzieć się czegoś więcej na temat mojej choroby. Jeszcze nie rozmawialiśmy o tym, że on wiedział, a ja nie. To kolejna rzecz, jaką przede mną ukrywał. Ale teraz, gdy o niej wiem, mam nowy powód do zmartwienia – w każdej chwili mogę po prostu zniknąć, a moje miejsce zajmie ktoś inny.

– Nalałem ci szklaneczkę malbecu – oznajmia mój mąż, stając w drzwiach gabinetu. W dłoni trzyma lampkę wina. Wchodzi do pokoju, wolną ręką gładzi moje włosy. Gdy to robi, czuję mrowienie skóry i nadludzkim wysiłkiem powstrzymuję się przed cofnięciem. – Skończył się cabernet – dodaje. Wie, że to moje ulubione wino. Malbec jest dla mnie zdecydowanie za gorzki, ale dziś wieczór to nie ma znaczenia. Dziś wypiłabym wszystko.

Zerkam przez ramię na stronę: wylądowałam na ogólnym portalu medycznym, który wymienia objawy i leczenie.

– Mam nadzieję, że nie jesteś zła, że ci nie powiedziałem – mówi zamiast przeprosin. – Wiem, że ciężko byś to zniosła. A poza tym sama całkiem nieźle sobie radziłaś. Miałem na ciebie oko, pilnowałem, by nic się nie stało. Gdybym kiedykolwiek przypuszczał, że pojawią się problemy...

Nagle urywa, unoszę wzrok ku niemu.

– Dziękuję – mówię, mając na myśli wino, a on odstawia lampkę na blat.

– Po wszystkim, przez co dziś przeszłaś, uznałem, że przyda ci się kropla alkoholu.

Z całą pewnością mi się przyda, bo może mnie uspokoi i wyciszy. Sięgam po lampkę i unoszę do ust, wyobrażając sobie, że ma działanie znieczulające, gdy ścieknie mi w głąb gardła i otępi zmysły. Ale ręka mi się trzęsie, toteż natychmiast odstawiam kieliszek. Nie chcę, by Will zobaczył, jak bardzo się denerwuję.

– Nie przejmuj się tym zanadto. – Dwoma ciepłymi dłońmi rozmasowuje mi ramiona i kark, ręce ma pewne, palce naciskają mi skórę głowy, przesuwają się

między włosami, ugniatają podstawę czaszki, w której zwykle pojawiają się bóle napięciowe.

– Sam też trochę posprawdzałem – oznajmia Will. – Najczęściej zalecanym leczeniem jest psychoterapia. Nie istnieje żaden lek, który mógłby to uleczyć. – Zupełnie jakbym zachorowała na raka.

Myślę sobie: skoro tak dużo wie, dlaczego nigdy wcześniej nie zaproponował mi psychoterapii? Może dlatego, że w przeszłości chodziłam do terapeutów. Może, ponieważ błędnie sądzi, że wciąż jestem pod ich opieką. A może po prostu nie chciał, żebym wydobrzała.

– Rano obmyślimy plan działań – obiecuje Will. – Ale najpierw porządnie się wyśpij.

Cofa ręce, staje z boku fotela i jednym szybkim ruchem obraca go, tak że patrzę na niego. Nie podoba mi się to, jak wielką ma nade mną władzę. Czeka chwilę, a potem opada na kolana. Patrzy mi w oczy.

– Wiem, że to był okropnie ciężki dzień – mówi czule. – Jutro będzie lepszy, dla nas obojga.

– Czy na pewno? – pytam.

– Tak. Obiecuję – odpowiada.

A potem obejmuje mi twarz dłońmi, przesuwa ustami po moich, miękko, delikatnie, jakby tak łatwo było mnie poskromić. Mówi, że poza mną świata nie widzi. Że kocha mnie bardziej, niż potrafi wyrazić słowami.

Z góry dobiega łoskot. Tate zaczyna krzyczeć. Spadł z łóżka. Will cofa się, zamyka oczy, po chwili wstaje. Skinieniem głowy wskazuje lampkę wina.

– Zawołaj, gdybyś chciała jeszcze.

Wychodzi i dopiero wtedy oddycham głęboko. Słyszę jego kroki na schodach, głos nawołujący Tate'a po drodze.

Will

Choć Sadie to kobieta inteligentna, o wielu rzeczach nie ma pojęcia i mnóstwa nie wie. Na przykład tego, że jeśli zaloguję się na jej konto Google'a z innego urządzenia – co robię teraz, w sypialni – mogę sprawdzić historię wyszukiwania.

Stanowczo coś kombinuje. Węszy na stronie banku. Oczywiście nic nie znajdzie. Ale znalazła inne rzeczy. To krew ją zdradziła, gdy wszedłem do sypialni parę minut temu: cztery krople krwi na podłodze, od drzwi do zasłony. Podszedłem zatem, zajrzałem za nią, przekonałem się, że zewnętrzna pokrywa gniazdka tkwi nieco krzywo. Otworzyłem sejf. Pieniądze zniknęły.

Chciwa krowa, pomyślałem. Co z nimi zrobiła?

Teraz, kiedy Sadie znalazła pieniądze, wkrótce domyśli się, że okradałem fundusz powierniczy Imogen. Dziewczyna jest nieznośna, ale warto zatrzymać ją wyłącznie dla niego. Powoli sam buduję sobie niezły kapitalik. Według historii wyszukiwania Sadie sprawdzała także w sieci Erin i Morgan. Łączyła kropki. Może nie jest tak głupia, jak sądziłem.

Kładę Tate'a do łóżka. Jest nadąsany po upadku. Daję mu benadryl, mówię, że pomoże na główkę. Podaję odrobinę więcej niż zalecana dawka, bo nie chcę, żeby dziś się obudził.

Całuję go w głowę w bolące miejsce. Tate prosi o bajkę na dobranoc i opowiadam mu. Nie martwię się. Nieważne, co znajdzie Sadie, nic jej to nie da, kiedy wypije wino.

To tylko kwestia czasu.

Sadie

Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby zadzwonić do funkcjonariusza Berga i powiedzieć, co odkryłam. Nie uwierzy mi. Ale i tak muszę powiedzieć, bo wtedy będzie zmuszony to sprawdzić.

Od rana nie widziałam własnej komórki. Ostatnio leżała w kuchni, w tym samym miejscu, co telefon stacjonarny. Tam zatem muszę pójść. Ale myśl o opuszczeniu gabinetu mnie przeraża. Bo jeśli Will zabił Erin, może zabić i mnie.

Kilka razy oddycham głęboko i wychodzę. Staram się zachowywać nonszalancko, niosę lampkę wina, na wszelki wypadek zabieram też nóż do otwierania listów, dostatecznie ostry. Wsuwam go za pasek spodni od piżamy, boję się, czy nie wypadnie.

Po drugiej stronie drzwi jestem odsłonięta. W domu panuje dziwny spokój i mrok. Dzieci śpią. Nikt nie życzył mi dobrej nocy.

W kuchni pali się światło. Niezbyt jasne, tylko nad kuchenką. Zbliżam się do niego niczym ćma do lampy na werandzie, z całych sił starając się uwolnić od wrażenia, że Will jest tuż za mną, że mnie obserwuje, że tu jest.

Jeżeli zabił Erin, to jak to zrobił? W ataku wściekłości czy z premedytacją? A co z Morgan? Jak dokładnie umarła?

Czuję, jak nóż do listów wsuwa się głębiej za spodnie. Podciągam go. Ręce mi dygoczą i przy okazji rozlewam wino, zanadto przechylając lampkę. Oblizuję krawędź szklanki, zaciskam wargi, gorzki trunek zupełnie mi nie smakuje. Mimo to pociągam kolejny łyk, zmuszam się, by go przełknąć, choć do oczu napływają mi łzy. Zaskakuje mnie dźwięk dobiegający zza pleców. Odwracam się i widzę tylko pogrążony w cieniu przedpokój, niewyraźną jadalnię. Zamieram zapatrzona, czekając na jakiś ruch, na dźwięk. W starym domu jest tyle mrocznych kątów, tyle miejsc, w których można się ukryć.

– Will – mówię cicho, spodziewając się, że odpowie, ale nikt nie odpowiada. Nikogo tu nie ma, a przynajmniej tak mi się zdaje. Wstrzymuję oddech,

nasłuchując kroków, oddechów. Nic. W głowie budzi się tępy ból, narastający z każdą chwilą, i czuję, jak robi mi się gorąco. Skóra pod pachami i między nogami się lepi. Pociągam kolejny łyk wina, próbując uspokoić nerwy. Tym razem nie smakuje tak paskudnie. Przywykam do gorzkości.

Widzę swoją komórkę na stole, szybko przechodzę przez pokój i podnoszę ją, tłumiąc krzyk, gdy okazuje się, że znów się rozładowała. Potrzeba paru minut, nim znów będę mogła z niej skorzystać. Istnieje jeszcze jedna opcja, telefon stacjonarny. Mamy aparat przewodowy, z którego można zadzwonić tylko tu, w kuchni. Muszę uwinąć się szybko.

Przechodzę przez kuchnię, podnoszę aparat, dość stary. Wizytówka funkcjonariusza Berga tkwi wciśnięta w uchwyt do listów na blacie. Cieszę się, bo bez komórki nie mam żadnych kontaktów. Wybieram wydrukowany na karcie numer i czekam desperacko, sącząc nerwowo wino ze szklanki, aż policjant odpowie.

Will

Idę za nią, kiedy przechodzi z pokoju do pokoju. Szuka mnie. Nie wie, że jestem tutaj, znacznie bliżej, niż sądzi. Teraz miota się w kuchni, ale kiedy słyszę terkot obracanej tarczy telefonu, wiem, że czas się wtrącić. Wchodzę do środka. Sadie odwraca się gwałtownie, patrzy na mnie wielkimi oczami. Wygląda jak spłoszona sarna, gdy przyciska słuchawkę do ucha. Ewidentnie sra po nogach ze strachu. Na linii włosów perli się pot, skórę ma bezbarwną, wilgotną, oddycha nierównomiernie. Praktycznie widzę serce walące jej w piersi jak u przerażonego małego ptaka. Na szczęście wypła już jedną trzecią wina.

Mam ją w garści. Ale czy ona o tym wie?

– Do kogo dzwonisz? – pytam spokojnie tylko po to, aby zobaczyć, jak usiłuje kłamać. Sadie nigdy nie potrafiła kłamać, teraz milczy jak głaz. To też wiele mówi, prawda? Stąd wiem, iż ona wie, że wiem. Mój ton się zmienia. Zmęczyła mnie ta zabawa. – Odłóż telefon, Sadie.

Nie słucha. Podchodzę bliżej, wrywam jej słuchawkę, odkładam na widełki. Próbuje ją przytrzymać, ale brak jej siły fizycznej. Bez trudu odzyskuję słuchawkę.

– To nie był najlepszy pomysł. – Teraz jestem wściekły.

Rozważam różne wyjścia. Jeśli wypła za mało, zmuszę ją, aby dokończyła wino. Ale krztuszenie się i wymioty mogłyby tylko zaszkodzić. Może załatwię to w inny sposób? Nie planowałem pozbycia się ciała, nie dziś w nocy, ale Berg równie łatwo uwierzy, że uciekła czy popełniła samobójstwo. Trochę bardziej męczące niż oryginalny plan, ale wciąż wykonalne.

Nie zrozumcie mnie źle. Kocham swoją żonę. Kocham swoją rodzinę. I czuję się bardzo rozdarty.

Ale to nieuniknione, konieczny efekt puszki Pandory, którą otworzyła Sadie. Gdyby tylko zostawiła wszystko w spokoju. To wyłącznie jej wina.

Sadie

Jestem oszołomiona. Zdezorientowana. Spanikowana. Bo Will się wścieka. Nigdy nie widziałam u niego podobnej furii. Nie znam mężczyzny, który przede mną stoi i przygważdża wzrokiem. Wygląda nieco podobnie do człowieka, którego poślubiłam, a jednak zupełnie inaczej. Rzuca krótkie, urywane słowa, w jego głosie brzmi wrogość. Wrywa mi z dłoni telefon i wtedy już wiem, że sobie tego nie wyobraziłam. Jeśli miałam jakieś wątpliwości, że Will odegrał rolę w śmierci Morgan, to już zniknęły. Will coś zrobił.

Cofam się, gdy on zbliża się ku mnie, wiedząc, że wkrótce dotknę plecami ściany. Muszę myśleć, i to szybko. Ale mój umysł działa ospale, sylwetka Willa rozmywa się mi w oczach. Widzę jego ręce, jak zbliżają się w zwolnionym tempie. I wtedy przypominam sobie o nożu do listów wetkniętym za pasek spodni. Sięgam po niego, ale ręce mi się trzęsą i zaplątują w gumkę, przez pomyłkę wypuszczają nóż, który ześlizguje się w głąb nogawki i ląduje na podłodze.

Will reaguje znacznie szybciej ode mnie. On nic nie pił. Ja czuję się pijana, alkohol działa na mnie mocniej niż zwykle. Will schyla się błyskawicznie, podnosi zręcznie nóż do listów z podłogi, kieruje go przed siebie.

– I co niby chciałaś z tym zrobić?

Słabe kuchenne światło odbija się od czubka stalowego ostrza. Will celuje nim we mnie, jakby rzucał mi wyzwanie, no co, wzdrygnij się, i faktycznie to robię. Reaguje ohydny drwiącym śmiechem.

Wydaje się nam, że dobrze znamy naszych najbliższych. A potem przeżywamy szok, odkrywając, że w ogóle ich nie znaliśmy. W swoim gniewie, wściekłości nie wygląda znajomo. Nie znam tego mężczyzny.

– Sądziłaś, że mnie tym zranisz? – pyta, uderzając się w dłoń, i widzę, że choć krawędź jest dostatecznie ostra, by przeciąć papier, to przytępiony czubek pozostawia na skórze jedynie czerwony ślad, nic poza tym. – Myślałaś, że mnie nim zabijesz?

Ledwie mogę mówić.

– Co zrobiłeś Morgan? – pytam, pozostawiając jego pytanie bez odpowiedzi.

Odpowiada wciąż ze śmiechem, że liczy się nie to, co on zrobił, ale co ja zrobiłam. Oczy mi zasychają, mrugam szybko kilka razy. To taki tik, nie mogę go powstrzymać.

– Nic nie pamiętasz, prawda? – Wyciąga rękę, żeby mnie dotknąć.

Cofam się szybko i uderzam głową w szafkę, ból promieniuje na całą czaszkę. Krzywię się, odruchowo unosząc rękę.

– Auć – rzuca protekcyjnym tonem. – To chyba zabolalo.

Opuszczam rękę. Nie dam mu satysfakcji i nie odpowiem. Myślę o wszystkich chwilach, gdy był taki czuły, taki usłużny. Will, którego znałam, pobiegłby po lód, gdybym zrobiła sobie krzywdę, pomógłby mi usiąść, przycisnął okład do bolącej głowy. Czy to była tylko gra?

– To nie ja zrobiłem coś Morgan, Sadie, tylko ty.

Ale ja tego nie pamiętam. I sama nie wiem, czy zabiłam Morgan, czy nie. To straszna rzecz nie wiedzieć, czy odebrało się komuś życie.

– Zabiłeś Erin – mówię, bo to jedyne, co przychodzi mi do głowy.

– Istotnie, to akurat zrobiłem – odpowiada, i choć już to wiem, jego przyznanie jeszcze wszystko pogarsza. Do oczu napływają mi łzy, czuję, że zaraz się rozplacę.

– Kochałeś Erin – ciągnę. – Chciałeś się z nią ożenić.

– To wszystko prawda – przyznaje. – Problem w tym, że Erin mnie nie kochała. A ja źle znoszę odrzucenie.

– Co takiego zrobiła ci Morgan?! – krzyczę, a on uśmiecha się złośliwie i przypomina, że to ja zabiłam Morgan.

– Co takiego zrobiła tobie? – drwi i mogę jedynie pokręcić głową w odpowiedzi.

– Nie chcę cię zanudzać szczegółami – mówi – ale Morgan była młodszą siostrą Erin i uczyniła swoją misją życiową obwinianie mnie o jej śmierć. Podczas gdy reszta świata widziała nieszczęśliwy wypadek, Morgan miała inne zdanie. I nie chciała zrezygnować. Wzięłaś sprawy we własne ręce, Sadie. Dzięki tobie wyszedłem z tego czysty jak łąza.

– Nic podobnego! – krzyczę.

Jest uosobieniem spokoju. Jego głos brzmi rzeczowo, nie urywanie jak mój.

– Ależ tak. Pamiętam chwilę, kiedy wróciłaś, byłaś tak dumna ze swojego wyczynu, miałaś mi tak wiele do powiedzenia, Sadie. Że Morgan nigdy już nie stanie między nami, bo się nią zajęłaś.

– Nie zabiłam jej – oświadczam.

Jego śmiech przypomina chichot.

– Ależ zabiłaś. I zrobiłaś to dla mnie. Nie sądzę, bym kiedykolwiek kochał cię bardziej niż tamtej nocy – uśmiecha się promiennie. – Ja powiedziałem tylko szczerą prawdę. Powiedziałem, co się ze mną stanie, jeśli Morgan spełni swoje groźby. Gdyby zdołała przekonać policję, że zabiłem Erin, trafiłbym do więzienia, i to na bardzo długo. Może na zawsze. Odebraliby mnie tobie, Sadie. Powiedziałem, że już byśmy się nie widywali, już nigdy nie moglibyśmy być razem. I że to wszystko wyłącznie wina Morgan. To Morgan była przestępczynią, nie ja. Powiedziałem to wszystko, a ty zrozumiałaś. Uwierzyłaś mi. – Jego twarz przybiera triumfalny wyraz. – Nigdy nie potrafiłabyś żyć beze mnie, prawda? – Patrzy na mnie pytająco, jak psychopata. – No co, Sadie? – dodaje, kiedy milczę. – Zapomniałaś języka w gębie?

Jego słowa, nonszalancja budzą we mnie furję, a śmiech jeszcze ją podsyca. I w końcu to ów śmiech, straszliwy, upiorny śmiech popycha mnie do działania. To samozadowolenie na twarzy Willa, sposób, w jaki tam stoi, z głową przekrzywioną, ociekający satysfakcją uśmiech. Will manipulował moją chorobą. Zmusił mnie do tego. Podsunął mi pomysł – części mnie zwanej Camille – wiedząc, że ta biedaczka, ta wersja mnie robi dla niego absolutnie wszystko. Bo tak bardzo go kochała. Bo chciała z nim być.

Naprawdę mi żal. I teraz naprawdę się wściekam.

Gniew napływa gdzieś z wnętrza mnie. Nie towarzyszy mu żadna świadoma myśl. Z całych sił rzucam się na Willa i natychmiast tego żałuję, bo choć chwije się na nogach, jest znacznie wyższy ode mnie, znacznie silniejszy, cięższy, no i nic nie pił. Popycham go, a on się cofa, ale nie pada na podłogę. Odsuwa się i przytrzymuje blatu, by odzyskać równowagę. A potem śmieje się jeszcze głośniej, drwiąc z mojego słabego ataku.

– To był zły pomysł – mówi.

Widzę na blacie drewniany stojak z nożami. On podąża za moim wzrokiem.

Zastanawiam się, które z nas dosięgnie go pierwsze.

Will

Jest słaba jak kociak. To doprawdy żalosne. Ale czas to już zakończyć, raz na zawsze. Nie ma sensu dłużej przeciągać. Przyskakuję do niej szybko, oplatom dłońmi tę śliczną, cienką szyję i zaciskam, odcinając dopływ powietrza. Patrzę, jak ogarnia ją panika. Najpierw widzę ją w oczach – to, jak rozszerzają się przerażone. Jej dłonie chwytają moje, drapią niczym kociak pazurkami, próbując się uwolnić.

To nie potrwa długo. Najwyżej dziesięć sekund, nim straci przytomność.

Sadie nie może krzyczeć z powodu nacisku na gardle. Ciszę zakłóca tylko kilka słabych jęków. Zresztą Sadie i tak nigdy nie była ciekawą rozmówczynią.

Własnoręczne uduszenie to rzecz bardzo intymna, różni się od innych rodzajów zabijania. Trzeba być blisko ofiary, no i musisz się wysilić, w odróżnieniu od użycia pistoletu, gdy po prostu strzelasz trzy razy z drugiej strony pokoju i już. Ale ze względu na wymagany wysiłek towarzyszy ci duma z własnego osiągnięcia, jak po malowaniu domu, budowie szopy czy rąbaniu drewna.

Dodatkowa zaleta jest taka, że nie ma wiele do sprzątnia.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro, że do tego doszło – mówię do Sadie, która wymachuje słabo rękami i nogami i rozpaczliwie próbuje walczyć. Szybko się męczy, oczy uciekają jej w głąb czaszki, ciosy stają się coraz słabsze. Próbuje wydłubać mi oczy palcami, ale nie dość szybko i mocno. Cofam się, jej wysiłki spełzają na niczym. Skóra Sadie przybiera uroczy odcień. Mocniej zaciskam dłonie. – Jesteś stanowczo za sprytna, Sadie. Gdybyś tylko odpuściła, nie doszłoby do tego. Ale nie mogę pozwolić, żebyś chodziła po świecie i opowiadała ludziom, co zrobiłem. Z pewnością to rozumiesz. A skoro nie umiesz zamknąć jadaczki – dodaję – to ja muszę cię uciszyć, i to na dobre.

Sadie

Z rozmysłem padam z nóg, cały mój ciężar podtrzymują jego dłonie, zaciskające mi się na szyi. To rozpaczliwa próba, ostatnia deska ratunku. Bo jeśli się nie uda, umrę. Kiedy w ostatnich sekundach wzrok mi się rozmywa, widzę moje dzieci. Widzę Ottona i Tate'a żyjących tu razem z Willem. Muszę walczyć. Dla dobra dzieci nie mogę umrzeć. Nie mogę ich z nim zostawić.

Muszę żyć.

Ból staje się coraz większy, bo bez pomocy nóg i kręgosłupa jego ucisk na szyję jeszcze się zwiększa; teraz Will trzyma w dłoniach cały ciężar mojego ciała. Czuję mrowienie kończyn. Drętwieją. Ból jest nie do opisanego, głowa i szyja płoną. Jestem pewna, że umrę. Tak właśnie wygląda śmierć.

Zwisam bezwładnie w jego ramionach.

Will, sądząc, że mu się udało, rozluźnia uścisk. Kładzie moje ciało na podłodze, z początku łagodnie, potem jednak puszcza i spadam z wysokości kilku centymetrów. Nie stara się być delikatny, chce tylko zachować ciszę. Moje ciało uderza o zimne płytki, usiłuję nie reagować, ale ból jest nie do zniesienia – nie po upadku, lecz po tym, co ten człowiek już mi zrobił. Czuję przemożną potrzebę, by zakasłać, zachłysnąć się, unieść ręce do szyi. Ale jeśli chcę przeżyć, muszę opanować to pragnienie i leżeć tam bez ruchu, nie mrugając, nie oddychając.

Will odwraca się do mnie plecami. Dopiero wtedy pozwalam sobie na krótki, płytki oddech. Słyszę go. Zaczyna planować, jak się pozbyć moich zwłok. Musi działać szybko, bo dzieci są na górze i wie, że nie może zwlekać.

Nagle niechciana myśl napęłnia mnie grozą. A gdyby Otto albo słodki mały Tate zeszli teraz na dół i zobaczyli nas, co zrobiłby Will? Czy i ich by zabił?

Will przekręca klucz w zamku i otwiera przesuwne szklane drzwi. Odsuwa siatkę. Nie patrzę, ale słucham i wiem, co robi.

Znajduje kluczyki na blacie, słyszę zgrzyt metalu o laminat. Przez chwilę brzęczą mu w dłoni, potem zapada cisza. Wyobrażam sobie, że schował je do

kieszeni dzinsów, wyraźnie zamierza wyciągnąć mnie tylnymi drzwiami i wsadzić do samochodu. Ale co potem? Nie dorównuję siłą Willowi, z łatwością znów by mnie pokonał. W kuchni są rzeczy, którymi mogłabym się bronić, ale na dworze nic. Tylko psy, które kochają go bardziej niż mnie.

Jeśli Will wyciągnie mnie za drzwi, nie mam żadnych szans. Muszę myśleć, i to szybko, nim zdoła mnie wywlec.

Leżąc bez ruchu na kuchennej podłodze, dla niego jestem martwa. Nie sprawdza pulsu. To jego jedyny błąd. Nie umyka mi fakt, że Will nie okazuje żalu. Nie płacze. Nie jest mu smutno, że umarłam. Pochyliła się nad moim ciałem, rzeczowo oceniając sytuację. Czuję jego bliskość. Wstrzymuję oddech. Dwutlenek węgla pali mnie w płucach. Nie mogę dłużej tego znieść, boję się, że odruchowo odetchnę, że na jego oczach nie zdołam dłużej wstrzymywać tchu. Jeśli spróbuję zaczerpnąć powietrza, Will się zorientuje. Jeżeli odkryje, że żyję, kiedy leżę płasko na wznak, w żaden sposób nie zdołam się obronić.

Serce bije mi szybko i mocno, gnane strachem, zastanawiam się, jakim cudem tego nie słyszy, nie dostrzega ruchu pod piżamą. W gardle gromadzi się ślina, omal się nie krztuszę, czuję ogromną potrzebę, by przełknąć. Odetchnąć.

Ciągnie mnie za rękę, po czym zmienia zdanie. Zamiast tego chwyta za kostki i szarpie brutalnie. Pod plecami czuję twarde płytki podłogi i muszę przywołać wszystkie siły, by nie skrzywić się z ostrego bólu, lecz pozostać bezwładna. Nie wiem, jak daleko jest do drzwi, nie wiem, ile jeszcze nam zostało. Will sapie, cofając się, dyszy mocno, jestem cięższa, niż sądził.

Myśl, Sadie, myśl.

Przeciąga mnie może z pół metra, potem przystaje, żeby odetchnąć. Nogi opadają mi na podłogę, mocniej chwyta kostki, szarpie ostro, etapami. Przesuwam się po kilka centymetrów, wiedząc, że kończy mi się czas.

Zbliżam się do tylnych drzwi. Chłodne powietrze jest coraz bliżej. Potrzebuję ogromnej siły woli, żeby znów stanąć do walki. Żeby pokazać Willowi, że żyję. Bo jeśli mi się nie uda, umrę. Ale muszę walczyć. Bo jeżeli tego nie zrobię, i tak zginę.

Will znów wypuszcza moje stopy. Oddycha głęboko, pociąga łyk wody prosto z kranu, słyszę, jak szumi i jak jego język mlaszcze jak u psa. Potem woda przestaje płynąć, Will przetyka głośno, wraca do mnie.

Kiedy pochyła się, by znów chwycić mnie za kostki, resztką sił, jakie mi pozostały, siadam nagle, zbieram się w sobie i walę go głową w twarz. Próbuję wykorzystać na swoją korzyść jego zmęczenie, brak równowagi. Traci ją, bo pochyłał się nade mną i ciągnął. Przez jedną sekundę mam przewagę. Unosi dłoń do głowy, cofa się chwiejnie i ląduje na podłodze. Podpieram się o podłogę i dźwigam się z niej. Lecz kiedy krew odpływa mi z głowy, świat wokół zaczyna wirować i wszystko ciemnieje. O mało znów nie padam, lecz w tym momencie zalewa mnie adrenalina i zaczynam widzieć.

Czuję jego dłonie na kostce. Leży na podłodze, próbując pociągnąć mnie za sobą. Cały czas mnie wyzywa, nie przejmuje się już zachowaniem ciszy.

– Ty suko. Ty tępą, durna suko! – cedzi mężczyzna, którego poślubiłam, który przysięgał, że będzie mnie kochać, póki śmierć nas nie rozłączy.

Moje kolana uginają się i padam na podłogę obok niego. Ląduje twarzą do ziemi, uderzając nosem o posadzkę, zaczynam krwawić. Krew płynie obficie, powlekając mi ręce czerwienią. Podnoszę się szybko na kolana. Will atakuje od tyłu, próbując sięgnąć do mojej szyi, a ja staram się odpełznąć. Kopię na oślep. Muszę zwiększyć dystans.

Desperacko sięgam w górę do blatu. Chwytam go i próbuję się podciągnąć, ale natychmiast tracę uchwyt. Ręce mam spocone, słabe. Wszędzie pełno krwi, kapie mi z nosa, z ust, nie mogę się utrzymać, ześlizguję się i z powrotem padam na ziemię.

Drewniany blok z nożami stoi tuż poza moim zasięgiem, drwi ze mnie.

Znów próbuję. Will ponownie sięga po moją nogę, łapie mnie za łydkę i szarpie. Kopię mocno, ale to nie wystarczy. Ciosy jedynie oszłamiają go na moment, ale szybko się męczę i słabnę, znów padam twarzą na podłogę, przygryzając język. Nie dam rady – poziom adrenaliny opada i władzę nad moim ciałem znów przejmują wino i senność.

Nie wiem, czy mam w sobie dość sił, by walczyć. Ale myślę o Ottonie, o Tacie i wiem, że muszę. Leżę na brzuchu, Will wpełza mi na plecy, sto kilogramów mięśni przygniata mnie do kuchennej podłogi. Nie mogę krzyknąć, nawet gdybym chciała, ledwie jestem w stanie wciągnąć powietrze. Ręce mam przyszpilone pod sobą, przygniecione naszymi połączonymi ciężarami. Czuję jego dłonie we

włosach, masują mi skórę, to dziwnie delikatny dotyk. Zmysłowy. Wyczuwam jego satysfakcję, że ma nade mną władzę.

Czas zwalnia biegu. Staram się dźwignąć pod jego ciężarem, ale nic z tego. Nie czuję własnych rąk.

Will przeczesuje mi palcami włosy, zdyszany wymawia moje imię.

– Och, Sadie – wzdycha. Podoba mu się, że leżę przyszpilona do ziemi, bezsilna, niewolnica swego pana. – Moja urocza żono – dodaje.

Pochyliła się tak blisko, że czuję jego oddech na karku, przesuwa po nim ustami. Delikatnie gryzie mnie w ucho. Pozwalam mu. Nie mogę go powstrzymać.

– Gdybyś tylko odpuściła – szepcze.

A potem chwyta lepką dłonią garść moich włosów, odrywa twarz o parę centymetrów od ziemi i z całych sił wali nią o płytki.

Jeszcze nie czułam podobnego bólu. Jeśli wcześniej nie miałam złamanego nosa, to już mam. Will robi to po raz drugi. Nie wiem, czy to wystarczy, by w końcu mnie zabić, ale wkrótce stracę przytomność. A wtedy nie mam pojęcia, co robi.

To jest ta chwila, mówię do siebie. Teraz umrę.

Lecz wtedy coś się dzieje. To Will, nie ja, wydaje z siebie dźwięk, zduszony, nieartykułowany krzyk bólu. Nagle czuję się lekka, nie wiem, co się stało.

Sekundę później uświadamiam sobie, iż lekkość wynika z tego, że Will spadł ze mnie. Przykuca parę centymetrów obok, próbując dźwignąć się z podłogi, choć ręce przyciska do głowy i podobnie jak ja krwawi. U niego krew wypływa z głowy, gdzie nagle pojawiła się rana, której wcześniej nie było.

Wyciągam obolałą szyję, podążam za jego wzrokiem – w którym teraz odbija się strach – i widzę Imogen stojącą w drzwiach kuchni. W dłoniach trzyma pogrzebacz, unosząc go nad głowę. Jej sylwetka rozplywa się mi przed oczami i znów pojawia, aż w końcu sama już nie wiem, czy jest tam naprawdę, czy to efekt obrażeń, jakich doznałam. Twarz ma obojętną, pozbawioną uczuć. Nie widzę na niej strachu ani gniewu. Rusza naprzód i zbieram się w sobie, oczekując obezwładniającego bólu, gdy uderzy we mnie pogrzebacz. Zaciskam powieki i szczęki, wiedząc, że koniec jest bliski. Imogen mnie zabije. Zabije nas oboje. Nigdy nie chciała nas tutaj.

Zgrzytam zębami. Ale ból nie nadchodzi. Zamiast tego słyszę jęk Willa, i gdy otwieram oczy, widzę, jak pada na posadzkę, obsypując Imogen wyzwiskami.

Patrzę na nią. Nasze oczy spotykają się i już wiem. Imogen nie przyszła mnie zabić. Chce mnie uratować.

Dostrzegam zdecydowanie w jej oczach, gdy po raz trzeci unosi broń. Ale jedna śmierć na jej sumieniu wystarczy. Nie mogę pozwolić, żeby zrobiła to dla mnie. Zrywam się na niepewne nogi. To niełatwe, każda część mnie boli, krew płynie obficie, zalepia mi oczy, nic nie widzę. Rzucam się naprzód w stronę drewnianego stojaka na noże, stając pomiędzy Willem a Imogen. Chwytam nóż szefa kuchni, lecz nie czuję rękojeści w dłoni.

Ledwie rejestruję twarz mężczyzny, jego oczy, gdy wstaje powoli, a ja odwracam się ku niemu. Widzę, że porusza wargami, jego usta otwierają się i zamykają, ale w uszach mi dzwoni i nie mogę tego znieść. Mam wrażenie, że nigdy nie przestanie.

Nagle jednak dzwonienie cichnie i coś słyszę.

Jego odrażający śmiech.

– Nigdy tego nie zrobisz – mówi – ty durna cipo.

Rusza ku mnie, próbując odebrać mi nóż. Na moment go łapie i w swej słabości myślę, że stracę broń, a wtedy użyje jej, żeby zabić mnie i Imogen.

Szarpię się gwałtownie, odzyskując panowanie nad nożem.

On znów rzuca się na mnie. Tym razem nie myślę. Po prostu działam. Reaguję. Wbijam mu nóż prosto w pierś. Nic nie czuję, gdy czubek ostrej klingi przecina ciało. Patrzę, jak się w nie zagłębia, Imogen stojąca za mną także patrzy.

I wtedy tryska krew, bryzgając i wypływając z rany, gdy jego ciało z głuchym łomotem wali się na podłogę. Z początku się waham, obserwując rosnącą kałużę krwi. Will ma otwarte oczy, choć życie szybko go opuszcza. Patrzy na mnie błagalnie, jakby sądził, że wciąż mogę coś zrobić, by go ocalić.

Unosi rękę, wyciąga ku mnie słabo. Ale nie może dosięgnąć.

Nigdy już mnie nie dotknie.

Zajmuję się ratowaniem życia, nie odbieraniem go. Lecz od każdej reguły są wyjątki.

– Nie zasługujesz na to, by żyć – mówię i czuję nagły przyływ sił, bo mój głos nie drży, nie załamuje się. Jest beznamiętny, jak śmierć.

On mruga raz, drugi, a potem zamiera, jego oczy przestają się poruszać, podobnie unosząca się i opadająca pierś. Nie oddycha.

Opadam na czworakach obok niego. Sprawdzam puls.

Dopiero wtedy, kiedy stwierdzam, że Will nie żyje, wstaję i odwracam się do Imogen, chwytam ją w objęcia i razem wybuchamy płaczem.

Sadie

Rok później...

Stoję na plaży i patrzę na ocean. Przyptyw pozostawił na skalistym brzegu spore kałuże, w których Tate chlapie się na bosaka. Dzień jest dość chłodny, koło dwunastu stopni, ale w porównaniu z tym, do czego przywykliśmy, jak na tę porę roku to bardzo ciepło. Jest styczeń, miesiąc potężnych mrozów i śniegu – ale nie tutaj, i jestem za to wdzięczna, tak jak za wszystko, co przez ostatni rok zmieniło się w naszym życiu.

Otto i Imogen wdrapali się na jedną z formacji skalnych wrastających w morze. Mają ze sobą psy na smyczach, jak zawsze chętne do wspinaczki. Ja zostaję z Tate'em, obserwuję, jak się bawi. Kucam na piasku i gładzę dłońmi kamienistą plażę.

Minął rok od dnia, gdy wrzuciliśmy do kapelusza karteczki z nazwami miejsc, do których chcieliśmy się przenieść. Takiej decyzji nie powinno się podejmować *ad hoc*. Nie mieliśmy jednak żadnej rodziny, przyjaciół czy powiązań. Świat stał przed nami otworem. To Imogen sięgnęła do kapelusza i wylosowała – i nim się obejrzelśmy, zmierzaliśmy już do Kalifornii.

Nigdy nie lubiłam kłamać ani osładzać prawdy. Otto i Tate wiedzą już, że ich ojciec nie był człowiekiem, za jakiego się podawał. Nie znają jednak wszystkich szczegółów.

Samoobrona – taki werdykt wydano po śmierci Willa. Nie wiem, czy funkcjonariusz Berg by uwierzył, gdyby nie to, że Imogen, przyczajona tej nocy za kuchennymi drzwiami, nagrała telefonem wyznanie Willa.

A przy okazji ocaliła mi życie.

Kilka godzin po śmierci Willa Imogen odtworzyła nagranie Bergowi. Ja byłam wtedy w szpitalu, gdzie opatrywano mi rany. Dowiedziałam się o wszystkim znacznie później.

Jesteś stanowczo za sprytna, Sadie. Gdybyś tylko odpuściła, nie doszłoby do tego. Ale nie mogę pozwolić, żebyś chodziła po świecie i opowiadała ludziom, co zrobiłem. Z pewnością to rozumiesz. A skoro nie umiesz zamknąć jadaczki, to muszę cię uciszyć, i to na dobre.

Nigdy nie wspominałyśmy z Imogen o tym, że tamtej nocy nie nagrała całej rozmowy, że pominęła część, w której Will dawał jasno do zrozumienia, iż to ja fizycznie dokonałam zabójstwa Morgan. Tylko my znamy całą prawdę. Nie znaleziono żadnych dowodów świadczących o moim udziale w zbrodni. Zostałam oczyszczona z zarzutów. O oba morderstwa oskarżono Willa.

Ale to nie był koniec. Potem nastąpiły miesiące terapii i wiem, że czeka mnie jeszcze wiele kolejnych. Moja terapeutka, Beverly, ma włosy ufarbowane na purpurowy fiolet, z pozoru niestosowny dla pięćdziesięcioośmiolatki, a jednak wygląda w nim świetnie. Ma też tatuaże i mówi z brytyjskim akcentem. Podstawowy cel naszych sesji to zlokalizowanie i rozpoznanie moich altów oraz połączenie ich w funkcjonującą całość; kolejny – stawienie czoła wspomnieniom, które mój umysł przede mną ukrył, tym dotyczącym dręczenia przez macochę. Powoli robimy postępy.

Razem z dziećmi mamy też terapeutę rodzinnego. Nazywa się Bob, co cieszy Tate'a, bo kojarzy mu się ze SpongeBobem. Imogen także uczęszcza na indywidualną terapię.

Otto chodzi do prywatnej akademii artystycznej. W końcu znalazł swoje miejsce, środowisko, do którego pasuje. Zapisanie go tam wymagało poświęceń – czesne jest wysokie, a dojazdy długie. Ale na całym świecie nie ma nikogo, kto zasługiwałby na to szczęście bardziej niż Otto.

Patrzę na fale rozbijające się o brzeg. Rozbryzg piany ochlapuje Tate'a, który chichocze radośnie.

Kiedyś na tej plaży mieściło się wysypisko. Dawno temu mieszkańcy miasta wyrzucali ze skał śmieci wprost do Pacyfiku. Przez kolejne dziesięciolecia ocean wygładzał je i szlifował, po czym wypływał z powrotem na ląd. Tyle że czas i natura zdążyły zmienić śmieci w coś niezwykłego. Nie są już odpadkami, lecz pięknym morskim szkłem, po które ludzie zjeżdżają się z całego stanu.

Zerkam na Ottona i Imogen: siedzą obok siebie na szczycie formacji skalnej i rozmawiają. Otto uśmiecha się, Imogen wybucha śmiechem, a wiatr unosi jej długie włosy. Widzę, jak Tate pluska się błogo w kałuży. Towarzyszy mu drugi

chłopiec; znalazł sobie kolegę. Widok ten sprawia, że czuję się lekko, jakbym fruwała. Zamykam oczy i unoszę twarz ku słońcu. Ogrzewa mnie całą.

Will pozbawił mnie wielu lat życia. Ukradł mi szczęście i zmuszał do robienia potwornych rzeczy. Potrzebowałam czasu, ale w końcu zaczynam wybaczać sobie to, co uczyniłam. Z początku Will mnie złamał, ale podczas procesu leczenia stałam się silniejszą, bardziej pewną wersją siebie. Po latach wykorzystywania i dręczenia przez Willa odkryłam w sobie kobietę, którą zawsze miałam się stać, kobietę, z której mogę być dumna, którą moje dzieci mogą podziwiać i naśladować.

Teraz wiem, czym jest prawdziwe szczęście. Doświadczam go każdego dnia.

Zrzucam z nóg adidas i zanurzam bose stopy w morzu. Myślę o szkle.

Jeśli czas może zamienić coś tak niechcianego w przedmiot powszechnej miłości, to samo może spotkać każdego z nas. To samo może stać się ze mną.

I już się dzieje.

Od autorki

Choroby psychiczne dotykają co roku ponad czterdziestu sześciu milionów Amerykanów. To problem niezwykle istotny dla społeczeństwa, a także dla mnie osobiście, bo doświadczyłam, jaki wpływ może wywierać na rodzinę. W *Tamtej kobiecie* Sadie pada ofiarą okrutnej manipulacji osoby, która pragnie wykorzystać jej chorobę, w końcu jednak znajduje dość sił, by przejąć kontrolę i poszukać pomocy, której tak potrzebuje. Liczę, że jako społeczeństwo nadal będziemy mówić głośno o tej ważnej kwestii i w przyszłości położymy większy nacisk na zapewnienie wszystkim potrzebującym właściwej opieki i terapii.

Podziękowania

Dziękuję mojej redaktorce, Erice Imranyi, za to, że pomogła mnie skierować na właściwe tory, za czujność, oddanie książce i cierpliwość, jaką mi okazała. Dziękuję mojej agentce Rachael Dillon Fried, za cenne uwagi i niekończące się zachęty podczas pisania i czytania tej książki. Jestem bardzo dumna z tego, co osiągnęłyśmy, i nie mogę się już doczekać wielu kolejnych wspólnych książek. Dziękuję Lorianie Sacilotto, Margaret Marbury, Natalie Hallak i wielu innym w wydawnictwie HarperCollins za bezcenny wkład redakcyjny.

Dziękuję cudownym ludziom z HarperCollinsa, Park Row Books i Sanford Greenburger Associates. Jestem wdzięczna, że mogłam być częścią tak oddanego i ciężko pracującego zespołu. Dziękuję moim agentom prasowym, Emerowi Floundersowi i Kathleen Carter; Seanowi Lapitainowi i jego ekipie za kolejną bajeczną okładkę; Jennifer Stimson za redakcję; działowi sprzedaży i marketingu, a także wszystkim korektorom, księgarzom, bibliotekarzom, blogerom, instagramerom i wszystkim, którym zawdzięczam to, że moje słowa trafiły do czytelników. Bez was by się nie udało. I ogromne dzięki dla mojej hollywoodzkiej ekipy marzeń, Shari Smiley i Scotta Schwimera, za ciężką pracę i entuzjazm.

Jak zawsze, dziękuję rodzinie za wsparcie emocjonalne; moim dzieciom, że pozwalały się przerażać, gdy na głos planowałam przebieg akcji, i wszystkim niesamowitym ludziom, którzy chętnie rzucali wszystko, żeby przeczytać pierwszą wersję książki i przekazać mi bezcenne uwagi. To Karen Horton, Janelle Kolosh, Pete Kyrychenko, Marissa Lukas, Doug Nelson, Vicky Nelson, Donna Rehs, Kelly Reinhardt, Corey Worden i Nicki Worden. Bez waszych sokolich oczu i pomocy książka ta nie byłaby tym, czym jest.